

NR 3 (124)
marzec
2011

Dodatek: płyta DVD z filmem
„Oskarzenie”

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

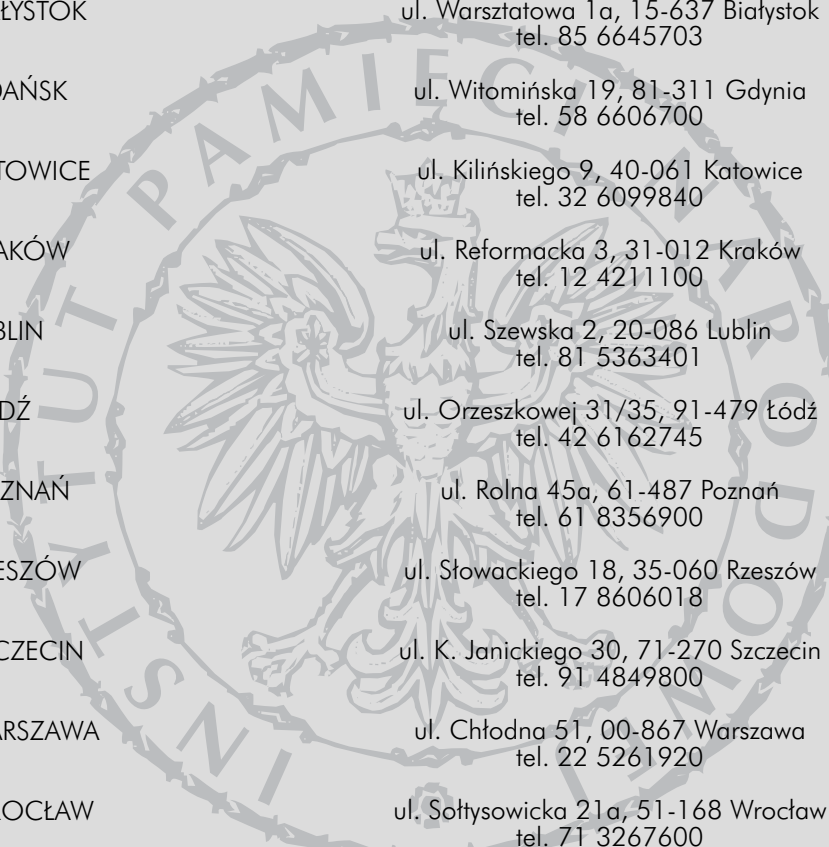
ISSN 1641-9561



numer indeksu 374431
nakład 10000 egz.
cena 9 zł (w tym 5% VAT)

ODDZIAŁY IPN

ADRESY I TELEFONY



BIAŁYSTOK	ul. Warsztatowa 1a, 15-637 Białystok tel. 85 6645703
GDAŃSK	ul. Witomińska 19, 81-311 Gdynia tel. 58 6606700
KATOWICE	ul. Kilińskiego 9, 40-061 Katowice tel. 32 6099840
KRAKÓW	ul. Reformacka 3, 31-012 Kraków tel. 12 4211100
LUBLIN	ul. Szewska 2, 20-086 Lublin tel. 81 5363401
ŁÓDŹ	ul. Orzeszkowej 31/35, 91-479 Łódź tel. 42 6162745
POZNAŃ	ul. Rolna 45a, 61-487 Poznań tel. 61 8356900
RZESZÓW	ul. Słowackiego 18, 35-060 Rzeszów tel. 17 8606018
SZCZECIN	ul. K. Janickiego 30, 71-270 Szczecin tel. 91 4849800
WARSZAWA	ul. Chłodna 51, 00-867 Warszawa tel. 22 5261920
WROCLAW	ul. Soltysowicka 21a, 51-168 Wrocław tel. 71 3267600

BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Kolegium: Jan Żaryn – przewodniczący,

Marek Gałęzowski, Łukasz Kamiński, Kazimierz Krajewski, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Filip Musiał, Barbara Polak, Jan M. Ruman, Andrzej Sujka, Norbert Wójtowicz, Piotr Życieński

Redaguje zespół: Jan M. Ruman – redaktor naczelny (tel. 22 4318374), jan.ruman@ipn.gov.pl

Barbara Polak – zastępca redaktora naczelnego (tel. 22 4318375), barbara.polak@ipn.gov.pl

Andrzej Sujka – sekretarz redakcji (tel. 22 4318339), andrzej.sujka@ipn.gov.pl

Piotr Życieński – fotograf (tel. 22 4318395), piotr.zycienski@ipn.gov.pl

sekretariat – Maria Wiśniewska (tel. 22 4318347), maria.wisniewska@ipn.gov.pl

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński; redakcja techniczna: Andrzej Broniak;
tamanie: Wojciech Czaplicki; korekta: Beata Stadrzyńiak-Saracyn

Adres redakcji: ul. Hrubieszowska 6a, Warszawa

Adres do korespondencji: ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa

www.ipn.gov.pl

Druk: Legra Sp. z o.o., ul. Rybitwy 15, 30-716 Kraków

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 3 (124)

MARZEC

2011

SPIS TREŚCI

■ ROZMOWY BIULETYNU

- Uciąć głowę Polsce.** Z Andrzejem Nowakiem i Ryszardem Terleckim
rozmawia Barbara Polak..... 2

■ KOMENTARZE HISTORYCZNE

- Filip Musiał – **Rzeczpospolita zgładzona**..... 13
Mateusz Szpytma – **Ludowcy skazani na milczenie**..... 18
Michał Wenklar – **Kara śmierci – ostatni order**..... 23
Jarosław Szarek – **Pozbawić naród sumienia i ducha**..... 28
Aleksandra Pietrowicz – **Drukarnia św. Wojciecha w Poznaniu
na celowniku bezpieki (1948–1950)**..... 32
Justyna Błażejowska – **Czołowy oddział pracowników kultury**..... 39
Anna Zechenter – **Zniszczyć kułaka nauki. Uczeni i uczelnie
w kuźni komunizmu**..... 48
Agnieszka Łuczak – **Reforma rolna i represje
wobec polskiego ziemiaństwa po roku 1944**..... 53
Marcin Markiewicz – **Powojenne losy ziemiaństwa na Białostoczczyźnie**..... 59
Adam Hlebowicz – **Niszczanie polskich elit na Wschodzie w latach 1944–1953**..... 62
Sławomir Kalbarczyk – **Czystka na uczelniach.
Zagłada polskiego środowiska naukowego we Lwowie po '44**..... 69
Janusz Wróbel – **Komuniści wobec emigracyjnych elit**..... 74
Wojtek Matusiak – **Powojenne losy elity polskiego lotnictwa**..... 86
Piotr Szubarczyk – **„Nowa inteligencja”**..... 98

■ SYLWETKI

- Marcin Chorążki – **Świat, który legł w gruzach**..... 102
Aneta Błaszowska – **Kapitan Zaleski vel Terlecki
– oficer z „ulicy represjonowanych”**..... 108
Ewa Rogalewska – **Noblesse oblige... Ziemiańskie tradycje
ocalone przez siostry Szrodeckie z Kożan**..... 115

■ ZMARLI

- Waldemar Grabowski – **Janina Czaplińska (Górska, „Aleksandra”,
„Biruta”, „Janeczka”) 1916–2011**..... 123

Na okładce: str. I – pałac w Unii, pow. Słupca (fot. T. Łuczak); str. IV – dwór w Skoraczewie, pow. Środa Wielkopolska (fot. T. Łuczak).

UCIĄĆ GŁOWĘ POLSCE

Z ANDRZEJEM NOWAKIEM I RYSZARDEM TERLECKIM
ROZMAWIA BARBARA POLAK

B.P. – Kiedyś państwem rządził król, a chronili je rycerze. Struktura społeczna była nieskomplikowana: władca wraz z najbliższym otoczeniem i cała reszta. W I Rzeczypospolitej króla wspomagała szlachta, która jako naród polityczny miała wielki wpływ na kształt ustroju i losy państwa. W praktyce do XIX w. w Polsce nie funkcjonowało takie pojęcie jak elita. Dopiero gdy nastąpiło zróżnicowanie społeczne, w obrębie jego poszczególnych warstw zaczęły pojawiać się osoby szczególnie predestynowane – z racji choćby wykształcenia – do tego, by reprezentować swoje środowisko i tym samym tworzyć jego elitę. Nas interesuje ta, która budowała II RP.

A.N. – Wykształcanie się elit jest związane z procesem demokratyzacji. U początków państwa polskiego uniemożliwiały to nie tylko głębokie podziały stanowe. Ogromna większość mieszkańców państwa polskiego, czyli chłopstwo – mówimy tu o dziewięćdziesięciu paru procentach społeczeństwa – nie miała świadomości polskości i świadomości państwowej. Wraz z procesem kształtowania się nowoczesnego narodu – co na terenie Polski zaczęło się stosunkowo wcześniej (na tle Europy Środkowo-Wschodniej), bo w drugiej połowie XVIII w. – czyli przełamywania barier stanowych i tworzenia nadrzędnej wspólnoty narodowej, pojawiła się kwestia, kto ma przewodzić tej ponadstanowej wspólnoty. Aspirowała ona przecież do tego, by być wspólnotą ludzi równych, przynajmniej jako adresatów pewnej misji, wezwania do służby wspólnej sprawie polskości i korzystania ze wspólnoty politycznej Polaków. I w tonie tej grupy teoretycznie mógł już pojawić się ktoś z nizin społecznych. Pod koniec XVIII w. dyskutowano o tym, czy Bartos – który za swoje bohaterstwo pod Raclawicami otrzymał nazwisko Głowacki i później bohatersko zginął – stał się członkiem polskiej elity; a Szczęśny Potocki – który po ostatnim rozbiórze Polski mówił, że trzeba wybrać narodowość i wybrać dla siebie narodowość rosyjską – czy on pozostaje w kręgu polskiej elity. Bardzo istotne znaczenie dla kwestii tworzenia się elity polskiej miała utrata niepodległości i trwanie w polskości bez suwerennego państwa.

B.P. – Na trwanie w polskości, mimo braku państwa, istotny wpływ mieli artyści.

A.N. – Romantyzm miał ogromny wpływ na tworzenie się polskiej elity i uświadomienie konieczności podtrzymywania więzi narodu w sytuacji braku państwa. Budował tę więź za pomocą wzniosłej, porywającej idei. Zadanie to wykonał – jeśli tak można powiedzieć – w sposób niezwykle skuteczny, bo przecież wówczas do elity polskiej zostali przyciągnięci ludzie spoza etnicznego kręgu polskiego. Ten fenomen później nigdy już się w tej skali nie powtórzył. Polska nie miała własnego państwa, a Żydzi, Niemcy, Czesi, Rosjanie, Francuzi, nawet Anglicy garnęli się do polskości. Imponowało im i przyciągało ich to poczucie patosu, misji polskiej, wielkości jej zadania, romantyzm.

Zwracam uwagę na znaczenie wielkiej idei romantycznej, gdyż wkrótce pojawiło się kolejne napięcie w budowaniu polskich elit. Było ono związane – po powstaniowych klęskach – z kryzysem romantycznej wizji „królów-duchów” (że użyję sformułowania Juliusza Słowackiego) i służących im rycerzy. Po Powstaniu Styczniowym pojawiło się poczucie realnej klęski etosu romantycznego. Jedną z odpowiedzi na to stała się praca organiczna. Jak wyróżnisz się w pracy, zrobisz coś konkretnego z myślą o Polsce – jako adwokat, nauczyciel, działacz pierwszych polskich partii, docierając na przykład do chłopów ze swoim przestaniem – to będziesz przynależał do elity: elity realnej polskiej misji. To była jedna droga.

Druga była inna i wiązała się z narastającym kompleksem bycia gorszym – nie udało nam się, wielki duch romantyczny, porywający przez kilkadziesiąt lat, zbiera tylko ofiary, przynosi klęski. Inni są lepsi i powinniśmy modernizować się i naśladować ich – Niemców, Francuzów, a nawet Rosjan, bo potrafili zbudować silne państwo. Ta postawa naśladowcza dla ludzi, którzy aspirowali do elity, miała jednak znacznie mniej *seksapilu*. Można było wybierać: skoro mam być dobrym urzędnikiem na wzór austriacki czy pruski, no to gdzie jest ta granica, która oddzieli mnie od austriackości czy pruskości? Być może, jest to wyraz mojego uprzedzenia, ale odpowiedzialnością za wpływ na formowanie się w końcu XIX w. tego naśladowczego i pełnego krytycyzmu wobec polskości nowego wzoru dla

elit obciążam także w niemałym stopniu krakowską szkołę historyczną. Ostabiła ona atrakcyjność polskości w elitach, nie zmniejszała natomiast poczucia elitaryzmu, bo w jej kręgu było ono bardzo silne – „my (krakowscy profesorowie) jesteśmy lepsi, jesteśmy przewodnikami, wiemy, że źródło modernizacji jest we Francji, w Niemczech, w Europie Zachodniej, ale motłoch nie nadąga, z Polakami ciężko cokolwiek zrobić, z tym zacofanym i skoftunionym polskim tłumem”. Wcześniej, już w drugiej połowie XVIII w., takie tradycje formował krąg stanisławowskiiego „Monitora”.

R.T. – W pierwszym dziesięcioleciu XX w. wśród polskich elit panowało przekonanie, że przynależność do zaborczych państw jest sytuacją trwałą, a wszystko, co można uzyskać, to lepsza pozycja polityczna i ekonomiczna. Stąd pomysły uzyskania cywilizacyjnej przewagi ziem polskich w ramach państwa carów czy nadzieje na monarchię auto-węgiersko-polską na terenie Galicji. Elity nie dały się wynarodowić, ale wielu wykształconych Polaków w kwestiach prawnych czy finansowych sprawniej posługiwało się językiem niemieckim czy rosyjskim niż polskim. Wspólna ojczyzna pozostawała historią i to ona sprawiała, że zapalczywa młodzież opuszczała rosyjskie szkoły w Kongresówce czy zapisywała się do patriotycznych stowarzyszeń w Galicji. Atmosfera zaczęła się zmieniać dopiero wraz ze wzrostem międzynarodowego napięcia, ale i wtedy myślano raczej o zjednoczeniu ziem polskich pod berłem jednym czy drugim niż o odzyskaniu własnego państwa. Tych nielicznych, którzy znów – jak w roku 1863 – gotowi byli sięgać po broń, uważano za politycznych czerpał oszołomów, niebezpiecznych dla przyszłości „Kraju”.

B.P. – Nie z takiej postawy czerpał nurt niepodległościowy.

A.N. – Odrodzenie ducha romantycznego dokonano się w kręgu Józefa Piłsudskiego i tego nurtu niepodległościowego, którego on stał się symbolem przed I wojną światową. „Odnowienie” romantyzmu poddane pozytywistycznej krytyce ze strony realistów miało swojego literackiego proroka, czyli Stanisława Wyspiańskiego. Ten rodzaj romantyzmu był bogatszy o refleksję nad polską elitą i jej zadaniami. I chociaż Wyspiański nie był w jednym obozie z Piłsudskim, to łączyło ich poszukiwanie wzniosłej, wielkiej idei dla Polski, która na nowo wciągnęłaby polską elitę do jakiegoś niezwykle ambitnego zadania. Roman Dmowski wyśmiewał i krytykował tradycję romantyczną. Jeszcze pod zaborami stawiał Polakom konkretne zadanie – bardziej pracę niż walkę. Ale przez to napięcie i rywalizację z konkurencyjną ideą Piłsudskiego także musiał rysować wizję wielkiej Polski. Chociaż tę wielkość widział inaczej, również dla niego była ona oczywistym zadaniem. Obydwa te programy de facto wspierały wizję polskości jako czegoś bardzo ważnego, mobilizującego najwyższe uczucia.

W II Rzeczypospolitej mamy jakby drugą odstonę tej kwestii. Jest suwerenne państwo i „radość z odzyskanego śmietnika”, jak w *Generale Barczu* podsumował to Juliusz Kaden-Bandrowski. Odbywała się konfrontacja z rzeczywistością owego wzniosłego ideału, który przyciągał do polskości ludzi najbardziej ambitnych. I pojawiły się konkretne pytania o jakość elit.

R.T. – Wojna podzieliła elity. Po jej zakończeniu okazało się, że rację mieli ci, którym wcześniej racji odmawiano. Ale władzę objęli politycy, którzy wcześniej stawiali na współpracę z zaborcami. Ten fakt wywołał wielką frustrację w obozie Piłsudskiego. Stał się zamach majowy. Starta się stara elita, uformowana pod zaborami, z nową, wywodzącą się z legionowych okopów. To tak jakby „Solidarność” odebrała władzę postkomunistom np. w 1994 r. Tylko że działacze „Solidarności” nie byli w okopach i nie łączyła ich wspólnie przelana krew. A część jej elit gotowa była dzielić się władzą ze stronnikami zaborcy, czyli Sowieci.

B.P. – Istotnie, to zupełnie nowa sytuacja – trwanie w polskości pod zaborami zamienić na konkretne i efektywne działania w niepodległym państwie.

A.N. – Bywało z tym różnie i dlatego też pojawiały się krytyczne oceny elit II RP. Na elicie piłsudczykowskiej, która de facto wygrała II Rzeczpospolitą, ciążyła wielka odpowiedzialność. I okazało się, że nie wszyscy z tych wspaniałych legionistów – którzy o Polskę walczyli jako ochotnicy, byli żywymi legendami, a w II RP znaleźli się na różnych odpowiedzialnych stanowiskach – zdali egzamin z tej odpowiedzialności. Pod koniec dwudziestolecia było widać, że wiele z tych osób na świeczniku uległo zepsuciu, korupcji spowodowanej władzą. Nie oparli się pokusie władzy niekontrolowanej, która została im udzielona jako tej elicie namaszczonej przez zasługi. Myślę, że tamta elita sanacyjna daje się pod względem tej postawy porównywać z dzisiejszą, postpeerelowsko-postsolidarnościową elitą III RP, tak pewną właśnie swej elitarności. To, co różniło tamtą elitę, z II RP, w stosunku do dzisiejszej,

to przekonanie, że Polska zawdzięcza niepodległość, swoją pozycję – sobie samej, swojej walce; nie było w tamtej elicie kompleksu „gorszości” Polski.

Konsekwencją takiego nastawienia elity II RP była określona edukacja tych pokoleń, które urodziły się w dwudziestoleciu lub w nim się formowały. Wychowanie młodzieży było niezwykle nasyczone wzorcem romantycznej albo neoromantycznej wizji polskośći jako wielkiego, ambitnego, wspaniałego zadania. Oczywiście, gdzieś był Gombrowicz, różne rodzaje krytyki wobec tego stylu „akademii ku czci Marszałka”, ale znaczna część generacji kształtowanej w II RP była wychowana w kulcie państwa, służby państwu, polskości i akceptowała ten kult jako własny. Edukacja formowała młode pokolenie w atmosferze największego szacunku dla dziewiętnastowiecznych walk o niepodległość, inspirujących niezgodę na zniewolenie, gdyby taka groźba znów się pojawiła. Tak ukształtowany był przez matkę sam Piłsudski; on w ten wzorzec nie tylko wierzył, ale i chciał go propagować. Dla niego odniesieniem był Słowacki z jego wizją „królów-duchów”.

To bardzo elitarystyczna wizja. Był to wzorzec wspaniałej elity, która poprowadzi za sobą naród. Piłsudski z gruntu był elitarystą, gardził tłumem. Polakami jako wspólnotą etniczną także w znacznym stopniu gardził, bo uważał, że jest w nas mnóstwo złych cech, cech małości. Również Dmowski był krytyczny w ocenie Polaków, u Piłsudskiego jednak dużo silniejszy był ten aspekt elitaryzmu – tylko ludzie zasłużeni przez swoje bezinteresowne poświęcenie w walce w wolnym państwie powinni zajmować wyróżnione miejsca. Wielokrotnie powtarzał, że nic nie potrafi zrobić z tym, że w życiu publicznym II RP „szuje i kanalie” mają równy głos z bohaterami. A często bohaterowie z okresu walki o niepodległość Polski, gdy dobrnęli do swoich stanowisk, okazywali się „szujami i kanalami”. Tego Piłsudski nie brał i nie chciał brać pod uwagę. Dla niego ten, kto okazał się bohaterem w jego legionach, na zawsze miał prawo czuć się członkiem elity za swoje historyczne zasługi, świecić przykładem i czuć wyższość wobec mas. Ten wzorzec się o tyle nie sprawdzał, że chronił ludzi, którzy na to już z czasem nie zasługiwali.

B.P. – Sądzi pan, że gdyby Dmowski i jego stronnictwo było zwycięskie i budowało Polskę międzywojenną, sytuacja wyglądałaby inaczej?

A.N. – Wyglądałaby inaczej, choć wcale nie wiem, czy lepiej. Bo ten stan rzeczy, o którym mówiłem, miał zarówno negatywne, jak i pozytywne konsekwencje. O negatywnych już mówiłem, stroną pozytywną było eksponowanie wciąż tego bardzo wzniosłego ideału, przemawiającego do młodych ludzi wychowywanych w szkołach II RP, stawiającego polskość właśnie na poziomie bohaterskim. Chciałbym to podkreślić, że najwspanialszą elitą II RP byli ludzie wychowani przez jej szkoły. Nie ci starzy, którzy rządzą II RP, lecz młodzi, którzy zostali w niej wychowani w duchu bohaterskiego mitu (bo w dużym stopniu był to mit, którego bohaterowie często okazywali się go niegodni, chociaż oczywiście nie zawsze).

Uwierzywszy w ten, młodzi ludzie wychowani w II RP, w czasie II wojny światowej okazali się w ogromnej części tego wielkiego polskiego mitu godni. Pokazali to w kampanii wrześniowej, w Armii Krajowej itd. Przyjęty przez II RP pod wpływem zwycięstwa Piłsudskiego wzorzec wychowania wytworzył bohaterską elitę, porwaną w swoich szkołach wizją wielkiej romantycznej Polski. Gdyby zaś rządził Dmowski i jego wizja polskości, to zapewne sposób kontroli nad elitami wytonionymi w trakcie trwania niepodległego państwa byłby bardziej demokratyczny (Dmowski przejawiał dużo więcej demokratyzmu i mniej elitaryzmu niż Piłsudski). Ludzie byłiby zapewne rozliczani za konkretną pracę, którą wykonali dla II RP, i z tego wynikałaby ocena, czy się sprawdzili, czy nie. Poprzeczka ideowa dla elit byłaby zatem zawieszona niżej, przez to stałaby się mniej pociągająca. Najważniejsza byłaby praca dla państwa, które powinno być skuteczne w gospodarczej i politycznej rywalizacji z innymi, ale które nie starałoby się stanowić w kwestiach ideowych wyjątkowego przykładu dla innych narodów. Byłaby to zatem elita wychowana przede wszystkim w duchu pracy organicznej, chociaż z pewnością również patriotyczna, tyle że w innej formule.

Użyję prostego przykładu, przywołam postać papieża Jana Pawła II, Karola Wojtyłę. W jego postudze Kościołowi dostrzegam inspirację wizji romantycznej Piłsudskiego, Słowackiego, *Króla-Ducha*. Był wychowany w szkole II RP, w której uczono zarówno tragików greckich, jak i wystawiano *Pana Tadeusza*, *Dziady*. Przypominam sobie sceny z konkretnych dramatów, które Karol Wojtyła przeżywał jako aktor jeszcze w szkole, w gimnazjum Wadowity, a potem już w podziemnym Teatrze Rapsodycznym. Wojtyła jest jednym z najlepszych przykładów realizacji ideału elity II RP i wychowanej w II RP – z tą wizją wielkiej Polski, przeżywanej bardzo głęboko. Wyniósł ze szkoły romantyczne przekonanie, że jest możliwe,

by Polak stanął na czele świata, na czele Kościoła powszechnego i duchowo prowadził go ku nowej, lepszej epoce. Dlaczego nie? Czas już najwyższy. Nie sądzę, żeby to się wiązało z przeżyciami natury tylko teologicznej. Gdyby to była wizja narodowo-demokratyczna, to – jak sądzę – ta inspiracja nie byłaby tak silna. Narodowa demokracja miała jakby mniej podniosły ideał wychowawczy. Być może, jej elita byłaby bardziej „porządna” w życiu codziennym, bo na to Dmowski kładł wielki nacisk. Ale czy na tyle trafiałaby do wyobraźni ludzi, żeby porywać ich do tak wielkiego poświęcenia w obronie polskości?

B.P. – Jaką rolę w budowaniu wzorca polskości miał w międzywojniu Kościół katolicki?

A.N. – Relacje Kościoła z elitami II RP były dość skomplikowane. Po pierwsze, przeważająca część hierarchii sympatyzowała raczej z obozem narodowej demokracji, z powodów, w największym skrócie, światopoglądowych. Piłsudscy byli symbolem liberalizmu, flirtu z socjalizmem, czasem nawet otwartego bezbożnictwa, np. w osobie Kostka Biernackiego, który trochę pozował na satanistę. Z punktu widzenia katolickiej ortodoksji dla Kościoła to był kłopot, żeby błogosławić całemu obozowi piłsudczykowskiemu.

R.T. – Trzeba pamiętać, że Kościół katolicki we wszystkich zaborach stał po stronie utrzymania polskiej tożsamości. Współpracował z zaborczą władzą, czasem ta współpraca szła za daleko, ale równocześnie to był polski Kościół, w którym nie mówiło się i nie modliło po niemiecku czy rosyjsku. A po odzyskaniu polskiego państwa Kościół bardzo mocno stał po stronie niepodległości, co było oczywiste po doświadczeniach roku 1920. W ogromnym dziele wychowania młodych Polaków na patriotów wielką rolę odegrał Kościół, tym bardziej że znaczną część duchowieństwa w sposób naturalny – z racji wykształcenia i społecznej pozycji – zaliczano do elity i rzeczywiście nią była.

B.P. – A nie stanowiło kłopotu to, że sam Dmowski daleki był od wzoru przyzwoitego katolika?

A.N. – Ale jednak on nie prowokował Kościoła. Tak wybitne postaci, jak abp Adam Sapieha czy bp Józef Teodorowicz, obok prymasa Augusta Hlonda dwaj najwybitniejsi hierarchowie okresu II Rzeczypospolitej, na pewno entuzjastami Piłsudskiego i jego obozu nie byli, to i tak powiedziane jest delikatnie. Teodorowicz był związany wprost z obozem narodowym i zasiadał w jego ławach w Sejmie, będąc zresztą wspaniałym, wielkim mówcą. Zmieniało czy łagodziło stan napięcia między Kościołem a obozem Piłsudskiego to, że na Stolicy Piotrowej zasiadł Achilles Ratti, Pius XI. On poznał Piłsudskiego, polubił i z daleka błogosławił Polsce Piłsudskiego (można to tak uprościć, ale i tak to było odbierane – że nie ma napięcia w stosunkach Piłsudski-Watykan w tym czasie). Oni spotkali się w latach 1919–1920. Arcybiskup Ratti był w tych dramatycznych dla Polski okolicznościach nuncjuszem i doceniał Polskę jako przedmurze antykomunistyczne, niezwykle ważne na chrześcijańskiej mapie Europy. Piłsudski tę misję doskonale wzmacniał swoją osobistą rolą i wyobrażeniem miejsca Polski na wschodniej rubieży *latinitas*. Dla wielu księży, którzy stanowili naturalną część elit lokalnych, oczywista była relacja między katolicyzmem a polskością. To powodowało, że obraz relacji między Kościołem a wizją II RP reprezentowaną przez Piłsudskiego był dość skomplikowany, niepozbawiony wewnętrznych napięć. Z biegiem czasu, gdy pojawiała się generacja duchownych wychowanych przez szkoły II RP, następowało pewne zbliżenie w wizji polskości.

B.P. – Efektem patriotycznego wychowania w polskich szkołach, a także w organizacjach młodzieżowych, takich jak harcerstwo, „Sokół” czy „Strzelec”, była postawa młodzieży w okresie II wojny światowej, zaangażowanie w konspirację i walkę w Powstaniu Warszawskim. Była to młoda elita II RP.

A.N. – Należy pamiętać, że u początków II RP łączyły dość istotne napięcia między różnymi wyobrażeniami tego, jak Polska ma wyglądać. Przecież tworzyli ją ludzie pochodzący z różnych zaborów, mający różne wzorce służby państwowej. Te dwadzieścia lat wolnej Polski, na które najsilniejsze piętno w sferze państwowotwórczej odcisnął Piłsudski, to był swego rodzaju tygiel, w którym jakby wytapiał się nowy, specyficzny typ wychowania nie tylko nowych pokoleń Polaków, czyli dzieci szkolnych. Następowo także wewnętrzne zbliżenie w poglądach na polskości wśród ludzi średniego pokolenia, w tym właśnie wielu księży, wojskowych. Utrwaliło się przekonanie, że polskość jest czymś bardzo ważnym, czemu trzeba służyć, a jednocześnie czymś bardzo kruchym, co może będzie wymagało znów poświęcenia i znów walki. Takie przekonanie wynikało z realistycznej oceny sytuacji międzynarodowej, geopolityki. Wzorce, jakie dawała szkoła, nie były abstrakcyjne i wydumane; były zobowiązujące, szczególnie po

doświadczeniach wojny z bolszewikami. W 1939 r. to nie była prehistoria. I to właśnie wtedy swój egzamin z patriotyzmu zdawali chłopscy synowie obok ochotników z Legii Akademickiej, narodowcy i piłsudczycy. Pisał też o tym komunizujący Władysław Broniewski w wierszu *Bagnet na broń*.

W 1920 r. oczywiście były dezercje i to całkiem liczne, ale w porównaniu ze wszystkimi naszymi wschodnimi sąsiadami, Ukraińcami, Białorusinami, z Rosją, to była pierwsza wspólnota, która wytworzyła się ponad podziałami klasowymi, pierwsza tego rodzaju wspólnota na drodze bolszewizmu. Dla Polaków było to bardzo silne i jednoczące doświadczenie. Bo wcześniej, w czasie I wojny światowej, kiedy ponad 2 mln mieszkańców ziem polskich stanęło pod bronią, to jednak oni strzelali nawzajem do siebie, i ginęli w walce nie o swoją sprawę. W 1920 r. oczywiście były spory, czy Józef Haller jest ważniejszy, czy Tadeusz Rozwadowski, czy Piłsudski, ale nadrzędna była służba Polsce. W archiwum Józefa Mackiewicza w Raperswil natrafiłem na korespondencję Jędrzeja Giertycha z Mackiewiczem, w której obaj (pamiętajmy o tej naprawdę ogromnej przepaści między nimi – skrajnym nacjonalistą i skrajnym antynacjonalistą) wspominają z wielkim sentymentem i szacunkiem służbę w 1920 r., jeden był kawalerzystą, drugi piechocińcem, obaj służyli Polsce. Dlatego to było ważne dla wszystkich (z wyłączeniem komunistów) doświadczenie, swoisty papierek lakmusowy – w momencie zagrożenia Polski endek mógł stanąć obok piłsudczyka (choć na co dzień się nienawidzili) po jednej stronie barykady. Po drugiej stronie stali komuniści – i to zawsze odróżniało tę formację od pozostałych. Wszyscy ci, którzy wspólnie stali przeciw bolszewikom, mogli aspirować do elity polskości.

B.P. – Sowietci nie zapomnieli roku 1920. Od 17 września 1939 r. z bezprzykładną nienawiścią przystąpili do rewanzu, którego obiektem w szczególny sposób stały się polskie elity.

A.N. – Warto przypomnieć cztery konferencje gestapo-NKWD (wiemy o nich dzięki odkrytym po upadku Związku Sowieckiego archiwaliom, a także Edvinsowi Snore i jego filmowi *Soviet Story*), które odbyły się między późną jesienią 1939 r. a wczesną wiosną 1940 r. w Brześciu nad Bugiem, Przemyśle, Zakopanem i Krakowie. Specjaliści obu totalitarnych policji politycznych naradzali się, jak eliminować polskie elity. Efektem tych narad były przeprowadzone przez Niemców akcje eksterminacyjne (w tym akcja AB), w których zabito bez mała 50 tys. polskich inteligentów i działaczy społecznych, i „operacja katyńska” przeprowadzona przez Sowieców, którzy zamordowali w niej niemal 23 tys. Polaków. Obydwaj okupanci inspirowali się wzajemnie i wymieniali fachowe uwagi. Gestapo wiele nauczyło się od NKWD, które bez porównania lepiej było przygotowane do takich akcji eksterminacyjnych, mając doświadczenie wieloletnich prześladowań naszych rodaków w Związku Sowieckim; w latach 1937–1938 wymordowało przecież 200 tys. Polaków. Niemcy szybko dogonili swoich nauczycieli. Istnieje domniemanie, choć nie ma na to dowodów, że akcja AB była uzgodniona z Moskwą. Sowiecki program eksterminacji elit tym różnił się od niemieckiego, że Sowieci chcieli mieć trochę czasu na wyłuskanie spośród nich tych, którzy gotowi byli pójść na współpracę z nimi. Niemcy nie mieli tego problemu. Mogli od razu zabijać wszystkich, którzy stali na ich drodze. Masowe egzekucje na terenach podległych administracji niemieckiej rozpoczęły się już we wrześniu 1939 r. Eksterminacja polskich elit zaraz na początku wojny miała dla jednych i drugich ogromne znaczenie, bo to było „odcięcie głowy” podbitego narodowi.

R.T. – Niemcy już na początku okupacji odrzucili pojawiające się tu i ówdzie oferty kolaboracji. Sowieci przeciwnie – sami wystąpili z taką ofertą. Przede wszystkim liczyli na mniejszości narodowe, słabiej związane z polskim państwem. Proponowali też drogę awansu energicznym jednostkom z niewykształconej biedoty. Równocześnie przystąpili do niszczenia elit, likwidując je na miejscu lub wywożąc na stracenie. Przygarnęli tylko niektórych, ale to o nich było wtedy bardzo głośno. Bo trzeba było bardzo się zeszmacić, żeby zyskać zaufanie sowieckiej władzy. To doświadczenie z sowieckiej strefy okupacyjnej przydało się po wojnie: trochę literatów czy dziennikarzy w Lublinie czy Warszawie zachowywało się tak, jakby to był okupowany Lwów. Poziom zaprzaństwa był nieadekwatny do sytuacji, bo przecież nie chodziło już o pozwolenie na życie, tylko o nieco lepsze warunki i tak skromnej egzystencji.

B.P. – Po przechwyceniu przez komunistów władzy w Polsce w 1944 r. rozpoczęło się dobijanie resztek elit, które reprezentowały wszystko to, co wyrasta z imperatywu patriotyzmu. Zaatakowano „sanację” za przegraną 1939 r.

A.N. – Po pierwsze, działania komunistów determinowała doktryna, dlatego uderzyli w elity społeczne, nie tylko narodowe. Niszczyli zastany porządek i tworzyli sytuację chaosu, po czym miał nastąpić

narzucony przemocą zupełnie już inny porządek i hierarchia. Z drugiej strony, powszechne poczucie klęski we wrześniu 1939 r. rzeczywiście dawało komunistom atut, który oni świadomie i umiejętnie wykorzystali. Klęska wrześniowa była strasliwym szokiem dla bardzo wielu ludzi aspirujących do roli członków elity państwa polskiego – jak to, jesteście tacy wspaniali, o czym nas uczono w szkole, a przegrywamy w ten sposób? Tych parę miesięcy, jakie upłynęły do klęski Francji, kiedy okazało się że Francja runęła tak samo szybko, to nie był czas, żeby wyjść z tego stanu szoku. Po wojnie komuniści bardzo celnie naprowadzili swój aparat propagandowy właśnie na to dojmujące w Polakach poczucie klęski. Tamten świat wartości, tamten system zawalił się, nie sprawdził, zawiódł, więc kalendarz liczymy od 22 lipca 1944 r. (dosłownie tak proponował m.in. Andrzej Szczypiorski), dopiero teraz odradza się nowa Polska. Oczywiście, pomogło im także to, że tak wielu przedstawicieli tej przedwojennej elity zostało fizycznie eksterminowanych podczas II wojny światowej.

B.P. – Jaki był stan polskich elit zaraz po wojnie i jaką strategię wobec nich przyjęła komunistyczna władza.

A.N. – Komuniści gotowi byli przyjmować do swoich szeregów, do swojego projektu nowej sowieckiej Polski „wychodźców” z prawdziwych przedwojennych elit polskich. Pisał o tym Jacek Trznadel i wielu innych. Najbardziej znani są oczywiście literaci, Tadeusz Żeleński-Boy, Stanisław Jerzy Lec, Julian Strykowski, Leon Chwistek i inni. Niemcy nie mieli projektu nazistowskiej nowej Polski, nie potrzebowali zatem żadnych „wychodźców”, czyli polskich zdrajców. Niemcy takiej możliwości nie dawali i tym samym opór przeciw nim w czasie II wojny światowej był w pewnym sensie prostszy, bardziej oczywisty. Utrwał on tożsamość elit polskich, a nie fałszował jej tak, jak to tworzyła sytuacja zaaranżowana przez Sowietów.

R.T. – Założeniem komunistycznej władzy była wymiana elit – starych na nowe. Komuniści uważali, że stara elita z punktu widzenia przeprowadzanej rewolucji jest nieużyteczna. Ale problem polegał na tym, że w wielu sferach życia publicznego nie było kim jej zastąpić. Nie było kim zastąpić elit uniwersyteckich, literackich, artystycznych, urzędniczych, technicznych – bo brakowało ludzi z odpowiednią wiedzą i doświadczeniem. Może najłatwiej było zastąpić wojskowych, bo była kadra wyszkolona w Sowietach w latach 1943–1945. Tak więc przez jakiś czas trzeba było tolerować te stare elity i to właściwie w każdej sferze życia publicznego. Bardzo szybko powstał konflikt między tymi, którzy nie mieli jeszcze odpowiednich kompetencji, ale aspirowali do tego, żeby stać się nową elitą wyznającą idee komunistycznej rewolucji, a starą elitą, która często po prostu chciała przetrwać, w miarę możliwości unikając konfliktów. I to bardzo dobrze było widać np. na uczelniach, gdzie pojawili się młodzi, na swój sposób zdolni pracownicy aspirujący do przejęcia uniwersytetów i innych instytucji naukowych. No, ale jeszcze byli ci starzy – z wielkim dorobkiem, z warsztatem naukowym, tam, gdzie on przetrwał. I zaczęła się awantura – młodzi chcieli szybko zająć miejsca starych, ale jeszcze nie mieli wiedzy i możliwości, więc władza często musiała ich hamować, bo wiedziała, co będzie, jak znikną starzy profesorowie i uczeni.

A.N. – Państwo potrzebuje ludzi na stanowiskach. Zabrakło ludzi przygotowanych do tego, by je piastować, fachowców. Zostali wymordowani. Elitę urzędniczą zaczęli tworzyć ludzie nieprzygotowani, ale obdarzeni za to ideologicznym zaufaniem, co dzieje się na ogół w państwach marionetkowych. Likwidacja polskiej elity ułatwiła komunistom zadanie. Na przykład kursy im. Teodora Duracza w ciągu roku produkowały prawników nowej Rzeczypospolitej, takich jak Adam Humer.

B.P. – Gdyby naprawdę chodziło o odbudowę samodzielnego państwa, to można było zaczerpnąć z tych „zasobów ludzkich”, które stanowiła grupa Polaków wracających z Zachodu po wojennej tułaczce, czy tych, którzy ujawniali się z okupacyjnego podziemia. Ale to był „element niepewny”, przez nowe władze prześladowany, marginalizowany, pauperyzowany.

A.N. – Ludzie, którzy reprezentowali jakąkolwiek ciągłość, tradycję polską II RP, niekoniecznie utożsamiani ze skrzydłem piłsudczykowskim, w każdym przypadku byli traktowani jako podejrzani, a w bardzo dużej liczbie przypadków jako oskarżeni. W nowym państwie nazywanym Polską byli zatem pozbawieni możliwości pracy odpowiadającej ich kwalifikacjom. Jest wiele tego przykładów, począwszy od wojskowych wracających do Polski z Zachodu; repatriacja objęła przecież 120 tys. żołnierzy i oficerów. Zwłaszcza ci wyższych szarż niemal wszyscy byli tak czy inaczej prześladowani w następnych latach; nawet ci, których na chwilę przyjęto do wojska, i ci, którzy mieli szczerą intencję służenia nowym komunistycznym państwem, nie chcieli ich zdradzać. Władze uznały, że za bardzo byli przesiąknięci obcą

jej kulturą i tradycją. Oczywiście były przypadki – jak to ładnie po rosyjsku się określa – „swadiebnych gienierałów”. Bierut chętnie pokazywał gen. Juliusza Rómmla, który miał piękne wąsy i lubił występować z szablą. Takich ludzi trzymano, ale wyłącznie w roli nadwornych błaznów.

R.T. – Wbrew oczekiwaniom polskich komunistów, Polska nie stała się sowiecką republiką. Instytucje, które działały przed wojną, zostały odtworzone w latach 1945–1947. Trudno było potem np. zamknąć uniwersytety z tej przyczyny, że nie było jeszcze nowej kadry. Przez jakiś czas tolerowano więc starą, która wegetowała na marginesie życia publicznego i powoli odchodziła. Oczywiście, niektórych zamknięto w więzieniach czy w końcu wyrzucono z pracy. Byli profesorowie, którzy w różny sposób narazili się nowej władzy, bo jawnie ją kontestowali bądź uczestniczyli w podziemnych przedsięwzięciach. Ich zwalczano, natomiast pozostałych ograniczano w ich możliwości wpływania na losy uczelni, usuwano z władz uczelnianych, pomniejszano ich pole działania, niektórym odbierano kontakt ze studentami, pozwalając jedynie coś tam dłużyć w swojej dziedzinie nauki. Tak było właściwie przez cały okres stalinizmu, ale nawet po 1956 r. wciąż jeszcze trwali ludzie, których z pewnością nowa władza nie akceptowała, chciała się ich pozbyć, ale nie miała kim ich zastąpić. Ostatecznie ta grupa odchodzi w latach sześćdziesiątych – jedni umierają, inni odchodzą na emeryturę. Uczelnie przejmuje „pokolenie rewolucji”, wychowane na nowych ideach, nauczone serwilizmu wobec władzy, bezwzględnie posłuszne. Z życia publicznego zniknęły też dwie kategorie zawodowe, przed wojną współtworzące klasycyństwo rozumianą elitę: oficerowie (znacznie wcześniej) i prawnicy (nieco później); wśród tych drugich chlubne wyjątki zdarzały się wśród adwokatów.

B.P. – **Może warto powiedzieć o tym, jak zachowała się inteligencja twórcza, myślę tu o pisarzach starszej generacji, takich jak Putrament, Iwazkiewicz, Andrzejewski. Nie tylko weszli w romans z komunistami, ale stali się narzędziem ich propagandy, opluwającej „starą Polskę” i wszystkie najwznioślejsze jej ideały. I byli za to sowicie wynagradzani.**

A.N. – Już Lenin doceniał fundamentalne znaczenie elit kulturalnych w budowie komunistycznego państwa.

B.P. – **Nowych elit, bo o „starych” inteligentach mówił, że jak najszybciej „trzeba pozbyć się tego gówna”.**

A.N. – Jako fundator modelu sowieckiego wiedział, że najbardziej potrzebni są w pierwszej kolejności właśnie „robotnicy słowa” i „inżynierowie dusz” (to już określenie Stalina). Bierut i jego ekipa przejęła ten socjotechnicznie perfekcyjny wzorzec, że najpierw trzeba wymienić głowę, wtedy reszta ciała będzie poruszała się tak, jak będzie wynikało to z interesu komunistycznej władzy. Ruch wykonany przez komunistów niezwykle się opłacił. Przejęto nie tylko tych, których pani wymieniła, ale i Juliana Przybosa, który powędrował na stanowisko ambasadora w Szwajcarii, czy Czesława Miłosza, który służył temu systemowi bardzo wiernie i brutalnie jednocześnie – w oskarżeniach przeciw Armii Krajowej i przede wszystkim we wzmacnianiu tego poczucia, że jest tu jakiś fatalizm historyczny, że nie ma odwrotu. Albo wybieramy służbę tej władzy, która ma za sobą postęp, reprezentuje Historię, albo jesteśmy przez samą Historię „rozwalcowani”. Opór nie jest heroiczny – według tej tezy, którą podtrzymywał w owych latach Miłosz – ale jest tylko głupi. Ten mechanizm, którego sam był częścią do 1952 r., Miłosz ładnie potem opisał w *Zniewolonym umyśle*.

Spółczesność zawsze zwraca uwagę na swoje elity. Nawet jeśli je traktuje początkowo jako nie swoje. Ale wszyscy przedstawiciele elit, którzy nie idą na współpracę, podlegają eliminacji. Dobrego przykładu dostarczają nam losy z jednej strony „Tygodnika Warszawskiego”, z drugiej „Tygodnika Powszechnego”. W ten sposób pozostaje tylko elita tak czy inaczej współpracująca z reżimem.

R.T. – Niektórzy otwarcie zdradzili i przeszli na stronę zwycięzców. Oni, przynajmniej w pierwszych latach po wojnie, objęci byli pewnym społecznym ostracyzmem. Ale byli też tacy (i to zarówno twórcy, pisarze, poeci, jak i uczeni, aktywni w swoich dziedzinach przed wojną i jeszcze w czasie wojny), którzy powiedzieli – nie chcemy mieć z tym nic wspólnego. I oni zniknęli, w tym nowym rozdaniu nie zostawili po sobie śladu.

No i byli tacy, którzy próbowali się przystosować, jakoś trwali. Próbowali coś pisać, wydawać, kombinując tak, żeby nie zdradzić otwarcie, a jednocześnie zyskać uznanie nowej władzy. Wielu z nich potem, po 1956 r., odżyło. Przetrwali ten najgorszy okres i mogli znowu studentom mówić

rzeczy ważne i źle widziane przez reżim, mogli pisać na granicy drukowalności, jakoś tam handrycząc się z cenzurą. Zachowali nazwiska i warsztaty, przetrzymali stalinizm. Natomiast ci niezłomni już nie wrócili, te dziesięć lat wymazało ich z przestrzeni publicznej. Nikt już tym uczonym nie oddał katedr ani nie zaczął drukować zapomnianych poetów czy pisarzy. A więc szanse zostania „rewizjonistą” – jak wtedy mówiono – w kulturze i nauce najczęściej mieli ci, którzy umieli w czasach stalinowskich jakoś zaaklimatyzować się, przetrwać, nie znikając całkowicie z oficjalnego życia. Taka niesprawiedliwość losu.

Oczywiście, niektórzy zdradzili cynicznie, a nawet byli i tacy, którzy uwierzyli w misję nowych ludzi, przybyłych z Sowietami. A władza bardzo zręcznie umiała kupić tych, którzy w różny sposób byli wariaci tego, żeby ich kupić. To było bardzo wyraźne już w latach pięćdziesiątych, a jeszcze bardziej rzucano się w oczy w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych. Znalezienie się w tej nowej, licencjonowanej przez reżim elicie – artystycznej, literackiej, naukowej – dawało istotne przywileje w stosunku do reszty społeczeństwa: wysokie wynagrodzenia, możliwość życia na zupełnie innym poziomie, jeżeli chodzi np. o mieszkania czy sposób spędzania wakacji. A potem dawało także coś, co było kąskiem najlepszym, czyli możliwość wyjazdów zagranicznych – przez moment tak było w latach 1956–1957, wtedy trochę ludzi wyjechało, trochę zobaczyli świata, ale ta szczelina dla wybranych powiększyła się w latach sześćdziesiątych. Wtedy możliwość wyjazdu była mocno reglamentowana, więc był to prezent bardzo pożądany. Z różnych powodów. Nie tylko dlatego, że można było poznać coś innego niż wszyscy wokół, ale można było też na tym coś zyskać, nie tylko zresztą w sensie materialnym.

B.P. – Te gratyfikacje materialne dla najwierniejszych były nie do pogardzenia. Niepokornych, czy „sceptycznych”, jeśli nie wyeliminowano wcześniej fizycznie, sprowadzono do poziomu właściwie nędzy bytowej, finansowej, mieszkaniowej. Także tych, których przedwojenny status majątkowy był wysoki. Elity tworzone są niekoniecznie przez ludzi majątnych, ale trudno być kimkolwiek, jeśli nie ma się pracy czy mieszkania. A tak żyło po wojnie bardzo wielu ludzi nie-obojętnych społecznie, wykształconych. I nieprzejednanych.

A.N. – Bardzo niski poziom materialny życia w czasach stalinowskich sprawiał, że nie było cienia szans na pojawienie się chociażby namiastki elity alternatywnej, równoległej, podziemnej. Pod tym względem sytuacja zmieniła się w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych, kiedy można już było mieć jakiś wolny czas, zelżał też najbrutalniejszy terror polityczny i można było tworzyć sobie własne „życie równoległe”, mogły pojawić się alternatywne elity, których nie wypychano natychmiast do więzienia.

R.T. – To można prześledzić na przykładzie resztek środowisk przed wojną zajmujących się aktywnie polityką. Byli tacy ludzie, jak np. w ruchu ludowym Stanisław Mierzwa, współpracownik Wincentego Witosa, sądzony w Procesie Szesnastu itd., potem zamknięty na wiele lat w więzieniu. Po wyjściu z niego w gronie garstki starych znajomych próbował odtworzyć jakąś tkankę tego, w co wierzył, czyli ruchu ludowego. I tak dotrwał prawie do końca peerelu, gromadząc wokół siebie kilkadziesiąt osób, które odgrywały jakąś bardzo niewielką rolę polityczną, ale założyły muzeum Witosa w Wierchosławicach. I tyle właściwie. W latach siedemdziesiątych tacy ludzie nie byli już do niczego potrzebni, bo przyszli inni, jawnie opozycyjni, którzy zresztą nieufnie patrzyli na Mierzwę, bo on nie wierzył w KOR, odrzucał kontakty z nową opozycją końca lat siedemdziesiątych, uważając, że to są byli komuniści, którym nie można ufać. Wtedy tacy jak on uciekali w zewnętrzną lub wewnętrzną emigrację.

A.N. – Konsekwencją procesu wytwarzania się nowej elity komunistycznej było to, że całe społeczeństwo stopniowo ulegało skarleniu. Dam przykład, by wyjaśnić, o co mi chodzi. Bezpieka zajmowała się także badaniem nastrojów, z jej materiałów możemy dowiedzieć się, jakie były nastroje i stopień akceptacji komunizmu w poszczególnych latach. Wydawałoby się, że akceptacja komunizmu powinna być największa w latach pięćdziesiątych, najgorszych latach stalinowskiego terroru – to z jednej strony, a z drugiej – entuzjazmu różnych masówek oraz nacisku ideologicznego. Otóż nie. Akceptacja systemu powiększała się z każdym rokiem peerelu. To stopniowe skarlenie społeczeństwa zaczęło się jednak od elit. Komuniści to właśnie wiedzieli, że najpierw trzeba zniszczyć i skarcić elitę, żeby za nią w naturalny sposób poszła reszta społeczeństwa. Na przykład Maria Dąbrowska pisze bardzo ważne szkice o Conradzie, przeciwstawiając się napaści na etos Armii Krajowej, ale, być może, ważniejsze jest to, że pokazuje się z Bierutem i robi

sobie z nim zdjęcia. Większość ludzi nie czytała jej szkiców o Conradzie, ale wiedziała, że Dąbrowska to bardzo ważna pisarka, z przedwojennej elity. I okazało się, że ona jest obok Bieruta – no, to może trzeba się z tym systemem pogodzić, skoro Dąbrowska i Iwaszkiewicz są obok Bieruta. Tak najprościej przedstawiłbym ten mechanizm korumpowania elit i korumpowania elitami. I chociaż za honoraria można było sobie kupić dom, ale np. nie można było zdobyć lekarstw. Dąbrowska musiała o nie zebrać u Jerzego Stempowskiego (który *de facto* w Szwajcarii był nędzarzem). Więc owszem – dom i samochód, a jednocześnie daleko posunięta zależność od tego systemu, w tym materialna.

R.T. – Polacy po 1956 r. doszli do wniosku, że komunizm jest czymś trwałym. Dopóki trwał stalinizm, to on był na tyle szalony, na tyle niezrozumiały, nieracjonalny, straszny i obcy, że wciąż łudzono się, że wreszcie się skończy i nastąpi wyzwolenie; wciąż żywe były też nadzieje na wojnę światową. Ale po śmierci Stalina nic się nie stało. Komunizm przetrwał, troszkę się zmodyfikował i zracjonalizował, troszkę się ucywilizował i złagodniał. Można było sądzić, że to koniec zmian. Polacy uznali, że jest już trochę lepiej od tego, co szczęśliwie minęło, więc do nowej rzeczywistości trzeba się po prostu przystosować. Ci, którzy przyjechali ze wschodu i mieszkali na walizkach, bo zajęli poniemieckie domy i wciąż patrzyli, czy nie wracają Niemcy, doszli do wniosku, że te walizki trzeba już wynieść do piwnicy i jakoś zacząć się urządzać. A urządzenie się oznaczało, że wszystko, co było wcześniej, jest już tylko nostalgicznym wspomnieniem. Polacy przyjęli do wiadomości tę rzeczywistość. Wyrzucali na śmietnik stare meble i kupowali meblóścianki, żeby „zmodernizować” swoje życie.

B.P. – **A jednak w latach siedemdziesiątych ujawniła się opozycja wobec systemu, różnych orientacji i oblicza ideowego. Czyimi wobec tego dziećmi byli i są ci, dla których ważne są sprawy suwerennej Polski, jej narodowej kultury i niezafałszowanej historii?**

R.T. – Ten rodem z II RP kod kulturowy jakoś się przechował, to jasne. Ale on w pewnym momencie został zerwany. Przechował się w stosunkowo wąskich środowiskach, w kręgach rodzinnych, także na emigracji. Ale z tego właściwie nic nie wynikło, poza książkami i gazetami, które przeniknęły tu z Zachodu w latach siedemdziesiątych, a które bez wątpienia były produktem przedwojennej polskiej kultury. Jak się przyjeżdżało w latach siedemdziesiątych do Londynu, to miało się takie wrażenie, że się przyjechało do Polski z roku 1938. Do czegoś, co znało się trochę z historii i wspomnień rodziców. Ale to istniało daleko od Polski i nie tu, lecz wśród Polaków w Londynie były te wszystkie instytucje, tradycje, tytuły, konwenanse. A w Polsce z tego przedwojennego świata udało się przenieść czy przechować w sensie dosłownym bardzo niewiele. Niezłomni żyli ze sprzedaży książek i obrazów, jeśli one przetrwały wojnę. Ale książki np. w latach sześćdziesiątych były bardzo tanie i trudno było za to przeżyć. Jeszcze przez jakiś czas uczeni czy twórcy przeżywali koszmar „dogęszczania” mieszkaniowego. Stare profesorskie mieszkania zmieniały się w kołchozy zasiedlane przez przybyszów z prowincji czy z nizin społecznych, których dokwaterowywano. Ale nieco później przedstawiciele nowych elit stali się nagle niemal kreuzsami. Uczonym powodziło się świetnie, w porównaniu z resztą społeczeństwa. Literaci to w ogóle była elita finansowa. Można było za darmo pojechać do domów pracy twórczej w Kazimierzu nad Wisłą, w Zakopanem, w Oborach pod Warszawą, na miesiąc czy dwa miesiące i pisać książkę albo wiersze. Instytucje naukowe miały swoje ośrodki wczasowe, gdzie celebrowało się naukowe tytuły i tę nową hierarchię świata nauki. W warunkach panującej wokół szarej i zgrzebnej rzeczywistości można było czuć się niesłychanie wyróżnionym. Standard życia tej akceptowanej przez reżim elity bardzo się poprawił, więc znaleźć się w niej to była wielka gratka. Gazety płaciły świetne pieniądze, a radio, potem telewizja płaciły jeszcze lepiej. Jeśli chodzi o książki, wydawano każdy bzdet w ogromnych nakładach; to nic, że część tych książek szła potem na przemiał, honoraria się dostawało.

B.P. – **Dziś parotysięczny nakład każdej książki, także naukowej, jest wielkim sukcesem.**

R.T. – Praktycznie nie dostaje się za nią pieniędzy, wręcz trzeba się starać, by je zdobyć na jej wydanie. Wszystko to wtedy brało na siebie państwo. I jeszcze dobrze płaciło, nagradzało, dawało różne ulgi, przywileje, talony. Wszystko to w mniejszym stopniu dotyczyło urzędników, a jeżeli już, to urzędników pewnej tylko kategorii. Jednocześnie nastąpiło straszliwe spauperyzowanie niektórych zawodów, np. nauczycieli, którzy przed wojną byli bardzo dobrze wynagradzani, a w peerelu znaleźli się na samym dnie. W latach sześćdziesiątych pojawiły się jeszcze i takie paradoksy, że portierzy czy sprzątaczkę zarabiali więcej niż adiunkci na uczelniach. Z tym że jak się przekroczyło pewien poziom zawodowej

hierarchii, to sytuacja się zmieniała, więc warto było męczyć się te dziesięć lat w biedzie, żeby potem awansować. Gwarancją awansu było spełnienie wymagań, które stawiała partia komunistyczna.

B.P. – Wyjaśnia to opór środowisk naukowych wobec lustracji.

R.T. – Władza bardzo bała się dwóch kategorii zawodowych, dwóch grup społecznych: robotników dużych zakładów – czyli tak zwanych mas – i studentów. Nie bała się oczywiście pracowników naukowych. Reżim nigdy nie bał się protestów, petycji, manifestacji w auli uniwersyteckiej, zebrania, na którym ktoś próbuje coś wyjaśniać czy omawiać. Władza bała się tylko ulicy, czyli sytuacji, kiedy tłum na zasadzie kuli śniegowej przekroczy masę krytyczną, a wojsko albo milicja odmówi strzelania. To byłby koniec tej władzy, jak to się stało na Węgrzech w 1956 r. Czytałem wspomnienia Mariana Orzechowskiego wydane już po 1989 r., gdzie pisał, że po 1956 r. śnili mu się węgierscy awosze (funkcjonariusze bezpieki) wiszący na latarniach w Budapeszcie, takie zdjęcie widział w jakimś tygodniku. Oni się tego bali. Nawet strajków się nie bali, tylko walk ulicznych. Dlatego uczelnie i w ogóle inteligencja były obiektem bardzo intensywnej infiltracji. Od inżyniera pracującego w hucie można było uzyskać znacznie więcej informacji niż od trzech czy czterech „pozyskanych” robotników, którzy oczywiście mogli coś powiedzieć o swoim najbliższym otoczeniu, ale ich możliwości obserwacji w całym zakładzie były ograniczone. Ktoś po studiach z pewnym rozeznanie politycznym był znacznie cenniejszym informatorem. Dotyczyło to także wyższych uczelni i instytucji kulturalnych.

A z drugiej strony było takie dość powszechne przekonanie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, że reżim jest stabilny, nie zniknie, w perspektywie ludzkiego życia nic się nie zmieni, więc opieranie się współpracy nie ma sensu, tym bardziej że bezpieka dawała do zrozumienia, że nic się przed nią nie ukryje. Rozległa i gęsta siatka agentury miała służyć umacnianiu przekonania, że „oni i tak wszystko wiedzą”, a więc to, czy ja będę im mówić o Kowalskim, którego dobrze znam, że on słucha Wolnej Europy, nie ma znaczenia, bo albo to już wiedzą, albo dowiedzą się skądinąd. Bezpieka żądała współpracy od tych, którzy chcieli wyjechać, awansować, dostać lepsze mieszkanie albo mieć poczucie bezpieczeństwa osobistego i swoich najbliższych. Oczywiście, niektórzy dostawali po prostu pieniądze. Dla bezpieki wynagradzanie za donosy było dodatkowym sposobem zeszmacenia informatora, co zawsze było pozytywne. W latach osiemdziesiątych takie zeszmacenie było celem pozyskiwania znacznej części agentury. Taka ilość informacji nie była już potrzebna bezpiece, która zresztą nie miała możliwości technicznych, żeby je wszystkie opracować i wykorzystać. Chodziło o to, żeby ubłocić ludzi, żeby zawsze można im było coś nieprzyjemnego przypomnieć. To, w pewnym sensie, byli tacy uśpieni konfidenci, a ich informacje w gruncie rzeczy nie miały znaczenia. Sądzę, że w latach osiemdziesiątych ci, którzy rzeczywiście mieli coś do powiedzenia bezpiece, których informacje były operacyjnie pozytywne, stanowili ok. 20 proc. (ze 100 tys. zarejestrowanych – oczywiście, nie licząc służb wojskowych i sowieckich, o których ciągle zapominamy, bo przecież była tu agentura KGB, o której nic nie wiemy). Jeżeli więc oni wszystko wiedzą, wszędzie są, zatem odmawianie im nie ma żadnego sensu, można tylko starać się zachować w miarę przyzwoicie i biorąc udział w tej grze, nie mówić wszystkiego.

B.P. – Gdzie podziały się kategorie moralne?

R.T. – Takie to były czasy. Milicjant czy funkcjonariusz bezpieki wywoził dziecko do małego miasteczka, żeby je ochrzcić, bo to było zabronione. A adiunktowi na uczelni czy początkującemu dziennikarzowi bezpieka mówiła: panie, jak pan chce rozwijać się w swojej dziedzinie, to musi się pan z nami spotkać i opowiedzieć, „co tam słyszą”. Więcej od pana nie oczekujemy, a za to będzie panu łatwiej. Jeżeli taką grę prowadzili niektórzy duchowni, to czegoż oczekiwać od reszty?

Zaraz po wojnie, gdy ludzie wracali do Polski, też była taka trochę szizofreniczna atmosfera przyzwolenia na współpracę z nową władzą, w zgodzie z ideą „zachowania substancji”, którą proponował Kościół. Znani z przedwojennych czasów ludzie pisali w gazetach, że dość krwi, dość strat, trzeba ratować naród. To była np. filozofia PAX, ale było też wiele mniejszych środowisk, które propagowały ideę pracy organicznej. To przecież Kazimierz Wierzyński w pięknym wierszu *Nocna ojczyzna* napisał „Dla sensu nad klęską / wszystkimu na przekór / budować co można / co zbudowane / to nasze”, w którym usprawiedliwiał działania na rzecz odbudowy Polski. Idea ratowania substancji i odbudowania tego, co jest możliwe do odbudowania, usprawiedliwiała też różne grzeszki i kompromisy, łącznie ze wstąpieniem do organizacji, której poglądów się nie podzielano, chociaż niekoniecznie musiało to być od razu ORMO.

A z drugiej strony przez wszystkie te lata, na najniższym poziomie kontaktów między ludźmi, istniało przekonanie, że poufne rozmowy z UB i SB to jest jednak coś obrzydliwego i naganego. Władza więc starała się zapewnić tym ludziom „komfort” nieujawniania ich współpracy, nieafiszowania się z nią. To byli często ci bezpartyjni, o których mówiło się z szacunkiem „on nie zapisał się do partii”, którzy jednak spotykali się z funkcjonariuszami bezpieki, w gruncie rzeczy funkcjonowali tak jak członkowie partii, a wręcz nawet konfidenci. Dzisiaj często się słyszy takie tłumaczenie, że „ja nie wiedziałem, że to jest coś złego”, że to było takie normalne, trzeba rozmawiać; jak człowiek zadzwoni, to trzeba przyjść do tej umówionej kawiarni. Niemniej w potocznym przekonaniu taki kontakt był świństwem, tylko że po pierwsze, można było liczyć na dyskrecję, a po drugie, wokół pełno było tłumaczeń, że to świństwo jest dopuszczalne dla wyższych celów.

B.P. – Jak panowie oceniają stan dzisiejszych elit?

A.N. – Na proces wychowania ogromny wpływ ma szkoła i otoczek pozaszkolny. Nie inaczej jest w III RP. Jej wychowanie młodzieży jest odwróceniem wychowania w II RP – lekceważenie polskości, krytyka polskości. Nie wolno lekceważyć skutków tego wychowania. Wychowano dwadzieścia roczników, które opuściły polskie szkoły. Tak jak II RP wykonała ogromną pracę wychowawczą, dla której ideałem była wizja Polski Piłsudskiego, tak III RP także wykonała ogromną pracę wychowawczą, której wzorcem ideowym jest „Gazeta Wyborcza”. Wzorce ideowe mają ogromne znaczenie dla konstruowania elity. Jedna elita skupiała się na polskości, widziała w niej wielkie, wspaniałe zadanie; symbolem tej elity jest Karol Wojtyła i jego poczucie wielkości powołania, jakie tkwi w polskości. Symbolem drugiej elity, tej wychowanej w III RP w duchu oderwania od polskości i przeciwstawiania się polskości, jest dla mnie Kuba Wojewódzki.

B.P. – Nie tylko w oderwaniu i przeciwstawianiu się, ale i w pogardzie.

A.N. – I w tym właśnie III RP nawiązała do peerelu z lat 1944–1948, 1950. To znakomicie pokazała w „Arcanach” Janina Hera – zebrała ona cytaty z instrukcji cenzorskich z tego okresu, które są jakby żywcem wyjęte z dzisiejszych najbardziej „postępowych” gazet i pokazują, jak opluwać polskość, jak niszczyć wszystko, co wartościowe w polskiej tradycji, jak – użyję slangu socjologicznego – zaniżyć samoocenę Polaków. To było najważniejsze w tych instrukcjach.

A jednak Polskę i polskość jest bardzo trudno zabić. Do tej pory nikomu się to nie udało. Przykładem jest chociażby atrakcyjność słów i postawy Jarosława Marka Rymkiewicza. Można się z nim nie zgadzać, ale przecież widać, z jakim zachwytem ludzie przyjmują ten najprostszy komunikat, w którym on przypomina, że Polska jest wielka i wspaniała, o wiele wspanialsza od tych robaków, które próbują ją toczyć. To poczucie wielkości Polski wydaje mi się najważniejsze, żeby przetrwała elita, żeby tych „dziesięciu sprawiedliwych” zrobiło swoje. Dlatego tak ważny wydaje mi się romantyczny, wysoki ideał polskości. Nie przeciwstawiam temu służby Polsce i pilnowania interesów tej substancji, o której nieco szyderczo pisał Zbigniew Herbert, ale uważam, że ważniejsze jest to, co w tej mierze reprezentuje Piłsudski i tradycja romantyczna. Dla elit i dla przetrwania Polski.

R.T. – Polska szkoła coraz gorzej kształci i już nie wychowuje. Godzi się na to większość i nauczycieli, i rodziców. Polskie uczelnie zajmują się produkcją absolwentów i najczęściej nic więcej ich nie obchodzi. Media propagują model przyjemnego życia – bez zmartwień, ale i bez refleksji. Poza tym wiedzą starają się uprościć swój przekaz do najniższego poziomu odbiorców. Kościół stroni od bezpośredniego kontaktu z wiernymi, którzy muszą zadowolić się oficjalną celebrą. Państwo wzrusza ramionami wobec problemów obywateli i zajmuje się samo sobą. Wojsko – które niegdyś było ważną instytucją wychowawczą – upodobniło się do firm ochroniarskich i zanim podejmie się czegokolwiek bronić, zapyta, ile za to dostanie.

To wszystko nie jest już tylko spuścizną komunizmu. Ponad dwadzieścia lat ma III RP – to więcej niż jej poprzedniczka. Zapaść kulturowa, która nam towarzyszy, nie minie w rezultacie wysiłków garstki zapaleńców. Wolność ma swoją wymierną cenę – najczęściej jest nią cena krwi. Życie dla przyjemności któregoś dnia może okazać się życiem w klatce. Chyba że wcześniej jakiś kataklizm uświadomi nam powagę sytuacji.

RZECZPOSPOLITA ZGŁADZONA

Kierowali pracami Polskiego Państwa Podziemnego – największego fenomenu okupowanej Europy. Byli naturalnymi kandydatami do obejmowania najwyższych funkcji w niepodległej Rzeczypospolitej. W „ludowej” Polsce więziono ich, mordowano i potajemnie grzebano na cmentarnych śmietnikach lub w bezimiennych mogiłach.

„W podziemiach istnieje Państwo Polskie, zorganizowane na wszystkich szczeblach i odcinkach życia państwowego, politycznego, wojskowego, społecznego i gospodarczego” – mówił 6 stycznia 1944 r. premier rządu RP na uchodźstwie Stanisław Mikołajczyk. W tym czasie Armia Czerwona przekraczała granice II Rzeczypospolitej, postępując w ślad za cofającym się Wehrmachtem.

Polskie Państwo Podziemne dysponowało własną administracją (Delegaturą Rządu na Kraj wraz z aparatem terenowym do poziomu gminy), namiastką podziemnego parlamentu (Radą Jedności Narodową), wojskiem (Armią Krajową), ale także oświatą, nauką i kulturą. Działo ono w skrajnie trudnych warunkach. Kierujący nim ludzie wywodzili się z pokolenia, które wywalczyło niepodległość Polski w 1918 r., było aktywne w życiu publicznym II RP, broniło jej granic we wrześniu 1939 r., kontynuowało walkę o przywrócenie niepodległości pod okupacją niemiecką i sowiecką.

W styczniu 1944 r. – gdy krasnoarmiejcy przekraczali przedwojenną granicę Polski w rejonie miasta Sarny, a z wystąpienia Mikołajczyka świat dowiadywał się o istnieniu Polskiego Państwa Podziemnego – pracami Delegatury Rządu na Kraj (później Krajowej Rady Ministrów) kierował Jan Stanisław Jankowski „Sobol”, a jego zastępcami byli: Adam Bień „Bronowski”, Antoni Pajdak „Okrzejski” i Stanisław Jasiukowicz. Przewodniczącym podziemnego parlamentu był Kazimierz Pużak „Bazyli”. Podziemnym wojskiem – Armią Krajową – dowodził gen. Tadeusz Komorowski „Bór”; podlegał mu m.in. tworzący organizację „Nie” gen. August Emil Fieldorf „Nil”.

Przez kolejne miesiące 1944 r. Armia Czerwona sukcesywnie zajmowała przedwojenne ziemie polskie. W komunistycznej propagandzie nazywano to „wyzwoleniem”. Nawet dziś wielu historyków i publicystów używa tego pojęcia. Warto więc zapytać, jak można nazwać wyzwoleniem sytuację, w której niemal połowa „wyzwalanego” kraju wcielana jest w granice państwa „wyzwoliciele”. I czy w logice wyzwalań mieści się mordowanie i więzienie reprezentantów legalnych władz „wyzwalanego” kraju?

Miejsce pochówku nieznane

Jankowski – ideowo związany z chrześcijańską demokracją, żołnierz Legionów Polskich, przedwojenny parlamentarzysta – był najważniejszą postacią polskiego podziemia od lutego 1943 r. Wtedy to faktycznie zastąpił aresztowanego przez Niemców dotychczasowego delegata Rządu na Kraj – Jana Piekalkiewicza. W czasie Powstania Warszawskiego „za twardą, męzną i żołnierską postawę w najtrudniejszych warunkach bojowych pod długotrwałym i silnym ogniem niemieckim” został odznaczony Orderem Virtuti Militari.

Podczas przeprowadzonej w lutym 1945 r. konferencji jałtańskiej Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki podjęły m.in. decyzję o powołaniu w Polsce Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, którego fundamentem miał się stać uzurpatorski, narzucony przez Kreml, tzw. rząd tymczasowy. Pod tym pretekstem Sowietzi zaczęli szukać kontaktu z władzami polskiego podziemia, które dotąd systematycznie tropili. Na zajmowanych ziemiach likwidowali cywilne i wojskowe agendy konspiracyjnego państwa, aresztując, wywożąc w głąb ZSRS lub mordując jego urzędników i żołnierzy. Jankowski informował Tomasza Arciszewskiego, premiera rządu RP na uchodźstwie: „otrzymaliśmy [wraz z gen. Leopoldem Okulikiem] niemal jednobrzmiące pisemne zaproszenie podpisane przez płk. Gwardii Pimienowa z NKWD urzędującego w Pruszkowie, który występuje z polecenia przedstawiciela dowództwa 1-go białoruskiego

frontu generała pułkownika Iwanowa, na spotkanie z tym generałem. Podkreśla w piśmie bezwarunkową konieczność i ogromną wagę tego spotkania oraz, że spotkanie to może bezwarunkowo i powinno zdecydować, co wątpliwe jest do zdecydowania szybkimi innymi drogami. Wzajemne zrozumienie i zaufanie pozwala bardzo ważne sprawy zdecydować i nie dopuścić do ich zaognienia. Pismo zaadresowane jest dosłownie »Delegatu żondu Kraju P. Jankowskiemu«. W końcu pisma Pimienow jako oficer Czerwonej Armii gwarantuje mi bezpieczeństwo w związku z moim przyjazdem do nich”.

Pod presją stronnictw politycznych Jankowski powziął decyzję o podjęciu rozmów. Gdy jednak w marcu 1945 r. przywódcy PPP stawili się w podwarszawskim Pruszkowie, przywitał ich gen. Iwan Sierow z NKWD. Kierował on w tym czasie działaniami sowieckich służb wymierzonymi w legalne władze polskie i podziemne wojsko. Delegat Rządu na Kraj – formalnie sprawujący funkcję wicepremiera – oraz towarzyszący mu przedstawiciele władz państwowych, partyjnych i wojskowych, z przewodniczącym Rady Jedności Narodowej Kazimierzem Pużakiem i zwierzchnikiem sił zbrojnych w kraju gen. Leopoldem Okulickim (w sumie szesnaście osób), zostali wywiezieni do Moskwy i osadzeni w więzieniu na Łubiance.

W czerwcu 1945 r. w Moskwie komuniści prowadzili rozmowy z kilkoma niezależnymi działaczami politycznymi, wśród których był niedawny premier rządu RP na uchodźstwie Stanisław Mikołajczyk (w listopadzie 1944 r. ustąpił z funkcji – zastąpił go Tomasz Arciszewski). Ich efektem miało być utworzenie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Kilka przecnic dalej sądzono wówczas pojmanych w marcu 1945 r. przywódców PPP, do niedawna podwładnych Mikołajczyka. Sowieci demonstracyjnie wydawali wyrok na przedstawicieli legalnych władz polskich. „Życie Warszawy” donosiło 22 czerwca 1945 r.: „Moskwa. Agencja TASS komunikuje, że 21 czerwca o godz. 4.30 rano według czasu moskiewskiego został ogłoszony wyrok w sprawie Okulickiego, Jankowskiego i innych oskarżonych o działalność wywrotową i szpiegowską na zapleczu Armii Czerwonej na terenach zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi, na Litwie i w Polsce”. Tuż po ogłoszeniu wyroku w czasie posiedzenia Sekretariatu KC Polskiej Partii Robotniczej, Roman Zambrowski, jeden z liderów polskich komunistów, podkreślał: „utworzenie Rządu Jedności Narodowej jest wielkim sukcesem [...] nie poczyniono obozowi londyńskiemu żadnej koncesji politycznej [...] wokół Rządu skupią się szersze masy społeczeństwa. Obrócą się one przeciw eneszetowskiemu, faszystowskiemu, terrorystycznemu grupom. Zada to więc cios reakcji wewnątrz kraju. Utworzenie [Rządu] Jedności Narodowej oznacza podcięcie korzeni reakcji polskiej na terenie międzynarodowym, gdyż należy się spodziewać zerwania przez Anglię i Stany Zjednoczone stosunków z rządem londyńskim” – co rzeczywiście się stało na początku lipca 1945 r. Zambrowski dodawał też: „Duże znaczenie ma fakt, że rozmowy moskiewskie zbiegły się z procesem szesnastki”.

Delegat Jankowski został skazany na osiem lat więzienia. Termin odbycia kary – jaką Sowieci, przy aplauzie polskich komunistów, wymierzili mu za działalność w legalnych strukturach rządu polskiego – upływał 28 marca 1953 r. Jednak dwa tygodnie przed tą datą Jankowski zmarł. Jak pisało Ministerstwo Spraw Zagranicznych ZSRS w listopadzie 1990 r. „Jankowski J. zmarł w skutek niedotlenienia serca i arteriosklerozy, a jego zwłoki zostały pochowane w zbiorowym grobie na cmentarzu miejskim we Włodzimierzu. W związku z tym, że rejestry grobów osób zmarłych w więzieniu we Włodzimierzu nie zachowały się, ustalenie dokładnego miejsca pochowania Jankowskiego J. nie jest możliwe”.

Zastępcą Jankowskiego, narodowiec Jasiukowicz, przedwojenny parlamentarzysta, więzień Pawiaka, uczestnik Powstania Warszawskiego, został skazany na pięć lat więzienia. Kilkanaście miesięcy po wyroku pisał do syna: „Czuję się tak sobie, nieźle, ale i nie najlepiej – cierpienie jest dokuczliwe i w stanie chronicznym. Teraz przeważnie leżę, bo ruch mnie rozdrażnia”. Moskiewskiego więzienia Butryki już nie opuścił – zmarł w październiku 1946 r.

Kazimierza Pużaka – przewodniczącego podziemnego parlamentu, nestora ruchu socjalistycznego, niestrudzenie walczącego o niepodległą Polskę jeszcze pod zaborem rosyjskim, skazano w Moskwie na półtora roku więzienia. Liczący ponad sześćdziesiąt lat Pużak był wyjątkowo odporny na sowieckie metody śledcze. Niezlomną postawę prezentował też w trakcie pokazowego procesu. Pytany na przykład o rozkaz rozwiązania AK odpowiadał:

„Pużak: O rozkazie londyńskiego rządu dowiedziałem się przypadkiem.

[Rudolf] Rudenko [oskarżyciel]: Od kogo?

Pużak: Od przypadkowej osoby [...]

Rudenko: Czy podsądny może podać jego nazwisko?

Pużak: A po co?

Rudenko: Podsądny nie chce?

Pużak: To była tajemnica.

Rudenko: Czy podsądny może podać nazwisko tej prywatnej osoby, od której dowiedział się?

Pużak: A co z tego wyniknie?”

Sowieci zwolnili go z więzienia przed upływem wymierzonej mu kary. Powrócił do Warszawy w listopadzie 1945 r. Utrzymywał kontakty ze środowiskiem niepodległościowych socjalistów. Na fali rozrachunków z PPS i realizowanej w tej partii czystki został aresztowany przez polską bezpiekę w czerwcu 1947 r. Tuż przed kongresem, na którym doszło do zjednoczenia PPR z PPS i powołania Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w grudniu 1948 r. Pużaka skazano w pokazowym procesie na dziesięć lat pozbawienia wolności. Zachowywał się tak jak w Moskwie. W czasie procesu, gdy usiłowano wymusić na nim linię zeznań zgodną z potrzebami komunistycznej propagandy oraz potępienie działalności własnej i towarzyszy z PPS-WRN, odpowiedział: „[...] nie myślę zmieniać swego poglądu. To nie jest mój pogląd, który jest zdawkowy[m], tymczasowym, koniunkturalnym, to są poglądy kształtujące się u mnie w ciągu dziesiątków lat i nie mówiąc patetycznie, w tej chwili, gdy stoję nad grobem, byłoby naprawdę nie do uwierzenia i panu prokuratorowi, i sądowi, że zmiana poglądów dokonała się w sposób naturalny”. Więzienia w Rawiczu Pużak już nie opuścił. Zepchnięty ze schodów, zmarł 30 kwietnia 1950 r. w konsekwencji odniesionych obrażeń.

Na Łubiance

Ze względów propagandowych Sowieci, jako głównego oskarżonego w Procesie Szesnastu ukazywali gen. Leopolda Okulickiego, którego skazano na dziesięć lat więzienia. Ten wybitny oficer trzykrotnie odznaczony Orderem Virtuti Militari (za wojnę polsko-bolszewicką 1920 r., obronę Warszawy w 1939 r. oraz działalność podziemną w czasie okupacji) sowieckie metody śledcze poznał już wcześniej. Jesienią 1940 r. objął komendę nad ZWZ pod okupacją sowiecką, lecz w wyniku zdrady już w styczniu 1941 r. został aresztowany. Po brutalnym śledztwie miał być skazany, jednak dzięki zmianie sytuacji międzynarodowej – wybuchowi wojny niemiecko-sowieckiej i przystąpieniu ZSRS do koalicji antyhitlerowskiej – uniknął grożącej mu kary śmierci. Zwolniono go z więzienia; objął wysokie funkcje dowódcze w Polskich Siłach Zbrojnych w ZSRS dowodzonych przez gen. Władysława Andersa. Po odkryciu przez Niemców grobów polskich oficerów w Katyniu, ochotniczo zgłosił się na powrót do pracy konspiracyjnej w kraju. Został zrzucony na teren okupacji niemieckiej w połowie 1944 r. Był jednym z najbardziej zagorzałych zwolenników wybuchu Powstania Warszawskiego, a po jego upadku został ostatnim komendantem głównym AK. Okulicki nie ufał Sowietom, odradzał uczestnictwo w spotkaniu w Pruszkowie. Depeszcował do Londynu, odnosząc się do stanowiska konspiracyjnych stronnictw politycznych: „Na ogólne i kategoryczne żądanie tych czynników w rozmowie tej muszę wziąć udział”. W czasie rozprawy mówił m.in.: „Proces ten ma charakter polityczny [...]. Jednym słowem chodzi o ukaranie polskiego podziemia”.

Otrzymał najwyższy wyrok ze wszystkich szesnastu sądzonych, jednak w sowieckim więzieniu spędził tylko półtora roku. Skazany razem z nim Adam Bień, odsiadujący wyrok w sąsiedniej celi, wspominał, że w Wigilię 1946 r.: „[...] o godzinie jedenastej drzwi do celi generała, ze zwykłym zgrzytem, otworzyły się nagle, ktoś do celi wszedł, coś do generała powiedział [...]. Natychmiast po zamknięciu drzwi generał z całej siły zaczął walić pięściami w dzielącą nas ścianę, a nie w podłogę, jak czynił to zwykle. Było jasne, że w życiu generała nastąpiło coś bardzo ważnego, ale nie wiedzieliśmy co. Za chwilę drzwi do jego celi znowu się rozwarły, weszły tam najmniej dwie osoby i generał z głośno manifestowanym, brutalnym hałasem, mocno stawiając kroki wyszedł. [...] Wyszedł, nigdy nie wrócił i nigdy na Łubiance nie dostrzeżliśmy potem śladu Jego istnienia”.

Relacjonujący ostatnie chwile gen. Okulickiego, Bień – działacz konspiracyjnego SL i pierwszy zastępca Jankowskiego – w moskiewskim procesie został skazany na pięć lat więzienia. Do Polski pojechał powrócił w 1949 r. Pozostał na uboczu życia publicznego, początkowo utrzymując się z tłumaczeń literatury rosyjskiej. Po śmierci Stalina powrócił do zawodu i był adwokatem w Przasnyszu.

Drugi z zastępców delegata Rządu na Kraj, Antoni Pajdak, legionista, weteran wojny polsko-bolszewickiej, wybitny polityk socjalistyczny, w czasie II wojny światowej kierował m.in. zbrojnym ramieniem PPS-WRN w Małopolsce. Ujęty w Pruszkowie z innymi przywódcami PPP, ze względu na odmowę składania zeznań został wyłączony z propagandowego procesu i skazany oddzielnie na pięć lat pozbawienia wolności. Po odbyciu tego wyroku dodatkowo zesłany do Kraju Krasnojarskiego. Do Warszawy powrócił dopiero na fali „odwilży” w 1955 r. Początkowo związany z PAX, od 1976 r. był współtwórcą inicjatywy opozycyjnych – najpierw Komitetu Obrony Robotników, później Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Był patronem ideowym części środowisk opozycyjnych. W marcu 1988 r. został pobity przez „nieznanych sprawców” – miał wówczas 86 lat. Zmarł dziewięć dni później.

U schyłku 1944 r. jedną z głównych postaci RJN był jej wiceprzewodniczący Kazimierz Bagiński – wybitny działacz ruchu ludowego, który zastąpił na tej funkcji zamordowanego przez Niemców w czasie Powstania Warszawskiego Józefa Grudzińskiego. Bagiński to postać o bogatym życiorysie – więziony był już przez rosyjski carat w 1905 i monarchię austriacką w 1916 r. Za udział w wojnie polsko-bolszewickiej został odznaczony Orderem Virtuti Militari. W 1932 r. skazano go w procesie brzeskim, a po zwolnieniu z więzienia przebywał na emigracji. Był jednak zaocznie wybierany do najwyższych władz krajowego SL. W czasie II wojny światowej wchodził w skład kierownictwa konspiracyjnego Stronnictwa Ludowego „Roch”. Aresztowany przez Sowieców w Pruszkowie, był sądzony w Procesie Szesnastu. Wspominał: „Byłem w więzieniach: carskim, austriackim, komunistycznym w Polsce, ale nigdzie, nawet w Brześciu, gdzie starano się o izolację, nie było tak idealnej, jak na Łubiance”. Skazano go na rok więzienia, zwolniony z niego wcześniej, do pojałtańskiej Polski przyjechał w listopadzie 1945 r. Od razu zaangażował się w działania mikołajczykowskiemu PSL. Komuniści aresztowali go już w niespełna pół roku po powrocie do kraju, a w październiku 1946 r. skazali na osiem lat więzienia. Po sfalszowanych wyborach ze stycznia 1947 r. latem zwolniono go z więzienia. W październiku 1947 r. potajemnie wyjechał z „ludowej” Polski, by na obczyźnie kontynuować działalność polityczną.

Sekretarza RJN Franciszka Urbańskiego – reprezentującego w niej Stronnictwo Pracy i przedwojennego parlamentarzystę – w Procesie Szesnastu skazano na cztery miesiące więzienia. Do Warszawy powrócił w sierpniu 1945 r., pozostał na uboczu życia politycznego. Zmarł w stolicy cztery i pół roku później w wieku zaledwie 58 lat.

Usta niemych

Generał Okulicki nie był jedynym wysokim oficerem WP, który zdecydował się podczas wojny na powrót do okupowanej ojczyzny. Już w 1940 r. trafił do niej gen. August Emil Fieldorf (wtedy jeszcze pułkownik), legionista, weteran wojny polsko-bolszewickiej, także odznaczony Orderem Virtuti Militari. Po kampanii wrześniowej przedostał się do Francji i służył w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Już na terenie Polski pełnił ważne funkcje dowódcze w Armii Krajowej, był m.in. szefem Kedywu. Powierzono mu także zorganizowanie kadrowej organizacji „Nie” – przewidzianej do działań pod okupacją sowiecką. Ujęty przez NKWD w marcu 1945 r., nie został rozpoznany i trafił na zesłanie jako Walenty Gdanicki. Do kraju wrócił w 1947 r. Mimo że nie podjął działalności konspiracyjnej, w 1950 r. został aresztowany, a w 1952 r. w sfiogowanym procesie skazany na karę śmierci. By pohańbić legendę niepodległościowego podziemia, wyrok wydano w oparciu o przepisy dekretu „o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy i zdrajców Narodu Polskiego”. W odpowiedzi na akt oskarżenia gen. Fieldorf pisał m.in.: „zarzut »stania z bronią u nogi« w okresie okupacji niemieckiej w stosunku do mnie jest bezzasadny, gdyż ja jako komendant Kedywu KG AK z oddziałami swymi prowadziłem bezkompromisową walkę z Niemcami [...]. Oddziały te wykonały cały szereg akcji bojowych, przede wszystkim na liniach komunikacyjnych, na obiekty wojskowe i policyjne niemieckie, na składy i magazyny niemieckie itd., oraz zamachy na wybitniejszych przedstawicieli niemieckich władz okupacyjnych, począwszy od komendanta SS i żandarmerii na G[eneralne] G[ubernatorstwo] gen. Krugera w Krakowie, gen. Kutscherę w Warszawie i wielu innych, a skończywszy na urzędnikach i agentach Gestapo”. Generał Fieldorf został zamordowany w więzieniu mokotowskim 24 lutego 1953 r. – do dziś nie odnaleziono jego grobu.

Dla wielu reprezentantów pokolenia wolnej Polski szczególnie dotkliwie było to, że – ze względu na zagrożenie życia – musieli opuścić kraj i dołączyć do politycznych uchodźców. Z Polski pojałtań-

skiej zdołali uciec m.in. Stanisław Mikołajczyk, lider chadeków Karol Popiel, a także ludowiec Stefan Korboński, który po aresztowaniu Jana Stanisława Jankowskiego objął funkcję p.o. delegata Rządu na Kraj. Z dala od Warszawy przebywały także dwie sławy Polskiego Państwa Podziemnego – Tomasz Arciszewski i gen. Tadeusz Komorowski „Bór”.

Arciszewski – legenda ruchu socjalistycznego, przywódca działającej w czasie II wojny światowej konspiracyjnej PPS-WRN, członek Rady Jedności Narodowej – opuścił okupowaną Polskę latem 1944 r. Miał bowiem – do czego ostatecznie nie doszło – objąć po Władysławie Raczkiewiczu funkcję prezydenta RP na uchodźstwie. Był jedną z najważniejszych postaci podziemnego życia politycznego. W Londynie, po tym gdy z funkcji premiera ustąpił Mikołajczyk, objął to stanowisko i sprawował je do 1947 r. Po powstaniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej z udziałem Mikołajczyka premier Arciszewski wydał komunikat, w którym stwierdził m.in.: „samozwańczy twór polityczny złożony z komunistów i agentów obcych ma stać się rządem Polski. [...] Los Polaków nie będzie jednakowy. Jedni borykać się będą w kraju z okrutną rzeczywistością państwa policyjnego, inni zostaną w wolnym świecie, by stać się ustami niemych. Droga nasza jest trudna, lecz u jej kresu spełni się Polska naszych żarliwych pragnień: wolna i niepodległa”.

Generał Tadeusz Komorowski „Bór” – zawodowy oficer WP, dowódca pułku w zwycięskiej bitwie kawaleryjskiej pod Komarowem w sierpniu 1920 r., trzykrotnie odznaczony Orderem Virtuti Militari – był od 1939 r. jednym z najwyższych oficerów wojskowej konspiracji niepodległościowej. W lipcu 1943 r. objął funkcję dowódcy AK – przejmując obowiązki po aresztowanym przez gestapo gen. Stefanie Roweckim – i pełnił ją do upadku Powstania Warszawskiego. We wniosku o nadanie gen. Komorowskiemu trzeciego Orderu Virtuti Militari, Naczelny Wódz gen. Kazimierz Sosnkowski pisał: „W ciągu pięcioletniej pracy żołnierskiej prowadzonej w najtrudniejszych warunkach pracy konspiracyjnej gen. Tadeusz Komorowski składa dowody najwyższego męstwa, hartu ducha i siły charakteru. Oddaje on walczącej nieustannie i zwycięsko Armii Krajowej olbrzymie usługi, jako jej współtwórca, a następnie dowódca [...]. Jako organizator i dowódca akcji zbrojnej »Burza« gen. Bór-Komorowski wykazał w najcięższych warunkach umiejętność śmiałego i pełnego inicjatywy prowadzenia operacji wojennej w większym stylu. Jako dowódca zdecydowanych przez władze krajowe operacji powstańczych w Warszawie, gen. Tadeusz Bór-Komorowski dzięki inicjatywnemu, umiejętnemu i pełnemu woli niezłomnej dowodzeniu potrafił walki pierwotnie obliczone na krótki przeciąg czasu rozwinąć w pełną, długotrwałą i legendarną już dzisiaj bitwę”. Po upadku Powstania Warszawskiego trafił do niemieckiej niewoli. Wolność odzyskał w maju 1945 r. Był też Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie (formalnie od 30 września 1944 r.) oraz premierem rządu RP na uchodźstwie w latach 1947–1949.

Pogrzebane elity

Niezłomni działacze Polskiego Państwa Podziemnego byli elitą państwowotwórczą. Celem ich życia była służba Rzeczypospolitej, czego dowodzili w latach I wojny światowej oraz w bojach o granice niepodległego państwa. Byli bezwzględnie zwalczani najpierw przez Sowietów, a później przez rodzimych komunistów. Stanowili bowiem zagrożenie dla budowanego nad Wisłą wasalnego wobec Kremla niby-państwa. Najwyżsi przywódcy wojennej konspiracji umierali w więzieniach sowieckich i polskich, byli skazywani na istnienie na marginesie życia społecznego bądź zmuszani do emigracji. Podobny był los tysięcy ich podwładnych – tych, którzy po zakończeniu działań wojennych i rozwiązaniu zdekonspirowanych i w znacznym stopniu rozbitych struktur PPP nie podejmowali już działalności niepodległościowej, jak i tych, którzy uznawali, że wraz z powtórным wejściem Sowietów rozpoczął się nowy etap walki o wolność. Cmentarze i więzienia zapełniły się politykami różnych opcji, przedwojennymi urzędnikami, oficerami, parlamentarzystami, harcerzami, działaczami i żołnierzami Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, Narodowych Sił Zbrojnych, Ruchu Oporu Armii Krajowej i setek nieafiliowanych konspiracyjnych oddziałów, patroli, grup, organizacji...

Wprowadzenie i utrzymanie w Polsce komunistycznego reżimu skutkowało trwałym wyniszczeniem najbardziej wartościowych osób i grup społecznych. Konsekwencje tej zagłady elit do dziś są dotkliwie odczuwalne.

LUDOWCY SKAZANI NA MILCZENIE

Przedstawiciele elit ruchu ludowego w okresie międzywojennym uczestniczyli w odzyskiwaniu przez Polskę niepodległości i bronili jej jako żołnierze i politycy. W czasie II wojny światowej potwierdzili swoje zaangażowanie, wielu z nich zginęło z rąk Niemców. Mogło się wydawać, że ludowcy będą naturalnymi kandydatami do odgrywania pierwszorzędnej roli w powojennej Polsce. Okazało się jednak, że nowych okupantów interesował szyld ruchu ludowego, a pod nim tylko te osoby, które zrezygnują ze swych ideałów. Pozostali mieli zniknąć lub zamilknąć. Ilustracją tego są losy krakowskich ludowców.

W Małopolsce, na krótko przed wkroczeniem Sowietów, Stronnictwo Ludowe „Roch” było najsilniejszą konspiracyjną partią polityczną. Miało rozbudowane własne struktury polityczne i wojskowe. Działacze krakowscy pełnili ważne funkcje także w centralnych strukturach Polskiego Państwa Podziemnego. Rezygnacja Stanisława Mikołajczyka ze stanowiska premiera rządu na uchodźstwie i jego skłonności do rozmów z Moskwą spowodowały, że wkrótce po wkroczeniu Sowietów nieufność niektórych działaczy ruchu ludowego do nowych władz zaczęła się zmniejszać. Część ludowców była przekonana, że w związku z obiektywnymi brakami kadrowymi komuniści – siłą rzeczy – będą musieli oddać ster państwa m.in. w ich ręce. Rzeczywistość szybko zweryfikowała te prognozy, a nieufność zaczęła przeradzać się we wrogość. Nieoczekiwane represje, którym w marcu i kwietniu 1945 r. komuniści poddali przedstawicieli małopolskiego ruchu ludowego, były tak poważne, że można je porównać jedynie do działalności okupanta niemieckiego.

W końcu marca 1945 r. w Pruszkowie NKWD zdradziecko aresztowało – wraz z innymi politykami i wojskowymi Polskiego Państwa Podziemnego – Stanisława Mierzwę, członka okręgowego kierownictwa SL „Roch” na Małopolskę i Śląsk. W Moskwie został skazany na cztery miesiące więzienia. Zwolniono go 30 lipca; 8 sierpnia 1945 r. wrócił do Polski.

Kilka dni później – 31 marca 1945 r. – NKWD uprowadziło Wincentego Witosą i przewiozło do Brześcia. Od dalszej podróży do Moskwy uchronił go zły stan zdrowia i obawa przed jego rychłą śmiercią. Na Plantach w Krakowie 21 kwietnia 1945 r. funkcjonariusze UB zamordowali płk. Narcyza Wiatra „Zawojnę”, komendanta VI Okręgu BCh na Kraków i Małopolskę, który po akcji scaleniowej został zastępcą komendanta Okręgu Krakowskiego Armii Krajowej. W tym samym czasie trwały – dokonywane głównie przez sowiecki aparat represji – aresztowania żołnierzy AK i ich wywózki w głąb ZSRS. Nie ominęły one także niektórych żołnierzy BCh, zwłaszcza tych, którzy od jesieni 1943 r. współdziałali z AK.

Ludowcy przed sądem

Wszystkie te zdarzenia spowodowały, że między komunistami a ludowcami – początkowo nastawionymi koncyliacyjnie – wyrósł mur wrogości. Nie zburzyło go powstanie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, w którym zasiedli jedni i drudzy. Komuniści, dla których ustępstwa były jedynie chwilową taktyką, nie zamierzali dopuścić do wolnych wyborów parlamentarnych, na co z kolei liczyli zwolennicy Stanisława Mikołajczyka.

Rozpoczęła się twarda walka polityczna. W wydaniu komunistów była ona przede wszystkim terrorem; w stosunku do swych przeciwników sięgali nawet do metody skrytobójczych mordów (według Aliny Fitowej w latach 1945–1947 zamordowano około pięćdziesięciu działaczy PSL z województwa



Ława oskarżonych w procesie krakowskim, stoi płk Franciszek Niepokólczycki, siedzą w pierwszym rzędzie od lewej: Stanisław Mierzwa, Karol Buczek, Mieczysław Kabat, Karol Starmach, Edward Bzymek-Szrałkowski. Fotografia ze zbiorów Muzeum Wincentego Witosa w Wierzchosławicach (Oddział Muzeum Okręgowego w Tarnowie), fot. ze zbiorów Stanisława Mierzwy

krakowskiego). Nie wszyscy jednak dali się zastraszyć lub uciszyć na zawsze. W Małopolsce pretekstem do zniszczenia PSL miało być wykazanie jego związków ze Zrzeszeniem „Wolność i Niezawisłość”. Liczono, że aresztowania kilku liderów spowodują wśród ludowców osłabienie woli walki politycznej przed wyborami do Sejmu, a wykazanie związków z podziemiem zmniejszy poparcie społeczne dla PSL.

Aresztowania krakowskich liderów PSL rozpoczęły się 17 września 1946 r. W ich wyniku w więzieniu znalazło się dziewięciu znanych działaczy (w ramach innych zatrzymań w latach 1945–1947 w aresztach lub więzieniach na dłużej lub krócej znalazło się kilka tysięcy członków małopolskiego PSL, w tym jedynie w okresie między 1 grudnia 1946 a 17 stycznia 1947 r. było ich aż 2262). Władze planowały ich procesy pokazowe, które miały wykazać powiązania PSL z WiN i doprowadzić do rozwiązania Zarządu Wojewódzkiego PSL w Krakowie. Ostatecznie zwolniono Józefa Olszyńskiego, Stanisława Mirka, Stanisława Dadeja i Stanisława Marcinkowskiego, a na ławie oskarżonych – obok działaczy II Zarządu Głównego WiN – zasiedli: Stanisław Mierzwa, Karol Buczek, Karol Starmach i Jerzy Kunce, a także Mieczysław Kabat.

Sądzeni ludowcy – z wyjątkiem Kuncego, członka PSL i skarbnika Funduszu Oświatowego im. Wincentego Witosa – byli znanymi działaczami ludowymi szczebla wojewódzkiego i ogólnokrajowego. Buczek to nie tylko prezes Zarządu Grodzkiego, ale i redaktor naczelny „Piasta”, pisma zdecydowanie przeciwstawiającego się polityce komunistów. Był także już przed wojną cenionym mediewistą – pracownikiem Komisji Atlasu Historycznego Polskiej Akademii Umiejętności i współredaktorem *Encyklopedii powszechnej* Gutenberga. Podczas wojny redagował konspiracyjne czasopisma „Myśl i czyn” oraz „Za pługiem”. Po wyjściu ze stalinowskiego więzienia porzucił działalność polityczną i po pokonaniu wielu czynionych mu trudności powrócił do pracy naukowej, będąc m.in. w latach 1958–1974 kierownikiem Słownika Historyczno-Geograficznego Polski Średniowiecznej.

Starmach szefował Kołu PSL Kraków-Śródmieście, liczącemu wówczas ponad siedmiuset członków. Piastował także stanowisko wiceprezesa Zarządu Grodzkiego PSL. Już przed wojną obronił doktorat, specjalizował się w botanice. W 1939 r. w ramach „Sonderaktion Krakau” został wraz z innymi profesorami UJ aresztowany przez Niemców. Umieszczono go w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, a następnie w Dachau. Po wyjściu z więzienia w 1950 r. podjął działalność naukową. Był cenionym hydrobiologiem, profesorem na UJ i członkiem rzeczywistym PAN.

Innego formatu działaczem był Kabat. Od młodych lat zaangażowany w działalność ZMW RP „Wici” szybko obejmował kolejne, coraz wyższe funkcje w tej organizacji; od 1938 r. był prezesem Zarządu Wojewódzkiego. W 1937 r. uczestniczył w strajku chłopskim i z tego m.in. powodu był wielokrotnie więziony. Podczas wojny wykorzystano jego umiejętności wojskowego (Kabat to podporucznik oraz absolwent Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty w Zambrowie) i powołano go w 1942 r. na szefa Sztabu Komendy Okręgu VI BCH na Małopolskę i Śląsk. Był także pełnomocnikiem BCH do spraw scalenia z AK. Po wojnie powrócił do działalności na stanowisku prezesa ZMW RP „Wici”, został także sekretarzem Okręgowego Zarządu PSL na Małopolskę i Śląsk. Gdy był zwalniany z więzienia w listopadzie 1952 r., namawiano go, aby donosił na kolegów i w ten sposób „zrehabilitował się” za „wrogą działalność”. Kabat odpowiedział, że taką samą „propozycję” złożył mu już podczas śledztwa sam Różański, sugerując, że dzięki temu uniknie więzienia. Dlatego teraz, po sześciu latach więzienia, tym bardziej z niej nie skorzysta. Jeśli władze pozwolą, to będzie się „rehabilitował” swoją „pracą zawodową”. Zatrudnił się w spółdzielczości pracy. Mimo wielu przeszkód czynionych mu przez władze ZBoWiD, w ramach jego krakowskich struktur z uporem przypominał dokonania żołnierzy BCH.

Niewątpliwie najbardziej znany był Mierzwa. Urodzony w 1905 r. w Biskupicach Radłowskich, niedaleko Wierzchosławic, od lat szkolnych związał się z ruchem ludowym. Podczas studiów na UJ był m.in. członkiem i prezesem Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej oraz ZMW RP „Wici”. Już przed wojną był jednym z organizatorów strajku chłopskiego, miał także nieocenione zasługi w tym, że fiaskiem skończyła się próba dokonania przez władze sanacyjne w połowie lat trzydziestych rozłamu w ruchu ludowym i tym samym utrzymała się zwartość Stronnictwa Ludowego utworzonego w 1931 r. Jako członek władz Polskiego Państwa Podziemnego został porwany i sądzony w Procesie Szesnastu w Moskwie. Skazany na kilka miesięcy więzienia, wrócił do kraju, gdzie ponownie zaangażował się w działalność polityczną. Ten wówczas stosunkowo jeszcze młody działacz był najbliższym współpracownikiem Witosa w ostatnich latach jego życia, a następnie organizatorem manifestacyjnego pogrzebu. Żegnając 3 listopada 1945 r. na krakowskim Rynku trumnę z ciałem Witosa, powiedział, że chłopci pozostaną wierni ideałom zmarłego i nie zbroczą ze swej drogi.

Obok Władysława Kojdra, którego komuniści zamordowali kilka miesięcy wcześniej, Mierzwa był jednym z najbardziej zdeterminowanych obrońców niezależności ruchu ludowego. Jako członek Rady Naczelnej, Naczelnego Komitetu Wykonawczego PSL i sekretarz jego Prezydium był osobą, która najmocniej wspierała Mikołajczyka w dążeniu do samodzielnego startu w wyborach. Musiał ścierać się z Józefem Niecką, Czesławem Wycechem, a szczególnie z Władysławem Kiernikiem. Ten ostatni bowiem po cichu wspierał grupkę działaczy PSL, chcących bliskiej współpracy politycznej z komunistami i dążących do wejścia PSL w skład Bloku Stronnictw Demokratycznych.

Poza nawias życia

Wyrok został ogłoszony w rok po aresztowaniu ludowców. Nie był on dla członków PSL tak drażniący jak dla działaczy WiN (z których trzech stracono), ale z wyjątkiem niewinnionego Kuncego, wszyscy spędzili kilka lat w więzieniu. Buczka skazano na piętnaście lat pozbawienia wolności, Mierzwę i Starmacha na dziesięć, a Kabata na sześć lat. Zostali uznani za winnych „przestępstwa polegającego na przeprowadzeniu przemocą zmiany demokratycznego ustroju Państwa Polskiego, a także usunięcia przemocą naczelnych organów władzy zwierzchniej i zagarnięcia tej władzy”¹.

¹ Wszystkie cytaty w artykule pochodzą z książki Aliny Fitowej, *Stanisław Mierzwa „Słomka” na tle swoich czasów*, Wierzchosławice 1994.

„Wspaniałomyślna” władza pozwoliła, by mogli wrócić do domów przed odsiedzeniem pełnej kary. Najwcześniej, bo w 1950 r., więzienie opuścił Starmach, a najpóźniej Buczek – w 1954 r.

Zwolnieni z trudem odnajdywali się w nowej rzeczywistości. Mieli wielkie problemy ze znalezieniem pracy. Nie chcieli się angażować w życie społeczne. Było to zgodne z zamysłem stalinowców. Stefan Ignar, działacz prokomunistycznego SL, a następnie wiceprezes i prezes Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, już w październiku 1947 r. opowiedział się za wyrzuceniem skazanych „poza nawias życia społecznego”. W „Młodej Myśli Ludowej”, komentując wyrok, napisał m.in.: „Prawa rozwoju społecznego są twarde i jasne. Kto nie idzie w lewo, ten musi iść w prawo, choćby się ludzi, że strzeże wypracowanych ideałów”.

Wśród ludowców znaleźli się i tacy, którzy wybrali inną drogę – współpracy z nowym reżimem. Jednym z nich był Józef Olszyński. Zasłużony działacz ruchu ludowego z Sądeckiego, pełniący przed wojną oraz podczas okupacji ważne funkcje w tym ruchu, już jako prezes Zarządu Powiatowego PSL w Nowym Sączu i członek Zarządu Wojewódzkiego oraz Rady Naczelnej PSL został aresztowany przez UB w tym samym czasie co Mierzwa i jego towarzysze. W listopadzie 1946 r. na sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie radni PSL złożyli w ich sprawie interpelację, w której wyrazili oburzenie z powodu zatrzymania tych ludowców. W odróżnieniu od swoich kolegów Olszyński został zwolniony. Prawdopodobnie warunkiem odzyskania wolności była zgoda na polityczną współpracę z komunistami. Wkrótce bowiem zaangażował się on w działalność wrogiej wobec Mikołajczyka PSL-Lewicy, a w listopadzie 1947 r., po ucieczce prezesa PSL za granicę i likwidacji niezależnego ruchu ludowego, stanął na czele skonstruowanego przy udziale UB Zarządu Wojewódzkiego PSL w Krakowie. Gdy jego bliscy koledzy przebywali we Wronkach, w Rawiczu i innych więzieniach, on pełnił funkcje szefa ZSL kolejno w województwie krakowskim i wrocławskim, a następnie awansował na wysokie stanowiska we władzach naczelnych ZSL. Swoją aktywność, doświadczenie i umiejętności wykorzystywał do złych celów, w tym do propagowania na polskiej wsi spółdzielni produkcyjnych.

Skazany na milczenie

Z grona pięciu ludowców sądzonych w procesie krakowskim jedynie dwóch zaangażowało się po 1956 r. w działalność opozycyjną w gronie niezależnych ludowców, nazywanych także „krakowskimi konfederatami”. Nieformalnym kierownikiem tej grupy został Stanisław Mierzwa. Aktywny był także Mieczysław Kabat. Pozostali koledzy z procesu stronili jednak od działalności społecznej, która mogłaby być odczytana jako polityczna. Starmach i Buczek skupili się na pracy naukowej, jedynie incydentalnie kontaktując się z byłymi towarzyszami z ławy sądowej.

Mierzwa to polityk pragmatyczny, ale ideały ruchu ludowego były dla niego niezwykle ważne. Nie miał złudzeń co do tego, że komuniści utrzymywali się przy władzy jedynie dzięki poparciu Związku Sowieckiego. Mimo złych doświadczeń nie wykluczał z nimi kontaktów, a podczas tzw. przełomu październikowego – nawet współpracy politycznej.

W listopadzie 1956 r. Mierzwa otrzymał propozycję wejścia w skład władz ZSL, zostania posłem oraz ministrem w rządzie. Władze komunistyczne wiedziały, że mnóstwo byłych działaczy PSL czeka na decyzje Mierzwy i wielu z nich wybierze jego drogę postępowania, a on sam zdawał sobie sprawę z tej odpowiedzialności. Podczas negocjacji postawił mocne warunki: „[...] powrót do starej nazwy: Stronnictwo Ludowe; pełna samodzielność polityczna i organizacyjna Stronnictwa; przyznanie chłopom prawa własności nadzielonej z parcelacji ziemi; zaniechanie przymusowych dostaw i przymusowego tworzenia spółdzielni produkcyjnych; przeprowadzenie w Stronnictwie wyborów i odsunięcie od jego władz ludzi skompromitowanych; przyjaźń z ZSRR na zasadzie pełnego poszanowania suwerenności i prawa do równej korzyści dla obydwu stron”. Do porozumienia nie doszło.

Od tego momentu Mierzwa został skazany na milczenie i publiczną nieobecność. Mimo to nadal był niewątpliwym liderem niezależnego ruchu ludowego w Polsce. Kontynuował praktykę adwokacką i skupił się na integrowaniu niezależnych ludowców w całym kraju, a także dokumentowaniu historii przedwojennego oraz okupacyjnego ruchu ludowego. Licznie odwiedzających go ludowców zachęcał do pisania wspomnień, a dzięki jego inicjatywie ukazało się wiele książek. Swoją aktywnością wśród

chłopów i inteligencji ludowej do podobnych działań motywował także władze ZSL. Dzięki zręcznym zabiegom, również za pośrednictwem „swoich ludzi”, których zachęcał do członkostwa i obejmowania niektórych funkcji w ZSL, możliwe stało się utworzenie w Wierchosławicach w 1971 r. Muzeum Dom Wincentego Witosa, a rok później powołanie Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Wincentego Witosa. Działał na rzecz budowy w Tarnowie i Warszawie pomników Witosa. Po śmierci Mikołajczyka w grudniu 1966 r. został obwołany nieformalnym szefem PSL w kraju. Podczas „karnawału »Solidarności«” służył swoją radą działaczom „S” Rolników Indywidualnych. Jego działalność wywoływała zrozumiałe zaniepokojenie nie tylko krakowskich, ale i centralnych struktur aparatu bezpieczeństwa. Mierzwę – od roku 1953 aż do śmierci w 1985 r. – inwigilowało łącznie ponad stu agentów, m.in. w ramach sprawy o kryptonimie „Oset”; absorbował też ponad siedemdziesięciu etatowych funkcjonariuszy UB/SB.

Stanisławowi Mierzwie i innym niezależnym działaczom ruchu ludowego nie było dane poświęcić w pełni swego zaangażowania i pracy na rzecz Polski. W 1966 r. mówił na pogrzebie jednego z kolegów: „W czasie wojny i po wojnie – ileż marzeń, narad, podziemnych zebrań, opracowań i projektów o tym, jak będziemy kształtować na równi z innymi ugrupowaniami politycznymi te wytyczne. Jak te wytyczne będziemy wcielać w życie, kształtować ustrój sprawiedliwy dla wszystkich – w przyszłej Polsce wolnej, suwerennej i ludowej. I tutaj tragedia tej grupy, tego pokolenia, które było dziećmi, gdy Polska powstała, a dorosłymi przygotowanymi do pracy, gdy wyzwolono Polskę w 1945 r. Byliśmy teraz bezsilni, bo nam powiedziano – nie wasza to rzecz, porzućcie swoje ideały, swoją dotychczasową drogę, przyjdźcie na nasze podwórko, a wszystko dostaniecie”.

Wybrana literatura:

Alina Fitowa, *Stanisław Mierzwa „Słomka” na tle swoich czasów*, Wierchosławice 1994; *idem*, *Bataliony Chłopskie w Małopolsce 1939–1945. Działalność organizacyjna, polityczna i zbrojna*, Warszawa–Kraków 1984; Bolesław Dereń, *Polskie Stronnictwo Ludowe w Krakowskiem 1945–1947*, Warszawa 1998; Materiały z sesji *Proces krakowski 11 VIII–10 IX 1947 r. Działacze WiN i PSL przed sądem komunistycznym*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2002, nr 18; Mateusz Szyptma, *Stanisław Mierzwa i ZSL. Wzajemne relacje w okresie tzw. przelomu październikowego 1956–1957* (referat wygłoszony podczas konferencji: „Stanisław Mierzwa 1905–1985. Ludowiec i działacz niepodległościowy” – w druku); *idem*, *Ordery dla morderców [w:] Polska konfidencka. Z archiwów bezpieki – nieznanne karty PRL*, t. 1, red. F. Musiał, J. Szarek, Kraków 2006; *idem*, *Aparat bezpieczeństwa wobec ruchu ludowego w województwie krakowskim w 1945 roku w świetle dokumentacji WUBP w Krakowie [w:] Represje wobec wsi i ruchu ludowego (1939–1945)*, Warszawa 2009.

KARA ŚMIERCI – OSTATNI ORDER

Po trwającym miesiąc procesie działaczy Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” oraz Polskiego Stronnictwa Ludowego zapadły wyroki. Ośmiu – samych winowców – skazano na śmierć, ośmiu innych na długoletnie więzienie, jeden został uniewinniony. Wobec trzech osób wyrok śmierci został wykonany. Rozstrzelano ludzi, którzy służbie Polsce oddali całe życie.

Tak zwany proces krakowski, bo o nim mowa, trwał od 11 sierpnia do 10 września 1947 r. W myśl komunistycznej propagandy miał służyć skompromitowaniu niepodległościowego podziemia i wykazaniu jego związków z PSL. Działaczom II Zarządu Głównego WiN, z prezesem płk. Franciszkiem Niepokólczyckim na czele, zarzucano prowadzenie działalności wywiadowczej na rzecz obcych mocarstw oraz sianie w kraju terroru. Peeselowców, z wiceprezesem Zarządu Wojewódzkiego w Krakowie Stanisławem Mierzwą, oskarżano o związki z nielegalnym podziemiem. Miał to być, jak głosił tytuł artykułu w jednej z reżimowych gazet, „sąd nad obozem reakcji polskiej”.

Wojsko

Karę śmierci wykonano tylko na trzech skazanych. Pierwszy z nich to Walerian Tumanowicz, pochodzący z ziemiańskiej rodziny polskich Ormian. Urodził się w Baniłowie na północnej Bukowinie. Wieś ta w okresie międzywojennym należała do Rumunii, dziś znajduje się w granicach Ukrainy. Po drugiej stronie Czeremoszu leżą Kuty, największe w II Rzeczypospolitej skupisko polskich Ormian.

Tuż po ukończeniu sześciu klas gimnazjum w stolicy Bukowiny, Czerniowcach, wstąpił do Legionów Polskich. Z II Brygadą gen. Józefa Hallera przeszedł kampanie: karpacką, bukowińską i wołyńską. W tym czasie odbył trzymiesięczną szkołę oficerską, a w lutym 1918 r. podczas czterotygodniowego urlopu zdał maturę. Po przejściu II Brygady na drugą stronę frontu pod Rarańczą był przez miesiąc internowany w Wiedniu, później wcielono go do armii austriackiej. W październiku 1918 r. otrzymał urlop i wyjechał do rodzinnego Baniłowa, skąd nie powrócił do tej armii. W listopadzie przedarł się bowiem do Lwowa, by służyć w polskim już wojsku. W stopniu sierżanta walczył z Ukraińcami, dostając się w grudniu do niewoli. Zwolniony w styczniu 1919 r., powrócił do Wojska Polskiego, ale po kilku miesiącach, w lipcu, zdemobilizowano go jako obcokrajowca (*sic!*). Tumanowicz wykorzystał ten czas na zdobycie cywilnego zawodu – zdał na Państwowej Akademii Handlowej we Lwowie egzamin uprawniający do pracy w bankowości i zatrudnił się we lwowskim oddziale Banku Krajowego. W obliczu bolszewickiej nawały ponownie zgłosił się w lipcu 1920 r. do wojska i uczestniczył w Bitwie Warszawskiej jako dowódca jednego z plutonów 5. pułku piechoty Legionów. Po raz kolejny dostał się do niewoli, zbiegł jednak i powrócił do macierzystej jednostki. Za męstwo na polu walki w latach 1919–1921 czterokrotnie odznaczano go Krzyżem Walecznych.

Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej Tumanowicz pozostał w wojsku jako oficer zawodowy. Przez pewien czas dowodził jedną z kompanii 5. pp Legionów, później pełnił funkcję instruktora



Fot. ze zbiorów ZH WiN

w Szkole Podchorążych Rezerwy w Nisku, a następnie został oddelegowany do Korpusu Ochrony Pogranicza. Najpierw dowodził jedną z kompanii, po czym został kwatermistrzem 22. baonu KOP „Nowe Troki”, stacjonującego na Wileńszczyźnie, a później w Białymstoku. Stale działał społecznie, wspierając budowę szkół na Kresach oraz angażując się w rozwój harcerstwa. Od 1938 r. był szefem jednego z wydziałów w Naczelnej Komendzie Legii Akademickiej, w ramach której szkolono wojskowo młodzież studencką.

Polityka

Józef Ostafin urodził się w Sułkowicach k. Myślenic, dokładnie sześć dni po narodzinach Tumanowicza. Uczęszczając do gimnazjum św. Anny w Krakowie, jednocześnie działał w „Zarzewiu” i ruchu skautowym. Dwa lata pod rząd – podczas przedostatnich i ostatnich szkolnych wakacji – jeździł na Spisz i Orawę, by pozyskiwać tamtejszych górali dla sprawy polskiej. Przytłaczając to miesięcznym aresztem.

Maturę zdał w 1914 r. Zamierzał podjąć studia teologiczne. Los inaczej pokierował jego życiem. We wrześniu wstąpił do Legionów. Podobnie jak Tumanowicz przeszedł szlak bojowy II Brygady – najpierw w 2. pp, później w 1. pułku artylerii. Lekko ranny, został przeniesiony do oddziału sanitarnego. Po kryzysie przysięgowym wcielono go jako dowódcę plutonu do artylerii wojska austriackiego. Uciekł stamtąd, pozorując podczas wycieczki w Tatry swoją śmierć w wodach Morskiego Oka. Wyjechał następnie na Kresy, został komendantem POW na powiat Trembowla, podjął też studia na Wydziale Rolniczym Politechniki Lwowskiej w Dublinach.

Przez następne lata Ostafin był wszędzie tam, gdzie orężem wykuwano nowe granice Rzeczypospolitej. U zarania niepodległości, w listopadzie 1918 r., został aresztowany przez Ukraińców w Trembowli, ale zbiegł i przez Węgry dostał się do Krakowa. Powrócił na wschód z 3. pułkiem artylerii ciężkiej. Walczył w obronie Lwowa i Przemysła, później w wojnie polsko-bolszewickiej. Po przejściu do rezerwy w styczniu 1921 r. nie powrócił do spokojnego, cywilnego życia, ale rzucił się w wir pracy plebiscytowej na Górnym Śląsku, a następnie wykorzystywał artyleryjskie doświadczenie w walkach III Powstania Śląskiego. Za te ostatnie boje otrzymał najwyższe wojskowe odznaczenie, Order Virtuti Militari.

Po latach wojennych przyszedł czas na wysiłek nad gospodarczą odbudową państwa. Ostafin ukończył studia rolnicze, pracował kilka lat w wielkich majątkach rolnych i w Towarzystwie Gospodarczym Wschodniej Małopolski, od 1927 r. w Związku Kółek Rolniczych, a od 1931 r. uczył w różnych szkołach rolniczych w kraju. Był członkiem Związku Naprawy Rzeczypospolitej, działał w Związku Legionistów Polskich. Jego zasługi w odzyskiwaniu niepodległości i powojenna działalność społeczna zostały docenione w niepodległej Polsce. Ostafin dwukrotnie zasiadał w sejmowych ławach z ramienia Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem i Obozu Zjednoczenia Narodowego, w 1935 i 1938 r. Szczególnie zajmował się zagadnieniem reformy rolnej.

Administracja

Pochodzący z jurajskich Paczółtowie Alojzy Kaczmarczyk był młodszy od Tumanowicza i Ostafina o dwa lata. Podobnie jak ten ostatni, już w czasie nauki w gimnazjum w Krakowie zaangażował się w działalność niepodległościową: należał do organizacji „Znicz”, a później do



Fot. ze zbiorów ZH WNI



Fot. AIPN

„Zarzewia” i Drużyn Strzeleckich. Studiując następnie na krakowskiej Akademii Handlowej pełnił równocześnie funkcję instruktora w komendzie obwodu „Strzelca” w Krzeszowicach.

Kiedy wybuchła I wojna światowa, wstąpił do Legionów. We wrześniu 1914 r. wyruszył na front jako szeregowy żołnierz VI batalionu I Brygady. Później przeniesiony do I batalionu 5. pp walczył nad Nidą, w rejonie Sandomierza i w końcu na Wołyniu – pod Kostiuchnowką, nad Styrem i Stochodem. Ze względu na chorobę serca został przeniesiony do szpitala w Krakowie w sierpniu 1916 r. Przerwę w służbie wykorzystał na ukończenie Akademii Handlowej. Później służył w Powiatowym Urzędzie Zaciągu w Szczucinie, po czym powrócił do 5. pp. Po kryzysie przysięgowym opuścił za wiedzą legionowych przełożonych swoją kompanię i wyjechał pod Siedlce, gdzie pracował jako nauczyciel.

Do wojska wrócił podczas wojny polsko-bolszewickiej, w czerwcu 1919 r. Ukończył Szkołę Podchorążych i jako podporucznik dołączył do 5. pp. Dopiero w 1923 r. na własną prośbę przeszedł do rezerwy, już w stopniu kapitana. Przeniósł się na Kresy. Podjął w Wilnie pracę w Banku Polskim i studia prawnicze na Uniwersytecie Stefana Batorego. W 1929 r. rozpoczął służbę w administracji państwowej, najpierw w Urzędzie Wojewódzkim w Wilnie, później na samodzielnych już stanowiskach państwowej administracji terytorialnej we wschodnich rejonach Polski. Przez trzy lata był starostą w Białymstoku, kolejne trzy w Wołkowysku i niecały rok w Suwałkach. W 1935 r. objął urząd wicewojewody w Stanisławowie, a w 1937 r. został wicewojewodą nowogródzkim. Kiedy we wrześniu 1939 r. rozpoczęła się II wojna światowa, Kaczmarczyk pełnił funkcję starosty w Puławach.

Kolejna wojna

Druga wojna światowa wybuchła, gdy opisywana trójka była jeszcze w pełni sił twórczych. Mieli 43, 45 lat, wysokie stanowiska, bogate doświadczenie. Nowa wojna była dla nich kolejnym etapem, kolejnym wezwaniem do wzmożenia służby Polsce; służba ta przecież właściwie trwała nieprzerwanie.

Tylko jeden z nich, Tumanowicz, jako żołnierz zawodowy walczył w kampanii wrześniowej, dochodząc I baonem 146. pp. Nie dostał się do niewoli, przez Warszawę dotarł do Krakowa, gdzie już w grudniu 1939 r. wstąpił do tworzonego wówczas Związku Walki Zbrojnej. By zdobyć pieniądze na życie, nosił bagaże na krakowskim dworcu kolejowym... W 1940 r. otrzymał polecenie zorganizowania Inspektoratu ZWZ Mielec. Został jego pierwszym inspektorem, pełniąc tę funkcję aż do 1944 r. Posługiwał się wówczas pseudonimem „Jagra”, utworzonym od imion dwóch ukochanych kobiet – żony Jadwigi i córki Grażyny. W cywilu używał fikcyjnego nazwiska Wartanowicz. Po odwołaniu z dotychczasowego stanowiska w lutym 1944 r. pozostawał w dyspozycji Komendy Okręgu AK Kraków, udzielał schronienia Żydom. Uczestniczył też – na polecenie gen. Leopolda Okulickiego – w ukrywaniu pieniędzy AK przewiezionych z Warszawy po upadku Powstania Warszawskiego. Na przełomie 1944 i 1945 r. miał wyjechać na Śląsk, by reorganizować tamtejsze struktury AK, ale już do tego nie doszło.

Wojenne losy Kaczmarczyka i Ostafina zaczęły się podobnie. Obaj zostali aresztowani przez okupantów. Pierwszy przez Niemców w Lublinie, a drugi przez sowieckie NKWD we Lwowie. Zwolnieni, dotarli do Krakowa (odpowiednio w czerwcu 1940 r. i w 1941 r.). Wstąpili do ZWZ, nie pracowali jednak w strukturach wojskowych, ale wykorzystywali na rzecz konspiracyjnej organizacji swe doświadczenie polityczno-administracyjne. Kaczmarczyk – używający pseudonimów „Karwowski”, „Rozmaryn”, „Wiesław” i „Władysław” – został szefem administracji zastępczej dla Okręgu ZWZ-AK Kraków, a od 1943 r. kierował Wydziałem Wojskowym Komendy Okręgu AK Kraków. Ostafin pełnił w podległej Kaczmarczykowi strukturze funkcję referenta rolnego, przygotowywał m.in. miesięczne sprawozdania na temat sytuacji gospodarczej w Okręgu.

W marcu 1944 r. Kaczmarczyk został aresztowany przez Niemców – wpadł w „kocioł” założony w domu wcześniej zatrzymanego komendanta Okręgu, Józefa Spychalskiego „Lutego”. Wówczas doszło do wydarzeń, które później posłużyły do oskarżania Kaczmarczyka o współpracę z Niemcami. Otóż za zgodą przełożonych podjął się pośredniczenia w kontaktach między niemieckimi władzami a Komendą Główną AK. Dwukrotnie opuszczał więzienie z listami, co wykorzystywał faktycznie do ostrzeżenia współpracowników o grożącym im niebezpieczeństwie. Za drugim razem, mimo złożonej Niemcom obietnicy, Kaczmarczyk do więzienia już nie powrócił, otrzymał bowiem rozkaz pozostania w konspiracji. Wyjechał do Warszawy, gdzie był pod opieką Komendy Głównej AK. Przebywał tam

przez cały okres Powstania Warszawskiego, nie biorąc jednak udziału w walkach. Po klęsce zrywu został wywieziony z córką do obozu w Gross-Rosen, a następnie – już sam – do Mauthausen.

Ostafin zaczął się ukrywać jeszcze przed aresztowaniem Kaczmarczyka. Od 1943 r. był poszukiwany przez Niemców. Wiosną 1943 r. podjął współpracę z organizacją „Raclawice”, dla której opracował wiele referatów dotyczących polityki rolnej. Po rozbięciu „Raclawic” Ostafin w czerwcu 1944 r. wstąpił do „Nie”. Został zastępcą kierownika Okręgu Krakowskiego Obszaru Południowego organizacji.

Zmienił się wróg

Kres wojny dla większości działaczy podziemia nie oznaczał powrotu do spokojnego, cywilnego życia. Walka trwała, choć zmienił się wróg – był on tym gorszy, że mówiący tym samym językiem.

Wiosną 1945 r. Tumanowicz po nawiązaniu kontaktu z płk. Antonim Sanojcą, delegatem Sił Zbrojnych na Obszar Południowy, został szefem Wydziału IV w Obszarze Południowym Delegatury Sił Zbrojnych. Wydział ten prowadził akcję „Ż” (od nazwiska Naczelnego Dowódcy „ludowego” Wojska Polskiego, Michała Żymierskiego), która miała dwa zasadnicze cele: z jednej strony – zdobywać wiarygodne informacje o nastrojach żołnierzy i warunkach panujących w wojsku, z drugiej – przez działania propagandowe utrzymywać w wojsku patriotyczne nastroje. Chodziło o to, by w czasie ewentualnego nowego konfliktu zbrojnego zasadniczą część polskiego wojska stanęła – wbrew rozkazom dowódców i ich sowieckich mocodawców – po właściwej stronie. Po utworzeniu Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” komórka Tumanowicza, posługującego się wówczas pseudonimem „Jagodziński”, weszła w skład Wydziału Propagandy Zarządu Obszaru Południowego WiN. Po aresztowaniu płk. Sanojcy w listopadzie 1945 r. Tumanowicz stracił kontakt z organizacją i na pewien czas ukrył się w Jeleniej Górze. Później dalej utrzymywał swoją siatkę, otrzymał też na przechowanie ogromny poakowski depozyt pieniężny, z dolarami, złotem i srebrem. Na przełomie 1945 i 1946 r. wrócił do Krakowa, skontaktował się z nowym prezesem Obszaru Południowego WiN, ppłk. Łukaszem Cieplińskim, a za jego pośrednictwem próbował dotrzeć do prezesa II Zarządu Głównego WiN, płk. Niepokólczyckiego. Do spotkania z tym ostatnim jednak nie doszło, a komórka Tumanowicza, prawdopodobnie z obawy przed dekonspiracją, została rozwiązana. On sam w maju 1946 r. rozliczył się z przechowywanych dotąd pieniędzy i wycofał się z działalności konspiracyjnej.

Kaczmarczyk po wyzwoleniu obozu w Mauthausen przez dwa miesiące przebywał w Linzu, a w lipcu 1945 r. wrócił do Krakowa. Tam spotkał Ostafina, działającego już wcześniej w „Nie” i Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj, a także Ludwika Muzyczkę „Benedykta”, wówczas oficera Komendy Głównej DSZ, z którym wcześniej współpracował przy tworzeniu administracji zastępczej przez AK. Na polecenie „Benedykta” Kaczmarczyk „Zośka” i Ostafin „Miłosz” zaczęli przygotowywać – już w ramach utworzonego po DSZ Zrzeszenia „WiN” – referaty o tematyce gospodarczej i polityczno-społecznej. W listopadzie 1945 r. Muzyczka skontaktował ich z płk. Niepokólczyckim, wówczas jeszcze zastępcą komendanta Obszaru Południowego WiN, który polecił im utworzyć Komórkę Doradztwa Politycznego. Po objęciu przez Niepokólczyckiego funkcji prezesa II Zarządu Głównego WiN, komórka Kaczmarczyka i Ostafina została przekształcona w Doradczy Komitet Polityczny przy tymże zarządzie. Współtworzyli najważniejsze dokumenty programowe Zrzeszenia, opracowali szereg referatów politycznych i materiałów propagandowych, analizowali informacje z prasy i nasłuchów radiowych.

Areszt, śledztwo, kara

W sierpniu 1946 r., od rozpracowania przez UB działających w ramach Okręgu Krakowskiego WiN Brygad Wywiadowczych rozpoczął się ciąg aresztów, przesłuchań i dalszych zatrzymań, który ostatecznie doprowadził do likwidacji II Zarządu Głównego.

Kaczmarczyk i Ostafin zostali zatrzymani 19 września. W mieszkaniu tego ostatniego UB przez trzy tygodnie trzymał tzw. kocioł. W tym czasie żona Ostafina – Kazimiera – będąca w zaawansowanej ciąży, straciła dziecko, prawdopodobnie nie bez związku z obecnością funkcjonariuszy UB w domu, i nigdy nie powróciła już do pełnego zdrowia. Tumanowicz został aresztowany w Krakowie miesiąc później, 22 października, w domu znajomego jeszcze z czasów wileńskich.

„Nie chcę kłamać, że byłem negatywny do tworzącej się rzeczywistości. Skłamałbym jeszcze bardziej, gdybym powiedział, że byłem pozytywny. Byłem wrogi. Byłem wrogi nie do narodu polskiego, bo inaczej nie poszedłbym w jego służbę, ale do tego, co mi się zdawało było końcem niepodległości Polski. Wyssałem nienawiść do Rosji i według tego, co o nich wiedziałem, tak postępowałem. Poprzez wojnę roku 1920, aż do zmian zaszyłych w Rosji, których jak inni uznać nie chciałem. Z chwilą kiedy armia rosyjska weszła na ziemię polskie i pozostawiła na nich swoje garnizony, myślałem, że to już jest utrata niepodległości. Trudno mi było Wysoki Sądzie w 50-tym roku życia zmieniać duszę, bo się ta dusza we mnie już skostniała”.

Te wyjaśnienia, złożone przez Waleriana Tumanowicza podczas rozprawy, dobrze charakteryzują postawę całej trójki rozstrzelanej 13 listopada 1947 r.

W czasie śledztwa i procesu cała trójka była szczególnie atakowana. Tumanowiczowi władza nie mogła wybaczyć prób oddziaływania na żołnierzy. Według słów sądu usiłował on „swą inspiracją podważyć zwartość i dyscyplinę szeregów demokratycznej Armii Polskiej”. W przypadku Ostafina i Kaczmarczyka szczególnie podkreślane były ich przedwojenne dokonania. Komunistyczni sędziowie nie mijali się z prawdą, orzekając, że „w działalności obu oskarżonych widoczny był zamiar kontynuowania kierunku politycznego, jakiemu do wojny światowej służyli”.

Wyroków śmierci zapadło osiem, wobec pięciu skazanych Bolesław Bierut zastosował prawo łaski. Kaczmarczyka, Ostafina i Tumanowicza zastrzelono 13 listopada 1947 r. w krakowskim więzieniu przy ul. Montelupich. Ich grobów nigdy nie odnaleziono. Ostafin osierocił trzy córki, z których najmłodsza miała jedenaście lat, i żonę, chorą jeszcze po stracie najmłodszego dziecka. Świadomy, że pozostawia je same, bez opieki, pisał w jednym z więziennych listów: „I to mnie bardzo boli, że Wam tyle nieszczęścia zesłałem”.

Podczas procesu krakowskiego na ławie oskarżonych siedziały osoby pełniące poważniejsze funkcje w II Zarządzie Głównym, których działalność co najmniej równie mocno godziła w komunistyczny reżim. Ale zgładzono właśnie Kaczmarczyka, Ostafina i Tumanowicza – trzech najstarszych i najbardziej doświadczonych. Ginęli nie tylko jako działacze powojennego Podziemia Niepodległościowego, ale jako przedstawiciele wolnej Polski, II Rzeczypospolitej. Tak pisał o nich partyjny ideolog na łamach „Nowych Dróg”: „Trójka przedstawicieli sanacyjnego aparatu państwowego, aparatu FASZYSTOWSKIEJ DYKTATORY, aparatu WINOWAJCÓW KŁĘSKI WRZEŚNIOWEJ [podkr. oryg.]”.

Józef Ostafin był odznaczony m.in. Orderem Virtuti Militari, Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Oficerskim Orderu Polonia Restituta, Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi, a także Śląską Wstęgą Waleczności i Zasługi, „Gwiazdą Przemysła” i Honorową Odznaką „Orleń”. Alojzy Kaczmarczyk był odznaczony m.in. Orderem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych oraz Złotym Krzyżem Zasługi. Walerian Tumanowicz otrzymał m.in. Krzyż Niepodległości, czterokrotnie Krzyż Walecznych i Srebrny Krzyż Zasługi. Takimi odznaczeniami II Rzeczypospolita honorowała swoich bohaterów. Za kolejne lata walki i konspiracyjnej pracy – najczęściej chyba, zważywszy na wiek, odpowiedzialność za rodzinę, nikłe nadzieje na zwycięstwo – nie doczekali się państwowych odznaczeń. Ale kara śmierci, dla której nie było odwołania, świadczy – niczym ostatni order – że ich życiorysy były symbolem tych wszystkich wartości, które dla komunistycznej władzy stanowiły największe zagrożenie.

Wybrana literatura:

Komunistyczna propaganda w zeznaniach oskarżonych w procesie krakowskim, oprac. F. Musiał, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2002, nr 18, s. 277–283; *idem*, *Kaczmarczyk Alojzy*, *ibidem*, s. 295–300; E. Pietrzyk, *Ostafin Józef*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2009, nr 31, s. 275–282; Z. Zblewski, *Akcja „Ż” na terenie Obszaru Południowego DSZ i WiN w latach 1945–1946*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2002, nr 18, s. 61–122; *idem*, *Walerian Józef Tumanowicz [w:] Konspiracja i opór społeczny w Polsce 1944–1956*, Kraków–Warszawa–Wrocław 2004, s. 531–538.

POZBAWIĆ NARÓD SUMIENIA I DUCHA

„Sytuacja nasza jeszcze nie doszła do tego zewnętrznie jak na Węgrzech¹, ale już jesteśmy bardzo blisko. Oni jednak starają się unikać drastycznych kroków; naciski potężnieją na wszystkich polach, a przede wszystkim [tam], gdzie chodzi o młodzież, więc szkolnictwo, stowarzyszenia. Przy tym szykanują księży, wytyczając procesy, usuwając ze szkół...” – pisał w lutym 1949 r. kard. Adam Stefan Sapieha do przebywającego na emigracji bp. Józefa Gawliny.

Krakowski hierarcha trafnie odczytywał cele komunistów, którzy po rozbiciu legalnej opozycji i podziemia niepodległościowego zdecydowanie uderzyli w Kościół – ostatnią niezależną siłę sprzeciwiającą się totalitaryzmowi. Mimo że reżim już 12 września 1945 r. zerwał konkordat, to tuż po wojnie ograniczał swe ataki na Kościół, a nawet próbował wykorzystać go propagandowo do swych celów. Wrazem tego był m.in. udział komunistycznych dostojników w uroczystościach religijnych. Jednakże już pod koniec lat czterdziestych Kościół został zaatakowany w sposób bezwzględny. Komunistom zależało na zniszczeniu Kościoła, a nie tylko na likwidacji jego zaplecza oświatowego, wydawniczego, prasowego i edukacyjnego – co już wcześniej zaczęto robić.

W niepodległej Polsce

Po roku 1918, w odrodzonej Polsce, Kościół wykonał olbrzymią pracę nie tylko poprzez kapłanów, ale także dzięki instytucjom duszpasterskim (stanowym i zawodowym), organizacjom, stowarzyszeniom, szkołom, wydawnictwom, prasie katolickiej i radiu. Efektem tej szeroko zakrojonej działalności, obejmującej swym zasięgiem miliony wiernych, było przede wszystkim pogłębienie ich życia religijnego. Podkreślić jednak należy, że instytucje kościelne pełniły również istotną funkcję wychowawczą, kulturalną, patriotyczną oraz prowadziły ożywioną działalność charytatywną poprzez „Caritas”, ogólnopolskie Stowarzyszenie św. Wincentego à Paulo i liczne lokalne dzieła. Wśród inicjatyw duszpasterskich największy zasięg miały bractwa różańcowe, które powstały z inspiracji dominikanów w niemal każdej z 5600 parafii; najpopularniejszy był Żywy Różaniec skupiający kilka milionów wiernych. Popularne było także tercjarstwo, czyli Trzeci Zakon franciszkański. W przededniu wybuchu wojny w Polsce było ok. 200 tys. tercjarzy. Z kolei kierowane przez jezuitów Apostolstwo Modlitwy zrzeszało 750 tys. wiernych, a Krucjata Eucharystyczna prawie 200 tys. Kilkadziesiąt tysięcy liczyła Sodaliczka Mariańska (prezesem tego stowarzyszenia w I Państwowym Gimnazjum Męskim im. Marcina Wadowity w Wadowicach był szesnastoletni Karol Wojtyła). Rycerstwo Niepokalanej, założone przez św. Maksymiliana Kolbego w 1917 r., liczyło 750 tys. członków. Aktywność znanego franciszkanina i założyciela podwarszawskiego Niepokalanowa była imponująca. Do działalności ewangelizacyjnej, prowadzonej również daleko poza granicami Polski – w Chinach i Japonii – wykorzystywał dostępne wówczas środki masowego przekazu, czyli prasę i radio. Utworzone przez niego pisma „Rycerz Niepokalanej” z prawie milionowym nakładem, „Rycerzyk Niepokalanej” (ok. 200 tys. egz.) oraz ukazujący się codziennie „Mały Dziennik” (100–200 tys. egz.) były największymi pismami katolickimi w ówczesnej Polsce. Jedynie jeszcze poznański „Przewodnik Katolicki” (tygodnik) przekraczał nakład 200 tys. egz.

Znaczącą organizacją katolicko-społeczną była Akcja Katolicka. W przededniu wybuchu wojny w jej szeregach znalazło się prawie 750 tys. członków. Akcja wydawała wiele czasopism i biuletynów,

¹ Prymas Węgier kard. József Mindszenty został skazany na dożywocie w lutym 1949 r.

m.in. dziennik „Głos Narodu” w Krakowie oraz miesięcznik „Ruch Katolicki”; zainicjowała edycję serii książkowych poświęconych apostołstwu świeckich i miała własną centralę filmową. Prowadziła także aktywną działalność religijno-edukacyjną, organizując rekolekcje, kursy, zloty, odczyty, obozy, wieczornice, a nawet imprezy sportowe. Przyczyniła się do powstania kilku Katolickich Uniwersytetów Ludowych oraz Instytutu Wyższej Kultury Religijnej.

Dużą wagę Kościół przywiązywał do działalności wśród robotników, wspierając chrześcijański ruch zawodowy. Przez kilka lat, aż do wybuchu wojny, w Chrześcijańskich Związkach Zawodowych we Włocławku działał ks. Stefan Wyszyński, późniejszy prymas. Działalności oświatowej i wychowawczej wśród robotników służyły m.in. Chrześcijańskie Uniwersytety Robotnicze. Wśród studentów popularnością cieszyły się: Sodalicja Mariańska, Iuventus Christiana, Odrodzenie, Pomoc Bliźniemu... Ważną rolę odgrywały ośrodki naukowe z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim na czele.

O rosnącym wpływie Kościoła na młode elity – po okresie modnego na początku wieku antyklerykalizmu – może świadczyć fakt, że w 1936 r. około 20 tys. studentów (jedna trzecia wszystkich akademików) uczestniczyło w pielgrzymce na Jasną Górę. Nawiązując do dwieście osiemdziesiątej rocznicy lwowskich ślubów Jana Kazimierza, uznającego Maryję za Królową Korony Polskiej, studenci złożyli ślubowanie: „[...] na wieczne czasy [obieramy Matkę Bożą] za Matkę i Patronkę Polskiej Młodzieży Akademickiej i oddajemy pod Twoją przemożną opiekę wszystkie wyższe Uczelnie i Polskę całą”.

„Niekorzystny dla nas układ sił”

Niszczenie polskich elit, w tym katolickich duchownych, rozpoczęło się już w pierwszych dniach niemieckiej i sowieckiej okupacji. Śmierć poniosło ok. 3 tys. kapłanów, zakonników i zakonnice, co stanowiło około jednej piątej duchowieństwa II RP, zamordowano 6 biskupów. Ci, którzy przeżyli, wspierali naród w oporze, niosąc otuchę i nadzieję. Postawa wielu duchownych – w tym krakowskiego metropolity Adama Sapiehy czy o. Maksymiliana Kolbego – stała się przykładem heroicznego oporu wobec niemieckiego okupanta. Kościół przetrwał, zyskując ogromny autorytet i stając się główną siłą moralną sprzeciwiającą się czerwonemu totalitaryzmowi.

Mimo że zaostrenie walki z Kościołem nastąpiło po roku 1947, już wcześniej rozpoczęto przejmowanie budynków będących kościelną własnością, służących działalności oświatowej i wychowawczej, tak było m.in. w Lublinie, we Włocławku, w Katowicach. Odrębnym zagadnieniem jest utrata wschodnich ziem Rzeczypospolitej z Wilnem i Lwowem, gdzie już w latach 1939–1941 dokonano ogromnych spustoszeń. Przykładem niech będzie los jednej z najlepszych szkół II RP – Zakładu Naukowo-Wychowawczego jezuitów w Chyrowie (wśród jego znakomitych wychowanków byli m.in. Adam Styka, Antoni Wiwulski, Eugeniusz Kwiatkowski, Kazimierz Wierzyński).

Władysław Gomułka wiosną 1947 r. mówił: „[...] na odcinku młodzieżowym wciąż istnieje niekorzystny dla nas układ sił”, gdyż wiedział, że znaczna część młodych ludzi była związana z Kościołem katolickim. Od jesieni rozpoczęto zatem zamykanie szkół podstawowych prowadzonych przez zgromadzenia zakonne. Większość z nich przestała istnieć już w latach 1948–1949. Odmawiano im uprawnień szkół publicznych, stosowano różne – w zależności od regionu – utrudnienia administracyjne. Jednocześnie przystąpiono do likwidacji szkół średnich, zamykając m.in. słynne gimnazjum marianów na warszawskich Bielanach. I chociaż porozumienie między komunistycznym rządem a Episkopatem Polski z 14 kwietnia 1950 r. zakładało istnienie katolickich placówek, które przetrwały do tego momentu, ich likwidacja postępowała nadal. To właśnie wtedy zamknięto m.in. szkoły ogólnokształcące urszulanek w Poznaniu, Rybniku, we Wrocławiu i w Krakowie, salezjanów w Ostrzeszowie, służek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanej w Mariówce. Rozpoczęto likwidację szkolnictwa zawodowego prowadzonego przez zakony, m.in. przez salezjanów, urszulanki, nazaretanki, niepokalanki, jako że – jak twierdzono – ich istnienie „sprzyja wychowaniu w obcej ideologii i klerykalizmie”. Uderzono również w niższe seminaria duchowne, zamykając 46 z nich. Ograniczono działalność Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego; szczególnie dotyczyło to wydziałów prawa, ekonomii, pedagogiki. Wydziałowi Humanistycznemu odebrano możliwość nadawania doktoratów i habilitacji. W 1954 r. usunięto wydziały teologiczne z Uniwersytetu Warszawskiego i Jagiellońskiego.

Przystąpiono również do likwidacji katolickiej prasy (przed 1939 periodyki katolickie – blisko dwieście tytułów – stanowiły jedną czwartą sprzedawanych w Polsce czasopism. Komuniści zezwolili na wznowienie kilkudziesięciu tytułów, ale na początku lat pięćdziesiątych pozostało ich zaledwie kilka. Nie przetrwał m.in. „Tygodnik Warszawski” zamknięty w 1948 r., a część jego redakcji trafiła do więzień. Wśród aresztowanych był również redaktor naczelny, ks. Zygmunt Kaczyński, przed wojną prezes Katolickiej Agencji Prasowej, wybitny działacz chadecki, redaktor naczelny „Tygodnika Warszawskiego”. Skazany przed komunistycznym sądem na dziesięć lat, nie przetrwał więzienia. Zmarł w 1953 r.

Kościół wygnany do kruchty

Kolejnym przejawem walki z Kościołem stało się fałszywe oskarżenie „Caritasu” o defraudację, czego konsekwencją było ustanowienie przez komunistów zarządu komisarycznego nad tą instytucją, która wcześniej prowadziła blisko 2 tys. placówek opieki, prawie 1 tys. przedszkoli, ponad 200 świetlic. Caritasowskie oddziały funkcjonowały w 70 proc. parafii. Zatem tak masowa organizacja angażująca osoby świeckie na rzecz dobra wspólnego i jednocześnie wychowująca w duchu wrażliwości chrześcijańskiej nie mogła przetrwać. Jednocześnie usuwano duchownych i siostry zakonne z przedszkoli, szkół i szpitali. Działaniom tym towarzyszyły aresztowania i represje (m.in. proces bonifratrów we Wrocławiu).

Komuniści przystąpili do ataku nie tylko na katolickie organizacje działające wśród młodzieży, ale również i na te aktywnie odradzające się po wojnie – jak choćby Związek Harcerstwa Polskiego – które w swym programie wychowawczym odwoływały się do solidaryzmu społecznego i innych zasad katolickiej nauki społecznej. Związek Harcerstwa Polskiego został zniszczony i zastąpiony przez Organizację Harcerską stanowiącą faktycznie satelitę komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. Reżim nie zezwolił na legalną działalność Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży w całej Polsce, a jedynie w archidiecezji krakowskiej i metropolii poznańskiej, ale i tam struktury tej organizacji zostały zlikwidowane na początku lat pięćdziesiątych. Podobny był los Sodalicii Mariańskiej oraz Iuventutis Christiana. Wielu działaczy tych stowarzyszeń trafiło do więzień i zostało skazanych na wieloletnie wyroki. Wśród nich byli o. Stanisław Nawrocki z Warszawy – promotor Sodalicii Mariańskiej, czy o. Tomasz Rostworowski – moderator Związku Sodalicii Mariańskich Akademików w Łodzi. Obaj zostali skazani w 1950 r.

Usuwanie religii ze szkół następowało stopniowo i w sposób przemyślany, mimo że oficjalnie władze nie zakazały jej nauczania. Osiągano to m.in. przez przekazywanie szkół publicznych – gdzie odbywały się lekcje religii – ateistycznemu Robotniczemu Towarzystwu Przyjaciół Dzieci. Walka ta miała szczególnie charakter na Górnym Śląsku, gdzie chciano oderwać od katolickich korzeni świat pracy – właśnie tam liczny, a jednocześnie przywiązany do wiary, co wyraźnie nie przystawało do narzuconej społeczeństwu komunistycznej ideologii. Pierwszym jej etapem było zdejmowanie krzyży. Później zastraszano ministrantów, obniżano stopnie z zachowania protestującym uczniom, w 150 szkołach zmniejszono liczbę godzin religii, a w 30 zawodówkach całkowicie ją zlikwidowano. Z przedszkoli usunięto siostry zakonne. Administracyjnym szykanom towarzyszyła kampania prymitywnych oszczerstw skierowanych przeciw katowickiemu ordynariuszowi, bp. Stanisławowi Adamskiemu, który w pewnym momencie oświadczył: „Nie mam zamiaru prostować zarzutów podniesionych przeciwko mej osobie. Sąd o mojej pracy społeczno-narodowej pozostawiam spokojnie historii”.

Pod koniec 1951 r. w diecezji katowickiej lekcji religii pozbawiono prawie 120 tys. uczniów. Odbywały się one w ograniczonym zakresie tylko w ok. 300 szkołach, w tym jedynie w 7 spośród 33 liceów ogólnokształcących (religię wyrzucono ze 110 szkół zawodowych). Jesienią 1952 r. władze poinformowały, że naukę religii usuwa się z dalszych 130 placówek oświatowych. W tej sytuacji bp Adamski wystosował 27 października 1952 r. orędzie do wiernych, kończące się petycją do Rady Państwa, domagającą się przywrócenia nauki religii do szkół. „Jest to nasza niezłomna wola. Nie ustaniemy domagać się naszych praw. Nieuwzględnienie naszego wniosku uważać będziemy za krywdę wprowadzoną nam i dzieciom naszym przez Boga powierzonym do wychowania oraz przyszłym pokoleniom polskim”. Pod petycją podpisało się 72 tys. wiernych. Była to liczba ogromna, tym bardziej że akcje

przeprowadzono w okresie najbardziej zbrodniczych represji, gdy już samo złożenie podpisu było aktem dużej odwagi. Mogło bowiem oznaczać nie tylko wyrzucenie z pracy (czy dzieci ze szkoły), ale nawet aresztowanie. W „odpowiedzi” 3 listopada 1952 r. do katowickiej kurii, jak i do wielu plebanii, wkroczyła bezpieka. Śląscy biskupi zostali wygnani z diecezji, do której mogli powrócić dopiero jesienią 1956 r.

Za podtrzymywanie oporu przeciwko komunizmowi duchowni zapłacili dużą cenę. Już w 1944 r. funkcjonariusze UB zastrzelili kapelana Okręgu Armii Krajowej Rzeszów, ks. Michała Pilipca ps. „Ski”, natomiast bojówka PPR zamordowała sługę Bożego ks. Michała Rapacza... Kary śmierci wykonano na kapłanach wspierających niepodległościowe podziemie, mordując m.in. jezuitę ks. Władysława Gurgacza i chrystusowca ks. Rudolfa Marszałka. W 1947 r. w więzieniach było 60 duchownych, rok później już 400 (w latach 1945–1956 w diecezji katowickiej zaaresztowano 25 duchownych, w krakowskiej – co najmniej 60). W okresie PRL przez więzienia przeszło co najmniej 1 tys. duchownych, wobec których orzeczono wyroki sądowe, do tego należy dodać jeszcze ponad 100 zakonników; 260 spośród nich zasądzono wyroki od 8 do 10 lat pozbawienia wolności, a 67 powyżej 10 lat więzienia lub dożywocie. Do więzień trafili wszyscy duchowni greckokatolicy z wyjątkiem tych, którzy uciekli za granicę.

„Moralne symulactwo”

Popaździernikowa „odwilż” nie trwała długo. Już na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych komuniści rozpoczęli kolejny etap walki z Kościołem. Efekty tych działań – rozpoczęte pod koniec dekady lat czterdziestych – stały się widoczne w ciągu jednego pokolenia. Ćwierć wieku później prymas Stefan Wyszyński stwierdził, że „odebrano młodzieży, podobnie jak i całemu społeczeństwu, wolność myślenia, mówienia i stowarzyszania się, zaś hasło będące wyrazem symulactwa moralnego: »aby żyć, trzeba kłamać«” zaczęło wyrażać postawę części społeczeństwa.

Ilustracją konformizmu – będącego wynikiem takiej polityki reżimu – był wzrost liczby doktorantów-członków PZPR (np. w latach 1965–1970 procent doktorantów-członków PZPR na Wydziale Filozoficzno-Historycznym i Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego wzrósł z 0–8 do 65–80 proc.). A nie było to przecież wynikiem „nawrócenia” na komunizm, ale właśnie zgody na życie w kłamstwie.

Zatem wielu ludzi z kolejnego pokolenia „żyło, aby przeżyć, goniąc za łatwizną, aby się jakoś przesiłnić, aby coś tam wiedzieć dla nauczyciela, profesora [...], wskutek czego rosła ilość dyplomowanych magistrów i doktorów, ale mało było ludzi kompetentnych, umiejących kierować, zdolnych nauczyć rzetelnego życia i trwałych wartości” – podkreślał kard. Wyszyński. Właśnie „wyprodukowani” w PRL „wyształceńcy” stali się najtrwalszym spadkiem, jaki pozostawili po sobie komuniści.

Wybrana literatura:

Mirosław Bielaszko, *Księża niezłomni – ksiądz Zygmunt Kaczyński 1894–1953. „Nie dam się złamać”, „Nasz Dziennik”, 12 V 2007; Mirosław Bielaszko, „Tygodnik Warszawski” i jego środowisko (1945–1948), „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2007, nr 4 (75), s. 77–83; Barbara Fijałkowska, *Partia wobec religii i Kościoła w PRL*, t. 1: 1944–1955, Olsztyn 1999; Andrzej Grajewski, *Wygnanie*, Katowice 1989; Ludwik Grzebień, Jan Niemiec, Jerzy Kochanowicz, *Chyrowiaczy. Słownik biograficzny wychowanków Zakładu Naukowo-Wychowawczego oo. Jezuitów w Chyrowie, 1886–1939*, Kraków 2000; Jerzy Kłoczowski, Lidia Müllerowa, Jan Skarbek, *Zarys dziejów Kościoła katolickiego w Polsce*, Kraków 1986; Artur Mezglewski, *Szkolnictwo wyznaniowe w Polsce w latach 1944–1980. Studium historyczno-prawne*, Lublin 2004; Mieczysław Ryba, *Szkola w okowach ideologii. Szkolna propaganda komunistyczna w latach 1944–1956*, Lublin 2006; Alina Rynio, *Wychowanie młodzieży w nauczaniu kardynała Stefana Wyszyńskiego*, Lublin 1995; Ludwik Szuba, *Polityka oświatowa państwa polskiego w latach 1944–1956*, Lublin 2002; Dominik Zamiatała, *Caritas. Działalność i likwidacja organizacji 1945–1950*, Lublin 2000; Zygmunt Zieliński, *Kościół w Polsce 1944–2002*, Radom 2003; Jan Żaryn, *Kościół a władza w Polsce (1945–1970)*, Warszawa 1970.*

DRUKARNIA ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU NA CELOWNIKU BEZPIEKI (1948–1950)

W latach powojennych pozbawianie społeczeństwa jego warstwy przywódczej polegało nie tylko na fizycznym unicestwianiu, więzieniu, pauperyzowaniu bądź odbieraniu możliwości kariery zawodowej ludziom zaliczanym do elity intelektualnej. Poważnym ciosem dla polskiej inteligencji było także wprowadzenie monopolu partyjno-państwowego w dziedzinie wydawnictw i publikacji. Komuniści skazywali na niebyt zarówno jednostki, jak i całe grupy społeczne oraz instytucje. Jedną z nich miała być Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu.

Instytucja

Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha (DiKŚW), spółka akcyjna, zaliczała się do najważniejszych instytucji wydawniczych II Rzeczypospolitej. Powołana w 1897 r., stanowiła własność arcybiskupów poznańskich. Odegrała trudną do przecenienia rolę w walce o polskość nie tylko pod zaborem pruskim. Mimo utrudnień, jakich nie szczędził zaborca, firma rozwijała się prężnie, ale szczególnego rozmachu nabrała jej działalność w II Rzeczypospolitej. Nabywano nieruchomości, nieustannie modernizowano park maszynowy, a jakoś techniczna wydawanych czasopiśm i książek nie ustępowała najlepszym oficyom zagranicznym. Zakłady Graficzne przy ul. Wawrzyniaka posiadały wszystkie znane ówczesnie działy techniki graficznej, własną odlewnię czcionek i introligatornię. W połowie lat dwudziestych XX w. firma osiągnęła zupełną samowystarczalność.

W pierwszych miesiącach II wojny światowej cały majątek DiKŚW został przejęty przez Rzeszę Niemiecką. Na początku lutego 1945 r., w czasie walk o dzielnicę Jeżyce, na terenie której znajdowały się Zakłady Graficzne, wycofujący się Niemcy podpalili budynki. Gmach drukarni i znajdujące się w nim maszyny ocalili pracownicy. Drukarnię uruchomiono 7 lutego. Dwa dni później, na zebraniu załogi, w obecności delegata Ministerstwa Przemysłu tzw. Rządu Tymczasowego oraz pełnomocnika Urzędu Informacji i Propagandy w Poznaniu wybrano Radę Zakładową oraz kierownika drukarni w osobie przedwojennego kierownika technicznego, Cezarego Steina¹. Przedsiębiorstwu narzucono tymczasowy zarząd państwowy, a więc zaliczono je do kategorii obiektów, które bądź utraciły właścicieli, bądź posiadały szczególne znaczenie dla gospodarki. A przecież Spółka DiKŚW nie była pańska, bowiem cały czas obecny był w Poznaniu bp Walenty Dymek, który też natychmiast podjął starania o odzyskanie przejętego pod tymczasowy zarząd państwowy majątku. Zresztą zarówno de-

¹ Pierwsze tygodnie pracy drukarni opisał Tadeusz Żynda, od połowy 1945 r. dyrektor techniczny. „[...] mimo braku światła, siły, wody, gazu, braku oszklenia drukarni poświęcono niezliczoną ilość godzin ofiarnej bezinteresownej pracy w porządkowaniu drukarni [...]; wszyscy sprząтали, dźwigali, zamiatali i czynili wszystko, by stworzyć jak najprędzej możliwości pracy we wszystkich działach drukarni [...]. Sukcesem wielkim było ukazanie się mimo braku prądu w dniu 16 lutego 1945 pierwszej gazety »Głos Wielkopolski«. Druk odbywał się na maszynie płaskiej kręczonej za pomocą sznurów, które ciągnęli na zmianę koledzy z hali maszyn. [...] Od 9 lutego do 9 kwietnia 1945 r. nie pobierał na terenie drukarni nikt z kolegów drukarzy poborów [...]», *Radosny okres*, mps artykułu napisanego jesienią 1948 r., w zbiorach Mariana Żyndy. Po aresztowaniu Żyndy tekst ten został odrzucony przez komitet redakcyjny pracy zbiorowej *Wspomnienia drukarzy 1945–1955*, Warszawa 1955.



Księgarnia Drukarni św. Wojciecha w Poznaniu, uruchomiona jako pierwsza po wojnie księgarnia w mieście, 12 kwietnia 1945 r. (fot. ze zbiorów M. Żyndy)

kret o majątkach opuszczonych i porzuconych (z 2 marca 1945 r.), jak i ustawa z 6 maja 1945 r. w tej samej sprawie, głosiły, że majątek utracony przez właściciela w wyniku działań wojennych lub decyzji okupanta zostanie mu zwrócony. Po wymianie kolejnych pism, 8 czerwca 1945 r. Wydział Społeczno-Polityczny Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego stwierdził: „Prawo własności Drukarni i Księgarni św. Wojciecha S-ka z o.o. do poszczególnych obiektów, wymienionych w piśmie Kurii Arcybiskupiej z dnia 6 III 45 r. L. dz. W/45 jako rzecz powszechnie i od dawna znana – **nie jest** kwestionowane przez władze państwowe. Przejęcie w zarząd państwowy niektórych **obiektów mienia kościelnego** nie narusza własności Kościoła Katolickiego do tych obiektów i wywołane zostało koniecznościami wojennymi [...]. Przejęcie w Zarząd Państwowy majątku Spółki z o.o. nie jest konfiskatą i nie ma charakteru stałego [...]”². Przyszłość pokazała coś wręcz przeciwnego.

Chociaż wydana 3 stycznia 1946 r. „Ustawa o przejęciu na własność państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej” uznała przemysł poligraficzny za podlegający bezwzględnie nacjonalizacji, to jednak w ciągu kolejnych lat mienie DiKŚW nie zostało formalnie upaństwowione, a jedynie 1 stycznia 1948 r. zmieniono nazwę Zakładów Graficznych na Państwowe Poznańskie Zakłady Graficzne Okręg Północ (PPZG). Ich dyrekcję i większość załogi stanowili ludzie związani ze spółką DiKŚW jeszcze w okresie międzywojennym, a więc dla nowej władzy niepewni. W pierwszym okresie odbudowy i uruchamiania produkcji byli oni potrzebni, jako dobrzy fachowcy. Zakład rozwijał się pomyślnie, przynosił zyski, tym bardziej więc, w ocenie władz, nie kwalifikował się do zwrotu właścicielom³.

Śledztwo

Rozpracowanie obiektowe o krypt. „Korekta”⁴ prowadzone było przez Wydział IV Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu, a więc jednostkę powołaną do „ochrony

² Odpis pisma Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego, zbiory M. Żyndy.

³ W momencie wprowadzenia tymczasowego zarządu państwowego nad drukarnią (9 II 1945 r.) jej kapitał miał wynosić ok. 5 mln zł. Majątek stały i obrotowy, według stanu na 31 XII 1947 r., przekraczał 211 mln. AIPN Po, 75/2806, t. 2, k. 216, t. 4, k. 249.

⁴ AIPN Po, 04/1192, t. 1–3, Rozpracowanie obiektowe „Korekta”.

gospodarki”. Rozpoczęto je najprawdopodobniej na początku 1948 r. Zachowane dokumenty obrazują działania podjęte już przez Wydział Śledczy WUBP, który zdecydował się na wszczęcie śledztwa w październiku 1948 r. Do końca tego roku aresztowani zostali m.in. dyrektor naczelny Cezary Stein⁵, dyrektor handlowy Kazimierz Lesiński⁶, dyrektor techniczny Tadeusz Żynda⁷, kierownik ekspedycji Stanisław Haremza, magazynier Kazimierz Urbański oraz Brunon Zieliński, właściciel przedsiębiorstwa księgowości przebitkowej „Perfekta”. W „Planie śledztwa” napisano: „Na podstawie akt »A.G.« [agenturalnych] i wstępnego śledztwa ustalono, że Państwowe [Poznańskie] Zakłady Graficzne dawniej »św. Wojciech«, obsadzone są przez element o poglądach endecko-klerykalnych. Na terenie zakładu stwierdzone zostały przez agencję wypadki uprawiania szeptanej propagandy, wystąpień antypaństwowych i antyradzieckich, oraz fakty noszące znamiona sabotażu. Zachodzi podejrzenie, że strajk, który miał miejsce w dn. 25.9.1947 r., zainscenizowany został przez kierownictwo, celem niedopuszczenia do upaństwowienia działu wydawniczego tychże zakładów”⁸.

Wraz z postępowaniem śledczym w PPZG odbywała się kontrola, którą przeprowadzali inspektorzy Centralnego Inspektoratu Kontroli Centralnego Zarządu Państwowych Zakładów Graficznych w Warszawie. W jej wyniku dyrektorom Steinowi i Lesińskiemu zarzucono „prowadzenie wroziej działalności dla istniejącego ustroju państwa przez czynienie moralnych i materialnych strat [te ostatnie określono na mniej więcej milion zł], brak poszanowania aktualnych rozporządzeń prawnych, omijanie nakazów i zakazów, tolerowanie tylko z musu istniejących instytucji demokratycznych”⁹.

Opinia ta musiała się wydać niewystarczająca, skoro prowadzący śledztwo ppor. Stanisław Wölander powołał własnych biegłych dla „ustalenia dowodów winy podejrzanych”¹⁰. W trakcie przesłuchań wydobyto z aresztowanych bardziej szczegółowy materiał obciążający. Jednym z głównych wątków śledztwa była sprawa ponemieckiego papieru, którego część zatajono w remanencie przeprowadzonym w końcu 1945 r., w związku z wydaniem 5 grudnia 1945 r. przez Radę Ministrów zarządzenia wyłączonego papieru z wolnego obrotu. Zarzut formalnie natury kryminalnej, miał faktycznie zupełnie inne podłoże. Papier był towarem trudno dostępnym, a każdy, kto chciał wydawać czasopisma czy książki, musiał uzyskać nie tylko zgodę właściwego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, ale także odpowiedni przydział papieru. Fakt zatajenia części posiadanej papieru miał – według wyjaśnień dyrekcji – zapewnić Zakładom Graficznym płynność produkcji i rentowność na wypadek nieotrzymywania odpowiednich przydziałów papieru. Poza tym za pieniądze uzyskane ze sprzedaży tego papieru na wolnym rynku można było wesprzeć odbudowę przedsiębiorstwa, unowocześnić park maszynowy, zakupić niezbędne czcionki i części do maszyn. Zakładom nie udało się bowiem uzyskać kredytów państwowych na te cele. Części do maszyn drukarskich oraz czcionki pochodziły najczęściej z tzw. szabru na ziemiach odzyskanych, ich zakupy nie mogły być więc dokumentowane w postaci rachunków. Oczywiście dzięki ukryciu części papieru możliwe było wykonywanie zamówień dla odbiorców prywatnych,

⁵ Cezary Stein (1893–1949), powstaniec wielkopolski, od 1919 r. zatrudniony w Drukarni św. Wojciecha jako zecer. W 1930 r. został dyrektorem technicznym. W lutym 1945 r. wybrano go na dyrektora Zakładów Graficznych. Członek Stronnictwa Pracy.

⁶ Kazimierz Lesiński (1908–1976), ekonomista, od 1933 r. zatrudniony w DiKŚW. W czasie okupacji członek organizacji „Ojczyzna”, ps. „Ksawery Lenc”, prowadził tajną akcję pomocy społecznej oraz informacji i propagandy, współpracował z siatką tajnej administracji państwowej. W lutym 1945 r. powrócił do pracy w DiKŚW, w marcu 1946 r. został dyrektorem handlowym. Skazany 20 IV 1950 r. przez WSR w Poznaniu na karę piętnastu lat więzienia. Zwolniony w maju 1955 r. Przez pewien czas pozostawał bez pracy. Od 1956 r. zatrudniony w Wydawnictwie Poznańskim, a następnie w Wydawnictwie „Pallotinum”.

⁷ Tadeusz Żynda (1903–1964), zatrudniony w DiKŚW od 1920 r. W czasie okupacji członek konspiracyjnej organizacji Wojsko Ochockie, brał udział w drukowaniu gazetki „Polonia Poznańska”. W 1940 r. został aresztowany przez gestapo. Był więziony w Forcie VII w Poznaniu i w więzieniu w Rawiczu; zapadł na gruźlicę. Na początku lutego 1945 r. powrócił do pracy w DiKŚW, w lipcu 1945 r. został dyrektorem technicznym. Członek PPR. Skazany 20 IV 1950 r. przez WSR w Poznaniu na karę piętnastu lat więzienia. W marcu 1954 r. zwolniony ze względu na zły stan zdrowia. Podjął pracę w Zakładach Graficznych w Łodzi.

⁸ AIPN Po, 04/1192, t. 1, k. 18, 19.

⁹ *Ibidem*, t. 2, k. 232.

¹⁰ *Ibidem*, t. 1, k. 47, 48.

zwłaszcza dla Kościoła katolickiego, który otrzymywał bardzo niewielkie przydziały papieru dla swoich wydawnictw¹¹. Ludzie związani od wielu lat z katolickim koncernem wydawniczym nie mogli nie podejmować działań wspierających powojenne kościelne inicjatywy w tej dziedzinie.

Dowodzi tego kolejny zarzut wysuwany w toku śledztwa – mianowicie faworyzowanie prywatnych, szczególnie kościelnych klientów i związany z tym zarzut sprzyjania zabiegom reprivatyzacyjnym podejmowanym przez przedwojennych właścicieli DiKŚW. Śledztwo wyraźnie zmierzało w kierunku przygotowania odpowiedniego gruntu do ataku na Kościół. Już po zamknięciu śledztwa przeciwko dyrekcji drukarni podjęto nowe rozpracowanie obiektowe w celu zgromadzenia dowodów „wrogiej działalności księży”¹².

W kręgu zainteresowania WUBP w Poznaniu znalazł się m.in. ks. Antoni Rauer z Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej, który „wybił się na czoło jako jeden z najaktywniejszych organizatorów akcji sabotażowej na terenie PPZG”. Miał on zaprzysiąc dyrekcję PPZG „na Chrystusa do ścisłej współpracy w kierunku sabotowania produkcji w PPZG i zwalczania wszelkimi środkami ustroju dem[okracji] lud[owej]”. Podobne zarzuty formułowano wobec ks. Stanisława Czapl i ks. Romana Lena, dyrektorów wydawnictwa „Pallotinum”. Kierownictwo wrogiej grupy księży spoczywać miało w ręku abp. Walentego Dymka, który jakoby nawoływał do „wszczęcia akcji o reprivatyzację zakładów poprzez wytworzenie warunków nierentowności przedsiębiorstwa”. Celem prowadzonej przez dyrekcję PPZG pod wpływem księży akcji sabotażowej miało być także „zarzucenie rynku materiałami propagandy katolickiej kosztem ograniczenia wydawnictw państwowych, szkolnych i politycznych”¹³. Mimo wszelkich starań, nie udało się jednak udowodnić w śledztwie niewykonania przez drukarnię planów państwowych i to w okresie szalejącego tzw. wyścigu pracy¹⁴.

Drugim, obok kleru, środowiskiem mającym inspirować sabotaż w PPZG była – w przekonaniu funkcjonariuszy UB – organizacja „Ojczyzna”, a zwłaszcza zatrudniony w wydawnictwie „Pallotinum” Kirył Sosnowski¹⁵.

Pośród klientów prywatnych (nie „klerykalnych”) szczególnie faworyzowana, zdaniem śledczych, była firma „Perfekta”, której właściciel był współoskarżonym w sprawie Drukarni św. Wojciecha. Śledczy zarzucali mu przekupywanie dyrekcji i pracowników PPZG oraz działanie na szkodę państwa (opóźnianie terminowego wykonania zamówień państwowych i „ogólnospołecznych”)¹⁶. Zieliński, zakładając w sierpniu 1945 r. firmę wydawniczą druków do księgowości przebitkowej, utrafił znakomicie w potrzeby rynku. Przymusowe wprowadzenie w przedsiębiorstwach państwowych tzw. jednolitego planu kont, spowodowało dosłownie zalew firmy zamówieniami. Od początku wykonawcą druków dla „Perfekty” była Drukarnia św. Wojciecha. Pewne pojęcie o rozwoju „Perfekty” daje sprawozdanie biegłych, z którego wynika, że obroty firmy wzrosły z niecałych 2 mln zł w 1945 r. do ponad 174 mln zł w 1948 r. W lutym 1949 r. biegli wystosowali pismo do CZPZG w Warszawie, w którym domagali się ustanowienia przymusowego zarządu państwowego nad „Perfekta”. Osiem miesięcy później firma została zajęta decyzją Wojskowego Sądu Rejonowego w Poznaniu dla zabezpieczenia grożącego Zielińskiemu wyroku przepadku mienia¹⁷.

¹¹ O polityce państwa w stosunku do prasy i wydawnictw katolickich zob. m.in. J. Stefaniak, *Polityka władz państwowych PRL wobec prasy katolickiej w latach 1945–1953*, Lublin 1998; O. Nowicka, *Cenzura wobec prasy i wydawnictw katolickich w Wielkopolsce w latach 1945–1956* [w:] *Władze wobec Kościołów i związków wyznaniowych w Wielkopolsce w latach 1945–1956*, red. K. Białycki, Poznań 2008, s. 175–182.

¹² AIPN Po, 04/1192, t. 1, k. 161–168. AIPN Po, 75/2806, t. 1–4, *passim*.

¹³ AIPN Po, 04/1192, t. 1, k. 163–167.

¹⁴ AIPN, 01206/13, t. 4, k. 15, 49. Interesujące jest wyjaśnienie tego „fenomenu” przez biegłych: „Mimo nadużyć, defraudacji dyrekcji, robotnicza grupa wychodzi zwycięsko, gdyż Zakłady wykazują zyski, a zatem dyrekcja nie nadążała swą kradzieżą za tempem pracy robotnika i jej owocnych rezultatów [sic!]” – AIPN Po, 75/2806, t. 3, k. 155.

¹⁵ Na temat rozpracowania „Ojczyzny” zob. A. Pietrowicz, *Rozpracowanie organizacji „Ojczyzna” przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego – wątek poznański*, „Przegląd Zachodni” 2006, nr 3, s. 177–196.

¹⁶ AIPN Po, 04/1192, t. 2, k. 84–88, 233–234; AIPN Po, 04/1192, t. 3, k. 40, 41, 154–158, 243.

¹⁷ *Ibidem*, t. 3, k. 56–58, 194; t. 1, k. 120, 121.

Zebrany w śledztwie materiał był także wykorzystany do działań operacyjnych prowadzonych przeciwko prywatnym wydawcom i właścicielom księgarń, wśród których były osoby bardzo zasłużone dla kultury narodowej, jak Feliks Pieczętkowski, Bolesław Żynda i Filip Trzaska. W okresie nasilającej się „bitwy o handel” los prywatnych właścicieli nawet niedużych wydawnictw czy księgarń był przesadzony. Nie przetrwały one roku 1950. Rolą bezpieki było m.in. doprowadzenie do ich skompromitowania oraz stałe nękanie, by w ten sposób przygotować grunt do ewentualnych wyroków¹⁸.

Wśród pojawiających się w trakcie śledztwa oskarżeń wiele miało charakter polityczny. Dyrektorowi Steinowi zarzucono np. wydanie nakazu usunięcia ze świetlicy Zakładów Graficznych portretów dostojników partyjnych. Dyrekcja miała też sprowokować protest załogi we wrześniu 1947 r., gdy okazało się, że będąca częścią firmy Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza ma zostać przekazana na własność Państwowemu Instytutowi Wydawniczemu, co w końcu rzeczywiście nastąpiło. Odebranie księgarni, co niosło za sobą pewne straty finansowe, prawdopodobnie przepełniło czarę goryczy załogi, pracującej długie godziny (by wykonać normy), a bardzo mizernie opłacanej. Na terenie PPZG doszło 25 września 1947 r. do jednogodzinnego strajku¹⁹.

Groźnie w 1949 r. brzmiały zarzuty utrzymywania przez dyrekcję w latach 1945–1947 kontaktów z wybitnymi działaczami PSL (legalnej przeciw partii) – Tadeuszem Nowakiem i Michałem Jagłą, faworyzowania ich druków, a zwłaszcza wydania przed wyborami w styczniu 1947 r. broszury PSL, która rzekomo nie miała zgody na druk ze strony Urzędu Kontroli Publikacji²⁰.

W toku śledztwa pojawił się też wątek szpiegowski. Chodziło o wizytę konsula amerykańskiego oraz attaché wojskowego konsulatu na terenie zakładu. W trakcie oprowadzania po warsztatach drukarskich zobaczyli oni drukowane mapy, których jakość pozostawiała wiele do życzenia. Na dodatek dyrektor Żynda miał poinformować konsula, że dobre maszyny kartograficzne, sprowadzone w czasie okupacji przez Niemców, zostały w połowie 1945 r. wywiezione z drukarni do Związku Radzieckiego. Jednym z dowodów rzeczowych w sprawie była wspólna fotografia dyrekcji i konsula, wykonana w świetlicy drukarni. Zarzut zdrady tajemnicy państwowej pojawił się też w związku z zatrzymaniem sobie przez niektórych pracowników drukowanej w zakładzie książki *Plan trzyletni*. Odpierając oskarżenie, dyrektor Stein wyjaśnił, iż książka drukowana była w nakładzie 5 tys. egzemplarzy i nie posiadała nigdzie adnotacji, że jest tajna²¹.

Stosowane przez pracowników resortu bezpieczeństwa metody, mające skłonić przesłuchiwanym do potwierdzenia stawianych im zarzutów, są powszechnie znane. W protokołach przesłuchań, a zwłaszcza w protokole rozprawy głównej, znaleźć można przykłady odwoływania złożonych wcześniej zeznań. Dyrektor Stein co najmniej dwukrotnie odważył się przeciwstawić woli śledczego. Za pierwszym razem ppor. Wolender zdołał mu „wyperswadować” taki zamiar. Po kolejnym przesłuchaniu dyrektora ppor. Wolender wystosował 26 marca 1949 r. pismo do naczelnika Wydziału Śledczego WUBP w Poznaniu, w którym informował, że wobec podburzania dyrektora Steina przez współwięźniów do odwoływania zeznań, przynosi podejrzanego do pojedynczej celi. Następnego dnia znaleziono dyrektora powieszzonego w celi osławionego aresztu śledczego WUBP przy ul. 27 Grudnia i stwierdzono samobójstwo. Czy rzeczywiście było to samobójstwo? Nie sposób dziś na to pytanie jednoznacznie odpowiedzieć²².

¹⁸ *Ibidem*, t. 1, k. 102–103; AIPN Po, 75/2806, t. 3, k. 204; Zob. też niepublikowane wspomnienia Bolesława Żyndy *Kartki z pamiętnika księgarza Bolesława Żyndy z okresu odbudowy kraju. Poznań 1945–1950*, mps w zbiorach M. Żyndy.

¹⁹ AIPN Po, 75/2806, t. 1, k. 34–46, 67–71, 154, 155; AIPN, 00231/173, t. 38, k. 11.

²⁰ AIPN Po, 04/1192, t. 1, k. 166, 167; AIPN, 00231/173, t. 38, k. 18, 19, 27 i t. 40, k. 10.

²¹ AIPN Po, 75/2806, t. 1, k. 54, 55, 81–83, 118, 119, 126–128, 180–184.

²² AIPN, 00231/173, t. 40, k. 20; AIPN Po, 04/1192, t. 1, k. 78; AIPN Po, 75/2806, t. 3, k. 138. Śmierć dyr. Steina nie jest jedyną niewyjaśnioną tragedią związaną ze sprawą Drukarni św. Wojciecha. W rok po ogłoszeniu wyroku w tej sprawie, 18 IV 1951 r., zginął tragicznie w wieku 21 lat starszy syn dyr. Żyndy, Antoni. Rzekomo spadł ze schodów w domu przy ul. Konopnickiej, w którym mieszkał (mieszkanie Żyndów było na I piętrze). Upadek spowodował pęknięcie podstawy czaszki i w następstwie zgon. Czy był to tylko nieszczęśliwy wypadek? Informacja pochodzi od Mariana Żyndy, bratanka Tadeusza.

Dyrektor Żynda z kolei zapadł tak ciężko na zdrowiu, że nawet lekarz więzienny stwierdzał, iż dalszy pobyt w więzieniu zagraża jego życiu. Mimo gruźliczej „gorączki typu trawiącego”, zapalenia mięśnia sercowego, bólu związane go z chorobami i poranieniem oraz ogromnego osłabienia, był ciągle przesłuchiwany. W orzeczeniach lekarskich, obok informacji o ogólnym stanie więźnia: „blady, wyniszczony”, znaleźć można dowody stosowanych „metod śledczych” – bicia czy sadzania na nodze odwróconego stołka²³.

W grudniu 1949 r. śledztwo zostało zamknięte. Liczący dwadzieścia stron maszynopisu akt oskarżenia przygotował ppor. Wołender, a zatwierdził wiceprokurator WPR w Poznaniu, mjr Tadeusz Kolwiński. Duży nacisk położono na zarzuty natury politycznej, takie jak: kontakty z „reakcyjnym klerem”, uleganie jego wpływom, rozpowszechnianie wśród załogi antypaństwowych i antysowieckich wypowiedzi, które „osłabiały ducha pracy u robotników”. Ponadto stwierdzono: „Dyrektorzy Zakładów Graficznych, będąc wrogami Polski Ludowej i oczekując rychłej wojny, uważali, że należy jak najbardziej szkodzić Zakładom przez różnego rodzaju malwersacje, przez doprowadzenie do wielkich deficytów, aby w ten sposób wykazać nierentowność Zakładów co w ich mniemaniu miałyby doprowadzić do reprivatyzacji Zakładów na rzecz księży, przedwojennych właścicieli”. Swoistą kwintesencją aktu oskarżenia jest zdanie: „Była to działalność przestępcza, mająca charakter zorganizowany, a zatem **brak dowodów** [podkreślenie A.P.], które zostały w czas usunięte”. W następujących dalej konkretnych oskarżeniach poszczególnych osób pozostały w zasadzie tylko zarzuty kryminalne (łapówki, malwersacje), którym nadano znamiona zorganizowanego sabotażu²⁴.

Proces i wyrok

Rozprawa główna toczyła się przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Poznaniu od 11 do 14 kwietnia 1950 r. Przewodniczył zastępca szefa WSR, mjr Marian Doerffer. W rozprawie brał udział prokurator wojskowy, mjr Czesław Borkowski. Żaden z oskarżonych nie przyznał się do winy. W obszernych wyjaśnieniach przedstawili oni warunki, w jakich odbywała się odbudowa przedsiębiorstwa, codzienne zmagania o potrzebny papier, części do maszyn i inny sprzęt, wielki wysiłek całej załogi. Wyjaśnienia oskarżonych znalazły oparcie w zeznaniach niemal wszystkich świadków. Także obrońcy starali się stanąć na wysokości zadania. W tej sytuacji ciężar oskarżenia opierał się na odczytywaniu zeznań ze śledztwa oraz na wystąpieniach biegłych, zwłaszcza Stanisława Kozikowskiego. Ostatecznie biegli musieli przyznać, że obliczona przez nich suma strat, jakie poniosła drukarnia, jest zawyżona. Świadectwem ich irytacji może być następująca wypowiedź biegłego Kozikowskiego: „Jest pewna chęć zaczarowania nas, lecz my się nie damy [...]. Trudno jest dostarczyć dowodów przestępstwa [...], bo każdy przestępca



Fotografia wykonana w czasie wizyty konsula amerykańskiego w Drukarni św. Wojciecha. Od lewej siedzą: Tadeusz Żynda, konsul, Cezary Stein; stoją: Marian Orłowski (dyrektor CZPZG Okręg Poznań), Kazimierz Lesiński (fot. AIPN)

²³ AIPN Po, 75/2806, t. 3, k. 141, t. 4, k. 10.

²⁴ *Ibidem*, k. 228–247, 250.

jest sprytny”. Ripostował mec. Marian Schroeder, mówiąc: „Obrona nie ma zamiaru nikogo czarować, a tylko dąży do wykrycia prawdy materialnej”. Wielokrotnie w czasie rozprawy oskarżeni przytaczali dowody swojej dbałości o przedsiębiorstwo i jego rentowność. Dawali też do zrozumienia, że w czasie śledztwa spotykali się z narzucaniem im treści zeznań bądź z przymusem²⁵.

Rozprawie towarzyszyła nagonka prasowa. Znamienny może być fakt, że jeden z artykułów, *Wielomilionowe nadużycia wykryto w Państw[owych] Pozn[zańskich] Zakł[adach] Graficznych*²⁶, ukazał się w „Kurierze Wielkopolskim”, organie Stronnictwa Demokratycznego, który był największym dłużnikiem drukarni. Dyrektor Lesiński, któremu w śledztwie zarzucano tolerowanie tego długu, tłumaczył, że jest to gazeta codzienna, którą Zakłady Graficzne zmuszone są wydawać pod naciskiem władz, mimo nieuiszczenia należności za druk²⁷.

W sentencji wyroku, 20 kwietnia 1950 r., sąd nie dał wiary wyjaśnieniom oskarżonych i świadków i uznał oskarżonych winnymi zarzucanych im czynów. W związku z tym dyrektorzy Lesiński i Żynda zostali skazani na piętnaście lat więzienia, Brunon Zieliński otrzymał karę dwunastu lat więzienia, Kazimierz Urbański – dziesięciu, a Stanisław Haremza – trzech lat pozbawienia wolności (karę darowano mu na podstawie ustawy o amnestii z 22 lutego 1947 r.). W stosunku do wszystkich oskarżonych orzeczono karę utraty praw publicznych i honorowych oraz przepadek całego mienia.

Skargi rewizyjne obrońców pozostały bez uwzględnienia, a wyroki utrzymane w mocy postanowieniem Najwyższego Sądu Wojskowego (NSW) z 22 listopada 1950 r.²⁸ Dopiero postanowienie Zgromadzenia Sędziów NSW z 22 września 1954 r. złagodziło wyroki, uznając, że brakuje dowodów na to, by oskarżeni działali z pobudek kontrrewolucyjnych. W związku z tym zmniejszono wymiar zasądzonych kar pozbawienia wolności: Lesińskiemu do dziesięciu lat, Urbańskiemu i Zielińskiemu do ośmiu lat, a Żyndzie do siedmiu i pół roku²⁹.

Ciężko chory Tadeusz Żynda uzyskał 8 marca 1954 r. zgodę WSR w Poznaniu na przerwę w odbywaniu kary, a 25 listopada tegoż roku został warunkowo zwolniony. Nieco wcześniej na warunkowe zwolnienie wyszedł Kazimierz Urbański, który w więzieniu zapadł na gruźlicę. Brunon Zieliński został zwolniony z odbywania reszty kary 22 lutego 1955 r. Trzy dni później zgodę sądu na zwolnienie warunkowe otrzymał Kazimierz Lesiński³⁰.

Wyrok z 20 kwietnia 1950 r. symbolicznie zamykał trwający od 1945 r. proces upaństwowienia DiKŚW, która została ostatecznie przejęta przez państwo na rzecz CZPZG 15 marca 1950 r. Wkrótce potem patronem Zakładów Graficznych został Marcin Kasprzak. Interesujące jest, że mimo aresztowań przeprowadzonych przez UB wśród pracowników drukarni, notowano nadal na jej terenie „szereg wystąpień o treści antypaństwowej”³¹.

Do dziś wyroki w sprawie dyrekcji PPZG nie zostały zrewidowane, a Księgarnia św. Wojciecha nie odzyskała całego, zagrabionego w pierwszych latach powojennych, majątku.

Więcej informacji na ten temat, a także rozbudowane przypisy, znajdzie czytelnik w artykule autorki *Działania Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Poznaniu przeciwko Drukarni św. Wojciecha – śledztwo i proces dyrekcji (1948–1950)* [w:] *Zmagania ze społeczeństwem. Aparat bezpieczeństwa wobec Wielkopolan w latach 1945–1956*, red. A. Łuczak, A. Pietrowicz, Poznań 2008, s. 173–198.

²⁵ *Ibidem*, k. 145–202. Dyrektor Żynda stwierdził: „W śledztwie sugerowano mnie, że inni oskarżeni w ten sposób wyjaśniali i dlatego ja także w ten sposób wyjaśniałem, chociaż to nie jest zgodne z prawdą. [...] Mówili mi w śledztwie, bym się przyznał, bo to mi ułatwi rozprawę. Ja się więc przyznałem i chciałem się cofnąć, lecz było już za późno. [...] Przed prokuratorem podtrzymałem zeznanie z śledztwa, bo dwaj porucznicy nastraszyli mnie, że mnie zabiorą na 27 Grudnia [chodzi o areszt śledczy WUBP w Poznaniu, gdzie działał osławiony chor. Jan Młynarek, etatowy „dowódca plutonów egzekucyjnych”, w którym miał popełnić samobójstwo dyr. Stein]. Wyjaśniałem tak z tym, że liczyłem, że szereg rzeczy będę mógł przed sądem wyjaśnić. Wtedy obawiałem się to uczynić”.

²⁶ „Kurier Wielkopolski”, 24 III 1950 r.

²⁷ AIPN Po, 75/2806, t. 4, k. 248.

²⁸ *Ibidem*, k. 262–265. Sąd orzekał pod przewodnictwem płk. Kazimierza Drohomireckiego.

²⁹ *Ibidem*, k. 418–420.

³⁰ *Ibidem*, k. 397, 445, 453, 464, 475.

³¹ AIPN Po, 06/115/4, k. 210.

CZOŁOWY ODDZIAŁ PRACOWNIKÓW KULTURY

„Przecież to wszystko, co przyszło do nas [ze Związku Sowieckiego - J.B.], nie miało nic wspólnego ani z polską tradycją, ani polską kulturą” – mówił z perspektywy czasu poeta Zbigniew Kubikowski. – „Było to absolutnie obce i wszyscy to traktowali jako inwazję, jako wojnę światów Wellsa. Po prostu inwazję z obcej planety”¹. Wiedzieli o tym doskonale także polscy komuniści: „Przez [...] tydzień lat nagromadziło się [...] szereg pojęć, kompleksów, poglądów, przeświadczeń i wiar” – przyznawał Jakub Berman, odpowiedzialny za problemy ideologiczne, oświatowe, kulturę, propagandę, a także sprawy zagraniczne i bezpieczeństwa publicznego². Przebudowie stosunków politycznych i gospodarczych musiało zatem towarzyszyć urabianie umysłów. Jedną z ważniejszych ról przypadła pisarzom, dzięki którym zakończyło się ono pełnym sukcesem³.

Władza wychodziła ze słusznego założenia, że stanowisko, jakie zajmą pisarze, wpłynie na postawę i światopogląd całego społeczeństwa⁴. Swoimi nazwiskami – zwłaszcza jeśli zdobyli popularność jeszcze przed wojną – mogli bowiem legitymizować jej niechciane przez ogół Polaków rządy, a utworami – realizować zamysły propagandowe. „Na ludziach kultury zależało nam szczególnie” – stwierdzał tenże Berman⁵. Ich pozyskanie nie jawiło się jednak jako łatwe, a nawet przeciwnie, tym bardziej zastanawia więc, jak to się stało, że stosunkowo szybko cel udało się osiągnąć. Za początek procesu uznałabym 10 i 11 sierpnia 1944 r., kiedy to na łamach dziennika „Rzeczpospolita” dwukrotnie ukazała się informacja: „W sobotę, 12-go sierpnia w lokalu redakcji [...] o godz. 16-tej odbędzie się organizacyjne zebranie literatów”⁶. Za koniec zaś – V Walny Zjazd Delegatów ZLP w Warszawie, trwający od 24 do 27 czerwca 1950 r., podczas którego pisarze w dołączonej do zmienionego statutu preambule określili się jako „czołowy oddział pracowników kultury Państwa Ludowego, państwa budującego socjalizm”⁷.

Z chwilą ogłoszenia manifestu PKWN za nową władzą stali ludzie pióra służący w I Warszawskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, sformowanej przez gen. Zygmunta Berlinga. To właśnie oni podjęli kroki zmierzające do reaktywowania przedwojennego Związku Zawodowego Literatów Polskich. W efekcie na początku września 1944 r. doszło do pierwszego walnego zebrania ZZLP

¹ *Inwazja z obcej planety. Rozmowa ze Zbigniewem Kubikowskim, Warszawa, 4 sierpnia 1981* [w:] J. Trznadel, *Hańba domowa. Rozmowy z pisarzami*, wyd. nowe rozszerzone, Warszawa [2006], s. 83.

² T. Torañska, *Oni*, [Warszawa 2004], s. 348 (wywiad z Jakubem Bermanem).

³ W najbliższych miesiącach powinna ukazać się książka autorstwa Cecylii Kuty i mojego *Od uległości do niezależności. Literaci i literatura 1944–1989/1990*, wydana przez Oddział IPN w Krakowie w ramach projektu „Rok Kultury Niezależnej”.

⁴ Pogląd taki sformułował Zbigniew Bieńkowski, relacjonując I Ogólnopolski Zjazd Delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie (odbywający się od 30 VIII do 2 IX 1945 r.), zob. Z. Bieńkowski, *Pierwszy ogólnopolski zjazd literatów*, „Odrodzenie”, 30 IX 1945, nr 44, s. 1.

⁵ T. Torañska, *op. cit.*, s. 350.

⁶ *Organizacyjne zebranie literatów*, „Rzeczpospolita”, 10 VIII 1944, nr 8, s. 4, i 11 VIII 1944, nr 9, s. 4.

⁷ Statut ZLP przechowywany w zbiorach Domu Literatury w Warszawie, sygn. 19.284, s. 1.

i wyłonienia tymczasowego zarządu: z Julianem Przybosiem jako prezesem, Adamem Ważykiem – sekretarzem, oraz Mieczysławem Jastrunem, Kazimierzem Andrzejem Jaworskim, Jerzym Pleśniarowiczem, Jerzym Putramentem i Józefem Wasowskim – członkami. Odtwarzaniem życia literackiego mogli zająć się wyłącznie twórcy cieszący się pełnym zaufaniem. Przed wojną komunizujący lub przynajmniej o poglądach lewicowych, w latach 1939–1941 przebywali głównie we Lwowie, a następnie w głębi ZSRS. Dawali wówczas dowody pełnego podporządkowania się Sowietom, jak choćby wtedy, gdy 19 listopada 1939 r. podpisali (Jerzy Borejsza, Tadeusz Boy-Żeleński, Władysław Broniewski, Aleksander Dan, Halina Górska, Karol Kuryluk, Stanisław Jerzy Lec, Leon Pasternak, Adam Polewka, Wojciech Skuza, Elżbieta Szemplińska, Emil Szirer, Aleksander Wat, Adam Ważyk) oświadczenie „Pisarze polscy witają zjednoczenie Ukrainy”, wyrażające radość z przyłączenia do niej wschodnich terenów Rzeczypospolitej: „Z chwilą gdy runęły sztucznie podtrzymywane bariery nienawiści narodowej, kultura ziem byłej Zachodniej Ukrainy ma możliwość rozwijania się w myśl radzieckiego hasła braterstwa narodów. Pisarze i artyści bez względu na swoją narodowość mają przed sobą otwarte podwoje wielkiej sztuki socjalistycznej”⁸. Ale ich kolaboracja obejmowała coś więcej niż tylko składanie podpisów – co w ostateczności dałoby się uznać za wymuszone akty lojalności – czy publikowanie na łamach „Czerwonego Sztandaru” (choć była to twórczość, jak przyznawał Kazimierz Żygulski, „szczególnie odrażająca [...], pełna nienawiści do niepodległej Polski i równocześnie niewolniczego zachwyty, wiernopoddającego wychwalania nowej radzieckiej ojczyzny i jej wielkiego wodza – Stalina”⁹). Polegała ona także na akcesie do zainicjowanego przez okupanta życia literackiego i kulturalnego: wstępowaniu do Komitetu Organizacyjnego Pisarzy m. Lwowa, 17 września (!) 1940 r. przemianowanego na Związek Pisarzy Sowieckich Ukrainy (z sekcjami: polską, białoruską i żydowską), a ponadto udziale w różnego rodzaju odczytach, akademiach i innych imprezach stwarzających pozory normalizacji¹⁰. Okazało się, że nawet taka postawa nie chroni przed spiralą prowokacji i piekłem stalinowskich represji – w nocy z 23 na 24 stycznia 1941 r. w lokalu restauracji zostali aresztowani uprzednio do niej ściągnięci m.in. Władysław Broniewski, Aleksander Wat, Tadeusz Peiper, Wojciech Skuza. Nie zachwiało to wiarą pisarzy – w przypadku tych, którzy rzeczywiście ją mieli, przy czym niewątpliwie dodatkowo zwiększyło spolegliwość środowiska.

Grupa przegapijących komunizm twórców była jednak w polskim społeczeństwie wyobcowana. „Naród w przeważającej części, inteligencja niemal w całości, są antyrosyjskie, katolickie i antykomunistyczne” – kreślił punkt wyjścia Kubikowski¹¹. W tej sytuacji Borejsza, wcześniej we Lwowie dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, następnie w Armii Czerwonej, działacz Związku Patriotów Polskich, od 23 lipca 1944 r. i inauguracyjnego numeru redaktor naczelny „Rzeczypospolitej”, głównego organu prasowego PKWN, a wkrótce prezes Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, prywatnie zaś – brat sadystycznego płk. Jacka Różańskiego z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, wyłożył program „rewolucji łagodnej”. Ogłoszony na początku 1945 r. w tygodniku „Odrodzenie” mówił o zrastaniu się – w interesie życia kulturalnego i jego rozwoju – starszego pokolenia, przekazującego swoje doświadczenia, z młodszym. Wymagało to wysiłku z obu stron: pierwsze musiało odrzucić „wielkopańskie odruchy” wobec nowej władzy oraz „donkichoterię, pseudoromantyzm, fałszerstwo ideowe i śmierdzący naftaliną snobizm”, a drugie – pogardę dla przeszłości. Pisarze otrzymali obietnicę – przy zachowaniu pełni swobód twórczych – odzyskania właściwej pozycji wieszczów, którą zdaniem Borejszy odebrała im II RP, spychając na co najmniej trzeci plan: „literatura Polski odrodzonej i odnowionej obejdzie się niewątpliwie bez etatyzmu i bez przymusu w dziedzinie kultu-

⁸ *Pisarze polscy witają zjednoczenie Ukrainy*, „Czerwony Sztandar”, 19 XI 1939, nr 48, cyt. za: J. Trznadel, *Kolaboranci. Tadeusz Boy-Żeleński i grupa komunistycznych pisarzy we Lwowie 1939–1941*, Komorów 1998, s. 81.

⁹ K. Żygulski, *Jestem z lwowskiego etapu...*, Warszawa 1994, s. 96.

¹⁰ „Sędziował Boy-Żeleński. U nas na bramce grał Stanisław Wasilewski. Grałem w obronie, potem, wobec bierności reszty drużyny, poszedłem do ataku. Tu rej wodził Prutkowski. [...] Strzelił cztery bramki i wyciągnął wszystko na remis” – pisał Putrament o meczu piłkarskim literatów z zespołem aktorów Teatru Polskiego, zob. J. Putrament, *Pół wieku*, [t.] 2: *Wojna*, [Warszawa] 1962, s. 30.

¹¹ *Inwazja z obcej planety...*, s. 82.

ry¹². Wpisywało się to w koncepcję przewidującą maksymalne wykorzystanie i włączenie przedwojennych elit do socjalistycznego budownictwa¹³.

Jednym z elementów „rewolucji łagodnej” stał się wychodzący od września 1944 r., a kierowany przez Kuryluka tygodnik „Odrodzenie”, otwarty i dla autorów bezpartyjnych, i wywodzących się ze środowisk katolickich. „W rezultacie akcja »liberalnych« redaktorów czasopism literackich [...] w zasadzie się powiodła: wyposzczeni przez okupację pisarze zgłosili w Lublinie, Krakowie, Łodzi czy Warszawie akces do nowej rzeczywistości, pojawiać się jeły książki »na linii«, zwłaszcza zajęto się problematyką nowych Ziemi Zachodnich, powstały też od razu utwory, »ustawiające« historycznie i politycznie nową sytuację w sposób strawny dla nawiedzanego jeszcze wciąż skurczami antysowieckiego oporu społeczeństwa” – oceniał z perspektywy czasu Stefan Kisielewski¹⁴. O tym, że deklaracji ideowych wówczas nie wymagano, świadczy rezolucja podjęta podczas I Ogólnopolskiego Zjazdu Delegatów ZZLP w Krakowie. Wyrażali oni w niej pragnienie sprostania „przetworzeniu w artystyczny kształt wszystkich dążeń i przeżyć naszego Odrodzonego Narodu i Odrodzonej Ludzkości”, opierając się na „najlepszych tradycjach polskiej i europejskiej myśli humanistycznej”¹⁵.

Jednocześnie władza starała się zapewnić jak najlepsze warunki pracy i życie na godziwym, a przynajmniej znośnym poziomie. Zabezpieczała twórców od strony zawodowej (kupując wszystko, byle tylko mieściło się w ideologicznym kanonie, zapewniając druk i kolportaż, recepcję i utrwalanie dzieła w obiegu¹⁶; zdaniem Czesława Miłosza przed każdym, kto posiadał choćby minimum talentu, rysowały się nieograniczone wręcz perspektywy) i materialnej (honoraria i stypendia, zapomogi), ale też socjalno-bytowej, oferując lokale z niezbędnym wyposażeniem, wikt i opierunek. Jan Kott wspominał: „Do magazynów »Czytelnika« szło się po garnki, prześcieradła i koce. Po imbryk i chyba nawet po nocniki”¹⁷. Kazimierz Brandys, który zgłosił się do Borejszy w „papierowych spodniach i jakimś wyleniałym kubraku” dostał co prawda na początek jedynie miejsce w bursie¹⁸, ale autorzy o bardziej znanych nazwiskach liczyć mogli na zdecydowanie więcej. W Łodzi, gdzie po Lublinie i Krakowie (miasta zbyt „przedwojennego”, „eklektycznego”) przeniosło się życie literackie i kulturalne¹⁹, do dyspozycji pisarzy pozostawały cztery budynki mieszkalne, a w niedalekim Teofilowie – obiekt wypoczynkowy. Jerzy Kornacki, wytykając kolegom niewystarczające wypełnianie obowiązków wobec społeczeństwa, przypominał o „pomocy finansowej naszego rządu dla naszego związku, wszystkich domach, resztówkach, zasiłkach, przydziałach”²⁰.

Od samego początku przedstawiciele ZZLP prowadzili akcję mającą na celu docieranie do tych, którzy z różnych powodów sami się nie zgłaszali. Wystarczył sygnał i aby sprowadzić „delikwenta”, natychmiast organizowano wyprawę „ratunkową”. W teren wyruszał sam Putrament: „Wpadamy do maleńkiej chałupinki i łapiemy [Stanisława] Piętaka *in flagranti*: siedzi na środku izby i pisze” – relacjonował przyjazd do Wieloski po Piętaka, już wkrótce redaktora tygodnika „Wies”. – „Pod oknem ryczą krowy, pohukują miny. [...] Pociągnęliśmy go za sobą do samochodu. Próbował stawiać

¹² J. Borejsza, *Rewolucja łagodna*, „Odrodzenie”, 15 I 1945, nr 10/12, s. 1.

¹³ T. Torañska, *op. cit.*, s. 348.

¹⁴ S. Kisielewski, *Kiedy spotkają się piśmiennicze nurty? (Szkic)*, „Spotkania” 1979, nr 6, s. 57.

¹⁵ Archiwum ZLP, sygn. 1941, Sprawozdanie z I Ogólnopolskiego Zjazdu Delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich, Kraków – 30 VIII [19]45–2 IX [19]45, k. 58–59.

¹⁶ A. Kijowski, *Literatura i kryzys [w:] Kongres Kultury Polskiej. 11–13 grudnia 1981*, Warszawa 2000, s. 27.

¹⁷ Cyt. za: U. Urban, *Władza ludowa a literaci. Polityka władz wobec środowiska Związku Zawodowego Literatów Polskich 1947–1950*, Warszawa 2006, s. 28.

¹⁸ K. Brandys, *Wypowiedzi pisarzy na dziesięciolecie „Czytelnika”*, „Przegląd Kulturalny”, 14–20 X 1954, nr 41, s. 4.

¹⁹ Zob. M. Filip, *Szkic do portretu życia kulturalnego Łodzi 1945 r.* [w:] *Rok 1945 w Łodzi. Studia i szkice*, red. J. Żelazko, Łódź 2008, s. 217–235.

²⁰ Archiwum ZLP, sygn. 1941, Sprawozdanie z I Ogólnopolskiego Zjazdu Delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich, Kraków – 30 VIII [19]45–2 IX [19]45, k. 31.

opór, ale nas było więcej²¹. Twórców z chwilą zakończenia wojny przebywających w odległych zakątkach Europy i świata ściągał do kraju „wielki kusiciel” (określony takim mianem przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego) – Borejsza. Repertuar stosowanych przezeń środków okazywał się bardzo szeroki, choć nie zawsze wystarczający. Wedle relacji Jerzego Giedroycia, witając się z Józefem Czap-skim „zrobił całą scenę: ukląkł i pocałował go w rękę, po czym wygłosił wielką laudację pod jego adresem²², bezskutecznie! Propozycję powrotu odrzuciła także Maria Kuncewiczowa, ale już np. Arkadego Fiedlera zachęciła willa w podpoznańskim PuszczykóWKu. Wśród emigrantów znajdowali się jednak i tacy, którzy nie potrzebowali jakichkolwiek namów. Przebywający w Palestynie Anatol Stern zwrócił się do Borejszy, „wiedząc, jaką opieką otaczacie obecnie literaturę²³. Julian Tuwim, przed wojną skamandryta, w 1939 r. i 1940 r. po opuszczeniu Polski żyjący we Francji, a następnie w Brazylii i Stanach Zjednoczonych, uważany przez emigrację za „agenta Stalina” (jako że nawoływał do „ścisłej współpracy i prawdziwej przyjaźni z ZSRS”) – w depeszy do ZZLP z października 1944 r. podkreślał niecierpliwość, z jaką oczekuje rozpoczęcia współpracy ze Związkiem. Nie tylko szykował się do powrotu, ale i przekonywał do niego innych. Pisał do Józefa Wittlina: „Nasz rząd otoczy pisarzy najczulszą opieką – ale w kraju”. Zapewniał: „Nikt do Ciebie nie będzie miał o nic pretensji: że nie byłeś, że nie cierpiełeś, że nie pisałeś, że nie podpisywałeś ze mną oświadczeń pro-sowieckich i prolubelskich – ani nawet o to, że podpisywałeś jakieś antylubelskie. [...] Oczywiście, jeżeli zaczniesz działać przeciw rządowi, jego zarządzeniom politycznym itd. albo jeżeli się spikniesz z faszystowskimi skurwysynami, którzy ciągle jeszcze prowadzą tzw. krecią robotę – pójdziesz do więzienia. Ale przecież Ty nie jesteś polityk, ale Józio Wittlin, pisarz. [...] I nie myśl, jak myślą durnie, że Cię ktoś będzie »zmuszał« do pisania tych, a nie innych, utworów. To tylko zrozpaczeni durnie i bankruci rozsiewają te plotki. Bo **zależy im na tym**, aby do Polski wróciło jak najmniej ludzi i żeby w Polsce było jak najgorzej²⁴”.

W tym czasie rosło pokolenie młodych²⁵. Z całą mocą dało o sobie znać w trakcie studium literackiego w Nieborowie – odbywającego się w trzy lata po ogłoszeniu programu „rewolucji łagodnej”, o którego założeniach już nikt nie pamiętał – kiedy to przeprowadziło bezpardonowy atak na grupę skupioną wokół „Odrodzenia” i w mniejszym stopniu – „Kuźnicy”; choć marksistowskiej, to jego zdaniem nie dość radykalnej. Wśród „pryszczatych”, nazwanych tak złośliwie z uwagi na młodzieńczy trądzik na twarzach, widzących w „starych” okazy „inteligentnych zgniłków” i „farbowanych lisów”, prym wiedli Tadeusz Borowski i Wiktor Woroszyński. Pierwszego scharakteryzował Miłosz: „Był jedną rozjątrzoną raną, bezlitosny i nietolerancyjny. [...] Był wewnętrznie w ciągłym ruchu, twarz wykrzywiła mu się w grymas wściekłości i ironii. [...] Do wrogów, którzy chcą przeszkodzić szczęściu ludzkości, odnosił się z nienawiścią²⁶. Zdaniem Putramenta: „bardzo agresywny i w tym, co pisał, i w tym, co mówił²⁷”. Atakował nawet Janusza Minkiewicza, Jana Brzechwę i Antoniego Marianowicza za to, że ich utwory satyryczne śmieszą, zamiast „zabijać”, tj. demaskować, wzbudzać nienawiść i zohydzać.

Życie zdawało się stabilizować, a literatura przeżywała charakterystyczny dla każdego okresu wojennego bujny rozkwit, wynikający z naturalnej chęci opisania minionych „czasów pogardy”. Zwrot

²¹ J. Putrament, *op. cit.*, s. 285.

²² J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, oprac. i posłowiem opatrzył K. Pomian, Warszawa 2006, s. 164.

²³ B. Fijałkowska, *Borejsza i Różański. Przyczynek do dziejów stalinizmu w Polsce*, Olsztyn 1995, s. 163.

²⁴ J. Tuwim, *Listy do przyjaciół-pisarzy*, oprac. T. Januszewski, Warszawa 1979, s. 255 i 256, list z 21 VIII 1945 r.

²⁵ Władysław Gomułka w 1945 r. mówił o prawdzie o ludziach nauki, ale wypowiedź tę można rozciągnąć na całą inteligencję: „My dopiero musimy wychować naszych profesorów i wychowamy ich na pewno, ale dopiero po latach, po okresie potrzebnym na wychowanie profesora. Musimy pracować przy pomocy tych profesorów, którzy są, bo nauki nie przerwiemy” (Przemówienie końcowe po dyskusji nad sprawozdaniem politycznym KC PPR wygłoszone na I Zjeździe PPR 8 XII 1945 r. [w:] W. Gomułka, *Artykuły i przemówienia*, t. 1: *styczeń 1943–grudzień 1945*, [Warszawa] 1962, s. 532).

²⁶ Cz. Miłosz, *Zniewolony umysł*, Kraków 1999, s. 150, 151 i 160.

²⁷ J. Putrament, *Pół wieku*, [t.] 4: *Literaci*, Warszawa 1971, s. 73.

w traktowaniu twórców i ich dzieł przyniosły zarówno przeobrażenia na gruncie wewnętrznym, których zwińczeniem był tzw. kongres zjednoczeniowy w grudniu 1948 r. i powstanie – w miejsce Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej – Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, jak i zaostrenie się sytuacji międzynarodowej. O nowym kursie świadczyło radiowe wystąpienie prezydenta Bolesława Bieruta, wygłoszone 16 listopada 1947 r. na otwarciu rozgłośni we Wrocławiu. Przyznawał on narodowi prawo do stawiania ludziom pióra wymagań, w tym dotyczących utworów, aby „odpowiadały potrzebom ogółu, aby nie budziły wątplenia, gdy potrzeba zapędu i wiary w zwycięstwo, aby nie apoteozowały depresji”; „Obowiązkiem [...] jest wczuć się w tętno pracy mas ludowych, w ich tęsknotę i potrzeby, z ich wzruszeń i przeżyć czerpać natchnienie twórcze do własnego wysiłku, którego celem głównym i podstawowym winno być podniesienie poziomu życia tych mas”; „twórczość artystyczna [i] kulturalna winna być odzwierciedleniem wielkiego przełomu, jaki naród przeżywa. Winna być – choć jeszcze nie jest. Nie jest – ponieważ wyraźnie nie nadążą za szybkim i potężnym nurtem dzisiejszego życia”²⁸.

Z kolei świadectwem zarządzanej ogólnie zmiany polityki kulturalnej całego „bloku socjalistycznego” stał się przebieg trwającego od 25 do 28 sierpnia 1948 r. we Wrocławiu Światowego Kongresu Intelktualistów w Obronie Pokoju. Zorganizowana przez Borejszą prestiżowa impreza, odbywająca się z udziałem około pięciuset delegatów z 45 krajów, plejady lewicowych i komunizujących osobistości w rodzaju Pablo Picasso, ale i np. dalekiego od komunizmu wybitnego biologa Juliana Huxleya, pomyślana jako początek szerokiego frontu przeciw imperializmowi, za sprawą przewodniczącego prezydium z ramienia ZSRS, Aleksandra Fadiejewa, okazała się całkowitym niewypałem. Realizując otrzymaną już podczas obrad dyrektywę Andrieja Żdanowa, podkreślił istnienie podziału świata na dwa obozy: demokratyczny – antyfaszystowski, na czele ze Związkiem Sowieckim, i antydemokratyczny, profaszystowski, reakcyjny – dążący do nowej wojny, koniecznej dla zachowania i umocnienia kapitalizmu. „Aż nagle: »Sartre, ta hiena pisząca na maszynie, ten szakal uzbrojony w wieczne pióro...«. Picasso zrywa słuchawki, podczas gdy rozlega się odgłos tupania” – relacjonowała obecna na sali Dominique Desanti, korespondentka „L’Humanité”. – „[Paul] Éluard zdejmuje swoje powoli i zaczyna coś notować. Vercors [wł. Jean Bruller] i [Fernand] Léger trwają w bezruchu. Dla mnie jest to wstrząs”²⁹. W konsekwencji część delegacji opuściła kongres.

Obecny na nim – obok polskich pisarzy, takich jak: Maria Dąbrowska, Jarosław Iwaszkiewicz, Leon Kruczkowski, Zofia Nałkowska, Jan Parandowski, Antoni Słonimski, Julian Tuwim, Jerzy Zawieyski czy Stefan Żółkiewski – Kazimierz Wyka dał wyraz swoim przemyśleniom w późniejszym artykule opublikowanym na łamach miesięcznika „Odra”, w którym zwracał uwagę na inne – w porównaniu do lat międzywojennych – podejście przez literatów do swojego zawodu: „Bo było to przecież spotkanie klerków i pytanie, czy klerk powinien się angażować politycznie i społecznie, stanowiło wówczas problem, jaki ludzie najlepszej woli i wiary roztrząsali jeszcze w sposób teoretyczny i ogólnikowy. W roku 1948 na pytanie takie odpowiedziała definitywnie historia ostatnich lat i dzisiaj odpowiada na nie wciąż tak samo”³⁰. Do zbliżenia się do bieżącej polityki nawoływał m.in. Tuwim: „Nie wolno nam, ludziom mózgu i serca, trwać w neutralności, która jest wodą na młyn ludziom pięści i noża”³¹; w wierszu *Archaniol* piętnował natomiast „starą świnię reakcyjną absolutnie apolityczną i zupełnie bezpartyjną”.

Jak konstatował Kisielewski: „Komedia oficjalnego liberalizmu literackiego skończyła się około roku 1949”³². Od 20 do 23 stycznia 1949 r. odbywał się w Szczecinie IV Walny Zjazd Delegatów ZZLP. Zebrani usłyszeli, że „tak jak nie istnieje żadna twórczość poza czasem i przestrzenią swojej epoki”

²⁸ *O upowszechnieniu kultury. Przemówienie prezydenta Rzeczypospolitej Bolesława Bieruta na otwarciu radiostacji we Wrocławiu 16 listopada 1947*, Warszawa–Kraków–Białystok–Bydgoszcz–Gdańsk–Katowice–Lublin–Łódź–Olsztyn–Poznań–Szczecin–Toruń–Wrocław 1948, s. 12–13, 16–17, 19.

²⁹ D. Desanti, *Polska... początek wszystkiego*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1976, nr 35, s. 195.

³⁰ K. Wyka, *Kolumna, globus i Odra*, „Twórczość” 1948, nr 10, s. 11.

³¹ J. Tuwim, *Nadzieje i życzenia*, „Odrodzenie”, 29 VIII 1948, nr 35, s. 3.

³² S. Kisielewski, *op. cit.*, s. 57.

– o czym mówił podsekretarz stanu w MKiSz Włodzimierz Sokorski – „tak nie istnieje neutralna postawa pisarza, pomimo nieraz jego subiektywnej woli”³³. Do rozwijania realizmu socjalistycznego przekonywał obecnych sowiecki poeta i dramaturg Anatolij Sofronow³⁴. Samemu Związkowi nadano charakter stowarzyszenia, co wyprowadziło go z Centralnej Komisji Związków Zawodowych i podporządkowało Ministerstwu Kultury i Sztuki i Wydziałowi Kultury KC PZPR oraz wiązało się ze zmianą nazwy na Związek Literatów Polskich. Wedle słów Kruczkowskiego „w oparciu o swój aktywny partyjny, o teorię marksizmu-leninizmu, powinien stać się organizatorem świadomości społecznej pisarzy, organizatorem [...] »ich kolektywnej odpowiedzialności za wszystkie zjawiska zachodzące w środowisku literackim«”³⁵. Kadencję Zarządu Głównego przedłużono do trzech lat, a co najmniej raz do roku miały odbywać się rozszerzone posiedzenia plenarne z udziałem członków ZG oraz osób zaproszonych przez Prezydium, których przynależność do ZLP nie była wymagana, co oznaczało nieograniczone możliwości wytyczania „kierunków pracy ideowo-artystycznej” przez kierownictwo partyjne. Wzorem sowieckim powstały sekcje twórcze: poezji, prozy, dramatu i scenariusza filmowego, literatury dla dzieci i młodzieży, satyry oraz tłumaczy. „Literaturze przydzielona została rola oręża w ideologicznym arsenale ustroju. Powoływanie się na jej święte prawo do niezależności sądu, wolności sumienia i swobody w wyborze środków artystycznego wyrazu napiętnowane zostało jako kamuflaż, służący przemytowi wstecznych – burżuazyjnych i imperialistycznych – treści. Pisarze dowiedzieli się, że są »żołnierzami ideologicznego frontu« w historycznej wojnie o postęć i pokój. Realizm socjalistyczny ustanowiony został jako wzorzec doskonały wszelkiej twórczości, a Związek miał pomagać swoim członkom w osiągnięciu owej doskonałości” – podsumowywał Jan Józef Szczepański³⁶. W liście do Bieruta literaci zapewнили go o poparciu dla ideowych wytycznych polityki kulturalnej państwa i obiecali włączenie się w walkę klasy robotniczej budującej ustrój sprawiedliwości społecznej. Zapewnili, że ich utwory staną się godne zachodzących w kraju przemian³⁷.

Tematykę „godnych” utworów zakreślił wkrótce sam Berman: „Dosięgnijcie waszą ostrą bronią kułaka i spekulanta, szpiega i dywersanta, amerykańskiego podżegacza i neohitlerowca. Odsłońcie zawiły mechanizm kułackiej postawy, kułackiego wyzysku, jego perfidne zasłanianie się chłopem mało- i średniorolnym. Ukażcie całą ostrość przeciwieństw, pokażcie wielkość naszych czasów”³⁸. Wtórował mu Sokorski: „Nie dość więc opisać odbudowę fabryki czy miasta z ruin lub montaż nowych zakładów przemysłowych, a nawet założenie spółdzielni produkcyjnej. Lecz należy pokazać, jak konkretny człowiek zmienia się podczas tej budowy, jak załamuje się w nim konflikt między starym, najemnym a nowym, socjalistycznym stosunkiem do pracy”³⁹. Ale literaturze wyznaczono jeszcze co najmniej jedno zadanie, biorące się z konieczności podporządkowania historii, gdyż zozydzenie tradycyjnego kształtu ojczystych dziejów dawało możliwość uwypuklenia własnej fałszywej genealogii. „Musimy nie tylko unieszkodliwić wroga, ale go również obnażyć, zerwać z niego wszystkie listki figowe [...]. Wypadnie nam na nowo pisać historię okresu międzywojennego, Delegatury, ZWZ, AK! Trzeba wyrzucić do końca wszystkie tajemnice wroga klasowego i potrafimy to zrobić” – mówił Berman na naradzie aktywu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w marcu 1949 r.⁴⁰

Także i tego zadania – niszczenia moralnej i intelektualnej tkanki państwa podziemnego – podjęli się pisarze. Kazimierz Brandys w czwartym tomie cyklu *Między wojnami* pisał np. tak: „5 października hrabia Bór-Komorowski, wystraszony skutkami zbrodni, spłoszony jak szczur dymem płonącego

³³ W. Sokorski, *Nowa literatura w okresie powstawania*, „Odrodzenie”, 6 III 1949, nr 5.

³⁴ Archiwum ZLP, sygn. 1943, Protokół z IV Walnego Zjazdu Delegatów ZZLP w Szczecinie 20–23 I 1949 r., brak paginacji.

³⁵ L. Kruczkowski, *O roli i zadaniach Związku Literatów Polskich*, „Twórczość” 1950, nr 8, s. 109.

³⁶ J.J. Szczepański, *Kadencja*, [Kraków] 1986, Oficyna Literacka, s. 7.

³⁷ Archiwum ZLP, sygn. 1943, Projekt listu do prezydenta Bolesława Bieruta, Protokół z IV Walnego Zjazdu Delegatów ZZLP w Szczecinie 20–23 I 1949 r., brak paginacji.

³⁸ K. Woźniakowski, *Między ubezwłasnowolnieniem a opozycją. Związek Literatów Polskich w latach 1949–1959*, [Kraków 1990], s. 44.

³⁹ W. Sokorski, *Interesuje nas człowiek*, „Kuźnica”, 20 II 1949, nr 7, s. 1.

⁴⁰ S. Marat, J. Snopkiewicz, *Ludzie bezpieki. Dokumentacja czasu bezprawia*, Warszawa 1990, s. 294.

miasta i widokiem podstępnie przelanej krwi, której był hojnym szafarzem, rozwścieczony wreszcie niemiłą sytuacją, obnażającą zbyt jaskrawo zdradę »londyńskiego« dowództwa [...] wystraszony, spłoszony i rozwścieczony tym wszystkim, pojechał hrabia Bór do Ożarowa. Tam, w kwaterze dowódcy SS von dem Bacha, po przyjacielskiej gawędzie, w której obydwaj generałowie odnaleźli wspólnych przodków po kądzieli – podpisano akt kapitulacji⁴¹.

Pisarze nieskorzy do współpracy musieli liczyć się nie tylko z odebraniem prawa i możliwości upowszechniania swoich dzieł, ale i zainteresowaniem, i zagrożeniem ze strony Urzędu Bezpieczeństwa. Wielu za działalność jeszcze z czasów okupacji lub lat tuż powojennych znalazło się zresztą w stalinowskich katowniach. „Zbite, skopane ciało. / W kończynach nerwów dzwonki / biją śmiertelne larum! / Wyłażą z nor pająki. / Wyłażą tarantule, / kobry i żmije, i gady, / i chore serce człowieka / trują nienawiści jadem” – układał słowa w wersy i strofy skazany na dożywocie Jerzy Braun, poeta, powieściopisarz i dramaturg, filozof, a jako polityk były delegat Rządu Rzeczypospolitej na Kraj. „Nam wszystkim – jeden los / nam wszystkim – jeden wyrok. / Jeden uderzenia cios / w pokolenie, które walczyło” – to fragment wiersza Antoniego Madeja (wyrok: siedem lat więzienia). Niebaczni na środowiskową solidarność, ich koledzy nie kwapili się, aby pospieszyć z pomocą. W marcu 1950 r. Zarząd Główny ZLP, choć co prawda nie wyrzekł się „prawa do obrony oraz interwencji”⁴², stwierdzał, że „w aktualnych sprawach Jerzego Brauna, Tadeusza Kudlińskiego, Stefana Łosia i Zbyszko Bednorza, nie należy podejmować żadnych działań, aż do chwili sądowego wyroku”. Ale sądowy wyrok oznaczał automatyczne wykreślenie z listy członków Związku...

Poza nurtem oficjalnej literatury znalazło się wielu wybitnych twórców, takich jak Antoni Gołubiew, Kazimiera Iłhakowiczówna, Stefan Kisielewski, Hanna Malewska, Jan Parandowski, Leopold Staff, Jerzy Szaniawski, Jan Józef Szczepański, Leopold Tyrmand, Jerzy Zawieyski... Niektórzy zdołali jeszcze wejść lub powrócić do literackiego parnasu, ale inni nigdy nie zajęli miejsc adekwatnych do ich talentu.

Odpowiedź na pytanie, co i jak powodowało pisarzami, nie należy ani do łatwych, ani oczywistych, i tak naprawdę każdy przypadek trzeba by rozpatrywać indywidualnie. Faktem jest, że sprzeciwili się nieliczni, a wiele racji miał publicysta katolicki Stanisław Stomma, gdy podkreślał: „luminarze artystyczni i naukowci przechodzili masowo na nową wiarę, stając się łatwo instrumentem propagandy”⁴³. Niewątpliwie do roku 1948 i momentu rozpoczęcia ofensywy ideologicznej, do zaangażowania zachęcały względnie szerokie swobody twórcze. Wedle tej interpretacji twórcy dali się złapać w pułapkę własnej naiwności, albowiem gdy zorientowali się o zamiarach władzy – było za późno... Programu „rewolucji łagodnej” nie potrzebowali ci, dla których zachętę stanowiła ideologia. Z perspektywy czasu jako usprawiedliwienie udziału w budowie systemu zbrodni podnosili oni własną nieświadomość. Wydaje się jednak, że zwłaszcza osoby przebywające podczas wojny pod okupacją sowiecką, co do natury systemu komunistycznego nie powinny mieć złudzeń⁴⁴. Dla Zbigniewa Herberta stanowiła ona „lekcję poglądową, po której nie pozostawały właściwie żadne wątpliwości co do zamiarów, koloru władzy i jej intencji”; sam traktował komunizm jako odmianę faszystu⁴⁵ i na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych zdecydował się na dobrowolne wystąpienie z ZLP.

⁴¹ K. Brandys, *Człowiek nie umiera*, [Warszawa] 1951, s. 7. Cykl *Między wojnami* do tej pory traktowany jest jako „powieściowa synteza najnowszych dziejów Polski”, zob. K. Jakubowska, *Podręczny słownik pisarzy polskich*, [Warszawa 2006], s. 63.

⁴² Cyt. za: J. Siedlecka, *Oblawa. Losy pisarzy represjonowanych*, [Warszawa 2005], s. 66.

⁴³ S. Stomma, *Trudne lekcje historii*, Kraków 1998, s. 131.

⁴⁴ Choć, jak tłumaczył Julian Strykowski: „komunizm miał na każde pytanie gotową odpowiedź. Wykluczał wątpliwość. System recept na każdą okoliczność ratował przed rozterką. Zapewniał spokój ducha. I sumienia. [...] Wiara wyklucza obiektywne spojrzenie”, zob. *Ocalony na Wschodzie. Z Julianem Strykowskim rozmawia Piotr Szewc*, [Montricher 1991], s. 80 i 95. Pośrednio odpowiadała na to Czesław Miłosz: „Jakoś się jednak urządziło, żeby o diaboliczności sowieckiego systemu nie myśleć”, zob. *Cz. Miłosz, Przedmowa [w:] idem, Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945–1950*, Kraków 1998, s. 8.

⁴⁵ *Wypluć z siebie wszystko. Rozmowa ze Zbigniewem Herbertem, Laski, 9 lipca 1985 [w:] J. Trznadel, Hańba domowa...*, s. 239.

„Szalały [...] wśród intelektualistów (z nielicznymi wyjątkami) strach, głupota i znieprawienie, bez śladu »heglowskiego ukąszenia«” – mówił o postawach we Lwowie Herling-Grudziński, polemizując z Miłozsem, wskazującym na naznaczenie czasem, w którym się żyje⁴⁶.

O zdawaniu sobie sprawy ze stosowania takich, a nie innych środków świadczą dalsze wypowiedzi, w tym tych popierających władzę i jej działania. „Wszyscy wiedzieliśmy doskonale o łażrach, sfabrykowanych procesach, deportacjach itd.” – mówił krytyk literacki Grzegorz Łasota na partyjnym zebraniu ZLP w kwietniu 1956 r. – „Niech Kruczkowski nie udaje niewiniątka. Któż jak nie on pisał w [19]37 roku w »Wiadomościach Literackich« o procesach moskiewskich? To wtedy wiedział, a później nie wiedział? [...] Wiedzieliśmy, ale równocześnie budowaliśmy socjalizm. I dlatego z całą świadomością musieliśmy kłamać”⁴⁷. Kott w rozmowie z Herlingiem-Grudzińskim, gdy pojawiła się kwestia zamordowanych w Katyniu, zapytał z uśmiechem, coż znaczy kilka tysięcy oficerów wobec historii w marszu.

Wielu tłumaczyło swój akces strachem. „Poza ogłupieniem był strach, zwykły strach i nie tylko przed represjami, ale także strach właściwy neofitom politycznym, że się nie rozumie... że się nie dorasta” – mówił Marian Brandys. Roli „policjantów” i „celników” (czuwających nad zatrzymywaniem treści „obcych ideologicznie”) podejmowali się zarówno funkcjonariusze władzy i aparatu bezpieczeństwa, jak i ich przedstawiciele wśród pisarzy. O Putramencie, sekretarzu generalnym ZLP, pisał Henryk Vogler: „Jego energia i dynamika działacza objawiała się szczególnie zapalczywym rozwijaniem zasad polityki partii”. Głos, „stale pozostający w rejestrach historycznym niemal krzyku”⁴⁸, może nie bez intencji mówcy utrzymywał słuchaczy w nieustannym lęku. Drugim przekąźnikiem instrukcji Komitetu Centralnego był Ważyk, „niesłuchanie nieprzyjemny, dogmatyczny, apodyktyczny, złośliwy. Szkodził ludziom, a mógł ludziom szkodzić”⁴⁹. Dość szybko zyskał miano „małego Żdanowa”.

„Bo się bałem” – tłumaczył się Kott w rozmowie z Witoldem Wirpszą, wywołując tym najwyższe zdziwienie: „atakować [Josepha] Conrada dlatego, że [Kott] się bał? Czego?”. Nieprzekonany pozostał Herbert: „Ja też się bałem, nie będę ukrywał. Strach ludzka rzecz. Tylko, co się robi ze strachem? [...] Okazało się, że w wielu wypadkach strach niwelował inteligencję”.

Niedobitki z „pokolenia Kolumbów” nosiły w sobie syndrom klęski, utrudniający znalezienie w życiu swojego miejsca. Maria Janion podkreślała: „myśmy w straszny sposób przegrali wojnę. [...] Przegraliśmy, bo nas oszukali alianci w sposób niewiarygodny i przegraliśmy Powstanie Warszawskie. Przegraliśmy wszystko, wszystko. [...] Rzeczywiście wielu rzeczy nie wiedziałam i nie słyszałam o tym. Ale to nie jest ważne: **ja chciałam**. [...] Po potwornym chaosie wojny, po koszmarnym zamęciu myślowym, po przekonaniu, że świat się zawalił, i jednocześnie po upadku Boga”⁵⁰. Na młodych, nie do końca zdecydowanych, niewątpliwym wpływ miała postawa pisarzy starszych, publikujących już przed wojną, niekoniecznie o lewicowych wówczas poglądach, którzy zdecydowali się pójść ręką w rękę z władzą.

Dla części twórców, przede wszystkim pochodzenia żydowskiego, po zwycięstwie nad nazizmem głównym przeciwnikiem stał się „rozszalały polski nacjonalizm”, zwłaszcza w postaci przedwojennego ONR i okupacyjnego NSZ. Kazimierz Brandys pamiętający getto ławkowe i napady bojówek, w 1947 r. twierdził z pełnym przekonaniem: „PSL, nie osłonięte od strony faszystowskiego podziemia, przenikalne dla wszelkiej dywersji antydemokratycznej, stęsknione Londynu z jego centrum wojskowej emigracji sanacyjno-endeckiej stanowi groźny, choć może nieświadomy przewód dla fa-

⁴⁶ G. Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą*, „Kultura” (Paryż) 1977, nr 3 (354), s. 19, zapis z 5 I 1977 r.

⁴⁷ J.J. Szczepański, *Dziennik*, t. 1: 1945–1956, [Kraków 2009], s. 615, zapis z 22 IV 1956 r.

⁴⁸ H. Vogler, *Autoportret z pamięci. Część trzecia. Dojrzałość*, [Kraków 1981], s. 126–127.

⁴⁹ *Były we mnie jakby dwie osobowości. Rozmowa z Andrzejem Braunem*, Warszawa, 12 i 13 września 1985 [w:] J. Trznadel, *Hańba domowa...*, s. 335.

⁵⁰ *Tragedia lewicujących liberalistów. Rozmowa z Marianem Brandyssem*, Warszawa, 27 lipca 1985 [w:] J. Trznadel, *Hańba domowa...*, s. 292; *Wygonienie diabła Belzebubem, czyli artysta izolowany w stalinowskim getcie. Rozmowa z Witoldem Wirpszą*, Paryż, 8 maja 1983 [w:] *ibidem*, s. 153; *Wypluć z siebie wszystko...*, s. 244; *Pokój i socjalizm, czyli wygnanie i przemoc. Rozmowa z Marią Janion*, Warszawa, 19 września 1981 [w:] *ibidem*, s. 98, 110–111 i 98.

szyzmu⁵¹. Miłosz przyznawał, że za żadne skarby nie wstąpiłby do PPR, ale z komunistami łączył się na zasadzie swoich „antyprawicowych obsesji i fobii”, dzięki czemu miał nie czynić wbrew sobie i wyznawanym poglądom⁵². Niechęcią do „kołtuńskiej antyinteligencji środowisk endeckich” kierowały się osoby o poglądach lewicowych. „Owa rewolucja oznaczała dla nas kontynuację najśmielszej buntowniczej myśli międzywojennej lewicy intelektualnej” – przyznawał Vogler⁵³. Podobnie – Ryszard Matuszewski: „Wierzyliśmy, że w zaistniałej sytuacji kraju zdołamy stworzyć coś realnego i pożytecznego, jakiś model kultury polskiej, wolnej od oparów tak nam wszystkim nienawistnego, przedwojennego ciemnogrodu, niezbyt przecież ideologicznie odległego od haseł, którymi skrzykiwała swoich zwolenników propaganda nazistowska⁵⁴. Lecz zdaniem Herberta, kataru nie należało leczyczyć syfilisem⁵⁵.

Tych, których przekonać się nie dało, można było spróbować kupić, nie tylko zresztą dobrami materialnymi. Wspomniany już Kott, czołowy teoretyk i krytyk literacki lat czterdziestych i pięćdziesiątych, otrzymał we Wrocławiu poniemiecką wille z ogrodem (marzył jeszcze o parze białych pawów przechadzających się po trawniku⁵⁶), Jerzy Andrzejewski – w Szczecinie – w lesie, z widokiem na jezioro. Wacław Kubacki zgodził się przyjąć prezesurę oddziału poznańskiego ZLP, gdy usłyszał, że wiąże się to z przyznaniem mieszkania. „Zaproszenie do Belwederu, nagrody, rozmowa z Bierutem. Surowy pan, ale sprawiedliwy, podziemie wytlukł, ale nas kocha. [...] Oczywiście, to targowisko próżności jest wpisane w atmosferę Warszawki [...]. To znaczy towarzyskie kontakty, stoliczek w PIW-ie, stoliczek w Czytelniku, duże nakłady i podpisywanie książek, kwiatek w celofanie, wieczór autorski, pięć tysięcy ospałych, zmęczonych robotników przychodzi i bije brawo towarzyszowi pisarzowi. Pycha rosła. Nigdzie w świecie realnego kapitalizmu nie powodziło się pisarzowi tak dobrze” – zauważał Herbert – „to była kanada dla grafomanów, kanada dla średnich, ale i tych większych, lepszych...⁵⁷.

Po kolejnym walnym zjeździe i dalszych zmianach w statucie Związek zobowiązał się do „czuwania nad stanem i rozwojem ideowo-artystycznym” współczesnej literatury polskiej (zatem nie poziomem!). Skupiać miał pisarzy w myśl założeń zawartych we wstępie, którego fragment – poza już cytowanym, określającym ludzi pióra jako „czołowy oddział pracowników kultury Państwa Ludowego” – mówił o „bojownikach prawdziwego patriotyzmu, który najwyższy wyraz znajduje w solidarności narodów budujących socjalizm i wszystkich ludów świata, walczących o swe wyzwolenie”. Ich rola sprowadziła się do walki ze „starym”, polegającej m.in. na „oczyszczeniu świadomości ludzkiej z dziedzictwa ciemnoty, nienawiści i przesądu, pozostałego po wiekach ucisku⁵⁸.

Oddział „inżynierów dusz” zaczął co prawda topnieć na skutek „odwilży”, ale do 1956 r. na odcińku „frontu ideologicznego” wykonał wyznaczone mu zadania.

⁵¹ K. Brandys, *Faszyści*, „Kuźnica”, 21 I 1947, nr 3, s. 2.

⁵² Cz. Miłosz, *Przedmowa* [w:] *idem, Zaraz po wojnie...*, s. 8.

⁵³ H. Vogler, *op. cit.*, s. 61.

⁵⁴ R. Matuszewski, *Alfabet. Wybór z pamięci 90-latka*, [Warszawa 2004], s. 48.

⁵⁵ *Wypluć z siebie wszystko...*, s. 246.

⁵⁶ W. Kubacki, *Dziennik 1944–1958*, Warszawa 1971, s. 181, zapis z 15 III 1950 r.

⁵⁷ *Wypluć z siebie wszystko...*, s. 251 i 273.

⁵⁸ Statut ZLP przechowywany w zbiorach Domu Literatury w Warszawie, sygn. 19.284, s. 1.

ZNISZCZYĆ KUŁAKA NAUKI

UCZENI I UCZELNIE W KUŹNI KOMUNIZMU

„Chciałbym dowiedzieć się od Magnificencji, jak długo jeszcze będziemy skazani na wystuchiwanie tych bzdur, które nam wygłasza Roman Ingarden?” – z takim pytaniem do rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego zwrócił się na posiedzeniu Senatu w 1950 r. aktywista Związku Młodzieży Polskiej. I Roman Ingarden, wybitny przedstawiciel polskiej nauki, znany na świecie fenomenolog, przed wojną profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, został w 1951 r. pozbawiony prawa do prowadzenia zajęć dydaktycznych. To był kolejny przykład walki toczonej już od kilku lat przez partię komunistyczną z uczelniami i uczonymi – w imię hasła: „Zniszczyć kułaka nauki!”.

W pierwszych latach powojennych Polska Partia Robotnicza walczyła przede wszystkim z podziemiem i dlatego nie prowadziła jeszcze otwartej wojny o rząd dusz na polskich uczelniach. Spokojna inauguracja działalności Uniwersytetu Jagiellońskiego w marcu 1945 r. dawała pewną nadzieję na powrót do normalnej pracy, a o pilnej potrzebie odbudowy uczelni świadczyły tłumy chętnych do podjęcia studiów. Po wojennej zawierusze i okupacji prawie połowa studentów pierwszego rocznika na UJ miała powyżej 24 lat. W kwietniu 1945 r. rozpoczęły się zajęcia na Akademii Górniczej w Krakowie, a w sierpniu przekształcono dawne niemieckie uczelnie w polskie, powołując m.in. Uniwersytet Wrocławski, Politechnikę Gdańską, Politechnikę Śląską i Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Czas niszczenia przez władze komunistyczne środowisk akademickich nastąpił z końcem roku 1947, po moskiewskiej naradzie partii komunistycznych bloku wschodniego – tam zapadła decyzja o sowietyzacji wszystkich krajów podporządkowanych Moskwie. Rozprawivszy się krwawo z głównym trzonem zbrojnego podziemia niepodległościowego, partia wkroczyła na uniwersytety – ostoję „zacoiania” i „reakcji”.

Wyrzuceni na śmietnik historii

Aby podporządkować sobie środowisko akademickie, władze musiały najpierw rozprawić się z przedwojennymi autorytetami. Profesora Stanisława Pigionia okrzyknięto „matadorem rodzimego faszyzmu”, na co on odpowiedział: „Nie ma wolności nauki bez wolności uczonego, a wolność uczonego polega również na wolności od szcucia”; publicznie wystąpił atakowany także prof. Władysław Konopczyński: „Nauka powinna, zdaniem wielu, służyć życiu. Niech służy, ale niech się nie wystługuje” – oświadczył. Tymczasem hunwejbini w czerwonych zetempowskich krawatach coraz częściej wdzierali się do sal wykładowych, przerywając zajęcia i ordynarnie wyzywając wybitnych uczonych z przedwojennymi tytułami profesorskimi.

W 1950 r. ośmiu członków PZPR, m.in. Leszek Kołakowski, zaatakowało w liście otwartym Władysława Tatarkiewicza, protestując przeciw „czysto politycznym wystąpieniom o charakterze wyraźnie wrogim budującej socjalizm Polsce” na prowadzonym przezeń seminarium. Kilka miesięcy później Tatarkiewiczowi odebrano prawo wykładania. Podobny los spotkał m.in. profesorów: historyka Władysława Konopczyńskiego, etnografa Jana S. Bystronia, prawnika Jana Gwiazdomorskiego, filozofa i logika Janinę Kotarbińską, etyka i historyka filozofii Henryka Elzenberga oraz archeologa Stanisława J. Gąsiorowskiego.

Zasłużonych i szanowanych uczonych, zazwyczaj starszych już ludzi, niszczone metodami administracyjnymi, ale też łamano ich sumienia i odzierano z godności. Atmosfera intelektualnego terroru

zmuszała wielu do dramatycznych wyborów. „Z tego okresu »początku końca« pochodzi jedno z najprzykrzejszych doświadczeń Profesora, które legło jak plama zniewolenia na społeczności uniwersyteckiej – wspomina Maria Gołaszewska w książce *Roman Ingarden. Człowiek i dzieło*. – Przymusowe uczestniczenie w pochodzie pierwszomajowym. Ingarden na taki pochód poszedł w poczuciu solidarności z młodzieżą i kolegami. Było to wstrząsające doznanie dla nas, grona Profesora: razem ze wszystkimi wyczekiwał on w spiekocie słońca na rozpoczęcie pochodu, a potem szedł razem z nami ze spuszczoną głową”.

Na Władysława Konopczyńskiego, znakomitego historyka, byłego więźnia Sachsenhausen, zaś po uwolnieniu wykładowcę historii nowożytnej na tajnym uniwersytecie w Krakowie, urzędowo prawdziwą nagonkę. Powróciwszy w 1945 r. do pracy na Uniwersytecie Jagiellońskim, wykładał historię Polski przedwojennej i metodologię historii, współpracując równocześnie z konspiracyjnym Stronnictwem Narodowym. Zmuszony w 1949 r. do ustąpienia z prezesury Polskiego Towarzystwa Historycznego i z funkcji redaktora *Polskiego Słownika Biograficznego*, podpadł na zdrowiu. W tym samym czasie w drukarni rozrzucono gotowy skład podręcznika do metodologii *Historyka*. W 1951 r. podczas I Kongresu Nauki Polskiej zaatakowała go Żanna Kormanowa. Ta przedwojenna nauczycielka, po wojnie mianowana profesorem, dopatrzyła się w publikacjach Konopczyńskiego „rasistowskiej furii” – nienawiści do Żydów i Ukraińców. Pozbawiony możliwości publicznej odpowiedzi, profesor rozesał do historyków listy, w których pisał: „Ktokolwiek czyta inteligentnie i sumiennie moje prace, wie, że o chłopach piszę bez społecznych uprzedzeń, a najwięcej przykrych rzeczy mam do powiedzenia szlachcie i magnatom. Gdzie tu jest furia rasistowska i szowinizm?”. Zaszczuty, osamotniony i chory na serce wyjechał do rodzinnej posiadłości w Młynniku. Zmarł w 1952 r. na zawał, w biedzie i opuszczeniu, otoczony nielicznymi wiernymi przyjaciółmi.

Szykanowanie Konopczyńskiego zbiegło się z prowadzonym równolegle atakiem władz na redakcję *Polskiego Słownika Biograficznego*, stworzonego przezeń w 1935 r. i wydawanego nakładem Polskiej Akademii Umiejętności. Cztery pierwsze tomy ukazały się przed wrześniem 1939 r., zaś po okupacyjnej przerwie, w 1946 r., udało się wznowić prace. Do 1949 r. wydano pod redakcją Konopczyńskiego jeszcze dwa tomy oraz przygotowano cztery zeszyty kolejnego. Kiedy w 1949 r. cenzura zakwestionowała zeszyt z biogramem Feliksa Dzierżyńskiego autorstwa Heleny Wereszyckiej, władze wstrzymały publikację PSB. Kolejny tom, VII, złożony w większości z materiałów przygotowanych pod redakcją nieżyjącego już Konopczyńskiego, ukazał się dopiero w 1958 r.

Funkcjonariusze UB inwigilowali „niepewnych” przedwojennych naukowców, prowadzili przeciw nim sprawy operacyjne i skrzętnie chowali do teczek donosy od zawistnych karierowiczów oraz konfidentów. Perfidnymi metodami prowokacji i szantażu niszczone m.in. Konstantego Grzybowskiego – kierownika Katedry Prawa Politycznego; Henryka Barycza – historyka, kierownika Archiwum UJ w latach 1934–1950; Stanisława Pigionia – historyka literatury polskiej najpierw na wileńskim Uniwersytecie Stefana Batorego, a następnie w Krakowie, więźnia Sachsenhausen; Adama Vetulaniego – od 1947 r. szefa Katedry Historii Państwa i Prawa Polskiego, czy Henryka Wereszyckiego – od 1947 r. kontraktowego zastępcę profesora historii Uniwersytetu Wrocławskiego, zaś od 1956 – profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tego ostatniego partyjni ideolodzy uczynili głównym celem swych napaści podczas pierwszej Konferencji Metodologicznej Historyków Polskich w Otwocku na przełomie 1951 i 1952 r. Tadeusz Daniszewski, były funkcjonariusz Głównego Zarządu Politycznego Armii Czerwonej, po wojnie kierownik Wydziału Historii Partii KC PPR (później KC PZPR), zarzucił Wereszyckiemu, że za patriotów uważa „zdrajców narodu”: Piłsudskiego i Dmowskiego. Wcześniej, w 1948 r., Towarzystwo Naukowe Warszawskie zostało zmuszone do wycofania z księgarń i bibliotek jego *Historii politycznej Polski w dobie powojennej, 1864–1918*.

O wyższości nauki „socjalistycznej” nad „burżuazyjną”

Zagrożenie dla komunistycznej władzy stanowili nie tylko uczeni, ale i tradycyjne struktury polskiej nauki. Aby obniżyć rangę uniwersytetów, oddzielono od nich wydziały lekarskie oraz farmaceutyczne i utworzono w latach 1949–1950 odrębne Akademie Medyczne. Do 1953 r. usunięto teologię, a dla kierunków rolniczych powołano Wyższe Szkoły Rolnicze.

Odcinając polskie uczelnie od kontaktów ze światem zachodnim, przzerwano konieczną dla rozwoju nauki wymianę myśli i informacji.

Ponieważ państwo zagarnęło wszystkie wydawnictwa oraz drukarnie, rynek zalały setki tysięcy bezwartościowych publikacji, bowiem miarą naukowej wartości książki lub artykułu stała się ich wierność marksistowsko-stalinowskiej wykładni. Swój udział w tym procesie miało Państwowe Wydawnictwo Naukowe, które powstało w Warszawie w 1951 r.

Zniszczono tradycyjną autonomię uczelni, narzucając im politycznych zwierzchników: dekret z grudnia 1947 r. dał prawo powoływania rektorów i prorektorów wyłącznie prezydentowi (czyli Bolesławowi Bierutowi), a rektorom z mianowania – prawo zawieszania uchwał senatów. Kres niezależności położyła ustawa z grudnia 1951 r., wprowadzająca sowieckie stopnie i tytuły: kandydata nauk, profesora zwyczajnego, nadzwyczajnego i docenta – ta ostatnia zmiana pozwalała awansować osoby bez habilitacji. Wprowadzeniem zmian zajęła się Centralna Komisja Kwalifikacyjna dla Pracowników Nauki, obsadzając stanowiska i nadając stopnie oraz tytuły wedle politycznego klucza – promując miernych, lecz wiernych.

Mimo starań i nacisków tzw. stopień upartyjnienia uczelni, a zwłaszcza humanistyki, był dla komunistów wstrząsająco niski: w 1949 r. na Wydziale Humanistycznym w Uniwersytecie Jagiellońskim tylko czterech z 2770 studentów było w partii, a spośród 400 pracowników naukowych – trzech. Większą liczbę członków zwerbowała PZPR na wydziałach lekarskich i rolniczych.

Od jesieni 1950 r. działał osławiony Instytut Kształcenia Kadr Naukowych (IKKN) przy KC PZPR – wzorowany na moskiewskim Instytucie Czerwonej Profesury, przygotowujący partyjnych filozofów i socjologów do rozprawy ze starą kadrą. Zorganizowany i prowadzony do 1954 r. przez Adama Schaffa – filozofa po Uniwersytecie Moskiewskim, w latach 1944–1946 szefa polskiego zespołu Radia Moskwa, od powrotu z Sowietów w 1948 r. członka KC PPR – forsował tezę o „partyjności nauki” i wyższości nauki „socialistycznej” nad „burżuazyjną” – cokolwiek terminy te miały znaczyć.

Schaff zebrał grupę wykładowców, m.in. Bronisława Baczkę – filozofa, autora pamfletu *O poglądach filozoficznych i społeczno-politycznych Tadeusza Kotarbińskiego*; Leszka Kołakowskiego – filozofa, członka PPR od 1945 r.; Tadeusza Krońskiego – wówczas wykładowcę filozofii marksistowskiej w Wojskowej Akademii Politycznej oraz na Uniwersytecie Warszawskim, jednego z najgorliwszych budowniczych komunistycznej Polski. Przyczynił się do „naukowego” zdyskredytowania konkretnego filozofa lub prądu filozoficznego. I tak Kołakowski zajął się np. krytyką katolickich doktryn społecznych, a Kroński – dezawuowaniem dorobku wybitnego historyka filozofii Władysława Tatarkiewicza.

„Planowa produkcja kadr”

W miejsce niszczonej systematycznie „reakcji” partia wprowadzała nowe porządki. „Nauka w każdej dziedzinie opierać powinna się na filozofii marksizmu” – taką rezolucję przyjęły we Wrocławiu w 1951 r. na I Kongresie Nauki Polskiej 2 tys. delegatów. Żądano także – jak się po latach okazało, z pewnym powodzeniem – wyrugowania z języka słowa „uczony” i zastąpienia go „pracownikiem nauki”.

Degradacja rangi studiów wyższych i obniżenie ich poziomu naukowego miało dać władzy gwarancję posłuszeństwa kadry wykształconej wedle nowych programów: na wszystkich kierunkach wykładano obowiązkowo marksizm, język rosyjski stawał się stopniowo przedmiotem obligatoryjnym, podobnie jak blok przedmiotów ideologicznych oraz szkolenie wojskowe od I roku studiów. Ustawa „O socjalistycznej dyscyplinie studiów” nakładała na pracowników obowiązek dwukrotnego sprawdzania obecności podczas zajęć, a od studentów wymagała prowadzenia notatek w zeszytach sprawdzanych przez wykładowców – służyło to sprowadzeniu życia akademickiego do poziomu szkoły. Aby jeszcze bardziej ograniczyć możliwości swobodnego rozwoju młodych ludzi i nie dać im okazji ani czasu do nieskrępowanej wymiany myśli, niektóre wykłady o charakterze ideologiczno-wychowawczym odbywały się w wielu ośrodkach w niedziele. Z obawy przed „provokacjami” między studentów wysyłało pracowników UB w cywilu. „Wykuwaniu nowego człowieka” służył system rekrutacji, którego zasady wyłożył jasno i zwięźle kierownik Wydziału Nauki i Szkolnictwa Wyższego KC PZPR, dawny członek KPP, a podczas wojny żołnierz Armii Czerwonej, Kazimierz

Petrusewicz: „Co musicie obserwować w czasie egzaminu? – tłumaczył egzaminatorom. – Musicie opiekować się kandydatami rekomendowanymi przez partię. Nie możecie natomiast pozwolić na sytuację, jaką mieliśmy w roku zeszłym, gdy ktoś z komisji, trzymając kawałek papieru, powiedział: »Nie, UB nie chce go«. To nie jest właściwa droga. Nie możecie pozwolić, by został przyjęty, lecz nie możecie nic mówić o tym”. Ponieważ jednak duża część młodzieży ze wsi oraz rodzin robotniczych nie miała matur, utworzono dla nich najpierw dodatkowe lata zerowe, a w 1946 r. – dwuletnie studia przygotowawcze.

Na posiedzeniu sejmu wiosną 1950 r. Stanisław Kulczycki, pierwszy rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, agitował: „Koncepcje humanistyki muszą być rzucone na skalę eksperymentu społecznego. Rola uczonego badacza kończy się. Miejsce jego zajmuje polityk. Oto dlaczego polityka może i ma prawo mieszać się do nauki”. Wtórował mu szef świeżo powołanego Ministerstwa Szkół Wyższych i Nauki, Adam Rapacki: „Wspólnym zadaniem nas wszystkich jest zmienić ten stary rzemieślniczy, bezplanowy i niezdiscyplinowany styl pracy uczelni czasów kapitalistycznych i zastąpić go nowoczesnym socjalistycznym systemem planowej produkcji kadr”.

Najważniejsze, z punktu widzenia komunistów, było stworzenie nowych instytucji i zastąpienie przedwojennych elit posłusznymi partyjnymi miernotami – przede wszystkim w dziedzinach humanistycznych. Już w 1948 r. ukonstytuowało się Marksistowskie Zrzeszenie Historyków pod przewodnictwem Stanisława Arnolda – wykładowcy historii ruchu robotniczego w Wyższej Szkole Partyjnej w Warszawie. Wśród członków MZH znaleźli się m.in. Nina Assorodobraj ze Studium Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego; Celina Bobińska, znana szerzej jako autorka hagiograficznej książeczki dla młodzieży *Soso. Dziecięce i szkolne lata Stalina*, Henryk Jabłoński – późniejszy wysoki dygnitarz państwowy, oraz Żanna Kormanowa, która za wzór pracy naukowej stawiała *Krótki kurs historii WKP(b)* – „niezastąpioną skarbnicę teorii dla każdego badacza przeszłości”.

Podczas I Konferencji Metodologicznej Historyków Polskich w Otwocku na przełomie 1951 i 1952 r. ton narzucali ideolodzy związani z organem KC PZPR „Nowe Drogi”, m.in. Franciszek Fiedler – wykładowca w Centralnej Szkole Partyjnej, członek Komitetu Centralnego PPR i PZPR; Włodzimierz Brus – ekonomista, oficer polityczny w armii Berlinga; wspomniana już Żanna Kormanowa, Leszek Kołakowski oraz zaproszeni historycy sowieccy, m.in. Borys Grekow i Piotr Tretiakov.

Zjazd Polonistów w 1950 r. potępił „obcych ideologicznie” profesorów: Stanisława Pignonia i Juliusza Kleinera z Krakowa oraz Stefanę Skwarczyńską z Łodzi. Rej wodził Stefan Żółkiewski – krytyk i historyk literatury, działacz państwowy, współtwórca PPR i profesor Uniwersytetu Warszawskiego. „Krytyka polska kształtuje się w ogniu walki klasowej, musi więc być odbiciem tej walki, walki z zafaniem w nauce” – ogłosił.

Sowieckie idee usiłowano wprowadzić również do nauk biologicznych. Partia żądała wykładania na uczelniach „twórczego darwinizmu”, czyli teorii genetycznej Łysenki i Miczurina, wedle której cechy nabyte przekazywane są dziedzicznie. Jako obowiązujące wprowadzono sowieckie podręczniki w polskich tłumaczeniach – wszystkie inne uznawano za część „nauki burżuazyjnej”. Największym propagandystą teorii Łysenki w Polsce był Włodzimierz Michajłow, członek polskiej i sowieckiej partii komunistycznej, autor podręczników, w których rozprawił się z prawami Mendla oraz twórcą chromosomowej teorii dziedziczności, noblistą Thomasem Morganem.

Zmierzano także do połączenia – wzorem ZSRS – neurologii i psychiatrii, a to w celu uwolnienia tej ostatniej od „idealizmu”. We wrześniu 1952 r. na konferencję w Tworkach przyjechał sam Andriej Snieżniewski, autor definicji „schizofrenii bezobjawowej”, współodpowiedzialny za więzienie dysydentów w *psychuszkach*. Przeprowadzoną przezeń bezpardonową krytykę polskiej psychiatrii poparł prof. Andrzej Jus – wicedyrektor Instytutu Psychoneurologicznego w Tworkach. Jus zwalczał powstały jeszcze w latach trzydziestych XIX w. Instytut Higieny Psychiczej i jego dyrektora Kazimierza Dąbrowskiego, twórcę sanatorium w Zagórzku k. Warszawy, gdzie za okupacji niemieckiej ukrywał wiele dzieci z warszawskiego getta. Reprezentowany przez ten ośrodek kierunek, zwany wówczas psycho-higienicznym, zdaniem Jusa przykładał zbyt małą wagę do społecznych uwarunkowań schorzeń psychicznych i doszukiwał się ich przyczyn raczej w zaburzeniach duchowego rozwoju człowieka. Po 1945 r. w IHP pracowało wielu wybitnych lekarzy, psychologów, pedagogów, a także

duchownych. Został zlikwidowany jako placówka „oddająca się idealistycznym koncepcjom psychiatrii anglo-amerykańskiej i jej ludobójczej faszystowskiej praktyki w podejściu do sprawy opieki i leczenia psychicznie chorego”. „Higieniści psychiczni stają się w rękach imperializmu ważnym elementem podpory istniejącego systemu” – grzmiał Jus na spotkaniu ze Snieżniewskim. Absolutne kuriozum konferencji stanowił referat *Walka z ofensywą idealistyczną w elektroencefalografii* wygłoszony przez Karolinę Jusową.

Stworzenie na przełomie lat 1951 i 1952 Polskiej Akademii Nauk w Warszawie na wzór Akademii Nauk ZSRS wymusiło likwidację Polskiej Akademii Umiejętności. Utworzona w 1872 r. najwyższa instytucja naukowa kraju, do 1919 r. nosząca nazwę Akademia Umiejętności, skupiała badaczy z całej Polski i wielu innych krajów. W międzywojniu PAU publikowała ponad sto serii wydawniczych, wśród nich monumentalny *Polski Słownik Biograficzny*. Własnością PAU była Biblioteka Polska w Paryżu – największa kolekcja poloników zgromadzonych przez Wielką Emigrację, przy której powołano Stację Naukową.

Po pierwszym roboczym posiedzeniu Zarządu PAU w styczniu 1945 r., już latem tego samego roku, Akademia stała się przedmiotem ataków ze strony partyjnych gazet. Po 1947 r. władze komunistyczne ograniczały jej środki finansowe i przejęły wydawnictwa. W 1948 r. w „Robotniku”, organie PPS, Henryk Jabłoński pisał: „PAU coraz bardziej przekształca się w zjednoczenie zasłużonych emerytów”, mając na myśli 676 czynnych członków krajowych i 264 uczonych zagranicznych. Ostatnie posiedzenie Zarządu PAU odbyło się 17 października 1952 r. – miesiąc później mocą uchwały Rady Ministrów zakłady i placówki PAU wraz z całym majątkiem zagarnęła nowa instytucja. Do PAN weszła połowa członków rzeczywistych PAU i trzecia część członków korespondentów.

Do formalnego rozwiązania Akademii nie doszło, ale też nie było to potrzebne. Nikt nie bronił niezależnej instytucji w jej starciu z kształtującym się totalitarnym systemem władzy. Taki był koniec instytucji, którą od XIX w. współtworzyli ludzie tej miary, co Józef Szujski, Stanisław Tarnowski i Kazimierz Morawski – a zarazem początek posłusznej władzom, kostniejącej z biegiem lat Polskiej Akademii Nauk. Jej pierwszym prezesem został Jan Dembowski, biolog, członek honorowy Akademii Nauk ZSRS, w latach 1940–1941 wykładowca Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu w okupowanym przez Sowiety Wilnie, później attaché naukowy przy ambasadzie ZSRS, a także pracownik Instytutu Biologii Doświadczalnej w Moskwie.

Lat straconych dla polskiej nauki nadrobić się nie da. O pokoleniu znakomych polskich uczonych, niszczonego najpierw przez wojnę i dwie okupacje, a po 1945 r. przez „funkcjonariuszy nauki” zapominać nie wolno, podobnie jak o proveniencji instytucji, które wyrosły na ruinach ośrodków zburzonych ku chwale „ludowej” Polski.

Wybrana literatura:

Andrzej Chwalba, *Dzieje Krakowa*, t. 6: *Kraków w latach 1945–1989*, Kraków 2004; Leszek Dziegiel, *Swoboda na smyczy*; Ryszard Herczyński, *Spełnana nauka. Opozycja intelektualna w Polsce 1945–1970*, Warszawa 2009; Ryszard Terlecki, *Profesorowie UJ w aktach UB i SB*, Kraków 2002; *Stłamszona nauka? Inwigilacja środowisk akademickich i naukowych przez aparat bezpieczeństwa latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku*, red. Piotr Franaszek, Warszawa 2010; Rafał Stobiecki, *Historiografia PRL. Ani dobra, ani mądra, ani piękna... ale skomplikowana*, Warszawa 2007.

REFORMA ROLNA I REPRESJE WOBEC POLSKIEGO ZIEMIAŃSTWA PO ROKU 1944

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego 6 września 1944 r. wprowadził dekret o reformie rolnej. Jej politycznym celem było zniszczenie podstaw funkcjonowania ziemiaństwa – ludzi niezależnych ekonomicznie, cieszących się autorytetem środowisk lokalnych i popierających rząd polski na emigracji. Równie istotne dla nowej władzy było pozyskanie przychylności i poparcia obdarowanych ziemią chłopów; chodziło także o neutralizację niektórych grup społecznych, dotąd negatywnie nastawionych do PKWN.

Posługując się odpowiednią oprawą propagandową, komuniści otwarcie przyznawali się do antyziemiańskiego charakteru reformy. W odezwie KC PPR „Wszyscy do pracy przy realizacji reformy rolnej” ogłoszonej 3 października 1944 r. w Lublinie napisano: „[...] A równocześnie z tym zniknie z życia polskiego klasa ludzi, która od wieków już była nieszczęściem Polski. Znikną księżęta, hrabiowie, magnaci, którzy doprowadzili do zguby szlachecką Rzeczpospolitą, którzy powodowali klęskę każdego z naszych powstań narodowych, którzy w odrodzonym państwie wprowadzili rządy karnych ekspedycji, Berezy i Brześcia. Zniknie jeden z głównych ośrodków faszyzmu i reakcji polskiej”.

W ramach reformy miano stworzyć samodzielne gospodarstwa rolne dla bezrolnych, robotników i pracowników rolnych oraz drobnych dzierżawców, a także upełnorolnic istniejące gospodarstwa o powierzchni poniżej 5 ha użytków rolnych. Przeznaczono na ten cel przejmowane bez wykupu gospodarstwa mające powierzchnię powyżej 50 ha użytków rolnych, a w województwach: poznańskim, pomorskim i śląskim – powyżej 100 ha. Ponadto zamierzano objąć zarządem państwowym budynki, inwentarz żywy i martwy oraz przedsiębiorstwa przemysłu rolnego.

Mimo że dekret o reformie pozbawiał (bez odszkodowania) ziemian całego majątku, pozornie zapewniał im środki do życia – przyznawał wywłaszczonym miesięczne „zaopatrzenie”. Kwota ta była niezależna od wielkości majątku i nie zawierała w sobie żadnych „elementów” odszkodowawczych. W praktyce przyznawanie tej tzw. renty ziemiańskiej szybko ograniczono do grupy osób niezdolnych do pracy, a później zamieniono na rentę inwalidzką w najniższym wymiarze (przez wiele lat było to 500 zł miesięcznie).

Wbrew intencjom twórców dekretu nie doszło jednak do spontanicznego, „rewolucyjnego” dzielenia ziemi ani do aktów przemocy wobec właścicieli ziemskich. Mimo że propaganda podkreślała opór ziemiaństwa, sił reakcyjnych i „przedwrześniowych” wobec reformy, chłopci zajęli postawę wyczekującą. Byli oni niepewni znaczenia i trwałości aktu reformy i czekali na wyjaśnienie się politycznej przyszłości kraju. Również tzw. czynnik społeczny, powołany dekretem w formie komitetów folwarcznych, początkowo wykazywał małą aktywność.

Niekiedy chłopci reagowali zgoła przeciwnie do założeń twórców reformy – współczuli ziemianom, odwozili na dworzec kolejowy (często żegnając ich z płaczem), a także w rozmaity sposób starali się udzielać im pomocy. Innym powodem bierności chłopów (zresztą poprawnie rozpoznany przez twórców reformy) była obawa przed kolektywizacją rolnictwa, jako następnym etapem polityki nowego rządu. Mimo oficjalnych zaprzeczeń, nawet starzy komuniści nie byli pewni przyszłości polskiego rolnictwa. Równie silnym czynnikiem powstrzymującym chłopów przed udziałem w reformie była działalność podziemia niepodległościowego.



Fot. ze zbiorów W. Lipskiego



Fot. z archiwum NID

Salon okrągły w pałacu Lipskich w Lewkowie stan przed 1939 r. i w 1959 r.

Pierwszy miesiąc wprowadzania reformy rolnej nie przyniósł oczekiwanych rezultatów i polscy komuniści spotkali się z krytyką Józefa Stalina. Delegacja Krajowej Rady Narodowej i PKWN, która przebywała w Moskwie od 28 września do 3 października 1944 r., tak relacjonowała problem reformy: „[...] tow. Stalin interesował się konkretnymi krokami, powziętymi celem realizacji reformy. Na nasze sprawozdanie reagował bardzo niecierpliwie. Podkreślił, że nie doceniamy ważności tej sprawy. Taka rewolucja agrarna może być przeprowadzona tylko drogą rozpętywania ruchu masowego na wsi. [...] Tow. Stalin krytykował nas za miękkość, za rozlazłość, że nie umiemy wystąpić dostatecznie śmiało. Kiedy się dowiedział, że żaden obszarnik nie został jeszcze posadzony, wymyślał: Cóż wy za komuniści! To nie tylko brak komunizmu, to brak patriotyzmu, właściwego stosunku do potrzeb narodu”.

Po debacie na posiedzeniu KC PPR postanowiono skoncentrować wszystkie siły partii na przyspieszeniu reformy rolnej. Powołano specjalnych pełnomocników PKWN, którzy przeprowadzali parcelację przy pomocy aktywistów PPR i MO, a rewolucyjnego wigoru dodawało uczestnictwo jednostek Wojska Polskiego oraz Brygad Robotniczych. Najważniejszym zadaniem było tempo tworzenia faktów dokonanych – organizowanie szybkich, pokazowych akcji przejmowania kluczowych majątków, dzielenia ziemi „obszarniczej” i nadawania aktów własności chłopom.

Jasno sprecyzowane oczekiwania Stalina spowodowały, że komunistyczne władze zdecydowały się na użycie bardziej radykalnych metod, wprowadzając odpowiednie przepisy karne, które sprzeciw wobec reformy rolnej stawiały wśród przestępstw przeciw państwu. Dekret o ochronie państwa (z 30 października 1944 r.) podejmował tę kwestię już w art. 2: „Kto udaremnia lub utrudnia wprowadzenie w życie reformy rolnej, albo nawołuje do czynów, skierowanych przeciw jej wykonywaniu lub publicznie pochwała takie czyny, podlega karze więzienia lub karze śmierci”. Według Piotra Kładoczego było to całkowite *novum* w ustawodawstwie karnym. Autor ten, analizując dekret o przeprowadzeniu reformy rolnej, zwraca również uwagę na zestawienie w jednym miejscu (art. 2) właścicieli ponadstuhektarowych nieruchomości ziemskich ze zdrajcami narodu i przestępcami.

Wcześniej (7 października 1944 r.) uchwalono dekret o mobilizacji sił mierniczych, a 11 października 1944 r. dekret o przyspieszeniu reformy rolnej. Język tego ostatniego aktu jest ostrzejszy w wymowie i instrukcjach; zarządzał bowiem usunięcie z majątku ziemian i ich rodzin w ciągu trzech dni od przejścia własności na rzecz Skarbu Państwa. Polecenie to było podyktowane słuszną obawą, że obecność właścicieli będzie stanowić przeszkodę w szybkim wprowadzeniu reformy i podziale ziemi między chłopów.

W województwie lubelskim do aresztowań – pod rozmaitymi pretekstami – ziemian doszło już późną jesienią, także na polecenie pełnomocnika ds. reformy rolnej. Ich celem było zastraszenie, znacznie ułatwiające parcelację. Poza Lubelszczyzną (oraz pow. łaskim w woj. łódzkim) nie doszło do masowych aresztowań ziemian na tle „utrudniania” reformy rolnej. Agresywna propaganda potęgowała jednak wrażenie zagrożenia, stąd liczne wzmianki o aresztowaniach pojawiają się niemal we wszystkich wspomnieniach ziemian. Informację o rozkazie aresztowania wszystkich ziemian i księży przez powiatowe urzędy bezpieczeństwa w Mińsku Mazowieckim i Siedlcach przechwycił także wywiad akowski. Według meldunku z 11 czerwca 1945 r. rozkaz był następującej treści: „Wszystkich

obywateli ziemskich aresztować i zlikwidować, gdyż finansowali oni A.K. Rozkaz ten stosuje się również do księży. Opróżnione parafie mają być zamykane”¹.

Kolejnym rozporządzeniem, mającym przyspieszyć wprowadzenie reformy rolnej w życie, były wydane 20 marca 1945 r. przez Komisję Centralną Związków Zawodowych „Wskazówki dla brygad robotniczych pracujących przy parcelacji majątków”, które nakazywały następujące traktowanie ziemianstwa: „Jeśli właściciel jest jeszcze we dworze, należy go bezwzględnie usunąć w przeciągu trzech dni poza granice powiatu, nie pozwalając mu zabrać nic więcej poza przedmiotami osobistego użytku. Wraz z nim winni opuścić folwark jego wierni pomocnicy jak: rządcza, ekonom, karbowy itd.”

Nieobecność właściciela miała przełamać potencjalny opór chłopów w przejmowaniu parcelowanej ziemi. Zachowały się liczne relacje i wspomnienia opisujące dramat związany z przymusowym opuszczaniem majątków i utratą środków do życia. Warto przytoczyć fragment wspomnień Marii Walewskiej – właścicielki majątku Kowala k. Radomia – który jest dobrą ilustracją uczuć towarzyszących ziemianom podczas odbierania majątku: „Gdy Niemcy odbierali mi Kowalę, to był cios straszny, ale czułam wtedy mocne powiązanie mojej doli z losami całego narodu polskiego i to poczucie dodawało mi sił. Teraz ta licha farsa fornalskiego sądu [...] ferującego wyrok w imieniu Polski Ludowej, to było coś poniżającego nie tylko dla mnie samej, ale i dla Polski; i to właśnie było tak bolesne”².

Charakterystyczne jest to, że w pamięci ziemian wprowadzenie reformy stanowi nie proces, lecz wydarzenie „spłaszczone” w czasie, jednowymiarowe, zdominowane zazwyczaj przez jeden akt (moment przejęcia majątku przez komisję i wyrzucenie z domu). W przeciwieństwie do obrazu wspomnieniowego, wielu właścicieli nie oddało swoich majątków bez walki. W 1945 r. doszło do licznych protestów, listów apelacyjnych i procesów przeciw nielegalnej nacjonalizacji majątków, z których nie mało rozpatrzone na korzyść ziemian. Inicjatywa i aktywność ziemianstwa miały w tym czasie związek z nadzieją na utworzenie demokratycznego państwa po powrocie do kraju Stanisława Mikołajczyka, który ponadto został powołany na stanowisko ministra rolnictwa i reform rolnych w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej. Walka między władzą a ziemianstwem, pragnącym odzyskać jak największą część majątku przejętego na rzecz Skarbu Państwa, trwała do 1948 r., a w niektórych przypadkach dłużej. Stosunkowo najłatwiejsze było odzyskanie zagarniętego majątku ruchomego, tj. mebli, zbiorów bibliotecznych, obiektów artystycznych itp. Na przykład Roman Czartoryski, właściciel majątku Konarzewo (pow. poznański) 8 sierpnia 1947 r. uzyskał od Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym pomoc w rewindykacji mienia ruchomego.

Podczas parcelowania majątków dochodziło do różnych incydentów; różne też były postawy wobec konieczności pozostawienia we dworach i pałacach dzieł sztuki i wartościowych obiektów. Wielu ziemian szczególnie ciepło wspomina udzielaną w tym okresie przez ludność wiejską pomoc przy ocaleniu pamiątek rodzinnych i części najbardziej potrzebnych ruchomości. Pamięć o prawowitych



Oficyna przy dworze w Kopojninie, pow. Sępólca, 2010 r.

¹ Instytut im. gen. W. Sikorskiego, zesp. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, sygn. A.9 E/37, Pismo Sztabu Naczelnego Wodza Oddział Specjalny do Ministra Spraw Wewnętrznych, 11 VI 1945.

² Biblioteka Narodowa, akc. nr 14272, M. Walewska, *W cieniu reformy rolnej. Kronika wydarzeń od 1 września 1944 do 4 marca 1945 w Kowali Stępcina pod Radomiem. Pisane w Radomiu w 1959 roku*, k. 72. Wspomnienia zostały opublikowane, zob. M. Walewska, *W cieniu ustawy o reformie rolnej. Wspomnienia 1944–1945*, Warszawa 2007.

właścicielach majątków była długo przechowywana wśród społeczności wiejskiej. Jako przykład podaję fragment wspomnień Teresy z Potworowskich Tatariewiczowej: „Moja matka wyrażała nieraz życzenie, aby być pochowaną w Radoryżu. Gdy umarła w Krakowie w 1948 roku, [...] udało się nam ją przewieźć do Radoryża, gdzie służba dworska przygotowała pięknie pogrzeb. Na stację w Krzywdzie przyjechali wozem drabiniastym ubranym świerczyną, zaprzężonym w cztery konie. Katafalk w kościele był ubrany kwiatami doniczkowymi przyniesionymi przez żony fernali.

Trumnę z kościoła na cmentarz nieśli dawni fernali radoryscy. Gdy im dziękowałam, powiedzieli: »To się pani Dziedzicze należało«³.

W latach 1944–1948 na tzw. ziemiach dawnych (znajdujących się przed II wojną w granicach Polski) zabrano w ramach reformy 3485,6 tys. ha, ale rozparcelowano tylko 1210,9 tys. ha, czyli 34,7 proc. Ponad 2,2 mln ha przejęto na rzecz Skarbu Państwa. Większości gruntów odebranych ziemianom nie przekazano chłopom, gdyż nie były objęte parcelacją. Najważniejszy dla komunistów cel polityczny reformy rolnej został niewątpliwie osiągnięty – skutecznie zniszczono podstawy funkcjonowania ziemiaństwa, tym samym ostatecznie eliminując tę grupę z życia społeczeństwa polskiego. Przede wszystkim nieodwracalnie zniszczono majątki ziemiańskie, często pełniące przed wojną na wsi funkcję lokalnych ośrodków upowszechniających wiedzę rolniczą.

Warto przypomnieć również losy ziemiańskich dóbr kultury. Zgodnie z „Instrukcją KC PPR o zadaniach komitetów folwarcznych” miały one pilnować, aby wywłaszczonym właścicielom pozostawiono tylko mienie osobiste (odzież, bieliznę, urządzenie mieszkania, sprzęt domowy itd.). Bardziej precyzyjnie na temat dóbr kultury pozostawionych w majątkach ziemskich wypowiedział się minister rolnictwa i reform rolnych w rozporządzeniu wykonawczym wydanym 1 marca 1945 r. Na podstawie paragrafu jedenastego właścicielom ziemskim pozwolono na zabranie tylko tej części majątku osobistego, która nie miała „wartości naukowej, artystycznej lub muzealnej”⁴. Postanowienie to było szczególnie bolesne, pozbawiało ich bowiem wielu pamiątek rodzinnych, chronionych często przez lata z wielkim wyrzeczeniem.

Dzieła sztuki i cenne przedmioty, które ocalały bezpośrednio po przejęciu majątków, miały zostać przejęte przez muzea na podstawie zarządzenia o zabezpieczeniu przez muzea podworskiego i opuszczonego mienia kulturalnego⁵. W oparciu o ten akt prawny pracownicy muzeów podjęli akcję zwożenia dzieł sztuki z majątków ziemskich. W wielu miejscowościach, szczególnie w Wielkopolsce, działania te podejmowano niemal natychmiast po przejściu frontu. Również warszawscy muzealnicy zaraz po wywołaniu Warszawy spod okupacji niemieckiej przejęli pod opiekę pałace w Wilanowie i Natolinie. Pojawiły się tam wymalowane na desce napisy w języku polskim i rosyjskim „Muzeum Narodowe w Warszawie, Oddział w Wilanowie i Natolinie”. Na początku lutego w podobny sposób muzealnicy przejęli kontrolę nad pałacem w Nieborowie i Arkadią. Jak wspominał prof. Stanisław Lorentz (wieloletni dy-



Fot. T. Łuczak

Dwór w Płaczkach, pow. Środa Wlkp., 2010 r.

³ T. z Potworowskich Tatariewiczowa, *Wspomnienia* [w:] Teresa i Władysław Tatariewiczowie, *Wspomnienia*, Warszawa 1979, s. 40.

⁴ Rozporządzenie Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z 1 III 1945 r. w sprawie wykonania dekretu PKWN z 6 IX 1944 r. o przeprowadzeniu reformy rolnej, par. 11, DzU z 29 III 1945 r.

⁵ AAN, KC PPR, 295/XII-84, Wytyczne dla przyjmowania majątków ziemskich, Załącznik nr 2 do instrukcji KC PPR w sprawie akcji przeprowadzania reformy rolnej, Lublin 10 X 1944 r., k. 1a.



Fot. T. Łuczak

Spichlerz w Oporowie, pow. Szamotuły, 2010 r.

ności, zawiadamałem o utworzeniu oddziałów Muzeum Narodowego w Warszawie i oświadczałem w imieniu Rządu, że ponieważ nie jest to już własność pańska, lecz całego narodu, każdy, kto cokolwiek stąd zabierze, będzie rozstrzelany na dziedzińcu pałacowym. Zachowało nam się wszystko, nawet rzeczy tak użytkowe jak garnki kuchenne, kołdry, poduszki i bielizna pościelowa. Zawdzięczamy to w znacznej mierze wielkiej uczciwości miejscowych pracowników, ale może trochę i moim dekretem”.

Zwożenie do muzeów pozostawionych w majątkach ziemskich dzieł sztuki było w okresie powojennym jednym z pilniejszych zadań Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków. Dzięki tak pozyskanym zbiorom podworskim muzea znacznie wzbogaciły swe zasoby – np. galeria malarstwa obcego Muzeum Narodowego w Warszawie znacznie podniosła wartość swych zbiorów przez przejęcie obrazów z pałaców Potockich w Krakowie i Krzeszowicach. Uroczystość przekształcenia pałacu w Łąncucie w Muzeum Narodowe (4 listopada 1944 r.) wykorzystano do celów propagandowych. Jego były właściciel hr. Alfred Potocki, który przy pomocy Niemców wagonami kolejowymi wywiózł zbiory sztuki z pałacu do Wiednia, był urealnioną postacią arystokraty – zdrajcy narodu.

W omawianym okresie przejęcie przez muzea dzieł sztuki należących do polskiego ziemiaństwa było rozwiązaniem optymalnym, gdyż w ten sposób wiele cennych obiektów zostało ocalonych przed rozgrabieniem i zniszczeniem. Poszczególne kolekcje ziemiańskie, dzięki fachowej opiece i konserwacji, przetrwały w dobrym stanie do dziś.

Niektórzy ziemianie mieli świadomość, że przejęcie ich własności przez muzea było jedynym sposobem ocalenia kolekcji pałacowych przed całkowitym unicestwieniem. Wspominał o tym prof. Lorentz: „Na święta [w 1944 r.] dostałem kartkę z życzeniami od Janusza Radziwiłła z Nieborowa. Spotykałem się z nim parę razy w czasie okupacji w sprawach konspiracyjnych, ostatni raz w lipcu 1944 r. w pałacu przy ul. Bielańskiej. W świetle rozwijającej się sytuacji prosił, bym zajął się uratowaniem Nieborowa, bo jemu samemu będzie to pewnie trudno. Teraz przypominał obietnicę i pisał, że pewnie niedługo nadejdzie czas, gdy sprawa stanie się aktualna”.

Trzeba podkreślić, że tylko część ziemiańskich dóbr kultury została przejęta przez państwowe placówki kulturalne. Chaos działań wojennych i obecność Armii Czerwonej ułatwiały zawłaszczanie i kradzieże dzieł sztuki z dworów i pałaców przez szabrowników, które towarzyszyły reformie rolnej. W ten sposób uległa rozproszeniu i zniszczeniu znaczna część ziemiańskich dóbr kultury. Podczas „wprowadzania nowej rzeczywistości” trwała swoista rywalizacja w plądrowaniu dworów i pałaców; szczególnie dowódcy Armii Czerwonej rościli sobie prawo do „zdobyczy wojennych”.

W okresie przeprowadzania reformy rolnej, a także później, dochodziło do licznych aktów wandalizmu. Na przykład pałac w Winnej Górze został gruntownie splądrowany kolejno przez wojska sowieckie, szabrowników oraz miejscowych chłopów (którzy powyrywali kłamki oraz okucia, by sprzedać je na złom); w poszukiwaniu pałacowych skarbów splądrowano nawet grobowiec rodzinny, a umieszczone w wozowni meble pałacowe były przez miejscową ludność używane na opał.

Interesujące są również losy zgromadzonych w państwowych placówkach dóbr kulturalnych o podworskiej proveniencji. Polityka centralizacyjna państwa uwidoczniła się także i w tej dziedzinie.

Najcenniejsze rzeczy przewożono do Warszawy, pogłębiając tym rozproszenie ziemiańskich kolekcji sztuki i utrudniając dotarcie dawnych właścicieli do poszczególnych obiektów. Jednym z najbardziej spektakularnych jest przypadek zespołu pałacowo-parkowego w Kozłowie. Dawna wiejska rezydencja Zamoyskich, która przetrwała bez uszczerbku okres okupacji, została 4 listopada 1944 r. przekształcona w muzeum. Mimo to zbiory Zamoyskich były sukcesywnie przekazywane do innych muzeów i instytucji, ulegając ciągłemu rozproszeniu.

Ziemiaństwu polskiemu przyklejono etykietkę „wroga ludu”, więc przez cały okres stalinowski traktowane było ono w szczególny sposób. Zgromadzona w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej dokumentacja obrazuje wysiłki funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, których celem była inwigilacja tego środowiska oraz zdobycie dowodów (prawdziwych bądź fikcyjnych) umożliwiających oskarżenie i przeprowadzenie procesów o szpiegostwo czy sabotaż⁶.

Najbardziej znana jest sprawa procesu wytoczonego kierownictwu Państwowych Nieruchomości Ziemskich, które aresztowano pod zarzutem szpiegostwa i sabotażu. Grupę tę stanowili byli ziemianie z wykształceniem rolniczym i praktyką w prowadzeniu dużych majątków. By zohydzić w oczach społeczeństwa inteligencję i środowisko byłych ziemian, zorganizowano proces pokazowy⁷. Sędziowie Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie 3 lutego 1951 r. uznali oskarżonych winnymi następujących przewinień: „[...] – działając we wzajemnym porozumieniu dokonywali aktów sabotażu utrudniając prawidłowe działanie przedsiębiorstwa użyteczności publicznej Państwowe Nieruchomości Ziemskie przez: utrzymanie Państwowych Nieruchomości Ziemskich jako bazy gospodarki kapitalistycznej, wprowadzenie w zakresie hodowli trzody elitarności produkcji wbrew interesom szerokich mas społeczeństwa, celowe zaniechanie rejonizacji w zakresie upraw i hodowli oraz racjonalizacji w zakresie stosowania sprzętu i narzędzi, opóźnianie zasiewów oraz powodowanie znacznych strat w uprawach i hodowli, niewspółmiernie niskie do potrzeb odbudowy – inwestowanie na Ziemiach Zachodnich, dokonywanie nieracjonalnych inwestycji w miejscach odległych od baz surowcowych, stosowanie polityki personalnej, polegającej na obsadzeniu stanowisk kluczowych obszarnikami i członkami b[ylej] Delegatury [Rządu Polskiego na Kraj], zaniechanie szkolenia młodych kadr i wprowadzenie współzawodnictwa oraz nieprawidłowe premiowanie przodowników pracy, jak również celowe dopuszczenie do zaległości w robocznach”⁸.

Naczelnny Dyrektor PNZ Witold Maringe został skazany na dożywocie, a inni jego współpracownicy na długoletnie więzienie; w 1956 r. uwolniono ich i zrehabilitowano. Szykanom i represjom wymierzonym w ziemiaństwo towarzyszyły problemy z zatrudnieniem i zdobyciem wyższego wykształcenia; ma to odzwierciedlenie w wielu biografiiach przedstawicieli poszczególnych rodów.

Wybrana literatura:

Dziedzictwo. Ziemianie polscy, Kraków 1996; Longina Jakubowska, *Między ideologią i praktyką reformy rolnej: pamięć ziemiaństwa* [w:] *Polska 1944/45/1989. Studia i materiały*, t. 4, Warszawa 1999, s. 7–44; Robert Jarocki, *Rozmowy z Lorentzem*, Warszawa 1981; Łukasz Kamiński, *Polacy wobec nowej rzeczywistości 1944–1948. Formy pozainstytucjonalnego, żywiołowego oporu społecznego*, Toruń 2000; Piotr Kładoczny, *Prawo jako narzędzie represji w Polsce Ludowej (1944–1956)*, Warszawa 2004; Agnieszka Łuczak, *Wygnańcy – losy polskiego ziemiaństwa po 1939 roku* [w:] *Ziemiaństwo na Lubelszczyźnie. Ziemianie w podróży. Materiały z IV Sesji Naukowej zorganizowanej przez Muzeum Zamoyskich w Kozłowie w dniach 8–10 X 2008 r.*, t. 2, red. H. Łaskiewicz, Lublin 2010, s. 287–310; *Protokoły posiedzeń Biura Politycznego KC PPR 1944–1945*, oprac. A. Kochański, Warszawa 1996; *Reforma Rolna PKWN. Materiały i dokumenty*, Warszawa 1959; Henryk Słabek, *Polityka agrarna PPR*, Warszawa 1978; *Walka o dobra kultury. Warszawa 1939–1945*, red. S. Lorentz, Warszawa 1970.

⁶ AIPN, 01206/13, t. 11, *Sprawozdania wydziału IV Wojewódzkiego Urzędu d/s Bezpieczeństwa Poznań 1955*, s. 1–3; AIPN Po, 003/199, t. 1–6, Akta dot. inwigilacji polskiego ziemiaństwa w l. 1945–1956.

⁷ AIPN Po, 003/199, t. 1, Akta dot. inwigilacji polskiego ziemiaństwa w l. 1945–1956, Wyrok Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie (WSR) (odpis), Sr 1348/50, 3 II 1951 r., k. 194–203.

⁸ AIPN Po, 003/199, t. 1, Akta dot. inwigilacji polskiego ziemiaństwa w l. 1945–1956, Wyrok WSR w Warszawie (odpis), Sr 1348/50, 3 II 1951 r., k. 185.

POWOJENNE LOSY ZIEMIAŃSTWA NA BIAŁOSTOCZYZNIE

Białostoczczyzna już w latach 1939–1941 została objęta reformą rolną prowadzoną przez okupacyjne władze sowieckie. W ten sposób jedno tylko pokolenie wsi białostockiej przeszło kilka prób parcelacji (łącznie z przedwojennymi), a pekawuenowska reforma rolna miała być kolejną.

Majątki ziemskie stanowiły w województwie białostockim stosunkowo niewielki odsetek ogólnej liczby gruntów. W latach 1921–1939, głównie wskutek dobrowolnej parcelacji, stan posiadania wielkiej własności spadł z 18 proc. do nieco ponad 13 proc. Według danych z 1944 r. majątki zajmowały niecałe 103 tys. ha, z tego użytków rolnych było tylko ponad 56 tys. ha, co stanowiło ok. 6 proc. użytków rolnych w województwie¹.

Oficjalna „inauguracja” reformy rolnej na Białostoczczyźnie odbyła się 22 października 1944 r. w należącym do Zofii Manteuffel majątku Dobrzyniówka k. Zabłudowa. Okazję tę wykorzystano propagandowo. W „uroczystości” wzięli udział przedstawiciele władz wojewódzkich, partii politycznych i organizacji społecznych. Akty nadania ziemi wręczał zastępca wojewódzkiego pełnomocnika do spraw reformy rolnej, Stefan Wengierow. Rozparcelowano wówczas 291 ha ziemi, którą obdzielono tylko fernali i właściciele gospodarstw karłowatych.

Dla Białostoczczyzny charakterystyczne było – obok stosunkowo niedużej liczby majątków ziemskich – niewielkie rozwarstwienie społeczne wsi; przeważały gospodarstwa średniorolne i tylko 37 proc. gospodarstw wymagało upełnornolenia. Zatem sytuacja w województwie białostockim nie była tak „rewolucyjna”, jak chcieliby komuniści. Należy też podkreślić, że w momencie przystąpienia do realizacji reformy władze nie dysponowały dokładnym spisem gruntów, które winny podlegać parcelacji. Posiłowano się prowizorycznym wykazem majątków, sporządzonym na podstawie danych niemieckich oraz sowieckich z lat 1939–1941².

Reforma rolna dopełniła w majątkach dzieła zniszczenia zapoczątkowanego w okresie wojny. W gospodarstwach folwarcznych, które uchowały się przed grabieżą wycofujących się Niemców, praca na roli stanęła w momencie wkroczenia pierwszych oddziałów Armii Czerwonej latem 1944 r. Sowieckie wojsko zabierało wszystko. Przeprowadzano pośpieszne żniwa i omłoty, wykopywano niedojrzałe jeszcze ziemniaki, na łąkach wypasano stada koni. Po przejściu frontu majątki ziemskie zostały prawie doszczętnie ograbione, a dwory splądrowane i zdewastowane. W ramach „oczyszczania” tyłów frontu zatrzymano i wywieziono wówczas *opasnyj element*, a więc wszystkich stanowiących potencjalne niebezpieczeństwo dla Sowietów: członków Armii Krajowej lub tylko podejrzanych o sympatyzowanie z nią oraz wszystkie osoby, które mogły być niebezpieczne dla nowej władzy. Wśród internowanych znaleźli się również aresztowani przez polski aparat bezpieczeństwa podległy PKWN i przekazani NKWD³.

¹ H. Majecki, *Białostoczczyzna w pierwszych latach władzy ludowej 1944–1948*, Warszawa 1977, s. 47–51.

² Archiwum Państwowe w Białymstoku (dalej: APB), Urząd Wojewódzki Białostocki (dalej: UWB), 212, Sprawozdanie z działalności Wojewódzkiego Urzędu Ziemskiego oraz nadzorowanej przezeń Izby Rolniczej za okres do 1 XI 1944 r., k. 6.

³ Więcej na ten temat: M. Zwolski, *Deportacje internowanych Polaków w głąb ZSRS w latach 1944–1945* [w:] *Exodus. Deportacje i migracje (wątek wschodni). Stan i perspektywy badań*, red. M. Zwolski, Warszawa–

Ziemiaństwo – jako warstwa silnie kultywująca niepodległościowe tradycje i zaangażowana w działalność antykomunistyczną – było szczególnie narażone na sowieckie represje. Z Białostoczczyzny internowano i deportowano do obozów w Ostaszkwie i Riazaniu m.in.: Jerzego Niemyskiego z folwarku Piaski, Wojciecha Krzyczkowskiego z majątku Jeżewo Stare, Stanisława Wołka – właściciela Czartajewa, Stanisława Bartkiewicza – właściciela Andryjanek, Władysława Brzezińskiego – właściciela Grodziska k. Siemiatycz, Szymona Bąka – rządcę majątku Wiktorowo, Franciszka Wieczorka – rządcę majątku Kąty k. Dziadkowiec oraz Stefana Łabędzkiego – administratora tegoż majątku. Po tych aresztowaniach wielu ziemian ukryło się we wsiach z dala od swoich majątków lub w Białymstoku. Większość internowanych w sowieckich obozach jesienią 1944 r. wróciła do kraju w 1946 r., jednak dekret o reformie rolnej uniemożliwił im powrót do dawnych miejsc zamieszkania.

Na Białostoczczyźnie powszechne było parcelowanie majątków o powierzchni mniejszej niż 50 ha, co zresztą stało w sprzeczności z dekretem o reformie rolnej. Przykładem takiego postępowania był podział majątku Mień w gminie Brańsk, należącego pierwotnie do Stanisława Pac Pomarnackiego, a od września 1944 r. użytkowanego przez jego synowca Józefa Włodka. Ten liczący 45 ha użytków rolnych majątek został uznany za znacznie większy, ponieważ przed wojną Stanisław Pac Pomarnacki dzierżawił dodatkowe 59 ha od Banku Gospodarstwa Krajowego. Mimo protestów właściciela, majątek rozparcelowano na polecenie komisarza ziemskiego w powiecie Bielsk Podlaski. Podobnie postąpiono w majątku Michałki k. Wysokiego Mazowieckiego, gdzie wywłaszczono pięć osób posiadających działki o powierzchni 35 ha użytków rolnych.

Bez odzewu pozostały też protesty Heleny Jabłońskiej, właścicielki czterdziestoosmiohektarowego majątku, dysponującej wszystkimi niezbędnymi dokumentami potwierdzającymi jego faktyczną wielkość. Jej własność położona w Gierałtach Starych również uległa parcelacji, a właścicielka została aresztowana i jesienią 1944 r. znalazła się w obozie NKWD w Ostaszkwie⁴. Podobnie było w przypadku należącego do Wołyńcewiczów majątku Jodłówka, leżącego tuż przy granicy z Białorusią. Został on rozparcelowany w 1946 r., chociaż właściciele uzyskali potwierdzenie urzędu ziemskiego, że nie podlega parcelacji. Ostatecznie las i park otrzymało nadleśnictwo w Bielsku Podlaskim, reszta – wraz z zabudowaniami dworskimi – Wojska Ochrony Pogranicza. Wkrótce park wycięto, a dwór został doprowadzony do ruiny⁵.

To tylko niektóre przykłady bezprawnego wywłaszczania właścicieli dóbr ziemskich. Dowodzą one, że komunistyczne ustawodawstwo, z założenia krzywdzące ziemian, było dodatkowo łamane przez lokalne władze odpowiedzialne za parcelację. Jako przykład można podać parcelację majątków Zabiele i Dobromil, gdzie członkowie komisji przydzielili sobie parcele na najlepszych gruntach, a ich powierzchnia wyraźnie przekraczała przyjęte normy. Podczas parcelacji majątków dochodziło też do bezpodstawnych aresztowań ich właścicieli. Spotkało to m.in. Stanisława Gogę z folwarku Wiktorzyn, który podczas wywłaszczenia został zabrany do siedziby Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Wysokiem Mazowieckiem i dotkliwie pobity⁶.

Część folwarków nie była parcelowana i przechodziła wraz z zabudowaniami pod zarząd Państwowych Nieruchomości Ziemskich, z których w 1949 r. utworzono Państwowe Gospodarstwa Rolne. W budynkach dworskich lokowano administrację pegeerowską.

Taki los spotkał należący do rodziny Tomaszewskich dwór w Bobrze Wielkiej nieopodal Nowego Dworu na historycznej Grodzieńszczyźnie. Przed wojną gościł on wiele znakomitości: historyka Tadeusza Korzona, wybitnego malarza Jana Stanisławskiego, mistrza fotografii Jana Bułhaka czy wreszcie Ignacego Paderewskiego. Po wojnie majątek i dwór stały się własnością PGR i systematycznie popadały w ruinę. Na szczęście w 1984 r. wojewódzki konserwator zabytków nakazał rozebranie dworu i przeniesienie go do Białostockiego Muzeum Wsi, gdzie znajduje się do dziś.

–Białystok 2008, s. 40–49.

⁴ J. Włodek, *Pamiętniki historyczne*, t. 1: *Dzieje zagłady ziemiaństwa południowo-zachodniej Białostoczczyzny w latach 1939–1944*, Ciechanowiec 2005, s. 286–291.

⁵ K. i J. Samusikowie, *Palace i dwory Białostoczczyzny*, Białystok 1998, s. 77–79.

⁶ J. Włodek, *op. cit.*, s. 65.

Własnością PGR stał się również należący do Adolfiny Korybut Daszkiewiczowej dwór i majątek w Górcie nieopodal Sokółki, którego właścicielka została wywieziona w głąb Związku Sowieckiego już w 1941 r. Podobnie potoczyły się losy dworów w Kurowie, Mikicinie i Łosośnej Małej, co również oznaczało ich grabież i dewastację. Także należący do Aleksandry Piłsudskiej Kamienny Dwór nieopodal Brańska został zaadaptowany na potrzeby PGR. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku władze wyremontowały budynek z myślą o przyciągnięciu w to miejsce „dewizowych” myśliwych.

We wsłaniałej posiadłości Ossolińskich i Potockich w Rudce k. Brańska, po wojnie ulokowały się trzy instytucje: PGR, szkoła rolnicza i technikum rachunkowości rolnej. Imponujący, neobarokowy pałac i zabudowania folwarczne zostały przebudowane i w gruncie rzeczy zdewastowane. W latach 1965–1970 przywrócono pałacowi jego wygląd z 1914 r., uporządkowano aleje parkowe, powstały plan restauracji całego założenia jednak nie doczekał się realizacji. Dziś budynek pałacu zajmuje Zespół Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego im. Krzysztofa Kluka.

Rozparcelowano także należący do Eynarowiczów majątek w Sidrze k. Sokółki. W budynku dworskim umieszczono biura PGR, Spółdzielni Kótek Rolniczych i Urzędu Gminy. Po pewnym czasie jeden z lokalnych decydentów doszedł do wniosku, że dwór należy rozebrać, a uzyskany materiał przeznaczyć na budowę pegeerowskiego kurnika w Makowlanach. Szczęśliwie, dzięki staraniom miejscowego lekarza i petycji wysyłanych przez niego do samego Bolesława Bieruta, pomysł partyjnego aparacza nie został zrealizowany i we dworze znalazła się izba porodowa, a później ośrodek zdrowia.

Pawłowicze były majątkiem należącym od początku XVIII w. do Wołowiczów, później stały się własnością Łapów i Downarowiczów. Jego ostatnią, przedwojenną właścicielką była Elżbieta Kułakowska. Majątek został spustoszony już w czasie wojny, a lata powojenne dopełniły dzieła zniszczenia. Dawne sady zamieniono w pastwiska, wycięto drzewa parkowe, rozebrano dworskie zabudowania. W miejscu, gdzie wznosił się pałac, pozostawiono pozbawione dachu ściany, które w 1957 r. zaczęto rozbierać. Na szczęście o dewastacji obiektu dowiedział się syn ostatniej właścicielki, Paweł Kułakowski, i interweniując w Ministerstwie Kultury, zapobiegł całkowitemu zniszczeniu dworu. W latach sześćdziesiątych XX w. dwór poddano renowacji i przekazano na potrzeby szkoły.

Podczas II wojny światowej uległ dewastacji należący do Starzeńskich dwór w Strabli k. Łap. Po wojnie został prowizorycznie wyremontowany i umieszczono w nim biuro PGR oraz szkołę podstawową. Konserwacją parku i ogrodów nikt się nie zajmował. Wycięto stare drzewa i ozdobne krzewy, aby uzyskać grunty orne i pastwiska. Szkoły zainstalowano także w budynkach dworskich w Dołubowie i Horodnianach⁷.

Od kwietnia 1944 r. do października 1945 r. rozparcelowano na Białostocczyźnie prawie wszystkie majątki. Ogółem podzielono ponad 40 tys. ha, z czego skorzystało prawie 12 tys. gospodarstw. Były to jednak nadziały wielkości od 3 do 5 ha, a więc symboliczne, niepozwalające efektywnie gospodarować. Część folwarcznej ziemi leżała jednak odłogiem, ponieważ wyrzucono z niej prawowitych właścicieli, a chłopci nie zawsze chcieli uprawiać przydzielone im parcele⁸.

Reforma rolna wymazała dwory ze społeczno-gospodarczego i kulturalnego pejzażu białostockiej wsi. Zlikwidowano ziemiaństwo, gdyż było przedstawicielem przedwojennego porządku społecznego, z którym komuniści prowadzili bezpardonową walkę.

⁷ K. i J. Samusikowie, *op. cit.*, s. 49–147.

⁸ APB, UWB, 212, Sprawozdanie Wojewódzkiego Urzędu Ziemińskiego za lata 1944–1945, k. 60.

NISZCZENIE POLSKICH ELIT NA WSCHODZIE W LATACH 1944–1953

W lutym 1945 r., kiedy II wojna światowa zbliżała się do finalnych rozstrzygnięć, w pałacu Połockich w Liwadii na Krymie trzech przywódców koalicji antyhitlerowskiej podejmowało wiążące decyzje co do powojennych losów świata. Jednym z głównych rozstrzygnięć były nowe granice, w jakich miała funkcjonować Polska, od tej chwili znajdująca się w obrębie wpływów polityki państwa sowieckiego. Nowa Polska – tzw. ludowa – traciła niemal połowę swych ziem na wschodzie, w zamian miała otrzymać tereny na zachodzie, nad Odrą i Bałtykiem, kosztem Niemiec.

Postanowienia, które przyjęło się określać jako jałtańskie, były pieczęcią na układzie, jaki 27 lipca 1944 r. zawarł PKWN z rządem ZSRS o polsko-sowieckiej granicy państwowej, za jej podstawę przyjmując tzw. linię Curzona. Ponieważ w tym czasie mało kto w Polsce poważnie traktował decyzje rządu nazywanego lubelskim, pierwsze miesiące zarządzanego przesiedlenia ideologicznie nazywanego repatriacją – przyniosły bardzo znikomy efekt. Spośród 341 tys. Polaków zarejestrowanych na terenie Litewskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej do czerwca 1945 r. do Polski w nowych granicach wyjechało zaledwie 27 tys. osób. W rozumieniu wielu ludzi zapis na listę repatriacyjną był jedynie potwierdzeniem polskiej narodowości, a nie wolą wyjazdu.

Likwidacja polskiego podziemia

Po wyzwoleniu Wilna z rąk niemieckich, 13 lipca 1944 r. na Baszcie Giedymina zawisła biało-czerwona flaga. Zatknął ją jeden z żołnierzy Armii Krajowej, która wspólnie z oddziałami Armii Czerwonej zdobyła miasto. Cztery dni później dowódca Okręgu Wileńskiego AK, płk Aleksander Krzyżanowski „Wilk”, został aresztowany przez NKWD. Trafił do więzienia w Wilnie, skąd przewieziono go do Moskwy, a w październiku 1946 r. przeniesiono do obozu w Diagilewie, następnie do Griazowca, skąd uciekł 11 sierpnia 1947 r. Udało mu się dotrzeć do Wilna, gdzie lojalnie zgłosił się do polskiego pełnomocnika ds. repatriacji, chciał bowiem legalnie przekroczyć granicę; był przekonany o konieczności porzucenia konspiracji i ujawniania się. W „nagrode” aresztowano go ponownie i osadzono w więzieniu butyrskim w Moskwie, skąd po kolejnych dwóch miesiącach został odesłany do Polski. Podobny był los płk. Władysława Filipkowskiego, komendanta Obszaru Lwów, czy mjr. Tadeusza Sztumberk-Rychtera, dowódcy 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.

Po aresztowaniu polskich dowódców AK uczestniczących w akcji „Burza”, niepodległościowe podziemie wzmożyło akcję konspiracyjną, przekształcając się kolejno w organizację „Nie”, Delegaturę Sił Zbrojnych na Kraj oraz Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość”. Struktury podległe polskiemu rządowi w Londynie jednoznacznie opowiadały się za pozostaniem ludności polskiej na Kresach Wschodnich. W odpowiedzi NKWD nasiliło akcję inwigilacyjną, kierując jej ostrze przeciw oficerom podziemia, łącznikom, ludziom ze sztabów dowodzących, którzy mogli mieć wpływ na zachowanie setek, czy nawet tysięcy Polaków. Aresztowania miały miejsce głównie w dużych miastach, gdzie Polacy nadal stanowili znaczny procent mieszkańców – w Wilnie, Grodnie, we Lwowie. W samym grodzie nad Pełtwią i jego okolicach na początku stycznia 1945 r. aresztowano

17 tys. Polaków, ewidentnie w celu zastraszenia i przekonania pozostałych, że należy jak najszybciej wyjeżdżać.

Od lata 1945 r. struktury podziemne otrzymały zgodę na ewakuację organizacji na zachód od linii Curzona. Tak działo się w inspektoracie grodzieńskim, gdzie ówczesny komendant Obwodu Grodno Prawy Niemen, Franciszek Ziemkowski „Zmiana”, zajął się sprawnym przerzucaniem podległych mu ludzi przez granicę. Sam wyjechał wraz z rodziną w lipcu 1945 r. Powrócił do rodzinnego Poznania, kontaktował się jednak nadal z macierzystym Okręgiem Białostockim. W grudniu 1945 r. w Białymstoku aresztowali go funkcjonariusze UB i następnie przekazali NKWD. W październiku 1946 r. został osądzony przez Trybunał MWD [Ministerstwo Wewnętrznych Dział] obwodu grodzieńskiego i 12 marca 1947 r. rozstrzelany w Grodnie¹.

Główne siły polskiego podziemia skupione były w terenie, zwłaszcza na ziemi ludzkiej, gdzie już w czasie działań wojennych funkcjonowały bardzo duże zgrupowania AK. Między latem 1944 r. a latem 1945 r. nadal działały tu 42 oddziały partyzanckie, toczące regularne walki zbrojne z siłami NKWD². W toku walk zginęło wielu wybitnych dowódców, przedwojennych oficerów i podoficerów Wojska Polskiego, takich jak ppłk Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz”, ppor. Czesław Zajczkowski „Ragnar” czy por. Jan Borysewicz „Kryśia”.

Po wyjeździe znacznej części ludności polskiej, w tym także żołnierzy podziemia, na terenach wschodnich – włączonych już w obręb państwa sowieckiego – nadal funkcjonowały zorganizowane jednostki polskiej partyzantki. Komendantem obwodu Nowogródek–Lida–Szczuczyn był ppor. Anatol Radziwonik „Olech”, przedwojenny nauczyciel. Oddziały te musiały działać samodzielnie, bez jakiegokolwiek kontaktu z podziemiem niepodległościowym za kordonem. Jedyne, co im pozostawało, to sporadyczne kontakty z innymi polskimi oddziałami lub z konspiracją miejską funkcjonującą na tamtejszych terenach. Liczące kilkaset osób oddziały „Olecha” swą działalność skupiały na wsparciu samoobrony miejscowej ludności polskiej. W odwecie za terror oddziałów sowieckich wykonywane były wyroki śmierci na donosicielach i komunistycznych działaczach partyjnych. Ważnym elementem działalności oddziału było redagowanie i wydawanie gazety „Świtez”, w której zamieszczano pochodzące z nasłuchu radiowego wiadomości z wolnego świata. Codzienne funkcjonowanie oddziału możliwe było tylko dzięki pomocy ludności, co świadczyło o liczebności Polaków na tych terenach, jak i nieakceptowaniu przez nich nowej władzy. Poparcia udzielali nie tylko Polacy, katolicy, ale i ludność prawosławna, czy też „tutejsza” – jak często sama się określała. W 1948 r. oddziały „Olecha” podjęły szeroko zakrojoną akcję skierowaną przeciw wprowadzaniu kolchozów do miejscowych wsi.

Kres oddziału i jego dowódcy nastąpił w maju 1949 r., kiedy w okolicach Wasiliszek liczne oddziały sowieckie otoczyły polskich partyzantów i zabiły prawie wszystkich, na czele z ppor. Radziwonikiem. Ostatnie na wschodzie, rozproszone i nieliczne kadrowo oddziały – słuszniej byłoby napisać, plutony – zostały zlikwidowane przez NKGB w 1953 r.

Ekspatriacja

Kiedy dla Polaków z Kresów stało się jasne, że zachodni alianci nie będą bronić przedwojennych granic Polski, większość z nich zdecydowała się na wyjazd do Polski. Według Jana Czerniakiewicza, w latach 1944–1948 z terenów włączonych w obręb ZSRS wyjechały 1 517 983 osoby³. Najwięcej Polaków przesiedlono z terenów włączonych do Ukraińskiej SRS – 787 674, co jest zrozumiałe, biorąc pod uwagę eksterminacyjną politykę Ukraińskiej Powstańczej Armii, prowadzoną już od 1943 r. Inaczej ta sytuacja wyglądała na terenach Litewskiej i Białoruskiej SRS.

¹ T. Łabuszewski, *Kresowi straceńcy. Sylwetki dowódców grodzieńskiej AK po 1944 r.*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2004, nr 12 (47), s. 51–59.

² *Polskie podziemie niepodległościowe na Ziemiach II RP włączonych do ZSRR 1944–1953*, oprac. K. Krajewski, T. Łabuszewski [w:] *Atlas polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956*, red. R. Wnuk, S. Poleszak, A. Jaczyńska, M. Śladecka, Warszawa–Lublin 2007.

³ J. Czerniakiewicz, *Repatriacja ludności polskiej z ZSRR 1944–1948*, Warszawa 1987.

Na Litwie miejscowe władze chętnie pozbyły się Polaków – w tym głównie inteligencji – ze stocznego miasta Wilna. Na Wileńszczyźnie natomiast, w wielu miejscach wstrzymywano akcję wyjazdową, obawiając się wyludnienia tych obszarów. Skomplikowana sytuacja była także na Litwie tzw. Kowieńskiej, która początkowo nie była objęta akcją przesiedleńczą. Pod wpływem nacisków polskich wiosną 1945 r. zostały uruchomione punkty ewakuacyjne w Kiejdanach, Poniewieżu, Kownie i Wiłkomierzu. W ciągu kilku dni na wyjazd zgłosiło się tam ok. 50 tys. Polaków – obywateli przedwojennego państwa litewskiego – co tak bardzo zaniepokoiło władze litewskie, że akcja została wstrzymana. Ostatecznie z tych terenów wyjechało zaledwie 8310 osób.

Z terenów włączonych do Białoruskiej SRS wyjechała przede wszystkim ludność miejska. Według badań Czerniakiewicza pracownicy umysłowi, nauczyciele, wojskowi, pracownicy służby zdrowia, pracownicy kultury i sztuki, duchowni oraz działacze społeczni stanowili łącznie ok. 26 proc. ogółu ludności, która wyjechała z ZSRS w latach 1944–1948.

Ciekawe jest porównanie wielkości przesiedleń w dwóch największych ośrodkach polskości dawnych Kresów RP – Wilnie i Lwowie. Z Wilna wyjechało ok. 80 proc. przedwojennej ludności polskiej, w tym niemal cała inteligencja. W kolejnych latach jednak do miasta zaczęli napływać Polacy z Wileńszczyzny, dzieci tamtejszych rolników, szukając w stołecznym mieście wykształcenia i pracy. Inaczej było we Lwowie, w którym zdecydowało się na pozostanie zaledwie ok. 12 tys. Polaków, czyli 5 proc. ogółu ludności miasta. W późniejszych latach do Lwowa powróciło z łagrow i więzień kilka tysięcy osób. W przeciwieństwie do Wilna była to jednak w dużej mierze inteligencja. Ludzie ci, mimo likwidacji polskiego szkolnictwa i polskich instytucji kulturalnych, pozostali w mieście, nie wyobrażając sobie życia poza jego obrębem.

Polskojęzyczne szkolnictwo i placówki kultury

Tuż po zakończeniu działań wojennych, kiedy wydawało się, że istnieje szansa na odbudowę (przynajmniej w jakimś stopniu) życia społecznego i kulturalnego, w Wilnie – zresztą za zgodą Komunistycznej Partii Litwy – reaktywował swą działalność Polski Teatr Dramatyczny oraz Polski Teatr Komedi i Muzycznej. W tym czasie, w październiku 1944 r., były to jedyne teatry w mieście. Nie litewskie, nie rosyjskie czy sowieckie, ale właśnie polskie. Funkcjonowały krótko, bo już 28 stycznia kolejnego roku zakazano ich działalności. Jednak w ciągu tych niecałych czterech miesięcy dały one aż 128 przedstawień i koncertów⁴. Świadczy to najlepiej o żywotności Polaków w mieście nad Wilią i ich nadziei, że miasto nadal będzie miało polski charakter.

Od chwili zakończenia wojny władze sowieckie podjęły jednak zdecydowane kroki depolonizacyjne w stosunku do placówek oświaty i kultury. Przede wszystkim uniwersytety w Wilnie i we Lwowie przestały mieć polski charakter – z nazwy obu placówek naukowych zostali na trwałe usunięci ich patroni – polscy królowie Stefan Batory i Jan Kazimierz – co miało wymiar symboliczny. Podobnie postąpiono z innymi uczelniami wyższymi.

Masowe aresztowania Polaków zamieszkałych we Lwowie odbyły się między 2 a 4 stycznia 1945 r. Objęły one – według szacunków AK – ok. 17 tys. osób, wśród których znalazło się 31 pracowników naukowych Uniwersytetu i Politechniki. Część aresztowanych zwolniono po kilkudniowym śledztwie, większość jednak deportowano w głąb Związku Sowieckiego. Zostali wówczas aresztowani profesorowie Politechniki Lwowskiej: Włodzimierz Burzyński, Edward Sucharda, Marian Janusz, Ewa Pilotowa; po pewnym czasie zwolniono ich z więzienia lub obozu. Innych aresztowanych naukowców – m.in. Tadeusza Kuczyńskiego, Stanisława Fryze, Witolda Minkiewicza – przewieziono do łagru Krasnodon. Zostali tam skierowani do ciężkiej pracy przy wyrębie lasów lub w kopalniach Zagłębia Donieckiego. Dwoch profesorów zmarło, inni wrócili do Lwowa po sześciu miesiącach uwięzienia⁵.

Nieco inna sytuacja była w szkolnictwie podstawowym i średnim. Na Litwie, Białorusi i Ukrainie, a nawet na Łotwie, w pierwszych latach powojennych – do roku szkolnego 1948/1949 – przetrwało szkolnictwo z językiem polskim jako wykładowym. Trzeba to wyraźnie podkreślić – nie było

⁴ A. Srebrakowski, *Polacy w Litewskiej SRR 1944–1989*, Toruń 2001.

⁵ M. Kulczyńska, *Lwów – Donbas 1945*, Łódź 1988.

to szkolnictwo polskie, a szkolnictwo polskojęzyczne z pełną zawartością ideologii sowieckiej. Do 1948 r. w Dyneburgu na Łotwie działało takie gimnazjum i szkoła podstawowa, na Białorusi w 1946 r. było piętnaście polskojęzycznych szkół początkowych, sześć siedmioletnich i jedna średnia. We Lwowie działały trzy szkoły z językiem polskim jako wykładowym, z których jedna – nr 30 – została zlikwidowana w 1962 r., dwie pozostałe przetrwały po dziś dzień.

Decyzje w tej sprawie zapadały na najwyższym szczeblu władzy, w Moskwie. W 1947 r. I sekretarz Komunistycznej Partii Białorusi, Nikołaj Gusarow, pisał do ówczesnego głównego ideologa państwa sowieckiego, Andrieja Żdanowa: „W związku z istnieniem polskich elementów nacjonalistycznych, krzewienie szkół polskich z obcą nam kadrą pedagogiczną oraz kształcenie kadry w języku polskim może przynieść szkodę państwu sowieckiemu. Należy stopniowo przekształcać polskie szkoły w białoruskie lub rosyjskie, wymieniając jednocześnie niepewnych i niewykwalifikowanych Polaków na pewnych i wykwalifikowanych nauczycieli Rosjan i Białorusinów”⁶.

Na tym tle odmiennie wyglądała sytuacja na terenie Litewskiej SRS. Formalnym powodem podtrzymania – a w pewnym okresie nawet rozbudowania – szkolnictwa polskojęzycznego był stosunkowo wysoki procentowy udział ludności polskiej w strukturze ludności całej Litwy, czyli ok. 7 proc. Tak naprawdę decyzja o istnieniu tego szkolnictwa miała charakter polityczny i służyła konfliktowaniu żywiołu polskiego ze społeczeństwem litewskim, zgodnie z powszechnie stosowaną w ZSRS zasadą *divide et impera*. Potwierdzeniem tego jest fakt, że nie odbudowano polskojęzycznego szkolnictwa na dawnej Litwie Kowieńskiej – bo tam Polacy mieli się po prostu wtopić w żywioł litewski – czy w sąsiedniej Białorusi, w skład której weszła znaczna część Wileńszczyzny, ze znaczą liczbą ludności polskiej.

Początkowo na Litwie działały jedynie dwa gimnazja polskojęzyczne, do których rychło dołączyło trzecie, usytuowane w Nowej Wilejce. Rekordowa liczba szkół z klasami polskimi funkcjonowała w roku szkolnym 1954/1955 – było ich 312. Do tej liczby należy jeszcze dodać 54 szkoły z klasami polsko-rosyjskimi, 19 szkół z klasami polsko-litewskimi i 9 z klasami polsko-rosyjsko-litewskimi. W owym roku naukę po polsku we wszystkich rodzajach szkół pobierało 32 260 uczniów, co stanowił 7,79 proc. wszystkich uczniów na Litwie i jednocześnie było zgodne ze strukturą narodowościową Litewskiej SRS. W kolejnych latach zaczęła spadać liczba szkół z językiem polskim jako wykładowym, jak również liczba uczniów. W roku szkolnym 1989/1990 w szkołach tych było 9995 uczniów, co stanowiło 1,95 proc. wszystkich uczących się na Litwie.

Duchowieństwo

Jedną z ostoi polskości na Wschodzie był zawsze Kościół katolicki. Po 1944 r. na swoich stolicach biskupich pozostali: metropolita wileński Romuald Jałbrzykowski, metropolita lwowski Eugeniusz Baziak oraz ordynariusz diecezji łuckiej Adolf Szelażek. Początkowo sprzeciwiali się oni wyjazdowi Polaków na zachód. Władze sowieckie, wiedząc jakim autorytetem wśród Polaków cieszy się Kościół, postanowiły uderzyć w jego struktury. Najpierw aresztowano duchownych uczestniczących w polskim zbrojnym podziemiu, po wyroku sądowym zsyłając ich do łagrów na wiele lat. W wyjątkowych sytuacjach, jak w przypadku ks. Mikołaja Tappera – wikarego z Ejszyszek na Litwie, kapelana AK noszącego pseudonim „Żaba” – jego rozprawa zakończyła się wyrokiem śmierci i rozstrzelaniem w sierpniu 1945 r. Następnie ostrze represji skierowano przeciw profesorom seminariów, pracownikom kurii i kapłanom piastującym istotne funkcje w strukturze kościelnej. Gdy okazało się, że i te represje nie zmieniły poglądu biskupów na sprawę opuszczenia ojcowizny przez Polaków, NKWD postanowiło aresztować samych hierarchów. W Łucku 5 stycznia 1945 r. został aresztowany bp Szelażek, a wraz z nim kilku duchownych tej diecezji; w tym samym miesiącu w Wilnie aresztowano abp. Jałbrzykowskiego, a wiosną 1946 r. został zatrzymany metropolita lwowski. Wszystkich trzech zmuszono ostatecznie do wyjazdu do Polski ludowej. W przypadku Wilna i Lwowa część instytucji kurialnych przeniesiono do, odpowiednio, Białegostoku i Lubaczowa.

⁶ J. Szumski, *Sowietyzacja Zachodniej Białorusi 1944–1953. Propaganda i edukacja w służbie ideologii*, Kraków 2010.

W archidiecezji wileńskiej niemal połowa duchowieństwa zdecydowała się pozostać w dotychczasowych parafiach. Na Polesiu, w diecezji pińskiej, odsetek wyjeżdżających był znacznie wyższy z uwagi na zdecydowaną przewagę na tych terenach ludności prawosławnej i białoruskiej zarazem. W metropolii lwowskiej, oprócz nacisków i prześladowań sowieckich, do decyzji o wyjeździe wydatnie przyczynił się terror nacjonalistów ukraińskich. Zasadniczy wpływ na decyzję duchowieństwa o tym, czy wyjeżdżać, czy zostać, miała postawa miejscowych parafian. Jeśli na miejscu zostawała ich jakaś większa grupa (choć niekoniecznie większość), zazwyczaj pozostawali w niej także duszpasterze. Na Litwie dodatkowym powodem pozostawania duchownych była aktywność katolików litewskich, „wypełniających lukę” po przesiedlanych na zachód Polakach.

Wśród tych kapłanów, którzy zdecydowali się trwać, wielu ukończyło zagraniczne studia, miało tytuły naukowe. W Wilnie pozostali m.in.: długoletni rektor tutejszego seminarium duchownego ks. prałat Jan Uszyło; dr prawa kanonicznego, absolwent rzymskiego Gregorianum ks. Jan Ellert, czy mający za sobą studia z zakresu orientalistyki w papieskim Instytucie Wschodnim ks. Kazimierz Kulał. Wśród pozostałych na Białorusi wybitnymi duszpasterzami byli m.in. księża: Józef Graszewicz, absolwent polonistyki i teologii Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie; Wacław Piątkowski, mający uzyskany w Rzymie doktorat z teologii; długoletni dziekan i proboszcz grodzieński Antoni Kuryłowicz, który wcześniej ukończył studia filozoficzne w Institut Catholique w Paryżu. Z kolei we Lwowie przez długie lata w duszpasterstwie czynni byli prałaci: Antoni Chwirut i Zygmunt Hałuniewicz.

Wielu tych wybitnych kapłanów musiało pracować w małych, wiejskich parafiach, zwłaszcza po szeroko zakrojonej akcji depolonizacyjnej Wilna i Lwowa w 1948 r. W tym roku i w kolejnych latach zdecydowana większość polskiego duchowieństwa pracującego na Wschodzie została aresztowana i skazana na wieloletnie przebywanie w sowieckich łagrach. Na Syberii i w Kazachstanie śmierć poniosło ponad dwudziestu polskich księży katolickich, w tym ks. Albert Jaroszewicz, absolwent studiów w szwajcarskim Fryburgu, przed wojną wykładowca USB w Wilnie; czy ks. Jan Wasilewski, absolwent studiów w Petersburgu i Louvain, wykładowca seminarium duchownego w Pińsku, autor wielu publikacji.

Mimo represji i wzmoczonej akcji ateistycznej znaczna część ludzi, także inteligencja, nie zrezygnowała z prowadzenia życia religijnego. W obwodzie mołodeczzańskim większość nauczycieli „uczęszczała do kościołów, spełniając obrządku religijne i nie prowadząc żadnej pracy antyreligijnej wśród uczniów”. Jak donosił inspektor działu propagandy Komunistycznej Partii Białorusi, w tym obwodzie we wrześniu 1947 r. „Niektóre nauczycielki (Popławska, Łozowska, Żelezowska) opuszczały lekcje w szkole, by wziąć udział w nabożeństwach w kościele, niektóre nawet śpiewały w chórze. W roku szkolnym 1947/1948 zostały one zwolnione z pracy”⁷.

Istotny wpływ na życie religijne miała likwidacja seminariów duchownych na ziemiach zabranych Polsce przez ZSRS. Po 1945 r. na całym terytorium państwa sowieckiego władze zezwoliły na działalność dwóch takich placówek edukacyjnych – w Kownie i Rydze. Na tej pierwszej uczelni, mającej kształcić przyszłych duchownych także dla Wilna i Wileńszczyzny, polscy klerycy byli rzadkością, tak z uwagi na nieprzychylny do nich stosunek ze strony duchowieństwa litewskiego, jak i niechęć młodych Polaków do podejmowania nauki w obcym dla nich języku i tradycjach zazwyczaj dalekich od tego, co znali ze swoich domów czy rodzinnych parafii⁸.

Aresztowania, sądy, zsyłki i trwanie przy polskości

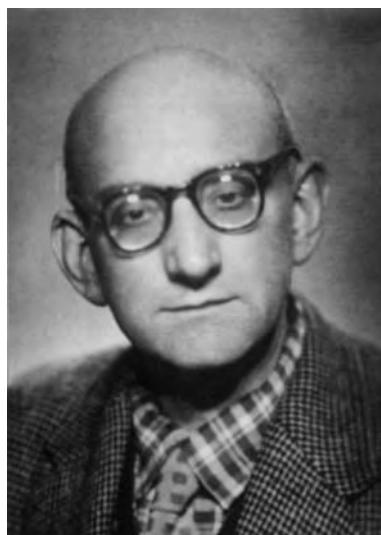
Przedstawiciele polskiej inteligencji, którzy pozostali na Wschodzie po 1945 r., byli nieliczni i podejmowali tę decyzję najczęściej z powodów osobistych. Dla wielu z nich podstawowym argumentem była niechęć do porzucenia rodzinnego miasta, gdzie przeżyli znaczną część życia. Ta konkluzja odnosi się przede wszystkim do polskich elit Lwowa i Wilna, a w dużo mniejszym stopniu Grodna,

⁷ J. Szumski, *op. cit.*

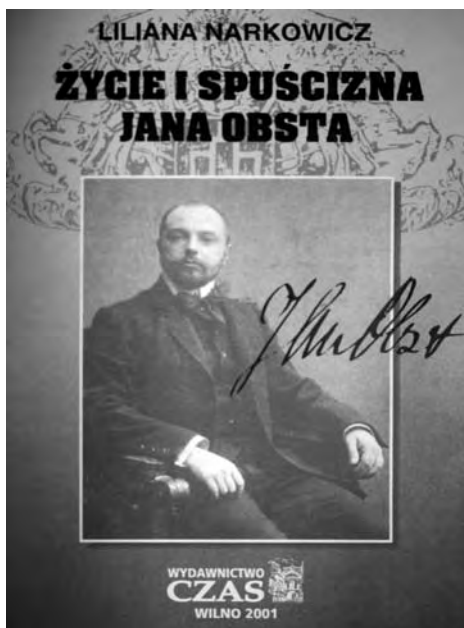
⁸ I. Mikłaszewicz, *Polityka sowiecka wobec Kościoła katolickiego na Litwie 1944–1965*, Warszawa 2001; A. Hlebowicz, *Polacy w seminariach Litwy i Łotwy w okresie powojennym*, „Spotkania” nr 1, „Spotkania” nr 2, Wilno 2010.

Brześćcia, Pińska, Łucka czy Tarnopola. Innym ważnym powodem decyzji o pozostaniu było to, że ktoś z rodziny był represjonowany – przebywał w więzieniu, na zsyłce czy w łagrze – i czekało się na jego uwolnienie.

Łosy Jerzego Ordy – historyka sztuki, znawcy architektury Wilna – są ilustracją i przykładem postawy człowieka, który nie potrafił i nie chciał rozstać się z ukochanym miastem. Absolwent Uniwersytetu Stefana Batorego z tytułem doktora filozofii należał do najlepszych znawców przeszłości stolicy Litwy. Po wojnie odmówił nostryfikacji swego polskiego dyplomu, otwarcie przyznając się przy tym do wyznawania wiary w Boga. W rezultacie pozbawiono go pracy. Dopiero kilka lat potem został pracownikiem nieetatowym, a w końcu woźnym w Instytucie Historii Litewskiej Akademii Nauk. Faktycznie jednak jego praca miała charakter naukowy z wykorzystaniem doskonałej znajomości języków: francuskiego, niemieckiego, rosyjskiego. Dopiero w 1958 r. otrzymał normalny etat, ale na najniższym stanowisku młodszego pracownika naukowego. W latach sześćdziesiątych był współtwórcą zespołu pieśni i tańca „Wilia” oraz odrodzenia polskiego życia teatralnego. Zmarł w Wilnie w 1972 r.⁹



Dr Jerzy Orda (1905–1972),
filozof, znawca sztuki wileńskiej



Wilnianin Jan Obst (1876–1954),
historyk, dziennikarz, ziemianin

We Lwowie symbolem *semper fidelis* był prof. Mieczysław Gębarowicz, ostatni polski dyrektor zbiorów Ossolineum. Ten wybitny uczony, historyk sztuki – podobnie jak Jerzy Orda – zatrudniony był na najniższym stanowisku asystenta. Pisał liczne prace naukowe, głównie w oparciu o własną pamięć i bez jakiegokolwiek wsparcia materialnego. Dożył 91 lat. W 1984 r. spoczął na ukochanym Cmentarzu Łyczakowskim.

Wielu innych polskich inteligentów żyło jeszcze skromniej. Wykonywali najgorsze prace lub byli zdani tylko i wyłącznie na pomoc innych ludzi. W rodzinnym majątku Rubno k. Ławaryszek na Wileńszczyźnie, zamienionym przez Sowieców na kołchoz, dożywał swych dni Jan Obst, twórca Muzeum Mickiewicza w Wilnie, przed wojną redaktor naczelny „Kwartalnika Litewskiego” i „Dziennika Wileńskiego”. Do śmierci w 1954 r. opiekował się nim brat zakonny, salezjanin. Po wojnie na Litwie egzystowali przedstawiciele ziemiaństwa Marian i Dominik Broel-Plater, którzy też doświadczyli udręki zsyłki, czy rodziny Soroków i Gawińskich¹⁰.

Niezwykle ciekawy i charakterystyczny był los Stanisława Adamskiego ze Lwowa. Właściwie

⁹ Jerzy Orda – wilnianin z wyboru, praca zbiorowa, red. W. Piotrowicz, Warszawa 1999.

¹⁰ J. Surwiło, *Zostali tu z nami na dobre i złe. Łosy przedstawicieli przedwojennej inteligencji Wilna i Wileńszczyzny po 1944*, Wilno 2000.



Stanisław Adamski (1916–1999), oficer AK, lwowianin,
więzień łagrów

nazywał się Kruczkowski, ale przynależność do AK trwale zmieniła jego formalną tożsamość. Przez sześć lat wojny walczył w podziemiu o wolną i niepodległą Rzeczpospolitą; w 1945 r., już „po wyzwoleniu”, aresztowało go NKWD. Spędził trzy lata w obozie Diagilewo, do lwiego grodu wrócił w 1948 r. Zmieniał adresy, miał się różnych zawodów, by wreszcie stać się specjalistą – konserwatorem zabytków. Głównie odnawiał działające kościoły, nie ustając nadal w pracy kształceniowej i patriotycznej. Nieprzypadkowo to jego dzieci po latach doprowadziły do odrodzenia harcerstwa polskiego we Lwowie – jego matczyniku – gdzie było zakładane przez małżeństwo Małkowskich w 1911 r. Adamski blisko

współpracował z prof. Gębarowiczem, a także legendarnymi lwowskimi kapłanami – Rafałem Kiernickim i Henrykiem Mosingiem¹¹.

Podsumowanie

Negatywne konsekwencje tego, co działo się w latach 1944–1953, ciągnęły się jeszcze przez wiele lat. Ogromna liczba żołnierzy AK i polskiego podziemia niepodległościowego spędziła długie lata w sowieckich łagrach. Wielu zdołało wyjść z nich po śmierci Stalina w 1953 r., a następnie wyjechać do Polski w ramach kolejnej akcji ekspatriacyjnej w latach 1956–1959. Byli jednak i tacy, jak komendant Obwodu AK Grodno Prawy Niemen, Julian Lubasowski „Dąb”, któremu po zwolnieniu z łagru w 1954 r. nigdy nie pozwolono na wyjazd do Polski. Żył i pracował w ZSRS aż do śmierci w Saratowie w 1968 r. Podobny los spotkał Bronisława Chwieduka „Cietrzewia”, dowódcę Samoobrony Ziemi Wołkowyskiej, schwytanego we wrześniu 1948 r., skazanego na 25 lat łagrów i zwolnionego dopiero po odsiedzeniu pełnego wyroku w 1972 r. Wspomnieć też należy Władysława Ossowskiego „Małego Władzia”, który jako nastolatek należał do legendarnych „białych kurierów” przeprowadzających przez granicę sowiecko-węgierską wielu uciekinierów. Aresztowany w 1940 r., do ojczyzny mógł powrócić na stałe dopiero 52 lata później, po rozpadzie ZSRS i odrodzeniu się Rzeczypospolitej.

Mimo zmobilizowania ogromnego aparatu represji, mimo braku oparcia we władzach PRL, polski pierwiastek kulturowy i społeczny przetrwał na Wschodzie jedną ze swych najtrudniejszych prób. W intencji władz sowieckich, poza Litwą, w ZSRS nie powinno go już być w latach pięćdziesiątych. Na przekór wielkiej skali działań antypolskich, możemy dziś pisać nie o całkowitej zagładzie polskości na Wschodzie, a jedynie o bezwzględnych próbach zniszczenia jej.

¹¹ P. Harupa, *Stanisław Adamski – działacz polski we Lwowie* [w:] *Powojenne losy inteligencji kresowej*, red. E. Trela-Mazur, Opole 2007.

CZYSTKA NA UCZELNIACH

ZAGŁADA POLSKIEGO ŚRODOWISKA NAUKOWEGO WE LWOWIE PO '44

[...] ze Lwowa, jeśli ma być dla nas stracony, pójdę dopiero w chwili, gdy to będzie oczywiste.

Ryszard Gansiniec¹

W styczniu 1944 r. Sowieci, drugi już raz w czasie wojny rozpętanej wspólnie z Niemcami w 1939 r., wkroczyli na ziemie polskie. Polityczny kontekst ich ponownego wejścia na tereny Rzeczypospolitej był jednak zupełnie inny, niż tego pierwszego, dokonanego pamiętnego 17 września 1939 r. Sowieci byli teraz sojusznikami naszych sojuszników – Anglii oraz Stanów Zjednoczonych – i walczyli ze swymi dawnymi sprzymierzeńcami – Niemcami. A jednak fundamenty ich polityki wobec Polski pozostały niezmienione, a tworzyły je: brak zgody na istnienie suwerennego państwa polskiego i zamiar oderwania Kresów Wschodnich od Rzeczypospolitej i wcielenia ich do ZSRS.

Ta ostatnia sprawa była już właściwie zdecydowana – na konferencji „wielkiej trójki” w Teheranie pod koniec 1943 r. Józef Stalin uzyskał od Franklina Delano Roosevelta i Winstona Churchilla zgodę na przesunięcie wschodniej granicy Polski na tzw. linię Curzona. Dodajmy, że o decyzji tej rząd polski nie został nawet powiadomiony, bolesna prawda o losie ziem kresowych mogła bowiem zaszkodzić prezydentowi Stanów Zjednoczonych w zbliżających się wyborach prezydenckich (obawiając się utraty głosów amerykańskiej Polonii, Roosevelt wolał całą sprawę schować pod sukno). Tymczasem Sowieci, mając za sobą siłę, a także ciche, ale decydujące poparcie aliantów zachodnich, tworzyli fakty dokonane.

Z wykreowaną przez siebie namiastką rządu polskiego – Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego – podpisali 26 lipca 1944 r. umowę graniczną, przewidującą, że podstawą przyszłego rozgraniczenia między Polską a Związkiem Sowieckim będzie tzw. linia Curzona. W ślad za tym, we wrześniu tegoż roku, między PKWN a sowieckimi republikami: Litewską, Białoruską i Ukraińską, zostały zawarte umowy o „ewakuacji” ludności, na mocy których Polacy mieli przesiedlić się do „nowej”, przesuniętej na zachód Polski. Teoretycznie dobrowolnie. Jak wyglądało to w praktyce – pokazała przyszłość.

Trwająca już czwarty rok wojna okrutnie obeszała się z lwowskim środowiskiem naukowym, skupionym na miejscowym Uniwersytecie Jana Kazimierza (w 1940 r. Sowieci zmienili nazwę uczelni na Państwowy Uniwersytet im. Iwana Franko), Politechnice Lwowskiej (przemianowanej przez władze sowieckie na Instytut Politechniczny), Akademii Handlu Zagranicznego (pod rządami sowieckimi stała się Instytutem Handlu Radzieckiego) oraz Akademii Medycyny Weterynaryjnej (uczelni zmieniono nazwę na Lwowski Państwowy Instytut Weterynaryjny). Przypomnijmy tylko kilku pracowników nauki, którzy stracili życie w czasie tzw. pierwszej sowieckiej okupacji Kresów w latach 1939–1941: emerytowany profesor ekonomii politycznej UJK **Stanisław Głębiński** (aresztowany jesienią 1939 r. w Śniatynie, skazany na osiem lat łagru, zmarł w 1941 r. w więzieniu przejściowym w Charkowie); profesor tytularny prawa karnego UJK **Ludwik Dworzak** (aresztowany we Lwowie w październiku 1939 r. został rozstrzelany na podstawie decyzji Biura Politycznego WKP[b]); docent praw UJK **Zenon Wachlowski** (aresztowanego w marcu 1940 r. również we Lwowie, w związku z antysowiecką działalnością konspiracyjną rozstrzelano na podstawie wspomnianej decyzji Biura Politycznego WKP[b] z 5 marca 1940 r.).

Podczas okupacji niemieckiej w latach 1942–1944 zginęli m.in.: profesor geometrii wykreślnej Politechniki Lwowskiej **Kazimierz Bartel** (rozstrzelany w końcu lipca 1941 r.); profesor matematyki też

¹ R. Gansiniec, *Notatki lwowskie (1944–1946)*, Wrocław 1995, s. 53 (zapis z 19 XI 1945 r.).

uczelnia **Włodzimierz Stożek** (zamordowany w zbiorowej egzekucji profesorów lwowskich na początku lipca 1941 r. we Lwowie) oraz profesor medycyny UJK, specjalista chorób wewnętrznych **Roman Rencki** (był również ofiarą tej ostatniej zbrodni). Odrębną grupę ofiar tego okresu stanowili lwowscy uczeni narodowości żydowskiej, tacy jak: profesor prawa UJK **Maurycy Allerhand** (zamordowany w sierpniu 1942 r. w obozie przy ul. Janowskiej we Lwowie), docent matematyki tegoż UJK **Herman Auerbach** (zamordowany 17 sierpnia 1942 r. w lwowskim getcie) oraz docent filologii klasycznej tej samej uczelni **Marian Auerbach** (zamordowany przez gestapo w lipcu 1941 r. we Lwowie).

Ludzie nauki nie zaznali wytchnienia także po ponownym wkroczeniu Sowieców do Lwowa w końcu lipca 1944 r. Bodaj pierwszym aresztowanym przez nich pracownikiem nauki w nadpętlwiańskim grodzie był mgr **Adam Ostrowski**, przedwojenny asystent w Zakładzie Teorii Prawa na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza. Ostrowski 15 marca 1944 r. został mianowany okręgowym delegatem Rządu RP we Lwowie. Nie ma potrzeby dodawać, że wszelkie organy niezawisłego państwa polskiego Sowieci uznawali za nielegalne organizacje o nastawieniu antysowieckim – ze wszystkimi tego konsekwencjami. Ostrowski był zatem „kontrewolucjonistą” i wrogiem, którego należało natychmiast aresztować. Sowieckiej policji politycznej – NKGB – udało się tego dokonać już 1 sierpnia 1944 r. Ujętego Ostrowskiego osadzono w więzieniu przy ul. Łąckiego we Lwowie. Gmach miał ponurą sławę: w latach 1939–1941 przetrzymywano tu więźniów NKWD, a podczas okupacji hitlerowskiej na Łąckiego znajdowała się osławiona katownia gestapo. Teraz sowieccy „czekiści” z powrotem zajęli go na swoje „potrzeby”. Osadzony w pojedynczej celi i poddany śledztwu Ostrowski po pewnym czasie zdecydował się mówić. Jak wynika z zachowanych protokołów jego zeznań, okazały się one bezcenne dla sowieckiej policji politycznej, która sporo dowiedziała się nie tylko o strukturach Delegatury, lecz również o ludziach w niej pracujących (w zeznaniach znalazły się adresy, a nawet telefony osób związanych z Delegaturą). W czasie ponad dwóch miesięcy pobytu w „pojedynce” Ostrowski przeszedł przemianę, polegającą na odmiennej niż dotychczas ocenie rzeczywistości. Nie znamy toku jego przemyśleń, jedynie rezultat: Ostrowski „zmienił front” i zadeklarował współpracę z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego, za co zresztą został potępiony przez lwowską konspirację niepodległościową. Zwolniony z więzienia specjalnym samolotem został przewieziony do Lublina, gdzie objął stanowisko zastępcy kierownika Resortu Administracji Publicznej PKWN. Lubelska „Rzeczpospolita” 23 września 1944 r., a w trzy dni później lwowski „Czerwony Sztandar”, opublikowały list Ostrowskiego do przewodniczącego PKWN, Edwarda Osóbki-Morawskiego, będący prawdziwym peanem na cześć Krajowej Rady Narodowej i PKWN jako wiodących instytucji „demokracji polskiej” i publicznie wyrażoną ofertą współpracy. W owym liście były delegat wzywał również „uczciwych Polaków”, w szczególności tych ze swego rodzinnego Lwowa, do poparcia działań KRN i PKWN oraz włączenia się do budowy „Wolnej, Demokratycznej, Niepodległej Polski”.

W zajętych przez Armię Czerwoną Lwowie Polacy traktowani byli już tylko jako czasowi lokatorzy miasta, choć stanowili większość jego mieszkańców. Jak wykazywały sowieckie dane statystyczne (z 1 października 1944 r.), na ok. 150 tys. mieszkańców Lwowa, ponad 103 tys. było narodowości polskiej. Pomimo strat i napływu naukowych kadr sowieckich, polskie środowisko naukowe Lwowa w końcowym okresie wojny ciągle jeszcze reprezentowało ogromny potencjał. Według danych z grudnia 1944 r. na samym tylko uniwersytecie, na zatrudnionych tu ogółem 153 pracowników naukowych 60 było Polakami. Wymieńmy choć kilku, bo wszystkich nie sposób: słynny matematyk – prof. Stefan Banach, sławista – prof. Witold Taszycki, historyk literatury i szkolnictwa – prof. Stanisław Lempicki, fizyk – prof. Wojciech Rubinowicz, astronom – prof. Eugeniusz Rybka i literaturoznawca – doc. Stefania Skwarczyńska. Bastionem polskości pozostała Politechnika Lwowska, gdzie (według danych z kwietnia 1945 r.) na 272 pracowników 204 było Polakami. Lwowskiej inteligencji dość szybko i dobitnie uświadomiono, jaka jest nowa, jeśli tak można powiedzieć – poteherańska – rzeczywistość. Stało się to 6 grudnia 1944 r. na spotkaniu polskiej inteligencji Lwowa z Iwanem Hruszczem, sekretarzem lwowskiego Komitetu Obwodowego KPb(U). Hruszcz przedstawił zebranym alternatywę: albo – jeśli chcecie nauczać po polsku, a nie po ukraińsku oraz chcecie, by wasze dzieci uczyły się po polsku – musicie wyjechać do Polski; albo zostajecie, ale wtedy musicie pogodzić się z sowieckim charakterem Lwowa, sowieckimi porządkami i podporządkować się sowieckim prawom. Trzeba wspomnieć, że jeszcze przed tym spot-

kaniem miały miejsce incydenty źle wróżące na przyszłość, np. jesienią 1944 r. profesorowi astronomii na uniwersytecie, **Eugeniuszowi Rybce**, zabroniono wykładać po polsku.

Mimo tych sygnałów polscy naukowcy, podobnie jak większość mieszkańców Lwowa, nie chcieli pogodzić się z myślą, że ich ukochane miasto znajdzie się poza granicami państwa polskiego. Ich reakcja na umowy o „ewakuacji” ludności, aż do końca 1944 r., była praktycznie żadna. W tej sytuacji Sowieci sięgnęli po jedyne – ich zdaniem – skuteczne narzędzie skłonienia Polaków do „dobrowolnego” wyjazdu – terror. W nocy z 3 na 4 stycznia 1945 r. we Lwowie przeprowadzono akcję aresztowań „polskich nacjonalistów”, członków polskiego podziemia niepodległościowego oraz innych „kontrrewolucyjnych elementów”. Jej ofiarą padło ponad 2 tys. osób. Nierzadko, dla zakamuflowania rzeczywistych motywów uwięzienia, wobec zatrzymanych wysuwano zarzut kolaboracji z Niemcami. W meldunkach sowieckiej policji politycznej konstatowano z satysfakcją, że przeprowadzona akcja wywarła pożądany wpływ na Polaków, którzy masowo zaczęli zapisywać się na wyjazd do Polski.

Wśród aresztowanych, którzy w ocenie NKWD „sabotowali” wyjazd ludności polskiej na zachód, znalazło się 25 pracowników nauki, w tym 14 profesorów, 4 docentów, 3 doktorów i 4 wykładowców z tytułem inżyniera. Wszystkich umieszczono w więzieniu sowieckiej policji politycznej przy ul. Łąckiego we Lwowie. Za uwięzionymi ujęli się ich pozostawieni na wolności koledzy, kierując do prezydenta Krajowej Rady Narodowej, Bolesława Bieruta, petycję z prośbą o uwolnienie aresztowanych. Pod petycją podpisali się m.in. tacy luminarze nauki polskiej, jak historyk **Władysław Konopczyński**, historyk prawa **Stanisław Kutrzeba**, geograf **Eugeniusz Romer** czy botanik, przedwojenny rektor UJK – **Stanisław Kuleżyński**. Przedstawmy losy kilku ofiar sowieckiej akcji terrorystycznej ze stycznia 1945 r.

Profesor mechaniki teoretycznej Politechniki Lwowskiej, **Włodzimierz Burzyński**, został aresztowany za sprzeciw wobec powoływania polskich studentów do Armii Czerwonej. Wychodził z założenia, że naród polski, a w szczególności inteligencja, poniósł tak dotkliwe straty w czasie wojny, że potrzebuje wykształconej młodzieży do odbudowy kraju. Dodatkowo wypowiadał się krytycznie o PKWN, jako instytucji niezasługującej na uznanie i szacunek. Nie chciał jechać do kraju rządzonego przez taką instytucję. Przyzwyczajony do intensywnej pracy, źle znosił bezczynność w celi na Łąckiego, jednak nie załamał się psychicznie. Z więzienia został zwolniony, z mocno nadszarpniętym zdrowiem, w lipcu 1945 r. W 1946 r. opuścił Lwów i związał swe losy z Politechniką Śląską w Gliwicach.

Szczególnie ułożyły się losy docenta geologii z lwowskiego uniwersytetu, **Zdzisława Pazdry**. Władze sowieckie wiedziały, że Pazdro był przedstawicielem Stronnictwa Narodowego w Delegaturze Rządu we Lwowie. Dodatkowo uczony naraził się, stwierdzając publicznie, że PKWN – nie reprezentując większości społeczeństwa polskiego i nie mając zgody rządu w Londynie – nie miał prawa podpisywać porozumienia o przesiedleniu. Zapowiedział też, że Polacy dobrowolnie opuszczą ziemie kresowe tylko w przypadku, gdy Moskwa otrzyma zgodę na ich objęcie od Anglii i Stanów Zjednoczonych. Następstwem tego typu otwartości w głoszeniu własnych poglądów mogło być tylko aresztowanie. W końcu grudnia 1945 r. Pazdro, którego potraktowano jako obywatela Związku Sowieckiego, został skazany za zdradę ojczyzny i próbę oderwania części terytorium od ZSRS na rok pozbawienia wolności. W lutym 1946 r. przeniesiono go z więzienia przy ul. Łąckiego do więzienia w Złoczowie, skąd jednak jeszcze w tym samym roku został zwolniony. Wyjechał do Polski, gdzie objął stanowisko profesora na politechnice w Gdańsku.

Analogiczna była przyczyna uwięzienia profesora entomologii Politechniki Lwowskiej, **Aleksandra Kozikowskiego**. Oświadczył on, co zostało odnotowane przez „czujne” organy NKGB, że PKWN zawarł jednostronne porozumienie ze Związkiem Sowieckim w sprawie „ewakuacji” ludności, ponieważ nie miał na to zgody Anglii i Stanów Zjednoczonych, a tym bardziej rządu polskiego w Londynie. Wywieziony 8 lutego 1945 r. z lwowskiego więzienia do obozu kontrolno-filtracyjnego nr 037 w Krasnodonie w Donbasie, przebywał tam do czerwca tego roku, kiedy to został zwolniony. Jeszcze w tym samym roku wyjechał do Poznania, gdzie podjął prace nad organizacją katedry ochrony lasu na miejscowym uniwersytecie.

Najprawdopodobniej również nieostrożna wypowiedź o wymowie „antysowieckiej” stała się przyczyną osadzenia w więzieniu przy ul. Łąckiego profesora filologii klasycznej, **Ryszarda Gansińca**. Indagowany jeszcze w 1944 r. przez NKGB na temat „kolaboracji” lwowskich profesorów z władzami niemieckimi stwierdził, że z Niemcami kolaborował Józef Stalin. Gansińiec uważał, że celem akcji aresztowań jest zastraszenie lwowskich Polaków i zmuszenie ich do wyjazdu do „nowej” Polski. W czasie

przesłuchań na Łąckiego profesorowi zarzucano współpracę z okupantem hitlerowskim i działalność antysowiecką. Najwyraźniej organom śledczym nie udało się zebrać żadnego „materiału dowodowego” na poparcie tych oskarżeń, jako że Gansińca nie wywieziono nawet do obozu kontrolno-filtracyjnego w Krasnodonie i w maju 1945 r. zwolniono z więzienia. Profesor Gansiniec do ostatka wierzył, że Lwów pozostanie przy Polsce. Dopiero w 1946 r. zdecydował się na przeniesienie na zachód. Osiadł we Wrocławiu, obejmując kierownictwo III Katedry Filologii Klasycznej na tutejszym uniwersytecie.

Podobnie nie potwierdziły się zarzuty o współpracę z Niemcami, wysunięte przeciw wspomnianemu już prof. Eugeniuszowi Rybce i w styczniu władze sowieckie zwolniły go z więzienia przy ul. Łąckiego.

Kolejnym uwięzionym, o którym chcemy tu wspomnieć, był profesor chemii organicznej Politechniki Lwowskiej – **Edward Sucharda**. Prowadzone przeciw niemu śledztwo wykazało, że działał w lwowskiej Delegaturze, jednak nie znaleziono żadnych dowodów jego „wrogiej działalności”. W rezultacie dochodzenie przerwano, a Suchardę 9 kwietnia 1945 r. zwolniono z obozu w Krasnodonie. Profesor zdecydował się na wyjazd do Polski i osiedlił we Wrocławiu.

Do wspomnianego obozu wywieziono łącznie dwunastu lwowskich pracowników nauki, w tym profesorów Politechniki Lwowskiej: elektrotechniki **Stanisława Fryzego**, architektury **Witolda Minkiewicza**, chemii **Erwina Płażka** oraz uniwersytetu: **Juliusza Makarewicza** oraz **Kazimierza Przybyłowskiego** (obaj byli profesorami prawa). Spośród wymienionych więźniów obozu w Krasnodonie niewątpliwie najbardziej znaną postacią był prof. Makarewicz. Wstąpił się przede wszystkim jako twórca znakomitego kodeksu karnego z 1932 r., był jednak także politykiem (w latach 1925–1933 sprawował mandat senatora) i działaczem społecznym. W okresie pierwszej okupacji sowieckiej, w styczniu 1940 r., został usunięty z uczelni. W latach okupacji niemieckiej prowadził nauczanie na tajnym Wydziale Prawa.

Nie wszyscy wywiezieni naukowcy powrócili z obozu w Krasnodonie. Drugiego dnia po przybyciu do obozu, 12 lutego 1945 r., zmarł w nim (z wyczerpania po pobycie w więzieniu, transporcie i wskutek nieleczzonej w więzieniu choroby) profesor budownictwa żelaznego Politechniki Lwowskiej, **Emil Łazoryk**. W końcu maja 1945 r., zaraz po zwolnieniu z Krasnodonu, zmarł w szpitalu w pobliskim Woroszyłowgradzie jego kolega z uczelni, profesor chemii, **Franciszek Kuczyński**. Przyczyną zgonu było wyczerpanie pobytym w obozie.

Z różnych przyczyn, o których trudno pisać tu szczegółowo, większość z aresztowanych w czasie styczniowej akcji pracowników nauki zwolniono. Jednak proces dezintegracji środowiska postępował, na co wpłynął nie tylko sowiecki terror, ale też coraz bardziej jednoznacznie krystalizujący się status Lwowa. Po konferencji jałtańskiej rozwiały się złudzenia wielu lwowskich Polaków, że ich miasto pozostanie przy Polsce. Wiosną 1945 r. rozpoczęły się pierwsze zbiorowe wyjazdy pracowników nauki na zachód; 18 kwietnia Lwów opuścił transport kolejowy, wiozący grupę pracowników uniwersytetu (w jej skład wchodził m.in. profesorowie **Kazimierz Smulikowski** i **Henryk Teisseyre**); na przełomie maja i czerwca do „nowej” Polski wyruszył kolejny transport, wiozący tym razem pracowników naukowych Politechniki Lwowskiej.

W końcu sierpnia 1945 r. do Lwowa przybył prof. **Stanisław Grabski**, wiceprezydent Krajowej Rady Narodowej, by przekonać pozostałych jeszcze we Lwowie przedstawicieli środowiska naukowego do przeniesienia się do Polski. Grabski zapewniał, że zmiany graniczne są nieodwracalne i powinni oni wrócić do kraju, który potrzebuje elit niezbędnych do dźwignięcia się ze zniszczeń wojennych. W większości przypadków argumentacja Grabskiego (*notabene* do czasu aresztowania przez władze sowieckie we wrześniu 1939 r. również członka miejscowego środowiska naukowego, profesora ekonomii uniwersytetu) okazała się skuteczna. Nie na wszystkich jednak podziałała. Jeden z agentów NKWD odnotował w swym raporcie, że profesor geologii, **Wojciech Rogala**, wypowiedział opinie, iż Grabski za pieniądze (27 tys. zł) i dwa samochody sprzedał Lwów Związkowi Sowieckiemu. Dodał, że będzie inaczej niż mówi Grabski i Lwów pozostanie polski. Wpływ enuncjacji Grabskiego trudno jednak przeceniać. W prowadzonych przez siebie „Notatkach” prof. Gansiniec stwierdził wręcz, że Grabski wywołał wśród lwowskiej profesury „psychozę” wyjazdową. Jesienią rozpoczął się prawdziwy *exodus*: 28 września 1945 r. Lwów opuścił pierwszy transport, wiozący przenoszących się do „nowej” Polski pracowników uniwersytetu (znajdował się w nim m.in. prof. Eugeniusz Rybka). Po nim ruszyły kolejne, którymi miasto opuszczali także pracownicy nauki pozostałych wyższych uczelni.

Pracownicy Politechniki Lwowskiej zamierzali przenieść się *in corpore* do Gdańska i utworzyć tam Politechnikę Morską. Pomysłowi sprzeciwił się jednak wiceminister oświaty i wychowania, Władysław Bieńkowski, uznając, że kadra politechniki powinna zasilić nie tylko Gdańsk, ale także inne ośrodki naukowe: w Krakowie, Gliwicach, we Wrocławiu oraz w innych miastach. Za przeniesieniem lwowiaków do Wrocławia opowiadał się z kolei prof. Stanisław Grabski. Ostatecznie lwowskie środowisko naukowe uległo rozproszeniu i trafiło do wszystkich wymienionych, a także wielu innych polskich miast (m.in. do Torunia i Lublina), gdzie położyło ogromne zasługi przy odtwarzaniu lub tworzeniu polskiego życia naukowego.

Na pozostanie we Lwowie zdecydowały się jednostki. Z Politechniki Lwowskiej byli to profesoria: maszynoznawstwa **Witold Aulich**, architektury **Jan Bagiński**, elektrotechniki **Gabriel Sokolnicki**, budownictwa **Adam Kuryłło**, budowy maszyn **Wilhelm Mozer**, a ponadto **Tadeusz Schubert** (kierownik Katedry Kolejnictwa) i **Marian Nikodemowicz** (wykładowca geometrii wykreślnej). Z Uniwersytetu Jana Kazimierza: profesorowie prawa **Juliusz Makarewicz**, **Marceli Chlamtacz** i **Przemysław Dąbkowski**, botanik prof. **Tadeusz Wilczyński**, docent prawa **Wilhelm Rappe**, docent medycyny **Wincenty Czerniecki**, dr **Henryk Mosing** (mikrobiolog), dr **Franciszek Smolka** (uniwersytecki bibliotekarz). Z Akademii Medycyny Weterynaryjnej postanowił pozostać prof. **Wincenty Skowroński**.

Tym, którzy nie wyjechali, przyszło żyć w mieście, które w niczym nie przypominało przedwojennego Lwowa. Miejsce ludności polskiej, która w absolutnej większości opuściła miasto, zajęli przybysze – masowo napływający bądź to z ukraińskich wiosek obwodu lwowskiego, bądź też z głębi sowieckiej Ukrainy. Byli to, nawiasem mówiąc, w przeważającej części robotnicy, pracownicy sektora usług i przybysze ze wsi. Nieliczni Polacy, którzy pozostali na miejscu, egzystowali w wyspowo rozrzuconych koloniach.

W zdepolonizowanym Lwowie rządziła władza sowiecka, która potrafiła dać się we znaki pozostałym w mieście uczonym. Na początku lat pięćdziesiątych doszło do konfliktu między prof. Mozerem, człowiekiem głęboko religijnym, a władzami Instytutu Politechnicznego, które pod groźbą zwolnienia zażądały, aby profesor przestał chodzić do kościoła. Mozer się nie ugiął i został usunięty z uczelni. Za zwolnionym profesorem murem stanęli jego studenci i urządzili strajk okupacyjny, żądając przywrócenia lubianego i cenionego wykładowcy do pracy. O dziwo – okazał się skuteczny i profesor wrócił na katedrę.

W 1950 r. z pracy usunięto również, jako „niepożądany element”, niewymienianego tu jeszcze lwowskiego historyka sztuki, prof. **Mieczysława Gębarowicza**, który również podjął decyzję o pozostaniu we Lwowie. Zwolniony ze stanowiska kierownika Gabinetu Sztuki w Bibliotece Akademii Nauk USRS (dawne Ossolineum) profesor znalazł zatrudnienie jako bibliotekarz w różnych instytutach Akademii Nauk USRS (za czystą złośliwość należy uznać przyjęcie go w 1951 r. do pracy w Instytucie Nauk Społecznych AN USRS w charakterze... młodszego bibliotekarza).

Wraz z upływem lat rzędły szeregi tych pracowników nauki Lwowa, którzy pozostali wierni swemu miastu do końca. Jeszcze w latach czterdziestych zmarli profesorowie Aulich i Chlamtacz oraz dr Smolka. W latach pięćdziesiątych odeszli profesorowie: Makarewicz, Dąbkowski i Mozer (ten ostatni w 1958 r., podczas wizyty w Polsce) oraz wykładowca Marian Nikodemowicz. W latach sześćdziesiątych zakończyli życie prof. Bagiński i doc. Czerniecki. W latach siedemdziesiątych zmarli profesorowie Sokolnicki, Skowroński i docenci Rappe oraz Schubert. Lata osiemdziesiąte zabrały profesorów Kuryłkę i Wilczyńskiego. W 1999 r. zmarł ostatni z tych, którzy pozostali we Lwowie – dr Mosing. Wraz z ich odejściem dzieje lwowskiego, niegdyś kwitnącego polskiego środowiska naukowego we Lwowie, dobiegły kresu.

Wybrana literatura:

Jan Draus, *Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie 1918–1946. Portret kresowej uczelni*, Kraków 2007; Anna Fastnacht-Stupnicka, *Zostali we Lwowie*, Wrocław 2010; Ryszard Gansiniec, *Notatki lwowskie (1944–1946)*, Wrocław 1995; Grzegorz Hryciuk, „Ciężkie dni Lwowa”. *Akcja masowych aresztowań we Lwowie w styczniu 1945 r.* [w:] *Studia z historii najnowszej*, Wrocław 1999; Sławomir Kalbarczyk, *Polscy pracownicy nauki – ofiary zbrodni sowieckich w latach II wojny światowej. Zamordowani, więzieni, deportowani*, Warszawa 2001; *Lwowskie środowisko naukowe w latach 1939–1945. O Jakubie Karolu Parnasie*, Warszawa 1993; Grzegorz Mazur, Jerzy Skwara, Jerzy Węgierski, *Kronika Lwowa I IX 1939 – 5 II 1946. 2350 dni wojny i okupacji*, Katowice 2007; *Operacja „Sejm”*. *Wybór dokumentów*, Warszawa 2001; *Politechnika Lwowska 1844–1945*, Wrocław 1993; Zbysław Popławski, *Dzieje Politechniki Lwowskiej 1844–1945*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1992; Adam Redzik, *Profesor Juliusz Makarewicz – życie i dzieło* [w:] *Prawo karne w poglądach Profesora Juliusza Makarewicza*, red. Alicja Grzeškowiak, Lublin 2005; *idem, Wydział Prawa Uniwersytetu Lwowskiego w latach 1939–1946*, Warszawa 2006.

KOMUNIŚCI WOBEC EMIGRACYJNYCH ELIT

W czasie II wojny światowej Polska poniosła ogromne straty ludnościowe przede wszystkim w wyniku celowej polityki okupantów – nazistowskich Niemiec i komunistycznego Związku Sowieckiego. Wspólną cechą antypolskich akcji, realizowanych z rozkazu Adolfa Hitlera i Józefa Stalina, było wyeliminowanie polskich elit społecznych, postrzeganych jako element najbardziej patriotyczny i predestynowany do odgrywania przywódczej roli w walce narodu polskiego o odzyskanie niepodległości. Nie było więc rzeczą przypadku, że od pierwszych dni wojny przedstawiciele szeroko rozumianej polskiej inteligencji padli ofiarą brutalnych prześladowań.

Już jesienią 1939 r. rozpoczęły się aresztowania na podstawie przygotowanych wcześniej list proskrypcyjnych. Wielu z aresztowanych wysłano do niemieckich obozów koncentracyjnych i sowieckich łagrów, tysiące ludzi uznanych przez okupantów za szczególnie niebezpiecznych stracono w tajnych egzekucjach. Resztę elity narodu polskiego pozbawiono źródeł utrzymania, likwidując polskie szkolnictwo wyższe oraz większość instytucji naukowych i kulturalnych. Ten sam skutek miało zniesienie polskiej administracji oraz dokonywane na ogromną skalę wywłaszczenia i grabież mienia ruchomego oraz oszczędności. W ślad za tym poszły masowe wysiedlenia i deportacje.

Polska elita społeczna została w latach wojny zdziesiątkowana, a zważywszy że i przed wojną była niezbyt liczna¹, powodzenie dzieła powojennej odbudowy kraju było zagrożone. Przed ocalałymi z wojny Polakami stało ogromne zadanie dźwignięcia z ruin zniszczonego kraju, tym trudniejsze do przeprowadzenia, że granice państwa uległy zmianom, co pociągało za sobą konieczność zagospodarowania tzw. Ziemi Odzyskanych, czyli terenów przyłączonych na zachodzie na mocy podjętych w Poczdamie decyzji „wielkiej trójki”.

Brak ludzi wykształconych, zdolnych pokierować na różnych odcinakach odbudową życia społecznego i gospodarczego oraz specjalistów przygotowanych do objęcia kluczowych stanowisk w uruchamianym przemyśle i usługach uznawano zgodnie za ogromne zagrożenie dla przyszłości państwa i jego pozycji w Europie. Mieli tego świadomość nie tylko zachodni dyplomaci, którzy odwiedzali Polskę po 1945 r., ale również polscy komuniści, którzy z woli Moskwy objęli w kraju rządy.

Szybka odbudowa polskich elit była przedsięwzięciem trudnym i skomplikowanym. Wprawdzie już w 1945 r. powołano do życia wiele nowych wyższych uczelni, ale brakowało kadry akademickiej, a sam proces kształcenia mógł przynieść efekty dopiero po kilku latach. W tej sytuacji największym „rezerwuarem” ludzi z wykształceniem akademickim i różnego typu specjalistów było polskie wychodźstwo w krajach zachodnich.

We wrześniu 1939 r. Polskę opuściło kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy przez Rumunię, Węgry i kraje bałtyckie starali się dotrzeć do krajów sojuszniczych, aby kontynuować tam walkę o niepodległość lub szukać schronienia na czas wojny. W akcji przerzutu Polaków uczestniczyły obok polskich, także angielskie i francuskie placówki dyplomatyczne. W pierwszej kolejności ekspediowano na zachód żołnierzy i oficerów z wojsk technicznych, m.in. lotników, marynarzy, pancerniaków, techników

¹ W połowie lat trzydziestych XX w. na wyższych uczelniach w Polsce studiowało niespełna 50 tys. osób, z czego na kierunkach technicznych zaledwie nieco ponad 7 tys. osób. *Mały rocznik statystyczny 1937*, Warszawa 1937, s. 313, tab. 21.

Fot. ze zbiorów Juliana Płowego



Maturzyści polskiego liceum w Tanganice (dziś Tanzania)

uzbrojenia, mechaników itp. Zachodni dyplomaci zadbali również, aby jak najszybciej wyjechali do Paryża polscy kryptolodzy, którzy odegrali tak wielką rolę w złamaniu szyfrów niemieckiej Enigmy.

W późniejszych latach wojny możliwości wydostania się z okupowanego kraju były znacznie mniejsze, ale wciąż istniały, polskie wychodźstwo wojenne stawało się więc coraz liczniejsze. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 r. wolność odzyskali polscy więźniowie, łągiernicy i zesłańcy, a w 1942 r. około 115 tys. żołnierzy i cywilów ewakuowano ze Związku Sowieckiego do Iranu. Systematycznie rozbudowywano Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie. W ich szeregach znaleźli się nie tylko żołnierze przedzierający się przez granice po klęsce wrześniowej i ewakuowani ze Związku Sowieckiego, ale również Polacy z ośrodków dawnej emigracji zarobkowej oraz byli żołnierze Wehrmachtu przymusowo wcielani na tzw. ziemiach wcielonych do Rzeszy (Pomorze, Śląsk, Wielkopolska, część Łódzkiego, północne Mazowsze). Ci ostatni przy nadarzającej się okazji przechodzili na stronę aliantów lub w alianckich obozach jenieckich zgłaszali się do służby w PSZ.

Pod koniec II wojny światowej wojska alianckie wyzwoliły bądź okupowały kraje Europy Zachodniej, w których znajdowało się wielu obywateli polskich. We Francji i w Belgii wyzwolone zostały okręgi przemysłowe, gdzie przed wojną mieszkało blisko 600 tys. przedwojennych emigrantów zatrudnionych w kopalniach i przemyśle ciężkim. W zachodniej części Niemiec wojska alianckie przyniosły wolność polskim robotnikom przymusowym, więźniom obozów koncentracyjnych i obozów jenieckich oraz Polonii westfalskiej. Ogółem w chwili zakończenia wojny na szeroko rozumianym Zachodzie przebywało ok. 2,5 mln obywateli polskich².

Lata wojny, lata nauki

Lata wojny były dla Polaków na Zachodzie przede wszystkim okresem walki o wolność kraju. Dla wielu młodych ludzi był to jednak również okres wytężonej nauki i zdobywania nowych umiejętności, które po wojnie mogły stać się intelektualnym kapitałem o ogromnym znaczeniu dla dzieła odbudowy i modernizacji Polski.

O powołaniu polskiej wyższej uczelni cywilnej na uchodźstwie myślano już we Francji, ale na wielką skalę polskie studia akademickie rozwinęto dopiero na terenie Wielkiej Brytanii. Powstało

² J. Wróbel, *Na rozdrożu historii. Repatriacja obywateli polskich z Zachodu w latach 1945–1949*, Łódź 2009, s. 561, tab. 4.

tam kilka polskich ośrodków akademickich, gdzie kształcili się młodzi Polacy, często byli to urlopowani z wojska żołnierze. Przy uniwersytecie w Edynburgu już w 1941 r. powstał Polski Wydział Lekarski. W dwa lata później zorganizowano tu polskie Studium Pedagogiczne kształcące kadry nauczycielskie dla polskich szkół rozszaniach po całym świecie. Wiosną 1942 r. utworzono w Londynie Studium Prawno-Administracyjne, kształcące w systemie korespondencyjnym, ale już dwa lata później na słynnym uniwersytecie w Oksfordzie zaczął działać autonomiczny Polski Wydział Prawa.

Dużym zainteresowaniem cieszyły się studia politechniczne. Powstała w 1942 r. Komisja Akademickich Szkół Technicznych (przemianowana w 1944 r. na Radę Akademickich Szkół Technicznych) prowadziła wykłady uzupełniające, udzielała też pomocy uzdolnionym Polakom, aby mogli kształcić się na uczelniach angielskich. W Liverpoolu utworzono Polską Szkołę Architektury, gdzie wykładowcami byli przeważnie Brytyjczycy. Ogółem w roku akademickim 1945/1946 studiowało na uczelniach wyższych 1263 Polaków, z czego 451 na uczelniach brytyjskich.

Polacy kształcili się również na cywilnych uczelniach w innych krajach europejskich. Pod koniec wojny i po jej zakończeniu wielu żołnierzy 2. Korpusu Polskiego wstąpiło na włoskie uczelnie. Generał Władysław Anders rozkazem z 9 lutego 1946 r. odkomenderował na studia wyższe 1280 żołnierzy i oficerów. Z pomocy 2. Korpusu Polskiego korzystało ponadto 139 studentów cywilnych. Polacy studiowali m.in. na uczelniach w Mediolanie, Rzymie i Bolonii³. Gdy korpus przeniesiono do Wielkiej Brytanii, część polskich żołnierzy-studentów pozostała we Włoszech, inni otrzymali stypendia. Mogli dzięki temu dokończyć studia na uczelniach angielskich lub w utworzonym w 1947 r. w Londynie Polish University College. W dwa lata po zakończeniu wojny w Wielkiej Brytanii studiowało jeszcze 2945 Polaków, z czego 1549 na uczelniach brytyjskich, 1189 w Polish University College oraz 207 na wydziałach polskich przy uczelniach brytyjskich⁴. Młodzi Polacy, żołnierze internowani po kampanii francuskiej na terenie Szwajcarii, pożytecznie wykorzystywali czas, podejmując studia na tamtejszych uczelniach.

Polscy studenci kształcili się nawet na uczelniach krajów zamorskich. Duże grupy młodych Polaków zdobywały wiedzę na doskonałych uniwersytetach w Bejrucie, Teheranie, na uczelniach kanadyjskich i amerykańskich.

Jeszcze bardziej imponująco przedstawiało się szkolnictwo średnie. Polskie gimnazja i szkoły zawodowe powstały praktycznie we wszystkich większych skupiskach polskiego uchodźstwa wojennego. Oczywiście, najwięcej takich szkół było na Wyspach Brytyjskich. Już w 1940 r. powstało Gimnazjum i Liceum im. Juliusza Słowackiego w szkockim Glasgow. Od 1942 r. funkcjonowała Szkoła Handlu Zagranicznego i Administracji Portowej oraz Polski Ośrodek Kształcenia Handlowego w Glasgow, a pod koniec wojny w tym mieście rozpoczęła działalność Szkoła Rolnicza. W tym samym czasie powstało Gimnazjum i Liceum Morskie w Landwood⁵. Pęd młodych Polaków do kształcenia się wzbudzał nawet pewien niepokój ludności Wysp Brytyjskich. Konsul francuski w Edynburgu pisał



Wręczenie świadectw w polskiej szkole średniej w Meksyku

Fot. ze zbiorów Juliana Plowego

³ A. Bobińska, *Pomocnicza Wojskowa Służba Kobiet 2 Korpusu*, Warszawa 1999, s. 290.

⁴ T. Radzik, *Szkolnictwo polskie w Wielkiej Brytanii [w:] Mobilizacja uchodźstwa do walki politycznej 1945–1990*, red. L. Kliszewicz, Londyn 1995, s. 369–372.

⁵ T. Radzik, *op. cit.*, s. 384–385, 388.

2 kwietnia 1946 r., że Szkoci niepokoją się, iż Polacy po ukończeniu szkół zawodowych staną się mocną konkurencją na miejscowym rynku pracy⁶.

Polskie szkoły średnie lub kursy gimnazjalne działały na Węgrzech, w Rumunii, na Cyprze, w Palestynie, w Teheranie i Isfahanie (Iran), Balachadi, Valivade (Indie Brytyjskie), Kidugala, Tengeru (Tanganyka), Livingstone (Rodezja Północna), Diggelfold, Marandellas (Rodezja Południowa), Santa Rosa (Meksyk)⁷. Pod koniec wojny powstawały również we Włoszech, gdzie walczył 2. Korpus Polski, potem także w Niemczech.



Żołnierze 2. Korpusu Polskiego studiujący we Włoszech

Osobnym rozdziałem polskiego dorobku edukacyjnego na uchodźstwie było szkolnictwo wojskowe, które wprowadziło kadre wojskową, ale nabyte tam umiejętności, zwłaszcza w szkołach i na kursach o profilu technicznym, można było z powodzeniem wykorzystać w okresie pokoju.

Szkolenie prowadzono w centrach formowania Wojska Polskiego we Francji, m.in. w słynnym Coëtquidan oraz francuskich ośrodkach szkoleniowych, w tym w znanej z wysokiego poziomu École Supérieure de Guerre. Na Wyspach Brytyjskich szkolenie prowadzono w znacznie szerszym zakresie, gdyż do jednostek polskich napływał nowoczesny sprzęt. W początkowym okresie dużą wagę przywiązywano do szkolenia lotników. Ośrodki szkolenia pilotów i personelu naziemnego działały m.in. w Bramcote, Blackpool i Hucknall. Kadry dla Marynarki Wojennej kształcono w ośrodkach szkoleniowych ulokowanych w bazie morskiej Royal Navy w Plymouth⁸.

Na Bliskim Wschodzie, gdzie od 1940 r. stacjonowały jednostki Polskich Sił Zbrojnych i gdzie powstały znaczne skupiska polskich uchodźców cywilnych, działało Centrum Wyszkozenia Broni i Służb, w którym przygotowywano specjalistów uzbrojenia, transportu, łączności, intendentury i służby zdrowia. Zapotrzebowanie nowoczesnej armii – jaką były Polskie Siły Zbrojne – na specjalistów było ogromne. Dość przypomnieć, że na wyposażeniu 2. Korpusu Polskiego znajdowało się kilkanaście tysięcy pojazdów mechanicznych. Szkolono więc na masową skalę kierowców i mechaników.

Pod koniec wojny sieć polskich wojskowych ośrodków szkoleniowych była bogata i różnorodna, obejmując również szkoły na poziomie akademickim. W 1944 r. zorganizowano w Wielkiej Brytanii Centrum Wyższych Studiów Wojskowych.

Ogólna liczba ludzi z wyższym wykształceniem i specjalistami z przygotowaniem zawodowym wśród polskiej emigracji na Zachodzie nie jest znana, ale nie ulega wątpliwości, że jej potencjał intelektualny był całkiem pokaźny i mógł odegrać doniosłą rolę w powojennej odbudowie kraju i jego dalszym rozwoju. Największymi ośrodkami skupiającymi polską elitę były oczywiście Francja i Wielka Brytania, gdzie rezydował polski rząd na uchodźstwie i stacjonowały oddziały PSZ. Kolejni szefowie

⁶ T. Wyrwa, *General Anders i demobilizacja wojska polskiego na zachodzie w raportach dyplomatów francuskich*, „Zeszyty Historyczne” 1988, z. 84, s. 214–215.

⁷ E. Wróbel, J. Wróbel, *Rozproszeni po świecie. Obozy i osiedla uchodźców polskich ze Związku Sowieckiego 1942–1950*, Chicago 1992, s. 84–86, 125–126, 187.

⁸ W. Biegański, *Rozwój organizacyjny Wojska Polskiego we Francji [w:] Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej. Walki formacji polskich na Zachodzie 1939–1945*, red. W. Biegański, Warszawa 1981, s. 42–43, 49, 253–254.

rządu nie mieli większych kłopotów ze skompletowaniem składu Rady Ministrów i obsadzeniu wyższych stanowisk dowódczych; wręcz przeciwnie – odpowiednio przygotowanych kandydatów do pracy w różnego rodzaju ministerstwach i innych agendach rządowych było więcej niż stanowisk. Dobrym przykładem możliwości kadrowych „polskiego państwa” na uchodźstwie była służba dyplomatyczna. Nie tylko utrzymano dotychczasowe placówki dyplomatyczne w krajach sojuszniczych i neutralnych, ale w niektórych regionach powstały nowe. Gęstą siecią polskich konsulatów objęto m.in. Afrykę Wschodnią i Południową, gdzie przed 1939 r. polskich placówek prawie nie było.

W okresie wojny polscy specjaliści bez trudu znajdowali zatrudnienie w pracującym na pełnych obrotach przemyśle państw zachodnich. Najwięcej polskich inżynierów i techników pracowało na Wyspach Brytyjskich. Polscy specjaliści trafili w dużej liczbie do Kanady, która była ważnym ogniwem zbrojeniowego zaplecza Imperium Brytyjskiego. W początkach 1941 r. władze Indii Brytyjskich wyraziły gotowość przyjęcia do przemysłu obronnego przebywających dotąd beczynnie w Rumunii polskich specjalistów. W połowie tegoż roku polski konsul w Bombaju informował MSZ w Londynie, że grupa polskich specjalistów znalazła już zatrudnienie w przemyśle indyjskim⁹. Zapotrzebowanie na polskich fachowców zgłaszały nawet Chiny – interesowano się tam polskimi lotnikami i konstruktorami samolotów.

Plany powojennej repatriacji

Polscy uchodźcy rozproszeni po wielu krajach świata z nadzieją oczekiwali końca wojny, licząc, że będą mogli wrócić do kraju, gdzie połączą się z rodzinami i podejmą trud jego odbudowy. W październiku 1943 r. powstał w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej dokument „Tezy w sprawie repatriacji” określający jej zakres, zasięg oraz jej organizację. Silny nacisk położono na możliwie najszybsze rozpoczęcie akcji powrotu do kraju.

W dokumencie tym wskazywano, że „gros repatriacji wewnętrznej i europejskiej przepłynie w ciągu 100 dni od rozpoczęcia zorganizowanego ruchu repatriacyjnego”, a jedynie „repatriacja z Rosji i stosunkowo nielicznych grup obywateli polskich, przebywających w krajach sprzymierzonych i pozaeuropejskich przekroczy granicę polską w terminie późniejszym”¹⁰.

Co ciekawe, władze ustanowionej na ziemiach polskich z woli Stalina Polski „ludowej”, również opowiadały się za szybką repatriacją Polaków z Zachodu. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego zapowiadał w „Manifeście” z lipca 1944 r., że „dążyć będzie do najszybszego powrotu emigracji do kraju i podejmie kroki dla zorganizowania tego powrotu”. Kilka miesięcy później, ustami premiera Edwarda Osóbki-Morawskiego, polscy komuniści deklarowali, że „[...] uczciwych Polaków, którzy postanowią w szczerych intencjach powrócić do kraju, aby budować razem z nami nową, demokratyczną Polskę, powitamy z radością”¹¹.

We wrześniu 1946 r. premier Osóbka-Morawski wydał specjalną proklamację do Polaków w Niemczech. Przypominał, że odbudowa kraju winna być pierwszym obowiązkiem każdego Polaka, zwłaszcza w sytuacji, gdy kraj odczuwa tak wielki brak ludzkich umysłów i rąk do pracy. „Brak nam przede wszystkim – pisał Osóbka-Morawski – rolników i robotników. Potrzebujemy fachowców [...] inżynierów, techników, lekarzy, prawników, nauczycieli i profesorów, urzędników, oficerów, księży oraz ludzi innych zawodów”. Zapewniał, że ci, którzy powrócili, spotkali się z najserdeczniejszym przyjęciem i otrzymali pracę; perspektywy stojące przed powracającymi są dobre, gdyż prawie wszystkie fabryki, które nie uległy zniszczeniu, są w ruchu, a życie kulturalne i naukowe rozkwita. Premier przestrzegął, że odwlekających moment repatriacji rodaków czeka ciężkie życie wśród obcych. Proklamacja kończy-

⁹ Archiwum Akt Nowych (dalej: AAN), Ambasada RP w Londynie, 1822, Pismo A. Balińskiego I sekretarza Ambasady RP w Londynie do Foreign Office z 15 I 1941 r.; *ibidem*, Pismo Konsula Generalnego RP w Bombaju E. Banasińskiego do MSZ z 24 VI 1941 r.

¹⁰ AAN, Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej, 167, Tezy repatriacyjne opracowane przez R. Nowickiego, k. 1–9.

¹¹ I. Krężalek, *Polityka Polski wobec Polonii zagranicznej w latach 1945–1955*, „Przegląd Zachodni” 1977, nr 5–6, s. 263; AIPN Łd, Pf 12/1165, t. X, Expose premiera ob. Edwarda Osóbki-Morawskiego wygłoszone na posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej 2 I 1945 r.

ła się słowami: „Nie ma więc powodów do dalszej zwłoki. Powracajcie zaraz do kraju, ufni, iż wasza najbliższa przyszłość jest zabezpieczona. Oczekujemy was serdecznie w wolnym kraju”¹².

Wracać czy nie wracać?

Wkroczenie Armii Czerwonej do Polski i objęcie władzy przez komunistów oznaczało, że powrót do kraju prawowitego rządu RP stał się niemożliwy. Pod znakiem zapytania stanęła również starannie zaplanowana masowa repatriacja Polaków z Zachodu.

Wprawdzie w przemówieniu noworocznym z początku stycznia 1945 r. premier Tomasz Arciszewski życzył Polakom, aby nowy rok był rokiem zwycięstwa i powrotu do kraju, ale nie ukrywał również, że „krajowi zagrażają wielkie niebezpieczeństwa”. Pół roku później, zdając sobie sprawę, że lada dzień mocarstwa zachodnie uznają rząd w Warszawie, w odezwie „Do Narodu Polskiego” musiał przyznać: „Los Polaków nie będzie jednakowy. Jedni borykać się będą w Kraju z okrutną rzeczywistością państwa policyjnego, inni zostaną w wolnym świecie, by stać się ustami niemych”. Rząd polski na uchodźstwie, nie będąc w stanie odwrócić niekorzystnego biegu wydarzeń, przygotowywał się do długiego trwania na emigracji. Polskim żołnierzom i cywilom przebywającym na Zachodzie pozostawiał swobodę wyboru dalszej drogi życia.

Dramat polskiego wychodźstwa po II wojnie światowej najlepiej chyba oddał Kajetan Morawski, potomek starego ziemiańskiego rodu z Wielkopolski, dyplomata II Rzeczypospolitej i polskiego państwa na uchodźstwie, pisząc te słowa: „W roku 1945 wielu uczciwych Polaków na obczyźnie znalazło się w ciężkiej rozterce. Uczeni, inżynierowie, robotnicy wzięli w sumieniu swym głęboko i rzetelnie, czy wybrać drogę dalszego protestu i walki, czy podjąć pracę na własnej ziemi, choćby w warunkach nie dających rękojmi wolności ani dla jednostki, ani dla narodu”¹³.

Bardzo aktywną rolę w debacie wokół rozstrzygnięcia trudnego dylematu „wracać – nie wracać” odegrał prof. Stanisław Grabski, który – obok byłego premiera rządu na uchodźstwie i przywódcy ruchu ludowego, Stanisława Mikołajczyka – uważany był za czołowego zwolennika kompromisu z komunistami i powrotu do kraju.

W początkach kwietnia 1945 r. Grabski na łamach londyńskiego „Jutra Polski” apelował o przygotowanie się wychodźstwa na powrót do kraju. Jego zdaniem, czeka je wielkie zadanie związane z objęciem przez Polskę ziem na zachodzie, wymagające ludzi obeznanych z „kulturą gospodarczo-społeczną Zachodu”. „Ma tu wielkie do spełnienia zadanie młodzież nasza – pisał Grabski – która poznała przez dłuższy pobyt w Anglii, Szkocji, czy Francji i Szwajcarii zachodnioeuropejskie sposoby pracy i współpracy ekonomicznej”. Istotną rolę do odegrania widział także dla żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, którzy razem z kolegami z kraju mieli na nowych ziemiach objąć w posiadanie gospodarstwa rolne, przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe. Dotychczasowa służba w nowoczesnej, zmechanizowanej armii była – jego zdaniem – doskonałym treningiem przed podjęciem tego zadania¹⁴.

Inaczej na problem repatriacji zapatrywał się Ryszard Wraga (Jerzy Niezbrzycki). We wrześniu 1945 r. ukazała się jego broszura *Rozmyślenia Polaka w sprawie powrotu do kraju*, stanowiąca kwintesencję propagandy antyrepatriacyjnej. Wraga był przekonany, że istotą polityki sowieckiej jest nieograniczona ekspansja imperialistyczna, a w dziedzinie wewnętrznej – „sowietyzacja”, co sprawia, że wszelkie próby kompromisu z Kremlem nie mają z polskiego punktu widzenia najmniejszego sensu. Wychodząc z tych przesłanek, uważał, że problem pozostawiania Polaków na emigracji musi być rozpatrywany przede wszystkim z punktu widzenia „biologicznego i organizacyjnego zakonserwowania na emigracji tych elementów społecznych polskich, które będą zniszczone w ten czy inny sposób przez sowietyzację na terenie Polski”¹⁵.

¹² Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku (dalej: IJP), z. 24, Uchodźcy polscy w Niemczech, sygn. 4, Proklamacja do wszystkich Polaków w Niemczech od prezesa Rady Ministrów Edwarda Osóbki-Morawskiego, wrzesień 1946, s. 1–2.

¹³ K. Morawski, *Tamten brzeg. Wspomnienia i szkice*, oprac. J.M. Nowakowski, Paryż 1996, s. 204.

¹⁴ S. Grabski, *Było było dość ludzi*, „Jutro Polski”, 8 IV 1945.

¹⁵ R. Wraga (J. Niezbrzycki), *Rozmyślenia Polaka w sprawie powrotu do Kraju*, b.m.w. 1945, s. 5–11.

Autor broszury dowodził, że repatriacja byłaby nie tylko wielkim propagandowym sukcesem Sowietów, ale również przyniosłaby im korzyści jak najbardziej wymierne. Sugerował, że repatrianci zostaną użyci do odbudowy sowieckiego przemysłu i rolnictwa, a może nawet powracających żołnierzy polskich Kreml wykorzysta do własnych celów imperialnych.

W kręgach działaczy emigracyjnych opowiadających się przeciw powrotowi do Polski rodziły się najróżniejsze pomysły, jak zorganizować długoletni pobyt Polaków na obczyźnie oraz zapobiec rozproszeniu emigracji i jej powolnej asymilacji w obcym środowisku.

Wiosną 1945 r. prawnik i dyplomata, Władysław Kulski, za najkorzystniejsze rozwiązanie uważał emigrację Polaków do Kanady. Przewidywał, że kraj ten po wojnie dla emigracji gościnnie otworzy granice i tym samym powstanie szansa na masową emigrację ludności polskiej z zachodniej Europy. O masowej emigracji Polaków do krajów zamorskich marzył inny dyplomata rządu na uchodźstwie, Wiktor Podoski, a wśród krajów, w których mogliby osiedlić się Polacy, wymieniał (poza Kanadą) także Stany Zjednoczone, kraje Ameryki Łacińskiej, Australię i Nową Zelandię¹⁶. Były to oczekiwania mało realne, gdyż żadne z tych państw nie miało w planach szerokiego otwarcia granic dla przybyszów z Europy, a tym bardziej nie zamierzało dopuścić do powstawania na swym terytorium zwartych skupisk ludności napływowej.

O ile emigracja Polaków do najlepiej rozwiniętych krajów zamorskich – chociaż nie tak masowa jak spodziewano się w „polskim Londynie” – miała szansę realizacji w dłuższej perspektywie czasowej, to zupełnie fantastycznie brzmiały projekty uzyskania przez rząd polski na uchodźstwie zamorskich kolonii, z przeznaczeniem na osadnictwo polskie.

Wspomniany już Podoski w piśmie do ambasadora RP w Londynie Edwarda Raczyńskiego proponował, by rząd polski podjął starania o „przydział Polsce pewnych obszarów mandatowych, względnie w tej czy innej formie kolonii zamorskich”. Podoski wskazał na Kamerun i Tanganikę (dawne niemieckie kolonie) oraz Kenię, jako te terytoria afrykańskie, o które rząd polski na uchodźstwie powinien wystąpić¹⁷. Tego rodzaju plany zgłaszali także inni polscy wojskowi i politycy. Przykładowo ppłk dypl. Stanisław Pstrokoński uważał, że zamiast godzić się na demobilizację Polskich Sił Zbrojnych, należało zażądać od Anglików jakiegoś terytorium z rozpadającego się Imperium Brytyjskiego albo wymusić na aliantach udostępnienie dla polskiej emigracji terytorium byłych kolonii niemieckich lub włoskich¹⁸. Wszystkie te pomysły dowodzą, że ich autorzy nadal nie przyjmowali do wiadomości, iż rząd polski na uchodźstwie stracił po Jalcie wszelkie możliwości skutecznego działania. Co gorsze, nie dostrzegali, że już rozpoczął się proces rozpadu europejskich imperiów, a polskie „projekty” kolonialne mogą dostarczyć komunistom argumentów w propagandowej wojnie z wychodźstwem politycznym.

Komuniści wobec repatriantów

Wezwania do powrotu oraz głosy przestrzegające przed podjęciem takiej decyzji konfrontowane były z wieściami nadchodzącymi z kraju. Niestety, nie ułatwiały one podjęcia ostatecznego postanowienia.

Sekretarz generalny Polskiej Partii Robotniczej, Władysław Gomułka, niezwykle agresywnie atakował przywódców polskiej emigracji. Nazwał ich „reakcyjną bandą”, która grabi „państwowy i narodowy majątek wywieziony z Polski do Anglii w 1939 r., lub też zakupiony za pożyczki angielskie, które naród polski, zaciskając pasa, ma spłacać wierzycielom”. Oskarżał ich również o to, że straciwszy nadzieję na sprawowanie rządów nad narodem polskim, chcieliby rządzić przynajmniej Polakami na emigracji i z tej racji przeciwni są repatriacji. Oparcie dla swoich oskarżeń znajdowali przywódcy Polski „ludowej” w opracowaniach polskiego wywiadu. W specjalnym biuletynie Oddziału II Sztabu

¹⁶ AAN, Ambasada RP w Londynie, 1624, Uwagi W. Kulskiego w sprawie emigracji polskiej z 17 IV 1945 r.; *ibidem*, Pismo ministra W. Podoskiego do ambasadora E. Raczyńskiego, 7 V 1945 r.

¹⁷ AAN, Ambasada RP w Londynie, 1624, Pismo ministra W. Podoskiego do ambasadora E. Raczyńskiego, 7 V 1945 r.

¹⁸ S. Pstrokoński, *Kapitulacja Polskich Sił Zbrojnych. Ocena, konsekwencje, odpowiedzialność*, Londyn 1948, s. 14–16.

Generalnego Wojska Polskiego znalazło się stwierdzenie: „Kierownictwo emigracji czyni rozpaczliwe wysiłki, by jak największą ilość Polaków pozostawić poza granicami kraju”¹⁹.

Gomułka deklarując, tak jak Osóbka-Morawski, że dla Polaków, których losy wojny rzuciły na emigrację, pragnących „szczerze pracować dla Polski demokratycznej [...] wrota Ojczyzny zawsze stoją otworem”, jednocześnie zastrzegł, że „piątej kolumny sanacyjno-faszystowskiej przebywającej na emigracji, Polska demokratyczna nie ma zamiaru wpuszczać do swoich granic”. Po tego rodzaju wypowiedziach można było się spodziewać, że część uchodźców oskarżonych arbitralnie przez komunistów o to, że są „faszystami”, nie będzie mogła wrócić do kraju, a ci, którzy przyjadą, mogą trafić do więzień.

Gomułka groził polskim emigrantom, ale w tym samym czasie opanowane przez komunistów wydawnictwa i redakcje czasopism proponowały pisarzom polskim na Zachodzie publikowanie ich tekstów w kraju. W Polsce ukazywały się utwory Antoniego Słonimskiego, Kazimierza Wierzyńskiego, Witolda Gombrowicza oraz Andrzeja Bobkowskiego. Proponowano to Zofii Kossak-Szczuckiej, Arkademu Fiedlerowi, Marii Kuncewiczowej, Melchiorowi Wańkowiczowi i Józefowi Czapskiemu²⁰.

Szczególną rolę w pozyskiwaniu przychylności emigracyjnych twórców – czego ostateczną konsekwencją miał być powrót do kraju – odgrywał Jerzy Borejsza, nieco przesadnie uważany za prawdziwego dyktatora polskiego życia kulturalnego. W słynnym artykule *Rewolucja łagodna* opublikowanym na łamach „Odrodzenia” przedstawił polskiej inteligencji ofertę współdziałania w odbudowie polskiego życia kulturalnego, oczywiście pod nadzorem i kierownictwem partii komunistycznej. Kierował ją nie tylko do twórców przebywających w kraju, ale także do ludzi na emigracji.

Borejsza, będąc prezesem koncernu wydawniczego „Czytelnik” i ciesząc się wpływami na szczytach władzy, odgrywał rolę „wielkiego kusiciela”, co przychodziło mu tym łatwiej, że był człowiekiem bardzo inteligentnym, o dużym uroku osobistym, nieprzepuszczającym żadnej okazji, aby przekonywać pisarzy emigracyjnych, iż ich miejsce jest w kraju. Prezes „Czytelnika” zapewniał, że nowa Polska potrafi znaleźć miejsce dla każdego twórcy i to bez względu na jego przekonania polityczne.

W arsenale środków służących Borejszy do pozyskiwania przychylności emigrantów ważną rolę odgrywały zachęty materialne, różnego rodzaju udogodnienia i pomoc w załatwianiu „trudnych spraw”. Przykładowo, zabiegając o powrót do kraju socjologa Aleksandra Herta, obiecywał mu mieszkanie w Warszawie i stworzenie najlepszych warunków pracy. Że nie były to obietnice bez pokrycia świadczy przypadek Arkadego Fiedlera, który po powrocie otrzymał willę w Puszczykowie. Na pisarzach największe wrażenie robiły jednak wydawnicze możliwości prezesa „Czytelnika”. Mając do swej dyspozycji potężny koncern wydawniczy i ogólnopolską sieć dystrybucji, Borejsza mógł zapewnić każdemu twórcy wydanie książek w ogromnych nakładach, co gwarantowało prawdziwy rozgłos i duże honoraria, o których za granicą mogli tylko marzyć²¹.

Konkretne zachęty płynęły również z Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego. Kadre Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i oficerów z wyzwolonych obozów niemieckich chciano pozyskać obietnicami doskonałych warunków służby. Zapewniano, że oficerowie zawodowi będą mogli pozostać w wojsku, o ile nie przekroczą określonego limitu wieku. Szansę na pozostanie w służbie będą mieli również oficerowie rezerwy, jeżeli tylko wyrażą takie życzenie. Obiecywano uznać wszystkie stopnie i odznaczenia zdobyte przez oficerów i żołnierzy w latach wojny na różnych frontach i w szeregach wszystkich formacji wojskowych walczących z Niemcami. Co więcej, zapowiadano, że powracającym oficerom, a zwłaszcza byłym jeńcom, komisje weryfikacyjne podwyższą stopnie, aby naprawić krzywdę wynikającą z braku awansów w okresie wojny²².

Chociaż rzeczywiście w pierwszych latach powojennych do służby w „ludowym” Wojsku Polskim przyjmowano oficerów-repatriantów z przedwrześniowej armii, a nawet z Polskich Sił Zbrojnych,

¹⁹ Centralne Archiwum Wojskowe, IV.502.1/612. Biuletyn Oddziału II Sztabu Generalnego WP dotyczący emigracji polskiej, styczeń 1947, k. 4.

²⁰ M. Radziwon, *Gdzie twoje miejsce, poeto*, „Gazeta Wyborcza”, 30 VI–1 VII 2007.

²¹ E. Krasucki, *Międzynarodowy komunista. Jerzy Borejsza – biografia polityczna*, Warszawa 2009, s. 130–135.

²² *Polska czeka swych synów*, „Repatriant” 1945, nr 3, s. 1, 3; B. Garbień, *Wojskowi wracajcie*, „Repatriant” 1945, nr 2, s. 5.

generalne wytyczne polityki kadrowej zmierzały jednak w zupełnie innym kierunku. Przywódcom Polski „ludowej” chodziło o ukształtowanie nowego korpusu oficerskiego, całkowicie zależnego od reżimu komunistycznego, tylko jemu zawdzięczającego awanse i kariery. W związku z brakiem zaufania kierownictwa państwa i armii do starszych oficerów uznano, że o przyjmowaniu do służby oficerów dawnej armii od stopnia podpułkownika wzwyż musi decydować osobiście minister obrony narodowej²³. Tak więc los oficerów Polskich Sił Zbrojnych i wracających z obozów jenieckich zależał tylko w niewielkim stopniu od ich kwalifikacji i zasług wojennych, ale przede wszystkim od tego, jak oceniano ich postawę polityczną.

Najlepszego dowodu dyskryminacyjnych praktyk stosowanych wobec żołnierzy repatriujących się z Zachodu dostarcza porównanie wyników prac specjalnych komisji rejestracyjnych Ministerstwa Obrony Narodowej powołanych do przyjęcia żołnierzy powracających z Zachodu. W przypadku żołnierzy 2. Korpusu Polskiego przybyłych do kraju z Włoch w grudniu 1945 r. tylko nieliczni zostali zakwalifikowani do dalszej służby wojskowej. Na ogólną liczbę 1612 podoficerów, tylko 40 (2,5 proc.) wstępnie zakwalifikowano do dalszej służby wojskowej, a całą resztę zdemobilizowano.

Diametralnie inne było podejście kierownictwa MON do żołnierzy Zgrupowań Piechoty Polskiej, formacji o lewicowym rodowodzie, które przybyły z Francji nieco wcześniej. Mieli oni bez wątpienia mniejsze doświadczenie bojowe od żołnierzy 2. Korpusu Polskiego, ale w ich przypadku na ogólną liczbę 55 oficerów, aż 50 (90,9 proc.) skierowano do dalszej służby w Wojsku Polskim. Do służby zakwalifikowano również 38 podoficerów na 156 przybyłych, co stanowiło 24,4 proc. ogółu. Wielu wojskowych przybyłych z Francji skierowano do szkół oficerskich, aby mogli podnieść swoje kwalifikacje, co wiązało się później z szybkim awansem. Tylko w Oficerskiej Szkole Polityczno-Wychowawczej w Łodzi, gdzie kierowano ludzi sprawdzonych i zaufanych, znalazło się 71 wojskowych repatriantów z Francji. Blisko 500 osób z tej grupy skierowano do służby w bezpiece i milicji²⁴.

Polskim żołnierzom powracającym z Zachodu do ojczyzny nie szczędzono upokorzeń. W obozach repatriacyjnych, gdzie znaleźli się po przekroczeniu polskiej granicy, poddano ich prymitywnej politycznej indoktrynacji polegającej na zohydżaniu generałów, pod których dowództwem walczyli w latach wojny. Najwięcej zniewag i obelg rzucano oczywiście na gen. Władysława Andersa. Zniewagą i upokorzeniem dla tych, którzy wrócili do kraju, była bez wątpienia decyzja rządu warszawskiego z 17 lutego 1946 r., że nie uznaje dłużej PSZ za część składową Wojska Polskiego. Warszawa zażądała nie tylko rozwiązania polskich jednostek, ale również zakazywała ich żołnierzom używania godła, insygniów i stopni wojskowych. Do rzędu wrogich i znieważających decyzji Warszawy zaliczyć też trzeba tę z 26 września 1946 r., pozbawiającą obywatelstwa polskiego kilkudziesięciu wyższych oficerów PSZ, w tym generałów Władysława Andersa i Stanisława Maczka²⁵.

Byli żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie z oburzeniem, a pewnie i z przerażeniem, obserwowali poczynania zmierzające do zdyskredytowania ich dowódców, powszechnie szanowanych z racji zasług w latach II wojny światowej. Aby to osiągnąć, władze w Warszawie uciekały się do kłamstw i pomówień, które nie tylko szkodziły konkretnym osobom z emigracyjnych elit, ale stawały pod znakiem zapytania patriotyzm i uczciwość wszystkich członków PSZ. W 1946 r., a więc w okresie, kiedy jeszcze starano się skłonić żołnierzy PSZ do repatriacji i nie szczędzono im hojnych obietnic, polski delegat na konferencję Międzynarodowej Organizacji Pracy w reakcji na wypowiedź delegata Brazylii na temat przyjęcia do tego kraju byłych żołnierzy gen. Andersa stwierdził, że do 2. Korpusu Polskiego wstąpiło ponad 50 tys. wziętych do niewoli żołnierzy Wehrmachtu, którzy w większości byli „lojalnymi żołnierzami Hitlera i walczyli do końca”. Co więcej, w formacji dowodzonej przez Andersa miało znajdować się wielu kolaborantów i zwolenników faszystów, którzy

²³ J. Poksiński, *Kierownictwo PPR i PZPR wobec wojska w latach 1944–1956* [w:] *Kierownictwo PPR i PZPR wobec wojska 1944–1956*, oprac. J. Poksiński, A. Kochański, K. Persak, Warszawa 2003, s. 29–30.

²⁴ K. Frontczak, *Siły zbrojne Polski Ludowej. Przejście na stopę pokojową 1945–1947*, Warszawa 1974, s. 360–361.

²⁵ H. Sarner, *General Anders i żołnierze II Korpusu Polskiego*, Poznań 2002, s. 235; J. Kuropieska, *Z powrotem w służbie*, Kraków 1984, s. 206.

wiernie służyli Trzeciej Rzeszy i brali udział w nazistowskich zbrodniach. Ku zdumieniu obecnych na konferencji przedstawiciele wielu krajów, przekonanych, że Polska była krajem bez Quislinga, usłyszeli z ust polskiego delegata, iż w największej formacji PSZ służyli agenci i kaci gestapo oraz usługujący się hitlerowcom kapo z obozów koncentracyjnych, mający na sumieniu torturowanie i mordowanie niewinnych ludzi²⁶. Tak w praktyce wyglądała zapowiadana przez Osóbkę-Morawskiego polityka „otwartych ramion” wobec emigracyjnych elit.

Na Zachód przedostawały się coraz częściej informacje o działaniach komunistycznych służb specjalnych w stosunku do repatriantów. Na punktach etapowych Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, przez które przelewała się wielotysięczna fala repatriantów, funkcjonowały specjalne placówki Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. O skali ich działań świadczą zachowane statystyki. Od początków sierpnia 1946 r. do końca tegoż roku, spośród 207 352 repatriantów z Zachodu, grupy operacyjne MBP aresztowały 616 osób, z czego 57 żołnierzy 2. Korpusu Polskiego, 20 „terrorystów i reakcjonistów” oraz 6 byłych oficerów wywiadu PSZ lub armii przedwrześniowej. Na szeroką skalę werbowano wśród repatriantów agentów i tajnych współpracowników. Ogółem w ciągu ostatnich pięciu miesięcy 1946 r. grupy operacyjne MBP zwerbowały 1251 agentów i informatorów, z czego 177 spośród byłych żołnierzy Armii Krajowej, 122 spośród byłych żołnierzy armii gen. Andersa i 8 byłych członków Narodowych Sił Zbrojnych. Efektem pracy grup operacyjnych było również zarejestrowanie ok. 1500 repatriantów, których podejrzewano o wrogi stosunek do władz komunistycznych. Wprawdzie ich nie aresztowano, ale przekazano do „rozpracowania” placówkom UBP w miejscach zamieszkania²⁷.

Informacje na temat działań polskiej bezpieki w stosunku do repatriantów z Zachodu docierały do ambasady amerykańskiej w Warszawie. W listopadzie 1945 r. dwaj oficerowie amerykańscy polskiego pochodzenia, towarzyszący transportowi repatriacyjnemu z amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech do granicy polsko-czechosłowackiej, po przybyciu do Warszawy złożyli raport ambasadorowi Arthurowi Bliss Lane, w którym opisali praktyki drobiazgowego przesłuchiwanie repatriantów przez funkcjonariuszy MBP. Dwaj z nich zmuszeni zostali pod groźbą śmierci do podpisania zobowiązania o współpracy z policją bezpieczeństwa w charakterze donosicieli. Dla przestrogi wtrącono ich na trzy dni do więzienia i zapewniono, że wrócą tam na dłużej, jeśli nie dostarczą wartościowych informacji²⁸.

Jaskrawym przypadkiem oszczenia repatriantów przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa jest sprawa Bogdana Kocerki, który wrócił z Niemiec do Bydgoszczy w listopadzie 1946 r. Znalazł pracę w Wojewódzkim Urzędzie Informacji i Propagandy, gdzie powierzono mu nawet funkcję kierownika. Obawiając się, że utrzymanie tej posady uzależnione będzie od wstąpienia do rządzącej partii, zwolnił się i przeniósł do Ubezpieczalni Społecznej, gdzie rozpoczął pracę w referacie personalnym. Jego nadzieja na spokojne życie prysła, gdy podczas spaceru z żoną został zatrzymany na ulicy przez funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa. Zarzucono mu, że w rozmowie z żoną użył słowa „cholerna demokracja”, czym miał dać dowód swego negatywnego stosunku do PRL. Kocerca został aresztowany 15 lipca, a podczas przesłuchania oświadczone mu, że zostanie zwolniony tylko pod warunkiem, iż zgodzi się zostać konfidentem. Bezpiekie interesowały poglądy polityczne pracowników ubezpieczalni i ich dane personalne. Zdając sobie sprawę, że w przypadku odmowy współpracy pozostanie w więzieniu, Kocerca przyjął propozycję UBP.

Ku zaskoczeniu funkcjonariuszy bydgoskiego UBP Kocerca natychmiast po wyjściu z aresztu powiadomił o całej sprawie swego przełożonego, a sam nie czekając na kolejne uwięzienie, wraz z żoną i synem zbiegł do zachodnich Niemiec²⁹.

Dla inteligencji polskiej na Zachodzie, a zwłaszcza kadry oficerskiej PSZ, odstrasząco musiały po-
działać też niepowodzenia brytyjskiej dyplomacji w staraniach o uzyskanie gwarancji, że powracający

²⁶ Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z. 6, Departament Polityczny, w. 83, t. 1280, k. 7–8.

²⁷ AIPN, MBP 1058, Sprawozdania i meldunki z przebiegu pracy grup operacyjnych przy punktach przyjęcia repatriantów za okres VIII–XII 1946 r., k. 4–7, 10–11, 17–22.

²⁸ A. Bliss Lane, *Widziałem Polskę zdradzoną*, Chicago b.r.w., s. 123–124.

²⁹ IJP, z. 24, 3, Pismo Bogdana Kocerki do Zjednoczenia Polskiego w Osnabrück-Fernblick, 22 XII 1948 r.

do kraju nie będą prześladowani z przyczyn politycznych. Brytyjczycy domagali się tego rodzaju zapewnień już podczas rozmów z delegacją rządu Polski „ludowej” w Poczdamie w sierpniu 1945 r. Wprawdzie Bolesław Bierut w rozmowie z ministrem Ernestem Bevinem obłudnie zapewniał, że zasłużeni na frontach żołnierze PSZ po powrocie do kraju potraktowani zostaną jak bohaterowie, ale formalnych gwarancji dać nie chciał. Po wielu miesiącach trudnych rokowań w marcu 1946 r. ukazało się wreszcie oświadczenie rządu polskiego w Warszawie, które jednak budziło więcej obaw i wątpliwości niż nadziei. Więcej tam było o karach za rzekome zbrodnie niż gwarancji bezpieczeństwa i równego traktowania.

Nic dziwnego, że tylko połowa żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych zdecydowała się wrócić do kraju, a wśród powracających niewiele było oficerów. Na przykład w transportach repatriacyjnych żołnierzy 2. Korpusu Polskiego, które przybyły do Polski bezpośrednio z Włoch na przełomie lat 1945 i 1946, powróciło ogółem ok. 13,5 tys. ludzi, w tym tylko 61 oficerów³⁰.

W latach 1944–1945 ci nieliczni ziemianie, którzy utrzymali się na swoich majątkach, stanęli w obliczu dylematu: zostać na miejscu w nadziei, że armia sowiecka ich oszczędzi, czy też kierując się doświadczeniem z pierwszej okupacji sowieckiej z lat 1939–1941, uciekać w ślad za armią niemiecką. Tę ostatnią drogę wybrał jeden z największych posiadaczy ziemskich Alfred Potocki, który – zabierając z pałacu w Łąncucie co się tylko dało – wyjechał do Wiednia. W kraju pozostał natomiast książę Janusz Radziwiłł. Wraz z piętnastoma innymi przedstawicielami czołowych polskich rodów arystokratycznych został w styczniu 1945 r. aresztowany w pałacu w Walewicach i wywieziony do Krasnogródka, gdzie przetrzymywano go aż do roku 1947.

Trudno się dziwić, że polscy arystokraci przebywający na Zachodzie wracali do kraju bardzo rzadko. Wyjątek stanowił książę Krzysztof Mikołaj Radziwiłł, którego wojska amerykańskie wyzwoliły z obozu w Mauthausen. Książę, znany ze swoich lewicowych przekonań, zaprzyjaźnił się nawet z Józefem Cyrankiewiczem, który niebawem miał odegrać ważną rolę polityczną. Podczas dyskusji ze zwolennikami pozostania na Zachodzie miał powiedzieć, że woli być „pisarzem gminnym w Polsce niż szoferem taksówek na Zachodzie”³¹. Już w czerwcu 1945 r. książę Radziwiłł publikował pierwsze artykuły na łamach krakowskiego „Dziennika Polskiego” i pepeesowskiego pisma „Naprzód”. Wkrótce powierzone mu stanowisko szefa protokołu dyplomatycznego przy prezydencie Bierucie, a z listy Stronnictwa Demokratycznego wybrano do Sejmu Ustawodawczego. Jego pozycja materialna ulegała jednak stalemu pogorszeniu. Po zakończeniu krótkotrwałej kariery politycznej musiał utrzymywać się ze skromnej pensji tłumacza w państwowym wydawnictwie.

Szans znalezienia miejsca w powojennej Polsce nie widzieli na ogół również przedwojenni przedsiębiorcy. Zniechęcająco musiały podzielać napływające z Polski informacje o ogromnych zniszczeniach, rekwizycjach i grabieżach popełnianych przez wojska sowieckie, wreszcie nacjonalizacja dużych i średnich przedsiębiorstw. Realia PRL skutecznie odstraszyły przedstawicieli polskiej elity gospodarczej i finansowej, często mających wysokie kwalifikacje i doświadczenie w prowadzeniu przedsiębiorstw.

Dla inteligencji twórczej, literatów i naukowców warunki w kraju pozornie były pomyślniejsze, a zachęty czynione przez Borejszą i innych wysłanników Polski „ludowej” bardziej konkretne niż w przypadku innych grup zawodowych. Do kraju wróciło więc po krótszych lub dłuższych wahaniach wielu znanych intelektualistów. Ze Stanów Zjednoczonych wrócił Julian Tuwim, a z Niemiec – Konstanty Ildefons Gałczyński, Tadeusz Borowski i Leon Schiller. Po długich wahaniach zdecydował się na wyjazd do kraju wybitny historyk sztuki Karol Estreicher, wrócił z Londynu Antoni Słonimski, wspomniany już prof. Stanisław Grabski, a z Kanady znany fizyk prof. Leopold Infeld.

Lista wybitnych twórców, którzy do kraju nie wrócili, jest co najmniej równie długa jak lista tych, co zdecydowali się na repatriację. Znalazły się na niej takie znakomitości, jak Witold Gombrowicz, Józef Mackiewicz, Sergiusz Piasecki, Henryk Arctowski, Mieczysław Grydzewski, Marian Hemar, Oskar Halecki, Aleksander Hertz, Gustaw Herling-Grudziński, Jan Lechoń, Maria Kuncewiczowa, Teodor Parnicki, Kazimierz Wierzyński i wielu innych.

³⁰ K. Frontczak, *op. cit.*, s. 366.

³¹ K.M. Radziwiłł, *Pamiętniki. Od feudalizmu do socjalizmu bezpośrednio*, Warszawa 2000, s. 271, 273.

Bolesny bilans, tragiczny epilog

W latach 1945–1950 repatriacja z Zachodu objęła ok. 1 130 tys. osób. Do kraju wróciła większość byłych robotników przymusowych z Niemiec zachodnich i innych krajów uprzednio okupowanych, wróciła też połowa stanu osobowego Polskich Sił Zbrojnych³². Wśród powracających bardzo mało było oficerów, urzędników rządu polskiego na uchodźstwie oraz specjalistów zatrudnionych w przemyśle i placówkach naukowych krajów zachodnich. Los emigranta wybrało wielu wybitnych twórców kultury. Dla Polski była to niepowetowana strata.

Niestety, również ci przedstawiciele wychodźczych elit, którzy do Polski wrócili, z winy władz komunistycznych nie mogli wykorzystać swoich kwalifikacji dla dobra kraju. Wielu padło ofiarą bezpośrednich represji, wokół wszystkich przybyszów z Zachodu zacieśniał się krąg podejrzeń.

W początku 1950 r. wysłano z MBP do wszystkich wojewódzkich urzędów bezpieczeństwa publicznego instrukcję dotyczącą postępowania wobec repatriantów z Zachodu, która otworzyła nowy etap działań służb specjalnych wymierzonych przeciw całej społeczności repatriantów, w pierwszej kolejności osób zajmujących bardziej eksponowane stanowiska.

Obszerny dokument „Rozpracowanie obiektowe repatriantów” stał się ważnym elementem polityki terroru. Już we wstępie dokumentu stwierdzano, że przedmiotem działań bezpieki „[...] jest cała dwu i półmilionowa masa repatriantów polskich z Zachodu t.zn. z krajów będących pod panowaniem obozu imperialistycznego z Anglosasami na czele”. Jako przyczynę podjęcia tak szeroko zakrojonej akcji podano fakt, że poważny odsetek repatriantów stanowi „element klasowo wrogi ustrojowi Demokracji Ludowej w Polsce, gdyż składa się z byłych urzędników, wojskowych i działaczy politycznych przedwrześniowego obozu sanacyjnego [...]”. Ludzie ci po powrocie do kraju byli rzekomo nadal „powiązani tysiącami nici z polskimi ośrodkami reakcyjnymi za granicą”.

Wskazano też jeszcze inną ważną przyczynę zaostrzenia działań przeciw repatriantom z Zachodu. Zdaniem władz bezpośrednio po wojnie z powodu braku fachowców i na skutek „przytępienia czujności”, obcy klasowo repatrianci zostali zatrudnieni na tych odcinkach gospodarki i administracji, które stanowiły „poważny obiekt zainteresowania obcych wrogich sił”. Twórcy dokumentu byli przekonani, że „[...] wrogowie ludu spośród repatriantów starają się maksymalnie oddziaływać na życie polityczne i społeczne kraju, szerzyć zamęt i niepokój, stają się oni narzędziem sił imperialistycznych zmierzających do utrzymania i rozszerzenia swej bazy w Polsce Ludowej”.

Jeden z punktów owego planu dotyczył przedsięwzięć profilaktycznych, które należało podjąć w stosunku do repatriantów już na wstępnym etapie ich „rozpracowania”. Nakazano, aby „W wypadku ustalenia faktu pracy potencjalnie wrogiego repatrianta na stanowisku mającym kluczowe znaczenie dla naszej gospodarki, przy jednoczesnym braku danych o jego konkretnej wrogiej działalności, należy dyskretnie spowodować usunięcie przez aparat admin.-gosp. w/w osoby i udostępnienie jej innej pracy, aby tym samym uchronić ważny obiekt gospodarczy od możliwej szkody”.

Tego rodzaju polityka prowadziła do masowego usuwania z pracy lub przesuwania na niższe stanowiska specjalistów przybyłych z Zachodu, chyba że godzili się odgrywać rolę konfidentów. Najgorsze jednak było to, że nie ograniczono się tylko do praktyk dyskryminacyjnych. Ruszyła nowa fala aresztowań z oskarżenia o szpiegostwo na rzecz mocarstw zachodnich, sabotaż, antypaństwowe spiski, kolaborację z nazistami, „faszyzację” kraju. Przed komunistycznymi sądami stawali zastrzeżeni w bojach oficerowie PSZ, wybitni twórcy i byli działacze polityczni. Lista skazanych na długoletnie kary pozbawienia wolności, straconych i zmarłych w więzieniach, jest długa. Zmarł w więzieniu m.in. ks. Zygmunt Kaczyński, były minister rządu RP na uchodźstwie, zamordowano Bolesława Kontryma, jednego z najdzielniejszych żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego i oficera Polskich Sił Zbrojnych. Do celi śmierci trafili płk Franciszek Skibiński – jeden z dowódców 1. Dywizji Pancerniej i najślynniejszy polski pilot myśliwski lat II wojny światowej mjr Stanisław Skalski. Już tylko te kilka nazwisk represjonowanych przedstawicieli wychodźczych elit dowodzi, jak absurdalna i sprzeczna z interesem kraju była polityka komunistycznych władz.

³² J. Wróbel, *op. cit.*, s. 561, tab. 4.

POWOJENNE LOSY ELITY POLSKIEGO LOTNICTWA

Lotnictwo wojskowe we wszystkich krajach od zarania słusznie uważano za elitę sił zbrojnych. Jego personel musiał mieć kwalifikacje techniczne nieznane w klasycznych rodzajach wojsk, takich jak piechota, kawaleria czy artyleria. Personel latający, oprócz wiedzy technicznej potrzebnej do obsługi aparatów latających, musiał też spełniać wyśrubowane warunki fizyczne.

Rozwój lotnictwa w Polsce międzywojennej kształtowała celowa polityka oparcia się na krajowym zapleczu. Dlatego sprzęt był własnej produkcji (początkowo licencyjny, później już polskiej konstrukcji) i cały personel lotnictwa był szkolony w Polsce. Dzięki temu nasz przemysł lotniczy dysponował kadrą wykwalifikowanych inżynierów, tworzących konstrukcje na najwyższym światowym poziomie (choć – głównie wskutek słabości budżetu – w 1939 r. zabrakło najnowszych samolotów w jednostkach wojskowych), a personel lotnictwa wojskowego (zarówno naziemny, jak i latający) był dobrze wyszkolony.

Podczas II wojny światowej polscy lotnicy zdali swój historyczny egzamin. Choć dziś rzadko o tym pamiętamy, to właśnie powietrzna bitwa o Anglię, toczona latem-jesienią 1940 r., była jedną spośród decydujących batalii II wojny światowej, w której Polacy mieli istotny wkład w zwycięstwo. Niczego nie ujmując bohaterstwu polskich żołnierzy z innych boi tej wojny, historia tak się potoczyła, że już żadna inna walna bitwa z udziałem Polaków nie miała bezpośredniego wpływu na to, kto tę wojnę wygra.

Co istotne, przez cały okres wojny polskie lotnictwo na Zachodzie stanowiło kompletny system, w którym oprócz jednostek bojowych były też szkoły lotnicze różnych szczebli (poczynając od naziemnego szkolenia kandydatów do lotnictwa i mechaników, przez trzy szczeble szkolenia personelu latającego, aż po Wyższą Szkołę Lotniczą, kształcąca oficerów dyplomowanych) i rozmaite służby pomocnicze. Decyzje o organizacji i wyposażeniu polskich jednostek w okresie wojny podejmowano z myślą o odbudowie lotnictwa w wyzwolonej Polsce.

Po cofnięciu uznania rządowi RP na uchodźstwie w lipcu 1945 r. i rozwiązaniu Polskich Sił Zbrojnych wszystkie te plany okazały się bezwartościowe. Walka o niepodległość ojczyzny zakończyła się niepowodzeniem. Kto inny, według innych planów przystąpił do tworzenia zupełnie nowego lotnictwa w Polsce. Kiedy rozwiały się marzenia o triumfalnym powrocie do kraju, personel Polskich Sił Powietrznych stanął przed dylematem „co dalej?”.

W kraju

Szacuje się, że spośród ponad 14 tys. ludzi, którzy w chwili zakończenia wojny pełnili służbę w PSP, do Polski wróciło ok. 3 tys. Powracając, wszyscy oni przechodzili weryfikację stopni i specjalności wojskowych. Tylko niektórzy zgłaszali chęć wstąpienia do „ludowego” Wojska Polskiego, przy czym nie wszystkich chętnych przyjęto do służby.

O ile rezerwiści powołani do służby na czas wojny przeważnie wracali do swoich cywilnych zawodów, to dla zawodowych wojskowych podjęcie służby w siłach zbrojnych było naturalnym powrotem do profesji wybranej przed wojną (z reguły nie mieli żadnych innych kwalifikacji zawodowych). Tymczasem w oczach aparatu bezpieczeństwa każdy, kto wracając z Zachodu, chciał wstąpić do wojska, był potencjalnym szpiegiem, choć początkowo władze komunistyczne godziły się na służbę „wrogów klasowych” w ludowym wojsku.

W lotnictwie

Latem 1945 r. obywatele polscy stanowili tylko ok. 10 proc. całej kadry oficerskiej polskiego lotnictwa, lecz zakładano, że do końca 1947 r. wszyscy obywatele ZSRR odejdą z lotnictwa polskiego. Dlatego w pierwszych latach powojennych potrzebni byli fachowcy, by zapewnić funkcjonowanie lotnictwa (zarówno wojskowego, jak i cywilnego). Istotnym źródłem kompetentnych kadr w tej dziedzinie było właśnie środowisko lotników wracających z Zachodu. Dzięki przyjmowaniu ich do służby, przy znacznej redukcji ogólnej liczby personelu (demobilizacja wojska w ramach przejścia ze stopy wojennej na pokojową), pod koniec 1946 r. obywatele radzieccy stanowili już tylko jedną trzecią kadry oficerskiej lotnictwa. Rok później ich odsetek obniżył się do nieco ponad 10 proc. i w tym czasie w lotnictwie wojskowym liczba oficerów polskich wyszkolonych w II RP oraz na Zachodzie zrównała się z liczbą oficerów radzieckich.

W takiej właśnie sytuacji niektórzy wyżsi oficerowie lotnictwa polskiego na Zachodzie zostali w pierwszych latach powojennych mianowani na stanowiska dowódcze. Podpułkownik Szczepan Ścibior (podczas wojny dowódca eskadry w 305. Dywizjonie Bombowym, następnie w niewoli) został dowódcą 7. Pułku Lotnictwa Bombowego, a później komendantem Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie, ppłk Zygmunt Sokołowski (latał bojowo w 304. Dywizjonie Bombowym, potem w Wyższej Szkole Lotniczej) – szefem Katedry Lotnictwa w Akademii Sztabu Generalnego, ppłk Bernard Adamecki (organizator Wydziału Lotniczego KG AK) – komendantem Technicznej Szkoły Lotniczej, ppłk Władysław Minakowski (lotnik Dywizjonu 304, później oficer sztabu PSP) – dowódcą Samodzielnej Eskadry Aerofotogrametrycznej. Do służby przyjęto też innych wyższych oficerów PSP na Zachodzie, m.in. ppłk. Mariana Duryasza (dowódcę Dywizjonu 302, przedstawiciela PSP w dowództwie brytyjskiego lotnictwa okupacyjnego w Niemczech), ppłk. Stanisława Michowskiego (nawigatora w 305. Dywizjonie, potem wykładowcę w Wyższej Szkole Lotniczej) i mjr. Stanisława Skalskiego (dowódcę 317. Dywizjonu PSP, 601. Dywizjonu RAF i 133. Skrzydła Myśliwskiego).

Zdecydowanie liczniejsze było grono lotników niezainteresowanych służbą w wojsku albo nieprzyjętych do niej. Znaleźli się wśród nich tak wybitni oficerowie, jak byli dowódcy skrzydeł: Tadeusz Rolski, Stefan Witorzeńć, Tadeusz Nowierski i Waław Król, a także byli dowódcy dywizjonów: Bohdan Arct, Witold Łokuciewski, Ignacy Olszewski i Karol Pniak. Musieli oni ułożyć sobie życie w cywilu. Niektórzy podjęli pracę w lotnictwie cywilnym, m.in. jako członkowie personelu latającego PLL „Lot” albo na stanowiskach naziemnych. Nawet ci, którzy zawodowo nie mieli już związków z lotnictwem, działali w aeroklubach.

Fot. ze zbiorów W. Martusiaka



Uroczyste opuszczenie polskiej flagi lotniczej w bazie RAF Horsham St Faith 2 stycznia 1947 r. Na przełomie grudnia 1946 r. i stycznia 1947 r. rozwiązano ostatnie polskie dywizjony w Wielkiej Brytanii

Szykany i represje

Od 1948 r. nastąpiło zaostrożenie kursu politycznego we wszystkich instytucjach państwa, w tym również w lotnictwie. W ciągu następnych kilku lat stopniowo usunięto ze służby wojskowej praktycznie wszystkich oficerów wykształconych w II RP i na Zachodzie. W tym samym czasie dokonano daleko posuniętej czystki we wszystkich cywilnych instytucjach lotniczych, usuwając ludzi mających za sobą zawodową służbę wojskową w II RP, walkę w AK albo w formacjach polskich na Zachodzie. Wyrzucano ich ze wszelkich stanowisk kierowniczych; dostawali zakaz pilotowania jakichkolwiek statków powietrznych, a nawet lotów w charakterze pasażerów. Niemal wszyscy oficerowie, a także liczni podoficerowie Polskich Sił Powietrznych stali się obywatelami drugiej kategorii, mając trudności ze znalezieniem pracy i doznając różnorodnych szykan (analizując powojenne biografie lotników, można zauważyć, że stosunkowo najłagodniej władze traktowały zatrudnionych bezpośrednio przy powojennej odbudowie kraju).



Fot. ze zbiorów W. Matusiaka



Fot. ALPN

Zdjęcie Stanisława Skalskiego (czołowego polskiego asa myśliwskiego II wojny światowej) zrobione bezpośrednio po jego aresztowaniu w czerwcu 1948 r. Na mundurze widać baretki Złotego i Srebrnego Krzyża Virtuti Militari, a także odznakę pilota RAF

W tym okresie służba w lotnictwie polskim na Zachodzie była postrzegana jako obciążający fragment życiorysu. W książeczce wojskowej Czesława Blicharskiego, weterana 300. Dywizjonu Bombowego, służbę w PSP podczas II wojny światowej skwitowano słowami „pełnił służbę w armii obcej”. Pouczająca jest lektura akt personalnych Kazimierza Wünsche, weterana Dywizjonu 303 z bitwy o Anglię, a w latach 1944–1945 dowódcy eskadry w Dywizjonie 315. Po powrocie do Polski w 1948 r. wstąpił on do lotnictwa wojskowego. Początkowo służył

6 września 1943 r. Władysław Śliwiński został autorem zestrzelenia, które okazało się dwusetnym zwycięstwem zaliczonym na konto Dywizjonu 303. Niespełna pięć lat później, w czerwcu 1948 r. został aresztowany w Warszawie pod zarzutem szpiegostwa. Stracono go w dzień Święta Wojska Polskiego – 15 sierpnia 1951 r. Wśród aresztowanych w „sprawie Śliwińskiego” było także dwóch asów polskiego lotnictwa i wybitnych dowódców jednostek myśliwskich PSP: Tadeusz Nowierski i Stanisław Skalski

Podczas wojny Zygmunt Sokołowski mógł uważać się za szczęściarza. Nocą z 26 na 27 października 1941 r. jego bombowiec Wellington z Dywizjonu 304, uszkodzony podczas nalotu na Hamburg, wodował na Morzu Północnym, ale pięciu lotników dryfujących w pontonie ratunkowym zostało po kilkunastu godzinach wylowionych przez brytyjski okręt. Po wojnie Sokołowski wrócił do Polski, gdzie z czasem objął Katedrę Lotnictwa w Akademii Sztabu Generalnego.

W 1952 r. został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa, stracono go 29 sierpnia 1953 r. (archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego via W. Matusiak)



w pułku myśliwskim, ale w grudniu 1948 r. dowódca jednostki wystąpił z wnioskiem o jego przeniesienie: „Nie nadaje się jako dowódca eskadry pułku myśliwskiego, może być wykorzystany w innej jednostce, na niższym stanowisku”. Wünsche został przeniesiony na stanowisko instruktora pilotażu do Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie. W 1950 r. odnotowano tam w jego opinii służbowej: „w czasie wojny latał w Anglii, w »Dywizjonie 303«, gdzie nabrał niezdrowych nawyków, które odbijają się ujemnie w jego pracy”. Rok później jego opinia służbowa zawierała już stwierdzenie: „jest oficerem obcym klasowo i ideologicznie. [...] Pochodzenie, przeszłość, jak i stosunek do obecnej rzeczywistości stawia go w grupie politycznie niepewnych. [...] Chwilowo z braku kadr może być na zajmowanym stanowisku wykorzystany”.

W jego sprawie 5 września 1952 r. złożono wniosek kończący się słowami: „[...] dla Ludowego WP ze względu na jego przeszłość polityczną oraz obecne wrogie oblicze w stosunku do Polski Ludowej nie przedstawia żadnej wartości. Celowym jest przeniesienie do rezerwy”. Wniosek został przyjęty, a w ślad za byłym już oficerem poszła opinia personalna: „Przeniesiony do rezerwy ze względów politycznych jako zupełnie nienadający się na pilota Ludowego Lotnictwa. W cywilu może być wykorzystany w instytucji cywilnej na niesamodzielnym stanowisku, pod stałym nadzorem politycznym”.

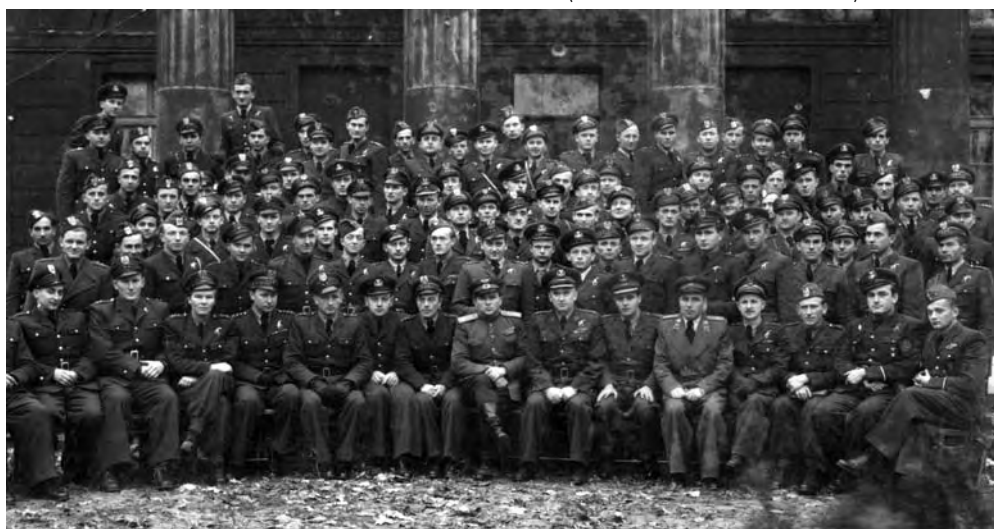
W takiej atmosferze wybitni dowódcy lotniczy zatrudniani byli na najniższych stanowiskach w przedsiębiorstwach niezwiązanych z lotnictwem. Na przykład Józef Kępiński (dowódca jedyne polskiego dywizjonu walczącego w kampanii francuskiej 1940 r., w Wielkiej Brytanii komendant polskiej szkoły pilotażu, a potem wyższy oficer sztabu PSP) pracował jako robotnik w Spółdzielni Pracy „Sprzęt Rybacki” w Warszawie, a wspomniani wcześniej Waław Król i Marian Duryasz byli zatrudnieni na stanowiskach magazynierów (ten pierwszy w zakładach Inco, drugi w Przedsiębiorstwie Robót Kolejowych).

Więzienia i egzekucje

W wielu przypadkach władze nie ograniczały się do szykan, takich jak wydalenie ze służby wojskowej albo dotychczasowego miejsca pracy. Wielu wybitnych lotników aresztowano. Bestialskimi metodami „śledczymi”, torturując ludzi fizycznie i psychicznie, wymuszano przyznanie się do zbrodni zdrady i szpiegostwa. Znana jest sprawa Stanisława Skalskiego, polskiego asa myśliwskiego II wojny światowej, który został aresztowany w czerwcu 1948 r., a w kwietniu 1950 r. skazano go na karę śmierci. Miał on szczęście, bo wyrok ten zamieniono następnie na dożywotnie więzienie. Doczekawszy „odwilży” w 1956 r., został zwolniony i zrehabilitowany. Inni oficerowie tyle szczęścia nie mieli, zgładzono m.in. wspomnianych wcześniej: Szczepana Ścibiora, Zygmunta Sokołowskiego, Bernarda Adameckiego, Stanisława Michowskiego i Władysława Minakowskiego.



Pamiątkowe zdjęcie personelu latającego Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie w 1951 r. Siedzi siódmy od prawej komendant szkoły, płk Szczepan Ścibior. 15 sierpnia tego roku został on aresztowany pod zarzutem szpiegostwa i po bestialskim śledztwie skazany na śmierć. Wyrok wykonano 7 sierpnia 1952 r. Czwarty od prawej siedzi inny weteran PSP na Zachodzie, mjr Jan Lemieszonek, a wśród stojących widać por. Kazimierza Wünsche (drugi z kolei prosto powyżej oficera radzieckiego siedzącego pośrodku). Obok fragment fotografii, poniżej całość (fot. ze zbiorów W. Matusiaka)



Obecnie w potocznym odbiorze wszystkie przypadki aresztowania, a następnie skazania przez peerelowskie sądy często traktuje się zbiorczo – jako wyroki na polityczne zamówienie, oparte na absurdalnych zarzutach i sfałszowanych dowodach. Rzeczywistość była bardziej złożona.

Porucznik pilot Władysław Śliwiński, weteran Dywizjonu 303 aresztowany w czerwcu 1948 r. i stracony 15 sierpnia 1951 r., rzeczywiście prowadził pracę wywiadowczą, przekazując na Zachód tajne informacje. Oczywiście, z dzisiejszej perspektywy trudno uznać go za szpiega działającego na szkodę Polski, niemniej jest faktem, że w PRL był on agentem obcego wywiadu. „Sprawa Śliwińskiego” stała się jednak dla Informacji Wojskowej pretekstem do aresztowania wielu lotników (niektórzy z nich, jak Skalski, byli w czynnej służbie wojskowej), bez względu na to, czy mieli cokolwiek wspólnego z jego działaniami wywiadowczymi.

Z drugiej strony, wśród skazanych na więzienie byli w tym czasie i tacy „przestępcy” jak kpt. píl. Stanisław Bochniak (podczas wojny dowódca eskadry w Dywizjonie 308). „Nakłoniony” do podjęcia współpracy z UB poinformował o tym osoby, o których miał dostarczać informacji. Wśród poinformowanych był donosiciel i Bochniak trafił do więzienia za „zdradę tajemnicy służbowej”. Część wyroku odpracował w kamieniołomach.

„Odwilż”

Prześladowania i szykany wobec wracających z Zachodu lotników trwały do „odwilży” 1956 r. W październiku tego roku dowódcą Wojsk Lotniczych mianowano gen. bryg. pil. Jana Freya-Bieleckiego. Pod jego rządami w końcu odeszli ze stanowisk dowódczych zajmujący je jeszcze oficerowie radzieccy. Warto zwrócić uwagę, że ostatnią jednostką dowodzoną przez obywatela radzieckiego (do czerwca 1957 r.) był 36. Specjalny Pułk Lotniczy (tzw. Specpułk) zajmujący się transportem najwyższych władz PRL. Na przełomie lat 1956 i 1957 gen. Frey-Bielecki osobiście zaprosił weteranów Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie do wstąpienia do Wojsk Lotniczych, co miało symbolicznie podkreślać zmianę oblicza polskiego lotnictwa wojskowego. Kilku z nich przyjęło to zaproszenie. Z czasem zajęli odpowiedzialne stanowiska w strukturze Wojsk Lotniczych, ale z punktu widzenia władz istotne było przede wszystkim propagandowe wykorzystanie sławy wojennych bohaterów do poprawienia wizerunku „ludowego” wojska.

Środowisko byłych lotników wojskowych II RP i PSP na Zachodzie, którzy odzyskali w tym okresie prawo wykonywania lotów, wniosło istotny wkład w utworzenie lotnictwa sanitarnego. Inicjatorami i organizatorami tej służby (istniejącej do dziś pod nazwą Lotniczego Pogotowia Ratunkowego) byli m.in.: Jerzy Szymankiewicz (były dowódca Dywizjonu 302), Edward Jaworski (dowódca eskadry w Dywizjonie 308) i wspomniany już Kazimierz Wünsche.



Na obczyźnie

Po rozwiązaniu PSP w Wielkiej Brytanii i likwidacji poszczególnych jednostek na przełomie lat 1946 i 1947, zdecydowana większość ich

Uczestnicy kursu nawigacji dla pilotów RAF w bazie Shrewsbury, przełom 1951 i 1952 r. Siedzi pierwszy z lewej Flight Lieutenant (kapitan RAF) Franciszek Kornicki, a stoi pierwszy z lewej Sergeant (sierżant RAF) Jan Zabłocki, który następnie zmienił nazwisko na Baxter (fot. ze zbiorów Franciszka Kornickiego)



Weterani PSP podczas szkolenia na odrzutowych myśliwcach MiG-15 w 1957 r. W kabinie mjr Ignacy Olszewski (w PSP dowódca Dywizjonu 302, a potem Dywizjonu 308), stoją od lewej: mjr Witold Łokuciewski (ostatni d-ca Dywizjonu 303), mjr Stanisław Skalski, mjr Wacław Król (d-ca Dywizjonu 302, a później 131. Skrzydła Myśliwskiego), fot. ze zbiorów W. Matusiaka

personelu pozostała na obczyźnie. Początkowo niemal wszyscy weszli w skład Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia – wojskowej struktury mającej w ciągu paru lat przygotować ich do życia cywilnego w Wielkiej Brytanii lub innych krajach zachodnich.

W Royal Air Force

Dokładnie tak samo, jak to było wśród powracających do Polski, najcięższe decyzje musieli podjąć zawodowi wojskowi, którzy nie mieli żadnych innych kwalifikacji zawodowych. Wielu z nich zdecydowało się wstąpić do RAF. Warto podkreślić, że choć formalnie poddawano ich egzaminom i sprawdzeniom, to w tym czasie obowiązywała w RAF poufna instrukcja, nakazująca przyjmowanie do służby tych Polaków, którzy się do niej zgłaszają. Było to wynikiem wysokiej oceny naszych lotników dominującej wśród wyższych dowódców brytyjskich, a także prawdziwego braterstwa broni z czasu wojny. W ten sposób w okresie powojennym wielu weteranów PSP znalazło się w RAF, zarówno w personelu latającym, jak i w naziemnym. Ze względu na specyficzny system służby kontraktowej stosowany w lotnictwie tego kraju, niektórzy byli oficerowie PSP w okresie powojennym podjęli służbę w RAF w stopniach podoficerskich. Równocześnie nierzadkie były przypadki podoficerów PSP, którzy po wojnie w brytyjskim lotnictwie dosłużyli się stopni oficerskich.

Najświetniejszą karierę spośród Polaków w RAF zrobił Aleksander Maisner, który m.in. był komendantem bazy RAF w Singapurze, aż do jej oficjalnego zamknięcia i przekazania lokalnym władzom, a następnie zastępcą komendanta szkoły oficerskiej RAF w Cranwell, gdzie wśród jego uczniów był m.in. brytyjski następca tronu, książę Karol. Maisner zakończył służbę wojskową w stopniu Air Vice Marszala (generała dywizji), po czym przez cztery lata był w Ministerstwie Obrony Wielkiej Brytanii dyrektorem generalnym działu personalnego RAF. Spośród polskich pilotów myśliwskich największą karierę w RAF zrobił Stanisław Wandzilak, który w 1972 r. przeszedł w stan spoczynku w stopniu Group Captaina (czyli pułkownika) i potem jeszcze wiele lat pracował w Ministerstwie Obrony. Co ciekawe, pracując w Zarządzie Bezpieczeństwa Lotów w brytyjskim Ministerstwie Lotnictwa



High award for Polish air ace

Group Capt. Wandzilak (right) receiving the Queen's Commendation and congratulations from Air Marshal Sir John Davis.

GROUP Capt. Stanisław Wandzilak, of 69 Cleveland Gardens, Barnes, has received the Queen's Commendation for valuable services in the air.

The award has been made to him by Air Marshal Sir John Davis, air officer commanding, Flying Training Command, Reading, Berks., where Group Capt. Wandzilak holds headquarters responsibility for the training of all pilots in the Command.

Group Capt. Wandzilak, who has lived in Barnes for the past 20 years, was commissioned in the Polish air force in 1939, and, after the fall of Poland, made his way through Roumania and Turkey to the Lebanon where he joined the French air force.

He fought in the battle for France and, on the col-

lapse of France, in answer to Churchill's call to all Poles who wanted to continue the fight against Hitlerism, made his way with 40 Polish airmen across France to a Spanish border port where he found a ship to take him to England.

One of the original members of the Polish No. 308 fighter squadron, he was in action again in September, 1940, and continued so until the end of the war, after having been shot down during the invasion of Normandy.

After the war Group Capt. Wandzilak was for a time ADC to the Polish Defence Minister in the Free Polish Government in London, but in 1948 accepted a commission in the RAF. Today he is one of the most senior ex-Polish air force officers serving with the RAF.

w 1958 r. był zapewne pierwszym (i jak dotąd jedynym) Polakiem mającym nieskrepowany dostęp do brytyjskiej dokumentacji katastrofy gibraltarskiej. Co jeszcze ciekawsze, jego nazwiska z reguły w ogóle nie wspominają autorzy „śledczych” publikacji dotyczących tej tragedii. Rekord długości czynnej służby wojskowej w RAF ustanowił Jerzy Kmiecik (dawny podoficer pilot PSP), który odszedł w stan spoczynku w 1981 r., w stopniu Flight Lieutenanta (kapitana). Wśród Polaków służących w RAF w początkowych latach zimnej wojny kilku latało w jednostkach rozpoznawczych (m.in. Mirosław Wojciechowski, jeden z asów Dywizjonu 303 z bitwy o Anglię). Dokumenty dotyczące ewentualnych lotów brytyjskich samolotów nad ZSRR i jego satelitami pozostają do dziś niedostępne dla historyków. Można tylko domniemywać, że jeśli rzeczywiście dochodziło do takich lotów, to w razie przymusowego lądowania lub zestrzelenia Polacy mieliby o wiele większe szanse przetrwania niż Brytyjczycy.

W siłach powietrznych innych państw

Wielka Brytania nie była jedynym krajem, w którym polscy lotnicy podjęli po wojnie służbę wojskową. Kilkudziesięciu Polaków współtworzyło siły powietrzne nowo powstałego Pakistanu. Pamięć o nich jest tam żywa do dziś, a szczególnym mirem jest otaczany Władysław Turowicz, który przez wiele lat pełnił najwyższe funkcje w lotnictwie pakistańskim. Polscy oficerowie kontraktowi z doświadczeniem bojowym z okresu II wojny światowej stanowili tam wartościową kadre, służąc zarówno jako instruktorzy w szkołach lotniczych, jak i dowódcy jednostek bojowych.

Polacy służyli też w lotnictwie wojskowym innych krajów. Antoni Głowacki (sławny as bitwy o Anglię) przez wiele lat był czynnym lotnikiem na Nowej Zelandii, gdzie najpierw służył w lotnictwie wojskowym, a następnie w urzędzie lotnictwa cywilnego.

Kilku Polaków służyło w lotnictwie krajów arabskich. Marian Jankiewicz (który w czasie II wojny światowej latał w Dywizjonie 315, a potem do lat sześćdziesiątych służył w RAF) latał jako pierwszy pilot w lotnictwie wojskowym Abu Zabi, a następnie Zjednoczonych Emiratów Arabskich aż do grudnia 1987 r.(!), ustanawiając rekord długowieczności jako czynny lotnik wojskowy.



Fot. ze zbiorów W. Matusiaka

Mieczysław Gorzula (w środku) ze swoimi uczniami-pilotami w Akademii Sił Powietrznych Pakistanu w Risalpurze w 1950 r.

Trudna do ustalenia grupa weteranów Polskich Sił Powietrznych podjęła po wojnie tajną służbę w CIA i innych amerykańskich instytucjach, wykonując zrzuty zaopatrzenia i agentów dla rozmaitych organizacji podziemnych i partyzanckich na całym świecie, głównie antykomunistycznych. Nie ma na ten temat pełnych danych, ale wiadomo o zaopatrywaniu z powietrza partyzantki antyrządowej w Polsce, na Ukrainie, w krajach bałtyckich i na Bałkanach, a także np. antychińskich organizacji w Tybecie. Wiadomo też, że oprócz zrzutów zaopatrzenia Polacy ci wykonywali loty *stricte* bojowe. Na przykład weterani: Józef Jeka (dowódca Dywizjonu 306) i Jan Iżycki (podczas wojny lotnik eskadry specjalnej, latającej ze zrzutami do krajów okupowanej Europy) zginęli 15 kwietnia 1958 r. w katastrofie samolotu szturmowego Douglas B-26 podczas wojny domowej w Indonezji.

Z tą ostatnią grupą zająć się jeszcze trudniejsze do identyfikacji grono Polaków, którzy walczyli jako najemni lotnicy w konfliktach na obszarze Trzeciego Świata. Niewątpliwie najślawniejszy w tym gronie jest Jan Zumbach (dowódca Dywizjonu 303, a potem 133. Skrzydła) – współorganizator wojsk lotniczych Katangi podczas kongijskiej wojny domowej, a później twórca lotnictwa Biafry – nigeryjskiej prowincji daremnie dążącej do niepodległości. Wśród zaangażowanych w najemną wojaczkę wymienia się też m.in. Ksawerego Wyrożemskiego (podczas wojny w Dywizjonie 315), Stefana Wójcika (Dywizjon 302) i Witolda Łanowskiego (Dywizjon 317 i 302), choć są to informacje trudne do zweryfikowania.

Poza wojskiem

Oczywiście, pracę w zawodzie pilota Polacy znajdowali nie tylko w lotnictwie wojskowym. Niektórzy zostawali pilotami w liniach lotniczych i przedsiębiorstwach transportowych. Wacław Makowski, przedwojenny dyrektor PLL „Lot”, pozostał po wojnie na Zachodzie i do 1965 r. pracował w ICAO (Międzynarodowej Organizacji Lotnictwa Cywilnego) jako doradca w dziedzinie cywilnego transportu lotniczego.

Inni Polacy znaleźli zatrudnienie jako cywilni piloci doświadczalni w wytwórniach samolotów.

Zbigniew Oleński pracował w brytyjskiej firmie Avro, uczestnicząc w próbach w locie ciężkiego bombowca Vulcan.

Janusz Żurakowski, zatrudniony po wojnie w angielskiej firmie Gloster, opracował nową figurę akrobacji lotniczej nazwaną po angielsku na jego cześć „zurabatic cartwheel”, a po polsku „żurabada”. Następnie, wraz z innym polskim pilotem doświadczalnym, Władysławem Potockim, pracował w firmie Avro Canada. Na samolocie Avro CF-100 Canuck Żurakowski w locie nurkowym 18 grudnia 1952 r. przekroczył barierę dźwięku jako pierwszy Polak i pierwszy pilot w historii lotnictwa kanadyjskiego. Wraz z Potockim prowadził później próby w locie pionierskiego samolotu myśliwskiego dalekiego zasięgu CF-105 Arrow, rozwijającego dwukrotną prędkość dźwięku. Kiedy ten program anulowano z przyczyn politycznych, Żurakowski wycofał się z branży lotniczej, natomiast Potocki przeniósł się do pracy w amerykańskim przemyśle lotniczo-kosmicznym.



Janusz Żurakowski (w kabinie) i Władysław Potocki podczas ćwiczeń w symulatorze przed oblotem samolotu myśliwskiego dalekiego zasięgu Avro Canada CF-105 Arrow, rozwijającego dwukrotną prędkość dźwięku (fot. ze zbiorów rodziny Żurakowskich)

Pisząc o Polakach zatrudnionych w przemyśle lotniczym państw zachodnich, nie sposób nie wspomnieć o inżynierach lotniczych wykształconych w II RP. Wsiewołod Jakimiuk, przed wojną główny konstruktor Państwowych Zakładów Lotniczych na warszawskim Okęciu, pracował podczas wojny i po jej zakończeniu w firmie de Havilland of Canada jako naczelny konstruktor. Zaprojektował tam uniwersalny samolot roboczy Beaver, którego założenia opracowano przed końcem wojny, ale zbudowano go dopiero po jej zakończeniu (oblot w sierpniu 1947 r.). W połowie 1945 r. skonstruował samolot szkolenia podstawowego DHC-1 Chipmunk, oblatany w maju 1946 r. Zbudowano przeszło 1,2 tys. Chipmunków i prawie 2 tys. Beaverów. Chipmunk był przez następne półwiecze podstawowym samolotem szkolnym RAF, a także lotnictwa wojskowego innych krajów. W 1951 r. Jakimiuk wrócił do Europy i zatrudnił się we francuskiej firmie SNCASE (w której pracował już w 1940 r.). Zaprojektował tam odrzutowy samolot myśliwski SE-5000 Baroudeur, a następnie brał udział w konstruowaniu samolotu pasażerskiego Caravelle. Po utworzeniu francuskiego koncernu lotniczo-kosmicznego Aerospatiale pracował z jego ramienia we francusko-brytyjskim konsorcjum budującym nadźwiękowy samolot pasażerski Concorde.



Fot. W. Matusiak

De Havilland Canada Chipmunk – podstawowy samolot szkolny RAF, sfotografowany w 1996 r., czyli 50 lat od oblotu prototypu (stąd okolicznościowe oznaczenie na usterzeniu). Skonstruował go w Kanadzie Wsiewołod Jakimiuk, przed wojną główny konstruktor Państwowych Zakładów Lotniczych na warszawskim Okęciu, a po wojnie jeden z wielu polskich inżynierów pracujących w przemyśle lotniczym na Zachodzie

Tadeusz Ciastuła po wojnie związał się z przemysłem śmigłowcowym. Zaprojektował znane śmigłowce brytyjskie Saro Skeeter i Westland Wasp/Scout, a następnie rozpoczął prace projektowe nad śmigłowcem, który z czasem trafił do produkcji jako Westland Lynx – do dziś jeden z najbardziej znanych wiroplątów świata.

Stanisław Prauss, zatrudniony w 1946 r. w firmie de Havilland w Wielkiej Brytanii, pracował przy konstruowaniu pierwszego w świecie seryjnego samolotu pasażerskiego o napędzie odrzutowym – DH-106 Comet. Następnie był członkiem zespołu projektującego samoloty myśliwskie Venom i Sea Vixen. W tej samej firmie Romuald Szukiewicz pracował jako aerodynamik przy opracowaniu wersji rozwojowych samolotów Vampire, Venom i Sea Vixen. Był też inicjatorem projektu samolotu dyspozycyjnego DH-125. Piotr Kubicki w firmie English Electric uczestniczył w projektowaniu samolotu bombowego Canberra i myśliwskiego Lightning. Następnie od 1951 r. pracował w firmie Folland przy projekcie samolotu myśliwskiego Midge.

Henryk Milicer skonstruował w Australii rodzinę popularnych samolotów: Airtourer, Aircruiser i Airtrainer, których zbudowano łącznie blisko trzysta egzemplarzy. W USA spora grupa polskich inżynierów była zatrudniona w wytwórni śmigłowców Franka Piaseckiego (Amerykanina o polskich korzeniach). Pracowali tam m.in. Bolesław Solak, Zbysław Ciołkosz i Szczepan Grzeszczyk. Przy księżycowym programie Apollo pracowało kilku polskich inżynierów, m.in. dwaj byli piloci myśliwscy z okresu wojny: Werner Kirchner i Florian Martini.

Poza lotnictwem

Oczywiście, wielu polskich lotników – w tym również wybitnych dowódców – nie znalazło (bądź nie chciało znaleźć) miejsca w lotnictwie innych krajów. Układali sobie cywilne życie na obczyźnie na rozmaite sposoby. Zatrudniali się na różnych stanowiskach i w różnych branżach, zakładali własne firmy, kupowali gospodarstwa rolne.

Wojciech Kołaczkowski (dowódca Dywizjonu 303 oraz I i II Skrzydła Myśliwskiego) pracował w przedstawicielstwach handlowych znanych firm motoryzacyjnych, brał udział w wyścigach samochodowych jako kierowca, a z czasem otworzył własne przedsiębiorstwo w tej branży.

Włodzimierz Miksa (dowódca Dywizjonu 317) odniósł sukces rynkowy w branży chemicznej.

Władysław Jan Nowak (dowódca eskadry w Dywizjonie 306, a potem oficer sztabu PSP) założył sklep delikatesowy i kawiarnię w niewielkim angielskim mieście Worksop.



Przedwojenny oficer Władysław Jan Nowak, będąc latem 1941 r. dowódcą eskadry w 306. Dywizjonie Myśliwskim, został zestrzelony w walce powietrznej i odniósł poważne obrażenia. Nie wrócił już do latania bojowego, ale pełnił szereg funkcji sztabowych i oficjalnych (m.in. w latach 1942–1943 był adiutantem prezydenta RP Władysława Raczkiewicza). Po wojnie założył sklep spożywczy w miasteczku Worksop niedaleko Sheffield i prowadził go następnie przez ćwierć wieku – to zdjęcie zrobiono w 1975 r. (Krysia Michna-Nowak archive)

Michał Cwynar (dowódca Dywizjonu 316) prowadził warsztat tapicerski w Dumfries w Szkocji.

Henryk Pietrzak (dowódca Dywizjonu 309) został farmerem w Wielkiej Brytanii, Jan Falkowski (dowódca Dywizjonu 303) – w Kanadzie, a Włodzimierz Karwowski (dowódca Dywizjonu 306) – na Nowej Zelandii.

Julian Kowalski (dowódca Dywizjonu 302, a potem 131. Skrzydła) zatrudnił się w angielskim Ipswich w wytwórni maszyn rolniczo-ogrodniczych, gdzie m.in. zaprojektował kosiarkę do trawy.

Zdzisław Krasnodębski (pierwszy dowódca Dywizjonu 303, później na stanowiskach dowódczych i sztabowych) wyemigrował do Afryki Południowej, gdzie był taksówkarzem; następnie przeniósł się do Kanady i pracował jako technik radiowo-telewizyjny.

Tadeusz Koc (dowódca Dywizjonu 303) również próbował emigracji do Afryki, ale ostatecznie osiadł w Kanadzie, gdzie pracował m.in. jako kreślarz w fabryce lodówek, a potem w wytwórni szyb samochodowych.

Mieczysław Mümler (pierwszy dowódca Dywizjonu 302, później polski komendant bazy Northolt) osiadł w Anglii i został piekarzem.

Losy tych kilkunastu dowódców jednostek PSP dobrze ilustrują mozaikę powojennych karier, jakie przypadły w udziale wszystkim polskim lotnikom.

Podsumowanie

W chwili zakończenia II wojny światowej Polskie Siły Powietrzne stanowiły potencjalnie świetny załazek nowoczesnego lotnictwa, dysponując wykwalifikowaną kadrą doświadczonych specjalistów. Cały ten potencjał został zaprzepaszczoney.

Wybitni oficerowie PSP, którzy wrócili do Polski, w ciągu kilku lat zostali poddani prześladowaniom i szykanom. Za szczęściarzy mogli się uważać ci z nich, którzy nie trafili do więzień. Dopiero dziesięć lat po wojnie znalazło się dla nich miejsce w wojsku i trudno się dziwić, że wielu z nich nie było już zainteresowanych służbą w mundurze.

Kiedy mówimy o stratach polskich elit w wyniku II wojny światowej, pamiętamy głównie o poległych i pomordowanych podczas wojny, a także o tych, którzy po zakończeniu wojny padli ofiarą prześladowań komunistycznych. Często natomiast zapominamy o tych wszystkich, którzy powinni stanowić elitę swojego narodu, a zostali – w swoim kraju albo w obcym – zredukowani do roli pracowników fizycznych, sklepikarzy albo magazynierów.

Lotnicy, którzy pozostali za granicą, byli zdani na własne siły i umiejętności, a także na los szczęścia. Dla niektórych życie nie było łaskawsze niż dla tych w kraju. Zwłaszcza ci, którzy nie przyjęli obcego obywatelstwa, nie godząc się z myślą o trwałości nowego podziału świata, musieli zadowolić się skromną egzystencją.

Wielu z tych, którzy w obcych krajach podjęli służbę w wojsku albo zatrudnili się w przemyśle, osiągnęło z czasem znaczące sukcesy. Czytając o ich zasługach w siłach zbrojnych i firmach z całego świata, trzeba pamiętać, że gdyby Polska nie znalazła się w 1945 r. pod komunistycznym panowaniem, to budowałiby potęgę lotnictwa polskiego, a nie obcego.

Co ciekawe, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w PRL to właśnie kilku weteranów Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie zajęło się organizacją w Wojskach Lotniczych nowoczesnej służby bezpieczeństwa lotów i zapobiegania wypadkom oraz utworzeniem Centrum Szkolenia Lotniczego (wzorowanego na systemie zaawansowanego szkolenia personelu latającego w II RP i na Zachodzie). Najwyraźniej, mimo dziesięcioletniej przerwy w jakichkolwiek związkach z lotnictwem wojskowym, wciąż mieli kwalifikacje nie gorsze niż oficerowie wyszkoleni w powojennej Polsce. Daje to pojęcie o wkładzie, jaki mogłyby wnieść setki wysoko wykwalifikowanych oficerów z doświadczeniem bojowym, gdyby w 1945 r. dane im było przystąpić do organizacji lotnictwa wolnej Polski.

„NOWA INTELIGENCJA”

Kiedy się mówi o prześladowaniu polskiej inteligencji w XX w., to od razu przychodzi na myśl sceny z jesieni 1939 r. – zarówno pod okupacją niemiecką, jak i w zonie sowieckiej: eksterminacji bezpośredniej, „weryfikacji” ze względu na stosunek do okupanta i na działalność przedwojenną – zwłaszcza w organizacjach uznanych za wrogie okupantowi – deklasacji, pozbawiania dorobku życia i zsytek. Według okupanta niemieckiego inteligencja polska, zwłaszcza ta najmłodsza, formowana w okresie II RP, zagrażała „umacnianiu niemczyzny na wschodzie”. Dla okupanta sowieckiego była „reakcyjna” i zagrażała procesowi sowietyzacji zagarniętych ziem polskich. W obu przypadkach oznaczało to dotkliwe represje.

Wojna zakończyła prześladowania niemieckie, lecz nie zakończyła sowieckiej „walki z reakcją”. Tym razem polski inteligent stanął przed zarzutem braku uznania dla „nowej rzeczywistości”, niedostatecznego popierania „nowego Ustroju Demokratycznego” (w dokumentach UB często taka właśnie pisownia...), „antysemityzmu” (stała rubryka w okresowych sprawozdaniach powiatowych UB do WUBP), kontaktów z Zachodem, „szepanej propagandy, kontaktów z bandami” (czyli z II konspiracją niepodległościową) czy przynależności do „PSL mikołajczykowskiego”. Nie musiał zresztą wykazywać szczególnej inicjatywy ani demonstrować niezadowolenia z sowieckich porządków. Czasami wystarczyło, że był „andersowcem”, miał pochodzenie „kułackie” albo że przed wojną zaliczał się do „sanacji”, jakkolwiek by to rozumiano – by się narażić na „formularzowe opracowanie” przez referat śledczy powiatowego UB i w konsekwencji na sankcję prokuratorską.

Proces ten narastał po wojnie, a znaki graniczne kolejnych jego „etapów” to prowokacja kielecka w lecie 1946 r. (większa łatwość oskarżenia o „antysemityzm”), przybywanie do kraju kolejnych, zdemobilizowanych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie („andersowców”) i niemal jawne oskarżanie ich o „sianie niepokoju i zabieranie miejsc pracy” (!), zwycięskie (sfalszowane) przez komunistów tzw. referendum ludowe z czerwca 1946 r., sfalszowane wybory do sejmu (styczeń 1947), niesławna ucieczka Stanisława Mikołajczyka na Zachód i pozostawienie na łaskę i niełaskę bezpieki tysięcy jego zwolenników, pacyfikacja PPS i jej „zjednoczenie” z PPR w grudniu 1948 r. Wreszcie rok 1949, w którym noc stalinowska zasnęła się już na dobre nad Polską, gdy zaniknęły ostatnie strajki, będące przejawem oporu społecznego przeciw systemowi, gdy można było trafić do więzienia za niewinny żart w koleżce po chleb, świadczący o „wrogim ustosunkowaniu się do nowej rzeczywistości”.

Konsekwencje tej powojennej walki z polską inteligencją i jej represjonowania nie dotyczyły samej inteligencji, osobistej krzywdy poszczególnych ludzi, pozbawianych stanowisk czy w ogóle pracy w swoim zawodzie, deklasowanych, często w sposób dotkliwy i upokarzający. Dalekosiężne konsekwencje związane były przede wszystkim z działalnością tych, którzy represjonowanych zastępowali.

Pokażę to na jednym tylko przykładzie, ale wielce charakterystycznym i dotyczącym szczególnie wrażliwej sfery życia społecznego, jaką była edukacja i wychowanie młodzieży.

Misja Dawida Bruskiego

Ostatnim przed wojną dyrektorem gimnazjum w Starogardzie na Pomorzu był **Dawid Bruski** (1897–1980) – urodzony w Łęgu pod Czerniejewem, wszechstronnie wykształcony i zasłużony w ruchu niepodległościowym nauczyciel, działacz kulturalno-oświatowy, a od roku 1938 senator RP z listy PPS (jako przedstawiciel ZNP). Wychowany w duchu patriotycznym i w tradycji powstańczej (pradziadek był powstańcem styczniowym), uczestnik pomorskiego strajku szkolnego 1906 r. w obronie języka pol-

skiego, uczeń Collegium Marianum w Pelplinie, przewodniczący tajnego, filomackiego Koła Tomasza Zana w Gimnazjum Klasycznym w Wejherowie. Był wszechstronnie uzdolniony. Miał dyplom absolwenta klasy fortepianu Westpreussische Konserwatorium w Gdańsku, studiował dyrygenturę i śpiew solowy w Królewcu. Tam także studiował filozofię i filologię klasyczną. Był aktywny w tajnym zrzeszeniu studentów polskich, w roku 1918 został wybrany do Rady Studenckiej i Rady Żołnierskiej. Na wiadomość o Powstaniu Wielkopolskim, rozszerzającym się na Pomorze, ruszył natychmiast do Czerska, potem do Sepólna, gdzie jego starszy brat, ks. **Jan Bruski**, stał wówczas na czele Powiatowej Rady Ludowej. Organizował tam polskie szkolnictwo, sam uczył języka polskiego, historii Polski i muzyki, uczestniczył aktywnie w wiecach i innych przedsięwzięciach na rzecz polskości Wielkopolski i Pomorza. Na wiadomość o bolszewickim pochodzie na Warszawę wstąpił do Armii Ochotniczej i walczył z bolszewikami do listopada 1920 r.

Po tej wojnie, pod jej wrażeniem, postanowił wstąpić do Seminarium Duchownego w Pelplinie, lecz wkrótce uznał, że życie w kapłaństwie nie jest jego przeznaczeniem. Podjął kolejne studia! Tym razem na Uniwersytecie Poznańskim, powstałym rok wcześniej z Wszechnicy Piastowskiej. Dyrygował chórem „Moniuszko”, był nauczycielem języka polskiego i łaciny w Gimnazjum Humanistycznym w Wąbrzeźnie. W Państwowym Gimnazjum Klasycznym w Kościerzynie na Kaszubach uczył przedmiotów humanistycznych, prowadził chóry i zespoły śpiewacze. Udzielał się w Katolickim Związku Młodzieży Polskiej, Polskim Związku Zachodnim, Towarzystwie Nauczycieli Szkół Wyższych.

Został dyrektorem **Państwowego Liceum i Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Starogardzie** 15 września 1937 r. Godził harmonijnie, dzięki niezwyklej aktywności i pracowitości, funkcję dyrektora i obowiązki senatora RP. Zdobył szybko ogromny autorytet w środowisku starogardzkim. Kompetentny, wszechstronnie wykształcony, z instynktem pedagogicznym i duchem społecznikowskim (szczególną opieką otaczał uczniów biedniejszych). Wymarzony dyrektor szkoły!

W czasie wojny wykazał imponującą aktywność, inteligencję i hart ducha. Jako członek Polskiego Związku Zachodniego nie miał złudzeń co do tego, jak potraktują go Niemcy. Dla obrońców Kresów zachodnich z PZZ nie było litości. Ukrywał się na fałszywych papierach, ale gdy się dowiedział, że rodzina została wysiedlona do Generalnego Gubernatorstwa, przez zieloną granicę przedostał się tam, by wspierać bliskich. W Lublinie, w niebezpiecznych warunkach, bo w mało znanym sobie środowisku, mimo wojny pozostał nauczycielem. Podjął pracę w tajnym szkolnictwie, uczył na tajnych kompletach w Rejowcu.

Nie czekał na zakończenie wojny. W kwietniu 1945 r. przybył na Pomorze i objął swoje stanowisko dyrektora starogardzkiego gimnazjum. Szkoła podjęła pracę już 1 maja, a we wrześniu 1945 r. była tam pierwsza po wojnie matura!

Aby ułatwić sobie pracę na rzecz szkoły i poparcie władz, wstąpił do PPS. Tylko że PPS właśnie dogorywała. W ramach przygotowań do „zjednoczenia ruchu robotniczego”, czyli wchłonięcia PPS przez partię komunistyczną 1 września 1948 r. Alojzy Bruski został ze swej partii (której był przed wojną senatorem!) wydalony. Teraz był „obcy klasowo”. On, zdolny syn wiejskiego nauczyciela z wielodzietnej rodziny, powstaniec wielkopolski ścigany przez Niemców, był w „demokratycznej” Polsce „obcy”! Bo też ta Polska nie była demokratyczna, lecz sowiecka. Bezpieka miała mu za złe przede wszystkim to, że był senatorem RP. Ponadto, choć z PPS, był „klerykalny”. Jako świetny muzyk, grał często podczas Mszy św. w kościele. Na dodatek przyjaźnił się z gimnazjalnym prefektem, ks. **Leonem Kuchcińskim** (1906–1949), o którym referat śledczy powiatowego UB w Starogardzie pisał już w kwietniu 1947 r., że „jest nastawiony wrogo” do nowego ustroju.

Bruski został usunięty ze stanowiska dyrektora szkoły miesiąc po przedwczesnej i nie do końca zrozumiałej śmierci ks. Kuchcińskiego, którego słowa z lekcji religii UB cytował jeszcze raz w sprawozdaniu z października 1947 r.: „W dzisiejszych czasach można się dostać do więzienia za nic”. I można było zginąć też „za nic”.

„Po linii młodzieżowej”

Do Starogardu przybył nowy dyrektor. Nazywał się Antoni Celuch. Został mianowany dyrektorem gimnazjum 15 grudnia 1949 r. Dokładnie w pierwszą rocznicę „zjednoczenia ruchu robotniczego”,

czyli spacyfikowania PPS i utworzenia PZPR. Przypadek? Chyba nie. Celuch był członkiem PZPR. Przyjechał do Starogardu z wyraźnie określonymi zadaniami. Miał ograniczyć „wpływy reakcji” na starogardzką młodzież. W dokumentach UB figuruje jako osoba z wyższym wykształceniem, ale z jego życiorysu wynika, że to wykształcenie uzupełniał na „kursach”. Najważniejsze, że miał szczerą wolę służyć partii „po linii młodzieżowej”.

Celuch kierował najpierw Państwową Szkołą Ogólnokształcącą, a od 1 września 1951 r. Szkołą Ogólnokształcącą TPD w Starogardzie (od roku 1950 Starogardzie Gdańskim). Ten nowy rodzaj szkół w Polsce miał przyspieszyć proces indoktrynacji młodzieży w duchu sowieckim.

Dyrektor Bruski niejednokrotnie chronił swoich uczniów przed niebezpiecznymi dla nich zarzutami o „wrogą działalność”. Na przykład w maju 1946 r., kiedy po całym kraju rozlała się fala strajków studenckich i uczniowskich, będących reakcją na zakaz publicznego świętowania 3 Maja i na brutalną interwencję bezpieki w Krakowie, także do Starogardu przybył z rezolucją emisariusz strajkujących. Uczniowie przerwali lekcje, wyszli na boisko szkolne i tam rezolucja została odczytana. Mimo zainteresowania sprawą PUBP, dyrektor Bruski nie podjął współpracy z bezpieką, nikt z jego uczniów nie był z tego powodu represjonowany.

Celuch od początku traktował starogardzki PUBP jak rodzaj spowiednicy, gdzie mógł składać sprawozdania „po linii roboty partyjnej”. Bardzo się przejął zwłaszcza zadaniami wyznaczonymi przez partię na rok szkolny 1951/1952. Cel: „wychowamy nowego człowieka”. Ten „nowy człowiek” śpiewał *Hymn młodzieży demokratycznej* i piosenki sowieckich pionierów, popierał „powojenną rzeczywistość” i donosił na kolegów. Dyrektor też donosił...

Pierwszy zachowany w archiwum donos Celucha pochodzi z 14 lutego 1952 r. i dotyczy grupy uczniów, która podjęła tajną działalność samokształceniową i propagandową (ulotki, afisze) pod hasłem „precz ze Stalinem!”. Nie ma ani w dokumentach, ani w późniejszych relacjach uczestników uczniowskiej konspiracji nawet śladu starań dyrektora o uchronienie swoich uczniów przed drakońskimi represjami i więzieniem (rozmowy, perswazja, kontakt z rodzicami). Nie chronił ich, tak jak to robił dyrektor Bruski. Byli dla niego „obcym elementem”, który należy wyeliminować przy pomocy UB!

W tym pierwszym donosie Celuch zawiadamia PUBP: „Załączając przy niniejszym ulotkę antypaństwową, która została naklejona na gazetce szkolnej na górnym korytarzu. Z dochodzenia wynika iż musiała być umieszczona w czasie między 7 godziną a 7.25, gdyż w tym czasie woźny zauważył i zerwał ją. Nadmieniam przy tym iż prawie że nikt z uczniów jej nie widział i nie czytał”. Pomijając nieudolną składnię i rażące błędy interpunkcyjne w tym szokującym donosie nauczyciela na uczniów, zwraca uwagę wyrażenie „z dochodzenia wynika”. Celuch nie wychowuje swoich uczniów ani nie chroni ich przed niebezpieczeństwem, co jest obowiązkiem każdego pedagoga. On prowadzi „dochodzenia”! Donos zaopatrzony jest fachowym „gryfem” samego Celucha: „poufne”.

Z następnego donosu wynika, że 19 lutego Celuch wysyła PUBP zerwaną ulotkę uczniowską, którą „zauważono 18 lutego br. rano o godzinie 7-40 minut przez vice-dyr., gdyż dyrektor był chory”.

Potem syją się następne doniesienia, coraz bardziej precyzyjne i – co gorsza – już z nazwiskami uczniów, bo „dochodzenia” Celucha przynoszą efekty. Te „dochodzenia” wspiera nie tylko jego zastępca, ale i niektórzy koledzy konspiratorów, bo Celuch tworzy fachową „sieć agenturalną” w szkole. Potrafi też przeprowadzić skuteczne „działania operacyjne”. Kiedy zniszczono w klasie portret Stalina, Celuch zarządza zbiórkę na nowy portret. To działanie psychologiczne doświadczonego „pedagoga”. Wiadomo, że dla młodych konspiratorów to będzie kwestia honoru. Nie dadzą nawet grosza na taki cel... Celuch donosi, kto nie dał i już ich ma...

Bezpieka nie reaguje na kolejne donosy Celucha (będzie ich w sumie dwanaście), czeka na kolejne nazwiska, jest spokojna. W szkole jest fachowiec, któremu można zaufać. Przykładem donos z 26 lutego: „Dyrekcja Szkoły powiadamia, że w dniu dzisiejszym została naklejona ulotka w szatni w korytarzu dolnym od strony wewnętrznej o godzinie 16 z minutami o treści antypaństwowej. Należy nadmienić iż w tym dniu mocno były pilnowane podejrzane uczennice, starały się nakleić na gazetce lub obok na drzwiach ZMP, wędrowały i zawsze im ktoś z pilnujących przeszkadzał. Dlatego powędrowały do szatni ciemnej i tam ją pozostawiły, już po lekcjach. Ulotka natychmiast została zauważona przez przewodniczącą ZMP, który je obserwował i zabrana jeszcze ze świeżym klejem”.

Z powodu braku reakcji ze strony PUBP, poirytowany Celuch pisze w donosie z 14 marca o „szajce Blokówny” („szajka” to określenie z ówczesnej prasy partyjnej, oznaczające zwykle „wroga ustroju”) i żąda „wzięcia” (*sic!*) dochodzenia. Także w donosie z 25 marca „Dyrekcja prosi o wzięcie [*sic!*] dochodzenia”.

Bezpieka spełnia życzenia i 1 kwietnia 1952 r. wkracza do szkoły. Zaczynają się aresztowania. Po półrocznym przetrzymywaniu aresztowanych uczniów w więzieniu starogardzkim, we wrześniu 1952 r. (początek roku szkolnego!) odbyły się trzy rozprawy przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Gdańsku. We wszystkich przewodniczył sędzia por. Edwin Kęsik, oskarżali prokuratorzy: kpt. Jan Grabowski, ppor. Stanisław Gamrat i kpt. Stanisław Boroś. Najwyższą łączną karę za „próbę obalenia ustroju” otrzymała **Teresa Blokówna** – dziewięć lat pozbawienia wolności. **Kazik Niemczyk** został skazany na osiem lat, **Michał Orłowski** na cztery lata, inni uczniowie, uczestnicy szkolnej konspiracji, na kary od dwóch i pół roku do pięciu lat. Skargi i odwołania obrońców nie zostały przez Najwyższy Sąd Wojskowy uwzględnione.

Okres więzienny to temat na osobny artykuł. Kazik trafił do kopalni w Wesolej, potem w Knurowie, przeżył bunt więźniów. Teresa była szykanowana m.in. przez umieszczenie w celi razem z kryminalistkami i odmawianie jej przez długi czas prawa do pracy, co w warunkach więziennych było szczególnie dotkliwe.

W czasie śledztwa poprzedzającego rozprawę przed sądem w Gdańsku, Celuch jeszcze raz wykazał „bezkompromisowość” w walce z „wrogiem”. Napisał opinię o Teresce Blokównie (lipiec 1952), która na pewno jej przed tym „sądem” nie pomogła: „Mieszkając w internacie robiła duże trudności wychowawcom przez niestosowanie się do regulaminu. Po półroczu musiała internat opuścić, ponieważ nie chciała się stosować do regulaminu internatu świeckiego i zamieszkała u swojej ciotki”. Chodziło o to, że w internacie, rano i wieczorem, Teresa kłękała przy swoim łóżku do codziennego pacierza – tak jak ją nauczono w domu... Teresa miała problem z „regulaminem” także w starogardzkim więzieniu. Naczelnik skarżył się, że jest „knaębna” i w celi „pisze po ścianach wiersze”.

W wyniku amnestii z 22 listopada 1952 r. kary skrócono. Członkowie grupy opuszczali więzienia między grudniem 1952 r. a 6. kwietniem 1955 r., kiedy to z więzienia w Bojanowie Tereskę zwolniono warunkowo z dalszego odbywania kary, z nakazem meldowania się na milicji.

Kłopoty byłych konspiratorów nie zakończyły się po wyjściu z więzienia. Mieli problemy z ukończeniem szkoły i przystąpieniem do matury, także w systemie zaocznym. Większość wyjechała ze Starogardu, żeby się „zgubić” UB. Kazik i Teresa wyjechali do Słupska. Do Starogardu wrócili po wielu latach, gdy już byli małżeństwem. Nie spełniło się marzenie Tereski o studiach medycznych. Pan dyrektor nie pomógł... Zmarła nagle 9 maja 1992 r. w ogródku swojego domu w Starogardzie.

Przedstawiona historia nie należy do wyjątkowych, odosobnionych. Kiedyś natrafiłem w archiwum na sprawę **Józka Obacza**, ucznia liceum pedagogicznego, który nie prowadził żadnej działalności „antypaństwowej”, ale w liście do kolegi podzielił się swoimi wątpliwościami co do powojennej „rzeczywistości” w Polsce. Zadziałała „sieć agenturalna” w internacie, podobna do tej, którą stworzył Celuch w swojej szkole. Jeden z zetempowców wykrał list Józka i zaniósł dyrektorowi. Ten wysłał go z dokładną informacją do WUBP w Szczecinie. Józek trafił na kilka lat do więzienia „progresywnego” w Jaworznie. Po wyjściu z więzienia obowiązywał go nadzór i musiał podjąć służbę w kopalni węgla, gdzie maszyna urwała mu rękę, bo nie był do tej pracy przygotowany. W tym czasie dyrektor prowincjonalnego liceum awansował, przeniósł się do Warszawy i został redaktorem naczelnym ogólnopolskiego periodyku pedagogicznego!

Szkoła T. P. D.
Starogard dnia 7. III. 1952

Do P.U.B.P.
w Starogardzie

Dyrekcja Szkoły Og. TPD w Starogardzie powiadania, iż w dniu wczorajszym została naklejona na gazetce szkolnej ulotka antypaństwowa widocznie naklejona w czasie od 7 a 7 godz. min 25. Ulotkę zauważonom o godz. 7 min. 27 i doniesiono do mnie, którą osobiscie zdjąłem. Ulotkę tą jednak kilku uczniów czytało z kl. X tej i IX tej. Min ja nadszedłem. Podejrzane są o naklejenie 2 uczennice, które nie spokojnieszędzą. Są nimi Blokówna i Tochówna.

Dyrektor
[Podpis]

ŚWIAT, KTÓRY LEGŁ W GRUZACH

„Gdzie może pójść w Krakowie, taki jak ja, potomek starego rodu, gdy widzi, że jego świat rozpada się w gruzy, a przepaść otwiera pod stopami? Oczywiście na Wawel, bić tam czołem u sarkofagów świętych i królów, prosić, by pokierowali jego krokami i tchnęli otuchę w strwożone serce”¹.

Tak w 1945 r. kończył swą opowieść Stanisław Linowski, jeden z byłych już wówczas właścicieli ziemskich z pogranicza Kielecczyny i ziemi krakowskiej. Rozpacz, rozgoryczenie, świadomość utraty wszystkiego, co najcenniejsze – takie były dla ziemian efekty nowej rzeczywistości społeczno-politycznej. Przygnębienie i żal potęgował sposób postępowania komunistów z byłymi posiadaczami ziemskimi. Ich marginalizacja i pauperyzacja były realizowane stopniowo, ale celowo. Oni sami zaś odbierali to jako wyjątkowo perfidną metodę wypychania dotychczasowej elity poza margines życia publicznego.

Rodzina Włódeków z Dąbrowicy

Profesor Jan Zdzisław Włodek z Wydziału Rolnego UJ był także właścicielem majątków w Niegowici i Marszewicach oraz lasów w Klęczanach, zamienionych na majątek w Dąbrowicy w powiecie bocheńskim. Z racji pełnionej funkcji, a także posiadanych dóbr, stanowi przykład wpływowej jednostki współtworzącej nie tylko elitę intelektualną Polski międzywojennej, ale i należącej do wąskiej grupy społecznej i zawodowej polskiego ziemiaństwa. Włódkowie mieli świadomość swojej roli: finansowali szkoły powszechne, organizowali koła gospodyń wiejskich, ochotniczą straż pożarną, czy też byli ostatnimi kolatorami kościoła parafialnego w Niegowici. Jan Zdzisław Włodek prowadził intensywne życie naukowe – był uznanym w Europie autorytetem z dziedziny agrochemii oraz ekologii. Wraz ze 182 innymi profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego został aresztowany przez Niemców w ramach „Sonderaktion Krakau”. Po trzech miesiącach pobytu w więzieniach i obozie w Sachsenhausen-Oranienburg wrócił do rodziny – żony Zofii z Goetz-Okocimskich Włódkowej, córki Zofii Albiny i syna Jana Mariana. Stan jego zdrowia był już wówczas katastrofalny. Zmarł w wyniku nabytej w obozie choroby oraz wyczerpania organizmu 19 lutego 1940 r.

Dokładnie pięć lat później, 19 lutego 1945 r., do dworu w Dąbrowicy wtargnęli umundurowani i uzbrojeni osobnicy z biało-czerwonymi opaskami na rękawach, pytając niezbyt uprzejmie o „pana Jana, co miał pistolet”². Włódkowie – doświadczeni w czasie okupacji, szczególnie naznaczeni piętnem niemieckich zbrodni na polskiej inteligencji – nie spodziewali się kolejnych represji, tym razem ze strony polskich komunistów nadciągających ze wschodu wraz z Armią Czerwoną.

Już pierwsze chwile „wolności” napawały ich grozą. Jan Marian Włodek z odrazą wspomina pierwsze swe kontakty z żołnierzami sowieckimi, którzy nie tylko ograbili ich z cennych pamiątek czy też nielicznych kosztowności, lecz również z pasków do uprząży i innych – wydawałoby się zbędnych – rzeczy. „[Sowieci] Przeszukiwali wszystkie pokoje, szafy, komody, twierdząc, że szukają »Giermańców«. A potrzeby fizjologiczne załatwiali na parkiety. Grzecznością z ich strony było uprzątnięcie tego do pieców”³ – opowiada Jan Marian Włodek.

¹ BJ, Rękopisy 9890 III, Stanisław Linowski, *Silva rerum*, k. 96.

² Relacja Jana Mariana Włodka; zbiory własne autora.

³ *Ibidem*.

Zofia Albina i Jan Marian wyjechali zaraz po tzw. wyzwoleniu do Krakowa, gdzie zamierzali podjąć dalszą naukę. W Dąbrowicy pozostała ich matka Zofia z Goetz-Okocimskich Włodkowa. W Krakowie dowiedzieli się od zbiegłych zza Wisły znajomych, że komuniści podczas przeprowadzania reformy rolnej nie tylko wyrzucali z domów ziemian, ale masowo ich aresztowali. Dlatego Zofia Albina Włodek pożyczyła konie oraz bryczkę od Stefana Ciszewskiego i udała się w towarzystwie Marka Turny do Dąbrowicy, do matki. Szczęśliwie do niej dotarła, choć przeżyła niepokój na rogatkach miasta, gdzie żołnierze Armii Czerwonej zatrzymywali każdego, kto próbował w tym czasie opuścić Kraków. Zofia i Marek Turno mieli biało-czerwone opaski z oznaczeniem przynależności do Uniwersytetu Jagiellońskiego. Czerwoarmiści – sądząc, że mają do czynienia z funkcjonariuszami MO – przepuścili ich poza granice miasta. Szybko dojechali do Dąbrowicy i wręcz uprowadzili matkę z dworu.

W następnych tygodniach funkcjonariusze Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Bochni podjęli szeroko zakrojoną akcję zatrzymywania wszystkich członków rodzin ziemiańskich zamieszkałych na terenie powiatu. Przetrzymano ich w budynku sądu w Bochni lub w areszcie bocheńskiego UB. W tym czasie „władza ludowa”, na podstawie dekretu z 6 września 1944 r. wydanego przez uzurpatorski PKWN, pozbawiała ziemian majątków. Aresztowanych trzymano w odosobnieniu aż do zakończenia parcelacji ich ziem przez powiatowych i gminnych pełnomocników ds. reformy rolnej, geodetów i członków komitetów folwarcznych. Większość spośród aresztowanych mogła opuścić areszty dopiero po podpisaniu dokumentów o zrzeczeniu się na rzecz państwa swych majątków. Mogli wrócić do domów tylko po niezbędne rzeczy, lecz znaczna część cennych pamiątek, mebli itp. była już rozgrabiona przez członków PPR, funkcjonariuszy MO i UB oraz okolicznych rabusiów. Po zebraniu resztek rzeczy osobistych opuszczali, zgodnie z postanowieniem dekretu, teren powiatu i udawali się w nieznaną – najczęściej do Krakowa.

Rodzina Włodków zamieszkała na stałe w Krakowie przy ul. Wróblewskiego. Sensem ich życia stało się – tradycyjne w ich rodzinie – pogłębianie wiedzy; kontynuowali rozpoczęte podczas okupacji studia. Równolegle działali w katolickich organizacjach młodzieżowych i studenckich – Sodalitacji Mariańskiej czy Caritas Academica. Funkcjonariusze krakowskiego WUBP śledzili aktywność rodzeństwa w tych środowiskach, odnotowywali także inne – ważne z ich punktu widzenia – wydarzenia dotyczące rodziny Włodków. Śledzili kontakty Zofii Włodkowej, szczególnie niepokoiło ich jej zaangażowanie w akcję rozwoju organizacji katolickiej Sodalitacji Pań Wiejskich. Uświadamianie i dokształcanie kobiet zamieszkałych na wsi nie było na rękę nowej władzy, dlatego czynnie przeciwdziałano zaangażowaniu Zofii. Zdarzały się nagłe rewizje w domu, w późniejszych latach odnotowywano aktywne – będące konsekwencją prowadzonych badań naukowych – kontakty zagraniczne z przedstawicielami świata nauki i kultury w wolnym świecie.

Jednak to nie problemy z bezpieczeństwem najbardziej doskwierały Włodkom. Największą trudnością było przetrwanie w rzeczywistości, w której nie było miejsca dla przedwojennej elity. Pozbawieni majątku ziemskiego oraz swojej części dochodów z Browaru „Okocim”, co było podstawą ich utrzymania, nie mieli stałych dochodów. Dlatego Zofia Włodek utrzymywała rodzinę ze sprzedaży pamiątek i kosztowności rodowych. Sytuacja poprawiła się, gdy dzieci skończyły studia i podjęły pracę.

Zofia Albina Włodek, po ukończeniu Studium Spółdzielczego przy Wydziale Rolniczym UJ, pracowała początkowo na macierzystej uczelni, ale ponieważ nie miała odpowiedniego światopoglądu – została zwolniona z pracy. Rozpoczęła studia filozoficzne na UJ, które zakończyła na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w 1955 r. Tam też obroniła cztery lata później pracę doktorską. Z czasem podjęła współpracę z Instytutem Filozofii i Socjologii PAN. Habilitowała się w 1968 r. Tytuł profesora zwyczajnego otrzymała dopiero w 1991 r.

Jan Marian Włodek tak wspomina pierwsze lata po wojnie: „Nie mogłem być znaleźć stałej pracy do 1953 r. Pracowałem na pracach kontraktowych i zleconych. Byłem referentem statystycznym na pracach zleconych w jednej z przychodni Wojewódzkiego Wydziału Zdrowia przy ul. Kanoniczej. Gdy tylko dyrektor zwracał się do Wydziału o etat dla mnie, spotykała go odmowa. Personalni musieli mieć mnie na czarnej liście. Prowadziłem też wówczas kursy ze statystyki dla Związku Studentów, którzy nie umieli sobie poradzić z wykładami statystyki i doświadczałnictwa rolniczego kierownika

katedry ekonomii rolniczej prof. Stefana Schmidta⁴ na Wydziale Rolnictwa UJ, a także na innych Wyższych Szkołach w Krakowie u innych profesorów; wszystko na pracach zleconych⁵.

W 1951 r. na (jeszcze istniejącym) Wydziale Rolniczym UJ Jan Marian Włodek obronił pracę doktorską. Od połowy 1952 r. zatrudnił się na kontrakcie jako statystyk Komisji Rolnictwa i Rybołówstwa w (jeszcze istniejącej) Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, która jako instytucja niepaństwowa mogła przyjąć go do pracy. Był zatrudniony jako statystyk (biometryk) przy hodowlach ryb. Po zlikwidowaniu PAU został przyjęty do Polskiej Akademii Nauk na takie samo stanowisko. Początkowo pracował w Zakładzie Gospodarki Stawowej utworzonym na bazie Komisji Rolnictwa, Rybołówstwa i Ekologii byłej PAU. Zakład ten zmieniał nazwy; ostatecznie jego profil naukowy zawarł się w nazwie Zakład Biologii Wód PAN (ZBW PAN). „Przeszedłem w nim wszystkie stopnie kariery naukowej dozwolonej dla bezpartyjnych, osiągając po licznych perypetiach spowodowanych głównie złym pochodzeniem, donosami, brakiem przynależności i współpracy ze służbami specjalnymi i z PZPR, stopień profesora zwyczajnego (1988 r.). Z dniem 1 I 1995 r. przeszedłem ustawowo na emeryturę⁶”.

Dość niezależną działalność zawodową prowadziła matka rodzeństwa Włódków. Do końca swych dni pozostawała w świecie książek, filozofii i literatury francuskiej oraz niemieckiej. Była szanowanym tłumaczem z dziedziny filozofii i współpracowała m.in. z redakcją miesięcznika „Znak”, wydawnictwem „Ossolineum” i PAN. Niestety, z czasem władze komunistyczne uniemożliwiły jej prowadzenie działalności charytatywnej i edukacyjnej na wsi. Ta sfera była zarezerwowana dla „ludowego” państwa.

Włódkowie już nigdy nie pełnili tak ważnej roli społecznej, jak ich ojciec w okresie międzywojennym. On był oficerem w sztabie legionowym płk. Władysława Sikorskiego, dyplomatą, naukowcem, społecznikiem; jego dzieci mogły poświęcić się tylko nauce, co zresztą też im utrudniano. Władza ludowa skutecznie zepchnęła ich na margines życia społecznego; satysfakcji doznali po upadku komuny – imieniem Jana Zdzisława Włodka nazwano Zespół Szkół Rolniczych w Dąbrowicy.

Rodzina Morstinów z Raciborska

W 1945 r. zakończył swe gospodarzenie w Raciborsku ostatni właściciel tego majątku – Krzysztof Morstin. Ceniony organizator życia społecznego w okolicy, oficer AK, zmuszony został do pozostawienia swojego wzorcowego gospodarstwa i szukania nowego zawodu oraz domu. Opuścił dwór 24 lutego i przeniósł się wraz z rodziną do Krakowa. Morstinowie zamieszkali w kamienicy przy ul. Kremerowskiej. Domownicy odczuwali trudne warunki życia poza dworem; jednak komunistyczny aparat represji odnotował, że inwigilowanej rodzinie dobrze się powodzi, ponieważ „utrzymuje służącą i niańkę do dzieci⁷”. Dla nowych władz taka sytuacja była niezdrową kontynuacją starych wzorców społecznych, stąd niekorzystna opinia funkcjonariuszy UB o tej rodzinie. Dla Morstinów mieszkanie po wojnie z osobami z dawnej służby dworskiej było naturalne – obok przyzwyczajenia do posiadania pomocy domowej lub niani mogło to wynikać z poczucia wspólnoty rodzinnej z nimi. W rodzinach ziemiańskich powszechnie korzystano z pomocy domowych, wychowawczyń i niań przy opiece nad dziećmi, więc nie dziwi to, że również po wojnie niektóre rodziny, jeśli było je tylko na to stać, utrzymywały takie osoby w swoich domach. Niewykluczone, że w takich przypadkach ważną rolę odgrywała również odpowiedzialność za los tych ludzi.

⁴ Stefan Schmidt (1889–1977), ekonomista, profesor UJ, Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie, Akademii Handlowej w Krakowie. Więzień KL Sachsenhausen-Oranienburg. Po powrocie z obozu w marcu 1940 r. zaangażował się w tajne nauczanie, także na UJ, a na potrzeby Delegatury Rządu na Kraj również w analizie ekonomicznej sytuacji na ziemiach wcielonych do III Rzeszy. Zob. J. Steczkowski, *Stefan Schmidt*, PSB, t. XXXV, Warszawa–Kraków 1994, s. 548–549.

⁵ J.M. Włodek, *Między Sonderaktion Krakau a reformą rolną. Wspomnienia okupacyjne z Dąbrowicy i Krakowa*, „Zeszyty Historyczne WiN-u”, grudzień 2009, nr 31, s. 107–108.

⁶ *Ibidem*, s. 108.

⁷ AIPN Kr, 010/399, Akta operacyjne Zofii Morstin, Pismo MBP w Warszawie do WUBP w Krakowie, 5 X 1948 r., k. 106.



W Ogrodzie Zoologicznym w Warszawie od lewej: Krzysztof Morstin (sen.), Beata (wnuczka) – na kolanach matki Ewy (synowej – żony Jerzego), Zofia (żona Krzysztofa) – z lwikiem na kolanach, rok 1971



Dwór Krzysztofa i Zofii Morstinów w Raciborsku, rok 1943



Jan Zdzisław Włodek z dziećmi Zofią Albiną i Janem Marianem, początek lat trzydziestych XX w.



Od lewej: Krzysztof (jun.), Maria (Murka), Jerzy, Tadeusz, Krzysztof (sen.) Morstinowie: Wielkanoc 1952 r. ogródek przed mieszkaniem w Krakowie przy ul. Kraszewskiego 22



Popiersie Jana Zdzisława Włodka odsłaniają w Dąbrowicy jego dzieci Zofia Albina i Jan Marian, 1993 r.



Od lewej: Krzysztof (jun.), Maria (Murka), Jerzy, Tadeusz Morstinowie w mieszkaniu Janusza i Marii (Murki) Orkiszów w Krakowie, listopad 1996 r.

Warunki życia w Krakowie były dla Morstinów znośne. Krzysztof Morstin „zyskał posadę w firmie przewozowej pana Feldmana. Udziałem jego w tej firmie (»Wisła«) była uratowana para koni, która została przyprawiona do Krakowa w »taborze« z nami. Tatuś prowadził biuro firmy mieszczące się przy ul. Szewskiej i otrzymywał pensję 500 zł. Drugie 500 zł dostawał za ciągnącą platformę parę koni. Te tysiąc złotych wystarczało wtedy w zupełności na nasze utrzymanie i opłacenie szkoły dzieci. W 1948 r. pan Feldman został zmuszony do zlikwidowania firmy albo go »upaństwowiono« i Krzysztof Morstin stracił tę pracę⁸. Dodatkowo rodzina zaopatrywała się w towary spożywcze od rolników ze swojej rodzinnej wsi – utrzymywała rozliczne kontakty ze swoimi byłymi pracownikami. Funkcjonariusze UB z niepokojem odnotowali, że Morstin „ma duże znajomości z byłych terenów, gdzie dawniej zam[ieszkiwał]. W/w często przywożą chłopi różne produkty żywnościowe, którzy posiadają jego grunta koło Wieliczki, tak, że jemu dobrze się powodzi⁹. Zdarzało się również, że najstarsi synowie ostatniego właściciela, Tadeusz i Jerzy, przyjeżdżali do Raciborska i zaopatrywali się w żywność u znajomych gospodarzy. Innym sposobem zapewnienia żywności rodzinie była hodowla królików i pielęgnacja podwórkowego ogródka warzywnego. Przeciwdziałały temu odpowiednie „organy władzy ludowej”, dlatego wspominający tamte lata Jerzy Morstin podkreślał jednak trudną sytuację aprowizacyjną rodziny. Wydaje się, że zmieniała się ona dopiero w okresie podjęcia pracy zawodowej przez dzieci Zofii i Krzysztofa Morstinów.

Wraz z likwidacją firmy transportowej Feldmana Krzysztof Morstin – jak wspomina Jerzy Morstin – „Zaczął pracować już w drogerii przy ul. Topolowej, będącej własnością kuzynek Izy Szczanieckiej i Ady Kaczanowskiej. Został tam ekspedientem oraz prowadził punkt Kolektury Loterii Państwowej. Właścicielem krakowskiej Kolektury był pan Stanisław Konopka (z Modlnicy), u którego ojciec zaopatrywał się w losy¹⁰. Po zlikwidowaniu drogerii w 1949 r. Krzysztof Morstin podjął pracę w Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego. Te zajęcia pozwalały utrzymać sześciuosobową rodzinę na godziwym poziomie i zapewnić dzieciom podstawowe warunki życiowe oraz odpowiednie wykształcenie. Początkowo młodzi Morstinowie pobierali naukę prywatnie. „Po parunastu dniach pobytu w Krakowie, rozpoczęliśmy naukę na prywatnych »kompletach« u pani Zofii Iwiczowej przy ul. Czystej 16. Ja znalazłem się w grupie pierwszoklasistów. Nauka odbywała się w mieszkaniu prywatnym. W pokojach ustawione były przeróżne stoliki. Dzieci w klasie było kilkanaścioro. Nauka rozpoczynała się po południu, bo rano uczyły się dzieci z klas starszych, w tym mój brat Tadeusz, starszy ode mnie o trzy lata. Uczęszczał więc on już do klasy czwartej. Wśród uczniów panowała bardzo przyjazna atmosfera¹¹. Z czasem rozpoczęli edukację w szkołach państwowych.

W sytuacjach skrajnych spieniężano kosztowności i pamiątki rodzinne, co nie uszło uwagi bezpieki. Zauważono, że mimo utraty majątku w Raciborsku rodzina zachowała „dostępną różnorodną biżuterię, którą też częściowo sprzedaje¹². Ponieważ Krzysztof Morstin stanowił dla komunistycznego systemu „niebezpieczny element”, rodzina była bezustannie inwigilowana. Zainteresowanie funkcjonariuszy UB wzrosło w momencie ujawnienia jego uczestnictwa w obrocie biżuterią i dewizami. Należy podkreślić, że dla wielu zubożałych byłych ziemian stanowiło to jedyną formę przetrwania w okresie pierwszych lat komunizmu. Problem ten dotyczył również rodziny Morstinów. Udowodniona sprzedaż walut – będąca w „ludowej” Polsce działalnością zakazaną – stała się podstawą zatrzymania Krzysztofa Morstina 25 kwietnia 1950 r. Zarzucano mu również szpiegostwo, ponieważ utrzymywał kontakt z obywatelką brytyjską, Beatrice Blackett, czasowo przebywającą w 1948 r. w Krakowie i odwiedzającą znajomych – byłych arystokratów. Ostatecznie pięciomiesięczny pobyt w więzieniu, w tym w zakładzie karnym w Tarnowie, zakończył się procesem karnym. Jak wynika z zachowanych dokumentów, udowodniono mu złamanie prawa dewizowego i skazano go na rok więzienia w zawieszeniu na trzy lata oraz 50 tys. zł grzywny. Z niewiadomych przyczyn z więzienia został zwolniony w dzień po zapadnięciu wyroku.

⁸ Pamiętnik Jerzego Morstina, mps, t. 1, k. 23.

⁹ AIPN Kr, 010/399, Akta operacyjne Zofii Morstin, Pismo MBP w Warszawie do WUBP w Krakowie, 5 X 1948 r., k. 111.

¹⁰ Pamiętnik Jerzego Morstina, mps, t. 1, k. 21.

¹¹ *Ibidem*, t. 1, k. 23.

¹² AIPN Kr, 010/399, Akta operacyjne Zofii Morstin, Pismo MBP w Warszawie do WUBP w Krakowie, 5 X 1948 r., k. 106.

„Zaaresztowanie było związane – twierdzi Jerzy Morstin – z uwięzieniem pana Stanisława Konopki, który oskarżony został o »przestępstwa dewizowe«. Pan Konopka był znany ze swej uczciwości i wielu ziemian było jego klientami. Cechowała go ogromna skrupulatność w rozliczeniach. Ojciec także przez niego spieniężył posiadane »walory«, aby nas utrzymać. W czasie rewizji UB znalazło w mieszkaniu pana Konopki notatki z adresami, gdzie znalazł się Tatuś. Na tej podstawie zaaresztowano trzy osoby, ojca, Krzysztofa Bispinga i Seweryna Ronikera»¹³. Do okoliczności obciążających zaliczano również pochodzenie ziemiańskie oskarżonego, przynależność do ZWZ-AK, co – jak się okazało – nie było wykorzystane przez śledczych i prokuratora, oraz do ziemiańskiej konspiracji niepodległościowej z okresu okupacji, określonej kryptonimem „Tarcza”¹⁴. Prowadzący sprawę badali poszczególne wątki, lecz między innymi dzięki korzystnym zeznaniom kombatantów z BCH z okolic Wieliczki – jak utrzymuje rodzina oskarżonego – nie udowodniono jego wrogiej działalności wobec komunistów w okresie okupacji.

Po aresztowaniu Krzysztofa Morstina, jego żona Zofia i dzieci zostały otoczone opieką najbliższych krewnych i przyjaciół. Solidarność środowiskowa była powszechna, a trudności przysparzane przez system były przewyżczane wspólnie. Uczęszczające do szkół w Krakowie dzieci Morstinów były w tym trudnym okresie żywione przez różne rodziny zaprzyjaźnione z Zofią i Krzysztofem. Pomoc ta była okazywana również ze względu na pracę Zofii Morstin w Rzemieślniczej Spółdzielni Metalowców. Wielopokoleniowe związki oraz wspólne zagrożenie podtrzymywały wzajemną solidarność.

Po wyjściu z więzienia Krzysztof Morstin podjął ponownie pracę w Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego przy ul. Krowoderskiej. Podupadł na zdrowiu, dlatego prowadził spokojny tryb życia. Pozostawał bez przerwy pod ścisłą kontrolą aparatu represji, który otoczył go agentami. Władza szykanowała nie tylko Zofię i Krzysztofa, lecz również ich dzieci. Ich drugi syn, Jerzy, wspominał: „Mimo dość przyzwoitego świadectwa: sześć ocen bardzo dobrych i dziewięć dobrych (piąta pozycja w klasie), do żadnego krakowskiego liceum nie chciano mnie przyjąć! Decydujący głos miał tam zawsze »czynnik społeczny«, czytaj przedstawiciel przodującej siły Narodu – PZPR (czyli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej). Nasza rodzina była doskonale znana w Krakowie. Byłem synem człowieka »skazanego prawomocnym wyrokiem« i przez to »elementem niepożądanym« i »wrogiem klasowym«¹⁵. Mimo różnych trudności dzieci Morstinów odebrały solidne wykształcenie. Jerzy został z czasem profesorem SGGW, Tadeusz ukończył Wyższą Szkołę Rolniczą w Krakowie i od lat siedemdziesiątych odpowiadał za tereny zielone w Małopolsce, Krzysztof – adiunktem na AGH w Krakowie, a Maria – ukończyła romanistykę i psychologię. Jej osiągnięciem zawodowym było utworzenie w Krakowie pierwszej w Polsce szkoły dla dzieci z porażeniem mózgowym. Stali się częścią elity intelektualnej nie tylko Krakowa. Współtworzyli środowiska naukowe, angażowali się w katolickich organizacjach kulturalno-oświatowych oraz charytatywnych w całym kraju.

Losy rodzin Włódków i Morstinów są przykładami przyjętej przez komunistów strategii politycznej wobec ziemiaństwa. Można znaleźć wśród ziemian osoby, które spędziły długie lata w więzieniach za działalność niepodległościową, rodziny stłoczone decyzją władz w mieszkaniach z robotnikami, marginesem społecznym, a czasem z funkcjonariuszami UB. Nagminne było zwalnianie ich z pracy, utrudnianie nauki dzieciom. Zmuszano ich do emigracji, która prowadziła do podziałów rodzin na długie lata. A jednak przetrwało w nich poczucie własnej wartości oraz etos, który wraz z tradycją jest przekazywany kolejnym pokoleniom.

¹³ Pamiętnik Jerzego Morstina, mps, t. 1, k. 39.

¹⁴ Na przełomie 1940 i 1941 r. powstała inicjatywa utworzenia zrzeszenia ziemiańskiego, mającego na celu pomoc kwatermistrzowską i finansową dla ZWZ. Pomysłodawcami i organizatorami tego związku byli Karol Tarnowski z Chorzelowa, Leon Krzeczunowicz z Sieciechowic i Roman Lasocki z Dzierzbi. Organizacja ta, nosząca kolejno kryptonimy „Tarcza”, „Uprawa”, „Opieka”, „S-1”, przetrwała do stycznia 1945 r. Zob. M. Żółtowski, *Tarcza Rolanda*, Kraków 1989; *idem*, *Leon Krzeczunowicz. „Uprawa” – „Tarcza”*, Łaski 2004; *idem*, *To wszystko działa się naprawdę. Wojsko. Wojna. „Uprawa” – „Tarcza”*, Warszawa 2002. Ponadto o tej organizacji pisali: W.H. Bniński, *Ziemianie z podziemia. „Uprawa” i „Ekspress”* – *Leon Krzeczunowicz, „Zeszyty Historyczne”* 1971, nr 20, s. 136–145; M. Rudziński, *„Uprawa” vel „Tarcza”* [w:] *Dziedzictwo. Ziemianie polscy i ich udział w życiu narodu*, Kraków 1995, s. 241–258.

¹⁵ Pamiętnik Jerzego Morstina, mps, t. 2, k. 1.

KAPITAN ZALESKI VEL TERLECKI – OFICER Z „ULICY REPRESJONOWANYCH”

Kiedy 16 grudnia 2006 r. odszedł na wieczną wartę, liczył sobie 99 lat. Przyszedł na świat jako poddany monarchii austro-węgierskiej. Jako dziecko był świadkiem I wojny światowej oraz walk o niepodległość i granice Polski. Uczestniczył w trzech kampaniach II wojny światowej; miał liczne odznaczenia polskie, brytyjskie, francuskie oraz tytuł honorowego obywatela holenderskiego miasta Breda.

Po wielekroć naj...

Do ostatnich chwil zajmował się krótkofalarstwem, aktywnie uczestniczył w działalności licznych organizacji, m.in.: Naczelnej Organizacji Technicznej, Polskiego Związku Krótkofalowców, Stowarzyszenia Elektryków Polskich, Ogólnokrajowego Stowarzyszenia Kombatantów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, Światowego Związku Żołnierzy Wojsk Łączności. Zajmował się opracowaniem dziejów kompanii łączności 9. DP, pisaniem wspomnień oraz rodzinną genealogią. W chwili swojego odejścia był najstarszym wiekiem i posiadającym starszeństwem oficerem wojsk łączności, najstarszym w Polsce – i najprawdopodobniej na świecie – czynnym krótkofalowcem.

Łączność – nerw armii

Adam Mieczysław Zaleski *vel* Terlecki¹, Kresowianin – co często z dumą podkreślał – urodził się 6 listopada 1907 r. w Zborowie w województwie tarnopolskim. W 1929 r., po pomyślnym zdaniu egzaminu dojrzałości typu matematyczno-przyrodniczego we lwowskim Państwowym Gimnazjum nr VIII im. Króla Kazimierza Wielkiego, wybrał zawodową służbę wojskową. Rozpoczął ją w Batalionie Podchorążych Rezerwy Piechoty nr 7 w Śremie. Po odbyciu kursu unifikacyjnego w Szkole Podchorążych Piechoty rozpoczął naukę w Szkole Podchorążych Inżynierii w Warszawie. Ukończył ją z wynikiem dobrym i lokatą 24/47, otrzymując w 1933 r. promocję na stopień podporucznika w korpusie oficerów wojsk łączności ze starszeństwem od 15 sierpnia 1932 r.

Jego pierwszym przydziałem stała się twierdza w Brześciu nad Bugiem, gdzie był dowódcą plutonu oraz instruktorem kompanii telegraficznej 9. DP, szkoląc teoretycznie i praktycznie żołnierzy łączności w zakresie telefonii, telegrafii, radiotelegrafii, telemechaniki i radiomechaniki. W 1935 r.

¹ Wyjaśnijmy w tym miejscu kwestię zapisu nazwiska Adama Mieczysława Zaleskiego *vel* Terleckiego. W 1925 r., podczas nauki w gimnazjum, zagubił on swoją metrykę wystawioną na nazwisko Adam Mieczysław Zaleski. W roku szkolnym 1927/1928, na żądanie gospodarza klasy – którym był znany historyk Czesław Nanke – przedstawiona została nowa metryka, na podstawie której nastąpiła korekta nazwiska na Adam Mieczysław Zaleski *vel* Terlecki. Ojciec wytłumaczył mu wówczas, że po zakończeniu swojej obowiązkowej służby wojskowej w armii austro-węgierskiej otrzymał pracę w sądzie, gdzie naczelnikiem był jego stryj Zaleski, który polecił mu zmianę nazwiska na Terlecki.

otrzymał awans na stopień porucznika ze starszeństwem od 1 stycznia 1935 r. W 1936 r. został czasowo wyznaczony na dowódcę kompanii (18 lipca – 30 października).

W kolejnym roku kompanie telegraficzne w dywizjach piechoty zostały zreorganizowane i przemianowane na kompanie łączności. Krótko po tym, 20 grudnia 1937 r., por. Zaleski został dowódcą takiej kompanii w 9. DP. W tym samym roku przedstawiono go do odznaczenia Srebrnym Krzyżem Zasługi. W związku z wyczerpaniem przyznanych limitów na Krzyże Srebrne, wyróżniono go Brązowym – „Za pracę nad wyszkoleniem wojska”. Cieszył się bardzo dobrą opinią. W Rocznej Liście Kwalifikacyjnej za rok 1938, ostatejnie przed wybuchem wojny, stwierdzono: „[...] Bardzo zdolny i wartościowy oficer. Dobry kierownik wykształcenia. Dowódca samodzielny o dużej inicjatywie [...]”.

Wrzesień 1939 r. w pomorskiej gardzieli

Tak zwaną cichą mobilizację ogłoszono 23 marca 1939 r. Objęła ona m.in. również 9. DP². W maju kompania łączności została przeniesiona do Siedlec, a 11 czerwca – transportem kolejowym na Pomorze. Rozlokowano ją w Koronowie.

Tuż po agresji niemieckiej 9. DP stawiała opór na odcinku Tuchola – Koronowo. Kompania łączności por. Zaleskiego obsługiwała dywizyjną sieć telefoniczną. Drugiego dnia wojny otrzymał on rozkaz zwinięcia połowych linii telefonicznych oraz zniszczenia linii stałych i centrali telefonicznej w Tucholi. Po wykonaniu zadania kompania zebrała się w lasach na zachód od Tucholi, a w nocy z 2 na 3 września otrzymała rozkaz marszu w kolumnie złożonej ze sztabu oraz artylerii należącej do 9. DP. Na wieść o pojawieniu się nieprzyjacielskich czołgów kolumna zoczyła z szosy na drogę polną, gdzie została zbombardowana przez lotnictwo niemieckie i rozproszona. Porucznik Zaleski wraz z grupą żołnierzy próbował odnaleźć oddziały 9. DP, ale gdy okazało się to niemożliwe, podjął decyzję maszerowania w kierunku na Świecie – Toruń. O świcie 4 września grupa stoczyła zwycięską potyczkę z oddziałem nieprzyjacielskiej piechoty. Tego dnia por. Zaleski dowiedział się od napotkanych rozbitków, że znajduje się w kleszczach niemieckiego okrążenia na terenie poligonu Grupa. Kolejne dni i noce wypełniał marsz bez map, błędzenie, wymijanie niemieckiej tyraliery przeczesującej las, częste spotkania z piątą kolumną oraz oddziałami nieprzyjaciela, z których jedno zakończyło się wymianą ognia i natychmiastowym odskokiem w gęste zarośla. Żołnierze dowodzeni przez por. Zaleskiego przeprawili się przez Wisłę 6 września. Po ominięciu Chełmna dowiedzieli się od miejscowej ludności o zajęciu przez Niemców Torunia i dlatego postanowili iść w kierunku walczącej Warszawy. Porucznik Zaleski i ppor. rez. Kazimierz Wasilewski dotarli do Tłuchowa 30 września, gdzie od proboszcza miejscowej parafii – ks. Jana Marchewki – dowiedzieli się o sowieckiej agresji oraz kapitulacji stolicy. Po udzieleniu niezbędnej pomocy duchowny wskazał obu oficerom drogę do gospodarstwa rolnego we wsi Czarnia Mała w powiecie rypińskim, które należało do jego znajomego o nazwisku Jankiewicz. Pod nieobecność gospodarza (przebywał w tym czasie w szpitalu) opiekę nad oficerami – mimo grożącego niebezpieczeństwa – przejął jego syn Stanisław. Tam Zaleski zdjął i ukrył swój mundur oraz oporządzenie.

Konspiracja

Po krótkim odpoczynku, 2 października, obaj oficerowie wyruszyli w dalszą drogę. Maszerowali już tylko w dzień. Dwa dni później rozstali się w Wyszkowie, dokąd dotarli przez Rypin, Ciechanów, Sierpc. Zaleski postanowił dostać się do Brześcia nad Bugiem, idąc przez Węgrów, Siedlce, Międzyrzec Podlaski i Terespol. Jednak gdy dotarł na miejsce, 12 października w pobliżu swojego przedwojennego mieszkania został zatrzymany przez sowieckich żołnierzy. Po dwóch godzinach wypuszczono go. Dwa dni później w Konstancynie odnalazł żonę i dzieci. W listopadzie cała rodzina przeniosła się do Siedlec, gdzie Zaleski zmienił wygląd (zapuścił włosy) oraz uzyskał fałszywe dokumenty. Udało mu się również otrzymać dorywcze zatrudnienie w charakterze pracownika fizycznego na budowie, a następnie jako pomocnik kierowcy samochodu ciężarowego. Wkrótce, 9 grudnia 1939 r., został zaprzysiężony i zaangażował się w działalność konspiracyjną.

² E. Kospath-Pawłowski, *9. Dywizja Piechoty w dziejach oręża polskiego*, Pruszków 1995.

Za bronią

Z audycji Radia Tuluza Zaleski dowiedział się, że w sojuszniczej Francji formują się polskie oddziały wojskowe. Postanowił tam wyruszyć, ale dopiero druga próba okazała się udana. Przez Jarosław dotarł do wskazanej gospody w Sanoku, a następnie do Bukowska, gdzie spotkał się z pięcioma innymi oficerami, i skąd – pod opieką dwóch przewodników – rozpoczęli marsz przez góry. Granicę węgierską (przy słupie granicznym nr 47) przekroczyli 20 kwietnia 1940 r.

Po krótkim pobycie w obozie dla uchodźców cywilnych w Ungwarze Zaleski udał się w dalszą drogę. Przez Budapeszt i Zagrzeb dotarł do Splitu. Stamtąd, na pokładzie greckiego statku handlowego, wypłynął do Marsylii, gdzie wylądował 1 czerwca. Skierowano go do polskiego obozu wojskowego w Carpiagne. Jednak zwycięstwo Niemców we Francji zmusiło go do dalszej wędrówki. Najpierw samochodem, a później pociągiem i autobusem dotarł przez Bayonne do St. Jean de Luz, skąd na pokładzie m/s Batory wyruszył do Wielkiej Brytanii, gdzie znalazł się 24 czerwca 1940 r.

Na Wyspie ostatniej nadziei

Po rejestracji oraz weryfikacji por. Adam Zaleski 1 lipca 1940 r. rozpoczął służbę w szeregach Polskich Sił Zbrojnych. Po upływie blisko dwóch miesięcy został skierowany do Centrum Oficerów Łączności w Peebles, gdzie m.in. doskonalił swój angielski oraz poznawał brytyjskie regulaminy i instrukcje. Od 15 października 1940 r. do 11 sierpnia 1941 r. pełnił służbę w 3. Brygadzie Kadrowej Strzelców jako dowódca plutonu. Później, od 12 sierpnia 1941 r. do 10 lipca 1942 r., przebywał w Ośrodku Szkolnym Artylerii Przeciwlotniczej, gdzie obok szkolenia w zakresie łączności telefonicznej i radiowej organizował również kursy motorowe. W tym czasie uczestniczył także w kursach, podczas których zapoznał się z techniką strzelania przeciwlotniczego kierowanego radarem. Kolejnym przydziałem (od 31 lipca 1942 r.) była 1. DPanc. gen. bryg. Stanisława Maczka, gdzie dowodził plutonem łączności w 1. Pułku Artylerii Przeciwlotniczej Lekkiej. W marcu 1944 r. został awansowany do stopnia kapitana. Jako dowódca 2. Szwadronu Łączności brał udział w walkach we Francji, w Belgii i Holandii. Po krótkim pobycie w Obozie Uzuppełnień 1. Dywizji Pancernej objął komendę nad dwustupięćdziesięcioosobową grupą ochotników do PSZ, z którą przybył do Wielkiej Brytanii. Tam, 25 listopada 1944 r., został skierowany do Centrum Wyszkozenia Łączności, gdzie objął dowodzenie kompanią szkolną. W następnym roku zaliczył: kurs i staż w Royal Signals Training Centre w Catteric Camp (zaznajamiając się z nowinkami technicznymi w dziedzinie łączności, najnowszymi metodami organizacji pracy i wyszkolenia oraz z zagadnieniem o kryptonimie „Golden Arrow” oznaczającym radiotelegrafię dalekiego zasięgu); dwumiesięczny kurs współpracy z lotnictwem (zorganizowany przy Wyższej Szkole Wojennej i połączony z praktyką w 315. Dywizjonie Myśliwskim Dęblińskim); kurs techniczny dla oficerów wojsk łączności oraz kurs taktyczny w Centrum Wyszkozenia Piechoty. W 1946 r. ukończył Kurs Dowódców Łączności Wielkich Jednostek, po którym powrócił do CWŁączn. W tym też czasie wstąpił do Stowarzyszenia Kombatanów – Samopomoc Wojska.



Fot. ze zbiorów rodziny A. Zaleskiego

Kpt. Adam Zaleski *vel* Terlecki na fotografii z czasów służby w PSZ wiosną 1944 r. Dla potrzeb wyłącznie tego pamiątkowego zdjęcia, sylwetka mundurowa została uzupełniona o elementy szkockie

„Proszę o repatriowanie mnie do Kraju”

W obliczu stopniowej demobilizacji PSZ kpt. Zaleski 17 września 1946 r. wstąpił do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Po wielu staraniach udało mu się nawiązać kontakt listowny z pozostawioną w kraju rodziną, która szczęśliwie przeżyła wojnę. Radość z tego powodu była zmaćona informacjami o poważnej chorobie żony, która podczas okupacji, na skutek ciężkich warunków bytowych, zapadła na gruźlicę. To spowodowało podjęcie ostatecznej decyzji powrotu. Zgłosił to oficjalnie na piśmie władzom zwierzchnim w PKPR oraz w Konsulacie RP w Glasgow 19 marca 1947 r. Oto jego fragment: „Proszę o repatriowanie mnie do Kraju. Równocześnie zgłaszam powrót do Polski Komendantowi C.W.Ł., gdzie obecnie mam przydział służbowy. [...] Obecnie stosując się do wezwania Pana Prezydenta R.P. na otwarciu pierwszego Parlamentu, wzywających wszystkich Polaków za granicą do powrotu, zgłaszam powyższą prośbę. W Kraju mam żonę z dwojgiem małych dzieci. Żona jest chora i z trudem zarabkuje. Pomoc rodzinie wymaga jak najrychlejszego mojego powrotu”.



Fot. ze zbiorów rodziny A. Zaleskiego

Adam Zaleski vel Terlecki na zdjęciu wykonanym tuż po powrocie do kraju

Powrót do...

Do Gdańska przybył 11 lipca 1947 r. na pokładzie brytyjskiego statku m/s Eastern Prince. Powitał go pijany podoficer ludowego wojska. Po zaliczeniu pobytu w otoczonym ogrodzeniem z drutu kolczastego obozie „Narwik” usłyszał po raz pierwszy na ojczyściej ziemi pytanie, „po co tu wrócił?”. Kapitan Zaleski udał się do wsi Skąpa k. Radomska, gdzie przebywała jego żona – zatrudniona tam jako nauczycielka – oraz obie córki. Początkowo miał nadzieję, że zostanie powołany do służby wojskowej. Po dwóch wizytach w Rejonowej Komendzie Uzuppełnień w Piotrkowie Trybunalskim, dokąd go wzywano, i po upływie ponad pół roku – niespodziewanie dla siebie otrzymał dokument stwierdzający przeniesienie do rezerwy od 16 kwietnia 1948 r.

Szybko rozpoczął poszukiwania pracy oraz mieszkania. Odwiedził m.in. Radomsko, Koziegłowy, Piotrków Trybunalski, Brzeg nad Odrą, Wrocław. Mimo istniejących wolnych miejsc; wykształcenia; znajomości angielskiego, niemieckiego i ruskiego (rosyjskiego nie znał); wysokich kwalifikacji i doświadczenia zawodowego – wszędzie spotykał się z odmową, następującą zresztą tuż po złożeniu podania o zatrudnienie. Powód był zawsze ten sam: był przedwojennym oficerem i służył w PSZ. Wreszcie, 1 września 1947 r., otrzymał posadę referenta gospodarczego w Szkole Przysposobienia Przemysłowego w Górc k. Strzelina, ale cztery miesiące później musiał z niej zrezygnować, bo nie mógł wynająć mieszkania.

Dzięki pomocy wuja, Bolesława Kańskiego, który również w czasie wojny służył w PSZ, 16 marca 1948 r. zatrudnił się jako kierownik administracyjny w Przedsiębiorstwie „Polska Wiklina” w Bydgoszczy, wkrótce przeniesionym do Poznania. Do jego obowiązków należało uruchomienie i odbiór zakładów wikliniarskich



Legitymacja służbowa nr 55 Adama Zaleskiego z Przedsiębiorstwa Państwowego Wyodrębnionego „Polska Wiklina” (ze zbiorów rodziny A. Zaleskiego)

w Oleśnicy, Brzegu, Grodkowie oraz zorganizowanie oddziału tego zakładu w Rudniku nad Sanem. Tam też dał się poznać jako dobry i sprawny zarządca. Po upływie niecałego roku utworzony od podstaw oddział zatrudnił 950 koszykarzy-chałupników oraz 450 wikliniarzy, pracujących sezonowo. W tym czasie oddano do użytku magazyny z doprowadzoną do nich boczną koleją. Okazało się, że miesięczna produkcja rudnickiego zakładu mieściła się aż w czterdziestu wagonach z wyrobami wikliniarskimi, z czego połowa przeznaczona była na eksport. Zaleski udzielał się również społecznie – był opiekunem Szkoły Przemysłowej, przewodniczącym Komitetu Odbudowy Liceum, członkiem Miejskiej Rady Narodowej, członkiem Komisji Drobnej Wytwórczości i Przemysłu Miejskowego przy Powiatowej Radzie Narodowej, przewodniczącym Koła Ligi Morskiej, członkiem komisji rewizyjnej Komitetu Rodzicielskiego w szkole podstawowej oraz założycielem kina. Wiosną 1948 r. wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej. Po jej zjednoczeniu w grudniu 1948 r. z Polską Partią Robotniczą i powstaniu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej przeszedł do nowo powstałej partii automatycznie, by w roku 1951 zostać skreślonym na wniosek personalnego Ekspozytury Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego, „jako były sanacyjny oficer zawodowy, mający na sumieniu służbę w Anglii”.

Przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych zapisał się w pamięci Zaleskiego wieloma pozornie drobnymi i nic nieznaczącymi epizodami. Były to przede wszystkim coraz częstsze kontrole (niektóre z nich prowadzono pod jego nieobecność, gdy przebywał na służbowych wyjazdach), mające coraz wyraźniejsze znamiona szyskan. Od jakiegoś czasu nie mógł się również pozbyć wrażenia, że był obserwowany.

„Pałka” na Zalewskiego Adama, s. Aleksandra i Teofilii

W grudniu 2002 r. Adam Zaleski *vel* Terlecki uzyskał z Instytutu Pamięci Narodowej dokumenty dające mu możliwość częściowego poznania sprawy agenturalnego rozpracowania pod kryptonimem „Pałka”, którą 15 stycznia 1951 r. założył Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Nisku. Było ono skierowane m.in. przeciw „Zalewskiemu [tak w oryginale] Adamowi s. Aleksandra i Teofilii [tak w oryginale] – Kańskiej ur. 6. XI. 1907 r. Zborów ZSRR [...] pochodzenie drobnomieszczańskie [...]”, wobec którego: „Zachodzi podejrzenie że przeszedł szkołę wywiadowczą, która mieściła się w Szkoci”. W sporządzonym 27 lutego 1951 r. „Planie” stwierdzono, że do dalszego rozpracowania przeszło czterech figurantów – wśród nich „figurant Zalewski” [tak w oryginale] – wobec których zaplanowano przedsięwzięcia operacyjne. Polegały one na ustaleniu wszystkich kontaktów z terenu obiektu i prywatnych oraz ich charakteru, wytypowaniu spośród kontaktów figurantów kandydatów na werbunek – a po zatwierdzeniu raportu przeprowadzenia werbunku, kontroli ich korespondencji wpływającej i wypływającej przez pocztę. Zebrano wówczas niezwykle bogaty materiał dotyczący przebiegu służby wojskowej Adama Zaleskiego *vel* Terleckiego, pracy zawodowej i życia prywatnego. W raporcie podkreślono m.in., że: „jako siła fachowa jest dobry, lecz do obecnej rzeczywistości wrogo ustosunkowany”. Zwrócono również uwagę, że: „wymieniony nie udziela się społecznie i czuje wrogość do partii. W 1948 r., gdy zakładano T.P.P.R. na obiekcie, Zalewski [tak w oryginale] wypowiedział się, że nie uważa Związku Radzieckiego za przyjaciela i był przeciwny założeniu wym. koła. W początkach 1949 r., kiedy miało się odbyć zebranie w celu stworzenia Rady Zakładowej, na które przybył przedstawiciel Z.Z. to wym. wypowiedział się, że on nie potrzebuje żadnych zebrania i Rady Zakładowej, że on sam wie co ma robić i kilkunastu pracowników odciągnął od zebrania zabierając ich do pracy [...]. Obecnie wym. jawnie nie występuje jak poprzednio i jest podejrzenie, że się głębiej zakonspirował i nie wykazuje nazewnątrz [tak w oryginale] że jest wrogiem”. W meldunku o przebiegu rozpracowania nr 2/51 pod kryptonimem „Pałka” z 29 marca 1951 r. stwierdzono: „Najbardziej ważnym danym w tej sprawie jest, że podejrzani figuranci w sprawie kontaktują się po największej części z andersowcami, nauczycielstwem oraz księżmi, którzy to są podejrzani o przynależność do niel. org. »Orlęta« i są ze sobą wszyscy powiązani, co rzuca podejrzenie na celowa wrogą robotę polityczną, tak wywiadowczą jak też sabotażową”.

„Partia nie chce widzieć obywatela na tym terenie”

W 1951 r. „Polska Wiklina” została przejęta przez Centralę Przemysłu Ludowego i Artystycznego w Warszawie. W ramach reorganizacji Zaleski 1 lutego 1951 r. został przeniesiony do Oleśnicy na

stanowisko kierownika Zakładu Wikliniarskiego. Po trzech miesiącach nastąpiło kolejne przesunięcie – tym razem do Wrocławia, gdzie przez krótki okres był kierownikiem Sekcji Wikliniarsko-Koszykarskiej przy Ekspozyturze CPLiA, a następnie kierownikiem Zakładów Wikliniarskich w Oleśnicy oraz Spółdzielni w Chruścicach. Krótko po tym został skierowany ponownie do Wrocławia, gdzie zorganizował Ekspozyturę Wikliniarsko-Koszykarską dla terenu Wrocław – Opole. W grudniu 1951 r. przeniesiono go na stanowisko kierownika Rejonowego Punktu Skupu Wiklin we Wrocławiu. W 1952 r. Zarząd Przemysłu Wikliniarsko-Koszykarskiego w Warszawie powierzył mu zorganizowanie Wrocławskich Zakładów Wikliniarsko-Koszykarskich z siedzibą we Wrocławiu, w których pracował na stanowisku p.o. dyrektora i zastępcy dyrektora do spraw technicznych oraz kierownika Sekcji Techniczno-Produkcyjnej. Mogłoby się wydawać, że ten właśnie etap powojennego życia Zaleskiego był czasem unormowania się jego problemów zawodowych, o czym świadczy powierzenie mu kolejnych, coraz bardziej odpowiedzialnych stanowisk oraz awanse na kolejne szczeble kariery. Ale ten stan rzeczy wynikał z realizacji odgórnie narzuconej w tym czasie i nie do końca przemyślanej reformy całej branży wikliniarskiej, wymuszającej m.in. sporo – jak się później okazało – zbędnych posunięć organizacyjnych i kadrowych. Przy tej okazji wiele, z różnych powodów niewygodnych osób kierowano na nowe miejsca pracy (w których zazwyczaj panował organizacyjny chaos) po to, by móc je z czasem usunąć. Żaden z owych „awansów” nie wiązał się z podwyżką uposażenia, a jedynie z rozszerzeniem zakresu powierzonych obowiązków. Dodatkową i bardzo dotkliwą szykaną była również dezorganizacja życia rodzinnego. Każde przenosiny wymagały znalezienia nowego miejsca do zamieszkania – co było sprawą niezwykle trudną – oraz znalezienia nowej szkoły dla dzieci. W Oleśnicy udało się rodzinie uzyskać zagrzybiony i zrujnowany pokój. Po skierowaniu do pracy we Wrocławiu, przez długi czas Zaleski musiał stamtąd codziennie dojeżdżać.

Został zwolniony ze swojego stanowiska 30 września 1953 r. bez podania przyczyny. Dyrektor Jakob Dolner wyjaśnił mu, że „partia nie chce widzieć obywatela na tym terenie”. To wszystko sprawiło, że Zaleski zwrócił się z prośbą do Bolesława Bieruta o zabezpieczenie przysługującego mu prawa do pracy, powołując się przy tym na ustawę konstytucyjną i swoje kwalifikacje. Po dość długim czasie zawiadomiono go, że w związku z poleceniem zatrudnienia, oferuje mu się posadę stróża na Poczcie Główniej we Wrocławiu z najniższą z ówczesnie możliwych stawek wynagrodzenia.

Udało mu się jednak uzyskać czasowe zatrudnienie na terenie wyścigów konnych na wrocławskich Partynicach. Raz w tygodniu, w budce totalizatora przyjmował zakład. Adam Zaleski *vel* Terlecki 13 października 1953 r. rozpoczął pracę na Politechnice Wrocławskiej jako elektrotechnik kotłów wysokopiętnych, ale już 31 grudnia został zwolniony. Dzięki protekcji udało mu się 2 stycznia 1954 r. uzyskać pracę zleconą w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Kondratowicach przy sporządzaniu bilansu rocznego, a następnie (również dzięki protekcji) od 5 marca 1954 r. w Przedsiębiorstwie Montażowym Urządzeń Spichrzowych i Młyńskich w Poznaniu. Był tam pracownikiem fizycznym, a z czasem zaczął pracować na stanowisku monter. Po kilku miesiącach, 14 sierpnia, podczas budowy spichrza w Rogowie został zwolniony, do czego przyczynili się: sekretarz zakładowej komórki partyjnej, z dumą nazywający siebie ideowym marksistą, oraz kierownik budowy, a zarazem działacz PZPR i przedwojenny podoficer (zresztą bardzo często nieobecny w pracy z racji posiadania w pobliżu gospodarstwa rolnego). Obaj nie mogli znieść tego, że zatrudniono „sanacyjnego” i „andersowskiego” oficera.

Mała stabilizacja

Zupełnie przypadkowo, w Wigilię 1954 r., od znajomego pracującego w warsztacie radiowym na pl. Solnym we Wrocławiu dowiedział się o wolnych etatach w Spółdzielni Pracy „Radiotechnika”. Złożył tam swoje papiery i 1 stycznia 1955 r. otrzymał pracę. Sprzyjającym mu zbiegiem okoliczności były przypadające w tym czasie wybory nowego Zarządu Spółdzielni oraz trzymiesięczny urlop personalnej, która po powrocie głośno wyraziła swoje zdziwienie z racji przyjęcia kogoś „z taką przeszłością”. Szczęśliwie wkrótce sama została przeniesiona na inne stanowisko. Na początku Zaleski pracował na stanowisku pracownika biurowego, później – technika produkcji, kierownika Komórki Kalkulacji Cen. Wreszcie został starszym inżynierem produkcji, pełniąc zarazem obowiązki kierownika Biura Technicznego, kierownika Komórki Racjonalizacji i Wynalazczości. Właśnie wtedy opracował

szereg nowatorskich projektów, np. urządzenie do zdalnego sterowania z fotokomórką przeznaczone dla Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa” i dla okręgowego Zespołu Spichrzy we Wrocławiu. Niestety, wiele z nich grzęzło w koleinach biurokracji. Był również społecznym inspektorem pracy.

W tym czasie ukończył wiele kursów organizowanych przez: Centralną Radę Związków Zawodowych – Szkołę Inspekcji Pracy we Wrocławiu (w 1961 r.); Polskie Towarzystwo Ekonomiczne – Studium Zaoczne Organizacji Wynalazczości; Centralny Związek Spółdzielczości Pracy Warszawa – Kurs Korespondencyjny Samorządu i Szkolenia w 1961 r., a także Studium Organizacji Wynalazczości w 1964 r. oraz Centralny Związek Spółdzielczości Pracy Wrocław – Kurs Zakładowych Społecznych Inspektorów Pracy w 1964 r. Był założycielem i długoletnim prezesem koła Stowarzyszenia Elektryków Polskich nr 28 przy Spółdzielni Pracy „Radiotechnika”, będąc równocześnie od 1954 r. członkiem, a w latach 1987–1998 prezesem Komisji Pomocy Koleżeńskiej Oddziału Wojewódzkiego SEP we Wrocławiu. Dużo pracował społecznie. Na emeryturę cywilną przeszedł 1 stycznia 1974 r., pozostając jeszcze przez ponad rok na niepełnym etacie we wrocławskiej „Radiotechnice”. Dopiero dziewięć lat później, 31 sierpnia 1983 r., otrzymywał emeryturę wojskową. Jako emeryt nadal działał w różnych organizacjach i stowarzyszeniach.

Data i miejsce urodzenia – „6. 11. 1907 r., Zborów, woj. Tarnopolskie, ZSRR”

W PRL Adam Zaleski nie został awansowany na wyższy stopień wojskowy. Stało się to dopiero po zmianach ustrojowych w Polsce; w 1993 r. otrzymał nominację na majora, a w 1999 r. na podpułkownika. Nie dostał nigdy paszportu, nie wyjeżdżał za granicę. Posługiwał się dokumentami stwierdzającymi tożsamość, w których w rubryce: data i miejsce urodzenia widniał zapis: „6. 11. 1907 r., Zborów, woj. Tarnopolskie, ZSRR”. Z jakichś powodów do wysługi emerytalnej nie zostały mu zaliczone niektóre z okresów jego służby wojskowej oraz pracy cywilnej – bodaj największe rozgoryczenie budziło nieuwzględnienie czasu kampanii wrześniowej oraz okresu służby w szeregach PSZ od 9 maja 1945 r. do momentu demobilizacji i powrotu do kraju. Po wydarzeniach w październiku 1956 r. Zaleski rozpoczął starania o wydanie zezwolenia na posiadanie radiostacji nadawczo-odbiorczej oraz wznowienie swojej działalności krótkofalarskiej, jako że w 1937 r. wstąpił on do Wileńskiego Klubu Krótkofalowców, uzyskując licencję oraz znak krótkofalowy SP2OF. Sprawę załatwiono odmownie w grudniu 1958 r., po konsultacjach przeprowadzonych między SB Komendy Wojewódzkiej MO we Wrocławiu i w Rzeszowie, oraz wydaniu przez nie negatywnej opinii na podstawie materiałów archiwalnych, dotyczących zaniechanej sprawy grupowej kryptonim „Pałka”, prowadzonej przez PUBP w Nisku w 1951 r. Zainteresowany na tym nie poprzestał – po dziesięciu latach nieustannych starań, w 1968 r. otrzymał zezwolenie i powrócił na fale eteru jako SP6OF.

„Ulica represjonowanych”

Adam Zaleski nie był sądzony przez komunistyczny wymiar sprawiedliwości ani też nie trafił do więzienia. Jednak szczególnie osiem pierwszych powojennych lat pozostawiło trudną do zablźnienia ranę w jego psychice. Pułkownik bardzo niechętnie powracał myślami do tamtych czasów. Kiedy się poznaliśmy, nie wspominał o nich prawie w ogóle. Powiedział tylko: „W tym czasie moje życie było skomplikowane”. Dopiero po kilku latach stwierdził, że po powrocie do kraju nie wyładował za murem więziennym, ale na „ulicy represjonowanych”. Była to „ulica”, przy której „mieszkali” ludzie zepchnięci na skraj marginesu życia zawodowego i publicznego. Właśnie na tej „ulicy”, pośród pozorów normalności, byli oni tak skutecznie izolowani i wielokrotnie doświadczani bezprawiem. Chociaż stanowili dość liczną zbiorowość, pozostawali tragicznie samotni i opuszczeni. Owa „ulica represjonowanych” pojawiła się z czasem w pisemnych dyspozycjach sporządzonych przez Adama Zaleskiego *vel* Terleckiego do planowanych wspomnień, stanowiąc niezwykle celne określenie jednego rozdziału z tak bogatego życiorysu.

Dziękuję najserdeczniej córkom oraz wnuczce ppłk. śp. Adama Zaleskiego *vel* Terleckiego za udzieloną mi pomoc oraz udostępniony z archiwum rodzinnego materiał ilustracyjny.

NOBLESSE OBLIGE...

ZIEMIAŃSKIE TRADYCJE OCALONE PRZEZ SIOSTRY SZRODECKIE Z KOŻAN

„Kožany »...na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju, stał dwór szlachecki, z drzewa lecz podmurowany, świeciły się z daleka polielane ściany...« – a było to w Kożanach (koło Strabli) – gdzie przyszłam na świat w 1929 r. Urodziłam się prawdziwą z krwi i kości ziemianką, a podły los skaleczył moje życie”¹.

Kožany to majątek, o którym pierwsze wzmianki pojawiły się w 1504 r., jako o części wielkoksiążęcych włości surażskich. Potem, prawem potwierdzonym przez ks. Aleksandra Jagiellończyka, jego właścicielem był Mikołaj Jundziłowicz. Od 1540 r. majątek należał do rodu Lewickich. W XIX w. Kożany stały się własnością skoligaconych Janiewiczów i Giedroyców. Babka Haliny Olszewskiej, Maria księżna z Giedroyców Szrodecka, pieczętowała się herbem Hippocentaurus z różą (Hippocentaurus i Poraj)².

Jerzy Szrodecki, syn Stefana i Marii Giedroyć, ur. w 1900 r., w tym stuhektarowym majątku był ostatnim dziedzicem. W młodości odebrał wykształcenie rolnicze. Jako uczestnik wojny polsko-bolszewickiej był kontuzjowany pod Mińskiem (przestrzelone płuco, uszkodzony bark i obojczyk). W 1921 r. ukończył Szkołę Podchorążych w Grudziądzu jako podporucznik. W okresie międzywojennym zawarł związek małżeński z Ireną w Wyrzykowskich. Z tego związku urodziły się: Halina Irena – w 1929 r. i Melania Janina – w 1930 r. Ze względu na zły stan zdrowia Jerzy nie był zmobilizowany we wrześniu 1939 r., wkrótce jednak został aresztowany przez Sowieców (w październiku 1939 r.; wrócił po dwu tygodniach); w końcu roku 1939 – aresztowany ponownie przez NKWD – został osadzony w więzieniu w Mińsku.



Halina Olszewska w 1932 r.
(fot. ze zbiorów Danuty Rybakowskiej)

„Durne Polaczki”

Po aresztowaniu Jerzego Szrodeckiego jego żona Irena opuściła Kożany i ukrywała się w różnych miejscach. Umieściła młodszą córkę, Melanię Janinę, u kuzynów w Bielsku Podlaskim. We dworze została matka Ireny – Leokadia Wyrzykowska – wraz z młodszą córką, Haliną. W nocy 13 kwietnia 1940 r. Halina z babcią Leokadią Wyrzykowską (i niewielkim dobytkiem) zostały załadowane przez NKWD na dwa wozy i przewiezione furmankami na stację Lewickie. W tym czasie, jakby wiedzona rodzicielską intuicją, Irena Szrodecka – zmęczona tułaczką i ukrywaniem się u sąsiadów i kuzynów – postanowiła powrócić z młodszą córką do Kożan. W drodze do majątku dowiedziała się, że aresztowane przez NKWD Leokadia i Halina przebywają w wagonie kolejowym na stacji Lewickie, gdzie niezwłocznie się udała.

¹ A. Monieta, *Stygmaty bólu psychicznego u sybiraków*, Białystok 2004, s. 162.

² H. Olszewska, *Moja droga ciernista*, red. D. Rybakowska, Białystok 2001, s. 1–7, mps.

Halina dostrzegła matkę na peronie, zawołała więc: „Tutaj, mamusiu, my tutaj!”. Irena wsiadła do bydlęcego wagonu dobrowolnie, co sowiecki żołnierz skwitował: „*Ot, durna Polaczka, sama dobrowolnie na Sybir jedzie!*”.

Upiorna podróż w zamkniętych wagonach trwała szesnaście dni. Do celu, którym był Suchocin-Krasnoarmiejsk, dotarli 29 kwietnia 1940 r. Początkowo zamieszkały w kołchozie Nowodworówka, który tak wspominała Halina: „Wczesnym rankiem cichutko wstałam i wyszłam na dwór. Było to 30 kwietnia 1940. Idę w stronę wioski. Niedaleko naszej chaty była droga, na drodze stała wysoka brama wykonana z kijów – dwa po bokach, u góry poprzeczny. Była udekorowana suchymi pomietluchami, dorodnym piołunem i białymi kwiatami trawy stepowej. Pomiędzy tą dekoracją wisiały czerwone flagi i pełno stalinowskich portretów. Czegoś takiego jeszcze nie widziałam. Więc rozpytywałam ludzi co to jest. *Ot durna Polaczka*. A oni na to, że jutro jest pierwszego maja i będą świętować. To dlatego tę datę mego przyjazdu tak dobrze zapamiętałam, a dzień pierwszego maja zawsze kojarzy mi się z tragicznym początkiem naszego losu”³.

Potem Halina wraz z siostrą, mamą i babcią trafiły do kołchozu „Zielony Gaj” w Czałowskim Rejonie Siewierokazachstańskiej Oblaści. „Zielony Gaj to nasza prawdziwa i długoletnia katorka, nasza zguba, zniszczone dzieciństwo i to, co najdroższe...”⁴ Podczas sześcioletniego pobytu w Kazachstanie kobiety doznały wszelkich możliwych upokorzeń, represji, niewyobrażalnej biedy i nędzy. „Ja doskonale wiem, że zostaliśmy skałeczeni na całe życie przez sowieckich oprawców. Kiedy człowiek zostanie tak mocno zraniony, niewinnie i bezprawnie, staje się zamknięty w sobie, ostrożny i nieufny w stosunku do wszystkich i wszystkiego. Polega jedynie na sobie, hamuje się i odsuwa od siebie nawet to, co jest prawnie dostępne. I z ciągłym lękiem przed jutrem. Takie cechy charakteru, wryte głęboko są już nie do naprawienia i czasami krzywdzą bliskich. Jest to po prostu nieuleczalne kalectwo. A może się mylę?”⁵

Tymczasem ginęły Kożany. Aresztowanie, a następnie deportacja właścicieli majątku, były pierwszym aktem zagłady. W ruinę popadł dwór, który wkrótce został rozszabrowany i rozebrany. Jego właściciele, Szrodeccy, oddzieleni od siebie, byli poddawani przez Sowietów kolejnym represjom. Jerzy, sądzony przez władze sowieckie, otrzymał wyrok śmierci, zamieniony później na ciężkie więzienie. Irena Szrodecka na początku sierpnia otrzymała powiadomienie o przesyłce pieniężnej w wys. 1460 rubli, jako „zapłatę” za pozostawiony w Polsce majątek. Spowodowało to u niej załamanie nerwowe – ciężko zachorowała i zmarła w szpitalu 26 sierpnia 1940 r. Została pochowana na kołchozowym cmentarzu, w jej grobie córki zakopały też buteleczkę z kartką, na której były informacje o zmarłej. Halina wzięła teraz na siebie odpowiedzialność za siostrę i babcię:

„Ja zaś w jednym sobie mogłam powetować – nigdy nie pozwoliłam się poniżyć. Zachowywałam się niczym drapieżne zwierzątko. To jedynie moja biedna siostra była przez wszystkich krzywdzona. Ja tych subtelności wtedy nie pojmowałam i wcale jej nie pomagałam. Wydawało mi się, że i tak dużo dla nich robię, dźwigając na swoich chudych, dzieciennych barkach ogrom odpowiedzialności i poczucia obowiązku; aby chociaż raz dziennie była zupa i opał na przygotowanie posiłku. Nie pamię-



Jerzy Szrodecki w mundurze polskim, Londyn

Fot. ze zbiorów Danuty Rybakowskiej

³ *Ibidem*, s. 23.

⁴ *Ibidem*.

⁵ *Ibidem*, s. 54–55.

tam dnia, aby był bez jedzenia. Lepiej, gorzej, mało, więcej, ale zawsze coś tam jadłyśmy. Zwłaszcza zimą i na przednówku, kiedy było najtrudniej”⁶.

W 1941 r. do babci i wnuczek przypadkiem dotarła wiadomość, że Jerzy Szrodecki żyje. Przebywał w więzieniu w Tobolsku. Po amnestii zwolniony z więzienia w początkach stycznia 1942 r., do marca tego roku pracował jako robotnik; a od 7 kwietnia 1942 r. przebywał w Guzarze, w ośrodku organizacji armii polskiej. Wysłał kartkę do Zielonego Gaju, powiadamiając córki i teściową, że żyje. Chorego, na noszach przewieziono na statek, którym odpłynął do Persji; 17 lipca 1942 r. przekroczył granice Iranu. Gdy powrócił do zdrowia, wstąpił do armii gen. Władysława Andersa. Pozostawał w stopniu porucznika rezerwy, ze względu na duży stopień inwalidztwa (miał nie w pełni władną prawą rękę). Kilkakrotnie posyłał rodzinie niewielkie paczki i wiadomości, z Teheranu, a potem z Kairu⁷. Po wojnie Jerzy osiadł w Wielkiej Brytanii, przeszedł roczny kurs przystosowawczy, zdobył zawód mechanika. Zamieszkał w Londynie, początkowo pracował w fabryce jako robotnik. Wkrótce, wraz z towarzyszem z armii Andersa, kupili wspólnie na kredyt dom, który niedługo zaczął przynosić dochód. Po wojnie nigdy nie odwiedził Polski. Zmarł 23 lutego 1966 r., został pochowany na cmentarzu pod Londynem.

Z wieloletniej, prowadzonej z uporem korespondencji z rosyjskimi i białoruskimi urzędami, jaką prowadziła Halina Olszewska, dopiero w 2006 r. uzyskała nowe informacje o ojcu. Według zaświadczenia z 16 listopada 2006 r., nr 13/238-2006, wydanego przez Prokuraturę Republiki Białoruś na Obwód Grodzieński informowano: „na podstawie danych zawartych w archiwalnych aktach sprawy karnej potwierdza, iż Szrodecki Jerzy syn Stefana ur. w 1900 r. w majątku Kozany w gm. Zabłudów, woj. białostockie, Polak, ziemianin, został aresztowany 14 marca 1940 r. przez organy NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) woj. biał. i pociągnięty do odpowiedzialności karnej z art. 64 i 67 kk BSRR za to, że był uczestnikiem i jednym z przywódców kontrrewolucyjnej, bojowej organizacji powstańczej, działającej na terenie woj. biał., której celem było wzniesienie powstania zbrojnego przeciwko władzy radzieckiej, posiadał broń palną”⁸.

Halina i Jasia oraz ich babcia Leokadia 3 marca 1946 r. zostały zawiezione na stację Suchocin, na którą trafiły przed sześcioma laty. Podczas spotkania z młodzieżą „Na nieludzkiej ziemi” w białostockim IPN w lutym 2006 r. Halina wspominała: „Kilometr od kołchozu jest cmentarz. Tam 26 sierpnia 1940 r., w cztery miesiące po zsyłce, pochowałyśmy z siostrą naszą mamę. Miała 32 lata. Ja wtedy skończyłam 11 lat, siostra 9. Zostałyśmy same z babcią. Ojca aresztowało NKWD, o jego losach nic wówczas nie wiedziałyśmy... Biorę ogarek świeczki i brnę w kierunku cmentarza. Nogi zapadają w zaspach po kolana, próbuję czołgać się. Nie dają rady, ręce też się zapadają. Zmarznięta skorupa śnieżna kłuje niczym szkło.



Fot. ze zbiorów Danuty Rybakowskiej

Jerzy Szrodecki, Londyn

⁶ *Ibidem*, s. 59.

⁷ H. Olszewska, *Wspomnienie o śp. Jerzym Szrodeckim*, [Białystok 2004], mps.

⁸ Tłumaczenie dokumentu z jęz. rosyjskiego: Grażyna Nazaruk tł. przysięgły, Rep. 350/06, Białystok, 14 XI 2006 r.; zbiory D. Rybakowskiej.

Zapalam świeczkę i z całej siły rzucam w stronę cmentarza z okrzykiem: – Mamo, ja tu jeszcze wrócę!?. To postanowienie, jak się potem okazało, było dla niej w życiu busolą i imperatywem.

Powrót do kraju – najpierw do Warszawy, potem z powrotem do Białegostoku i ukochanych Kożan – był bardzo bolesny. Zamiast ubrania – łachmany; język ojczysty – skażony obcym, wyśmiewanym akcentem i sieroctwo wraz z wykluczeniem: „Idę przed siebie z nisko pochyloną głową i po raz pierwszy odnajduję w sobie gorycz upokorzenia i poniżenia na rodzinnej ziemi, w ostatnich minutach przed zakończeniem naszej okrutnej, sześćioletniej poniewierki. Uczucie wstydu było mi obce w Kazachstanie, a tutaj, w tym zderzeniu z ponurą dla mnie rzeczywistością, zapiekło aż do bólu.

Byłam w końcu prawie dorosłą panną i tak, jak każdej młodej dziewczynie w najtrudniejszych nawet warunkach zależy na ładnym wyglądzie, tak i mnie zależało. Czułam się zdeptana przez parzywy los i do dzisiaj przeżycie to głęboko tkwi we mnie. I nadal piecze w środku pamięć o nim. [...] Idę dalej i w okolicach ryneczku na Bojarach pytam przechodnia o ulicę Starobojarską. Ten ktoś poprawia moją fatalną wymowę i pokazuje ręką kierunek. Numer znałam, więc szybko trafiam, wchodzę do sieni i tu mrozi mnie strach – boję się zapukać.

Co tu się dziwić. Na dowód wystarczy powiedzieć, że zapamiętałam na zawsze reakcję ciotki na mój widok. Oni wcale nie spodziewali się, że kiedykolwiek powrócimy z zesłania. Byli przekonani, że tam zginiemy. Weszłam w końcu do środka. Poznali mnie. Dali mi jeść, ale nie zapytali, co zamierzam dalej robić. U ciotki była moja siostra cioteczna, która poszła ze mną na stację po siostrę i Babcię. Babcia postanowiła zostać w mieście u rodziny, my zaś – wracać do Kożan. Do Strabli dojechałam bez biletu, gdyż nie miałam pieniędzy. Ponieważ doskonale znałam tę stację i pamiętałam drogę do domu, więc prawie biegłam – przez most na Narwi, potem znajomymi ścieżkami, zarośniętymi o sześć lat wyższymi krzewami.

W pobliżu wioski spotykam miejscową kobietę, która mnie rozpoznała. Popłakała się i po białorusku mówi: – Dokąd ty idziesz, tam już wszystko zajęte. Nie uwierzyłam, pognałam jak nieprzytomna, aby w końcu na własne oczy przekonać się, że nasze rodzinne gniazdo było zajęte przez obcych ludzi. Nam rzeczywiście miejsca nie było. Co pozostawało? Miasto i bruk?!”

Halina nie poddawała się. Mimo bezprawnego pozbawienia jej majątku i pozostawienia bez środków do życia oraz zakazu zamieszkania w skonfiskowanym przez reformę rolną majątku. Postanowiła usamodzielnić się, wiedząc, że nie ma szans na zamieszkanie w dawnym majątku. W 1948 r. zawarła związek małżeński ze Stanisławem Olszewskim. Początkowo mieszkali w Filipach, gmina Narew. Wkrótce przyszły na świat dzieci – córka Irena, która żyła 9 miesięcy, córka Danuta, a następnie syn Jerzy. Olszewscy przeprowadzili się do Białegostoku. W 1965 r. Halina eksternistycznie zdała maturę, pracowała jako ekonomistka w instytucjach oświatowych w Białymstoku. Karierę zawodową zakończyła na stanowisku dyrektora ekonomicznego Kuratorium Oświaty i Wychowania, skąd odeszła na emeryturę w 1985 r. Cały ten czas pielęgnowała pamięć o rodzicach i marzyła o odzyskaniu rodzinnego gniazda, przerobionego na PGR. Czuła niesprawiedliwość i żal.

Halina wyjechała do Londynu pierwszy raz po 1956 r. Początkowo odmówiono – jej i niespełna rocznemu synowi Jerzemu – paszportu, potem udzielono indywidualnego pozwolenia. Halina spotkała się z ojcem w wolnym kraju, po czym wróciła do Białegostoku. Pytała ojca o jego losy, o pobyt w sowieckich więzieniach, armii gen. Andersa; Jednak zarówno podczas pierwszej wizyty, jak i kolejnych, Jerzy niechętnie wracał pamięcią do dawnych czasów. Uważał też, że nie powinien przekazywać informacji córce i – pomny brutalnych śledztw w sowieckich więzieniach – na jej dociekliwe pytania odpowiadał, że im mniej się wie, tym lepiej: „Podczas moich podróży do Londynu często chodzimy z Ojcem do kawiarni Lions’a na kawę i słynną rybę z frytkami. Rozmawialiśmy wtedy bardzo dużo na różne tematy. Pytałam o okres życia, kiedy mnie opuścił. Zbysław mnie zawsze jednym zdaniem – wracasz do komunistycznej Polski i lepiej będzie, jak nie będziesz wiedziała. [...] Jedno tylko udało mi się od niego usłyszeć, że więzienie w Mińsku było straszne. Zapytałam go, dlaczego wskazał dla NKWD miejsce ukrycia broni w majątku. Odpowiedział »musiałem«. Wtedy, podczas przesłuchania w więzieniu, siedział za olbrzymią ścianą ze szkła, kiedy do pomieszczenia

⁹ H. Olszewska, *Moja...*, s. 90.

przyprawiono dwie dziewczynki. Oprawcy wzięli piłę i udawali, że chcą odpiłować im głowy. Powiedzieli Ojcu – tak zrobimy z Twoimi córkami.

W 1958 r. wracałam po miesięcznym pobycie u Ojca. Wchodząc na schodki małego samolotu linii lotniczych Sabena widziałam, jak Ojcu płyną łzy. Nigdy dotąd nie widziałam go płaczącego. Kiedy następnym razem pojechałam znów do Londynu, zapytałam Ojca, dlaczego wtedy płakał. Odrzekł krótko: »Ty wracałaś do Polski, a ja tam żywy nigdy nie wrócę«. Po tylu latach rozumiem, dlaczego nie chciał o tym rozmawiać. Dlaczego milczał na temat swoich przeżyć w więzieniach sowieckich i przebytych śledztwach. Podczas naszych spotkań czasami prosiłam go, aby przyjechał do kraju chociaż na parę dni. Nie chciał. Tłumaczył, że nie wie, jak przeżyłby ruinę Kożan lub ewentualne ludzkie drwiny z jego życiowej porażki. Jest to teraz dla mnie zrozumiałe, gdy przez lata obserwuję dewastację Kożan, jak je depczą obcy ludzie i czerpią z tego korzyści¹⁰.

Od momentu starania się o paszport Halina była poddawana inwigilacji przez komunistyczny aparat represji. Kilkakrotnie odmówiono jej wydania paszportu. W jednej z notatek, złożonych w pe-katej teczce paszportowej Haliny Olszewskiej czytamy: „Na w/w założono d. 16.12.1964 r. sprawę operacyjnego sprawdzenia z uwagi na fakt, że Olszewska Halina jest wrogo ustosunkowana do ustroju PRL i ZSRR oraz czterokrotnie wyjeżdżała do Wlk. Brytanii w odwiedziny do ojca Szrodeckiego Jerzego. Ojciec jej należał do organizacji polonijnych, w ramach których prowadził wrogą działalność przeciwko PRL. Powyższe stanowiło podstawę do wyjaśnienia, czy wymieniona nie weszła w kontakt z obcym wywiadem. W ramach sprawy wyjaśniono, że Olszewska nie prowadzi szpiegowskiej działalności na terenie naszego kraju, mimo że jest wrogo ustosunkowana do ustroju PRL, a do ZSRR w szczególności. Podczas pobytu w Wlk. Brytanii, wraz z ojcem, siostrą i szwagrem odwiedzała m.in. Klub Kombatantów, Ognisko Polskie, gdzie poznała byłych wyższych oficerów wojskowych. Prowadzone z nią rozmowy przez pracowników SB nie utrzymuje w tajemnicy, lecz o fakcie i treści rozmowy opowiada znajomym, m.in. mówiła żonie t.w. ps. »Konrad«, iż ją nastawiają, aby w czasie pobytu w Wlk. Brytanii szpiegowała, co robią Polacy tam zamieszkali i co w ogóle jest w Wlk. Brytanii, lecz ona nie wyraziła zgody. W rozmowie z t.w. ps. »Roman« stwierdziła, że jest posądzona o szpiegostwo na rzecz Wlk. Brytanii, a o szpiegostwo posądzają ją dlatego, że nie zgodziła się na współpracę z organami SB. Jej ojciec, zaciekle wróg PRL i ZSRR, prowadzi wrogą działalność polityczną w duchu nienawiści do komunizmu. Przed wojną posiadał 100 ha ziemi w bielskim powiecie, był oficerem WP do 1939 r. W 1940 r. został wraz z rodziną internowany do ZSRR. Jako były oficer WP przez władze radzieckie został aresztowany, następnie wstąpił do armii Andersa, z którą przedostał się do Wlk. Brytanii. Z uwagi na brak faktów wskazujących na to, aby Olszewska pozostawała na usługach obcego wywiadu, nie ma dostępu do spraw tajnych i nie nawiązuje kontaktów z osobami mającymi dostęp do spraw tajnych, sprawę zakończono 30.09.1966 r.»¹¹

„Materiały zawarte w niniejszej sprawie pochodzą od t.w. »Roman«, t.w. »Konrad« i k.o. »RD« oraz ze sprawdzeń korespondencji. Wiadomości o Halinie Olszewskiej są szerokie i wyczerpujące. Wiadomo, że Olszewska to wróg PRL, znamy jej charakter osobisty, stopę życiową i zamiary w życiu prywatnym [...]»¹².

Olszewska była rozpracowywana w ramach sprawy „Turyści” i „Zapora”. Oceny jej osoby pozostawały wciąż takie same. I tak w 1966 r. oficer II wydziału KW MO w Białymstoku pisał: „W konkluzji należy stwierdzić, że Olszewska nigdy nie będzie przyjacielem ustroju socjalistycznego z uwagi chociażby na to, że pochodzi z rodziny obszarniczej”¹³

W 1969 r. KW MO w Białymstoku odmówiła wydania Olszewskiej paszportu na wyjazd. Znów stała się nieugięta i złożyła odwołanie do Biura Paszportów i Dowodów Osobistych MSW, w którym pisała:

¹⁰ H. Olszewska, *Wspomnienie...*, s. 7.

¹¹ AIPN Bi, 0037/98, Materiały zgromadzone w wyniku obserwacji osób starających się o wyjazd lub wyjeżdżających do Wielkiej Brytanii, Australii, Kanady, utrzymujących kontakt z obywatelami wym. państw, L-O, k. 168–168v.

¹² *Ibidem*.

¹³ AIPN Bi, 452/9591, Akta paszportowe Haliny Olszewskiej, brak paginacji.

„W ostatnim słowie przed śmiercią woła ojca mego było zlecenie mi postawienia nagrobka na jego mogi-
le. Ubiegając się w bieżącym roku o zezwolenie na wyjazd do Anglii, chciałam wykonać ciężącą na mnie
zobowiązanie nałożone przez ojca. Wobec faktu odmówienia wydania zezwolenia na wyjazd, nie będę
mogła wypełnić ostatniej woli ojca, skądinąd tak bardzo drogiej i zobowiązującej [...]”. Wkrótce odmo-
wę cofnięto. Halina pojechała do Londynu. Wraz z siostrą Janiną na cmentarzu Stretham w Londynie
postawiły ojcu pomnik z napisem: „Odpoczywaj w Bogu. Rot. Jerzy Szrodecki lat 66. Nie danym ci było
spocząć w polskiej ziemi, daj ci Boże spokój między obcymi. Najdroższemu ojcu córki”.

Młodsza córka Szrodeckich – Melania Janina – po ukończeniu nauki w Białymstoku założyła rodzi-
nę, wyszła za mąż za architekta Ryszarda Koczberskiego, potem wyjechała z Białegostoku i mieszkała
kilka lat w Częstochowie. Tam też zmarł jej malutki synek Grześ. Następnie, po rozwodzie z mężem,
powróciła z córką Dorotą do Białegostoku i zamieszkała wraz z siostrą Haliną. Po raz pierwszy, po
kilkunastu latach rozłąki, spotkała się z ojcem w Londynie w 1957 r. W 1959 r. odmówiono jej pasz-
portu. Dopiero w końcu roku 1961, decyzją Sądu Powiatowego w Białymstoku otrzymała pozwolenie
na wyjazd małoletniej córki Doroty. Po szczęśliwym przybyciu do Wielkiej Brytanii, Melania Janina
zamieszkała wraz z ojcem, którego otoczyła troskliwą opieką. W 1962 r. zawarła związek małżeński
z Mieczysławem Kwiatkowskim, byłym żołnierzem armii gen. Andersa i przyjęła obywatelstwo brytyj-
skie; w 1963 r. otrzymała polski paszport konsularny¹⁴. Pracowała w polskich instytucjach na emigra-
cji. Z tego m.in. powodu była poddawana inwigilacji przez SB podczas swoich podróży do Polski. Na
przykład w sierpniu 1970 r., podczas pobytu w Sopocie była obserwowana przez TW „Romana”, który
sporządził notatkę o swoim pobycie w Grand Hotelu, gdzie przebywała Melania Janina Kwiatkowska
wraz z ośmioosobową grupą przyjaciół z Anglii oraz Haliną Olszewską¹⁵. Z kolei w listopadzie 1974 r.
„Ajax” donosił: „Wiadomym jest, że w m-cu listopadzie przyjechała na pobyt czasowy ob. J. Kwiatkow-
ska z Wlk. Brytanii do siostry H. Olszewskiej, zam. w B-stoku [...]. Zatrudniona jest ona w Carlton Jr
Club przy Pallmal w Londynie jako szefowa personelu klubowego. Powyższy klub jest najważniejszym
klubem partii konserwatywnej. Do klubu tego uczęszczają przywódcy partii konserwatywnej”¹⁶.

Od początku pobytu w Londynie Melania oddała się działalności charytatywnej w akcjach orga-
nizujących zbiórki pieniędzy na ten cel: m.in. podczas balów charytatywnych, tomboli – szczególnie
tych organizowanych w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym. Obecnie jest kierownikiem Sekcji
Społecznej i komisji działającej w POSK, zajmującej się wszechstronną pomocą Polakom na emi-
gracji, których dotknęły różne dramaty losowe. Komisja ma w swojej dyspozycji fundusze, zbiera
je w różnych akcjach charytatywnych z przeznaczeniem na leczenie, operacje w Anglii, na bilety
powrotne do kraju... Melania regularnie odwiedza Polaków w szpitalach, więzieniach, służy im jako
tłumacz. Szczególnie blisko jest związana z pensjonariuszami domów opieki; w jednym z nich (An-
tokol) znalazła się przed trzema laty aktorka Włada Majewska (znana z Lwowskiej Fali w Radiu
„Wolna Europa”), prawie już stulatka, z którą są serdecznie zaprzyjaźnione. Janina Kwiatkowska jest
członkiem zarządu w Zjednoczeniu Polek, które corocznie wydaje 100–150 tys. funtów na pomoc dla
Polaków w kraju i dla Polonii (m.in. wysyłano pieniądze dla Polaków w Kazachstanie). Zjednoczenie
współpracuje ze Wspólnotą Polską w Warszawie i w Białymstoku, które pośredniczą w przekazywaniu
pomocy finansowej w kraju oraz na Kresy, zarówno dla instytucji polskich, jak osób prywatnych.
Praca społeczna zaowocowała też trwałymi przyjaźniami w środowisku, m.in. z Karoliną i Ryszardem
Kaczorowskim, ostatnim prezydentem RP na uchodźstwie.

Pamięć o rodzicach i godne ich upamiętnienie była dla obu siostr jednym z najważniejszych zadań
życiowych. Kulturowanie tradycji, pielęgnacja rodzinnych grobów, cmentarzy i miejsc związanych
z historią przodków, przywiązanie do pamiątek rodzinnych, tak bardzo naturalne w przedwojennej
społeczności ziemiańskiej, były podtrzymywane przez nie przez wiele lat, mimo przeciwności losu.

W lutym 1988 r., w jedną z bezsennych nocy Halina podjęła kolejną kluczową decyzję – musi
pojechać do Kazachstanu i tam odnaleźć grób matki. Przez kilka miesięcy przygotowywała się do tej

¹⁴ AIPN Bi, 43/A 123/47, Akta paszportowe: Melanii Janiny Koczberskiej-Kwiatkowskiej.

¹⁵ AIPN Bi, 452/9591, Akta paszportowe Haliny Olszewskiej, k. 20.

¹⁶ *Ibidem*, k. 59.

dalekiej wyprawy. Były to wizyty w ambasadzie sowieckiej w Warszawie, pisanie listów do kołchozu Zielony Gaj, rezerwacje biletów... Wreszcie 17 września 1988 r. wylądowała w Kokczetawie i stamtąd przyjechała do siedziby kołchozu, którego *predsiedatiele*m był Stanisław Bagiński. Odnalazła cmentarz, umówiła się z władzami kołchozu, że przywiezą i zainstalują matce pomnik z lastriko, z krzyżem. Dopięła swego: „Znowu tu jestem. Przywiózł mnie przewodniczący kołchozu Zygmunt Bagiński. Zaprosił do siebie. Jeszcze tego samego dnia poszłam na cmentarz. Nie zmienił się, ale był już ogrodzony i krowy na nim się nie pasły, jak kiedyś. Stałam między trzema kurhankami i zastanawiałam się, gdzie leży mama. Obok był cmentarz Czeceńców, również staraniem kołchozu ogrodzony. W Zielonym Gaju byłam sześć dni. Zygmunt Bagiński obwiał mnie po okolicy, spotkałam wielu znajomych. 15 km stąd znajdowało się słone jezioro, gdzie chodziliśmy boso po sól. Zostało rozmyte, a ja pamiętam, woda była tak słona, że z litra wychodziła szklanka soli. Kołchoz wystarał się mamie o pomnik. Jeździli po niego aż 300 km. Kosztował 300 rubli. Przewodniczący kołchozu nie zgodził się przyjąć pieniędzy. Powiedział, że to za te lata naszej pracy na zesłaniu. Przesiadywałam na cmentarzu pomimo nieustannie wiejącego wiatru. Dopiero ostatniego dnia, tuż przed wyjazdem, wiatr ucichł. Ciemnym jeszcze świtem pobiegłam na cmentarz pożegnać się już na zawsze. Wtedy też zapaliłam znicz obiecaną mamie. Wróciłam bezpiecznie do kraju. Kiedy wspominam tę podróż, to wydaje mi się, jakby to był sen. Sześć tysięcy kilometrów. Przesiadki. Oczekiwanie na połączenia. Noclegi w obcych domach. Nie czułam żadnych trudów. Bo to nie tylko prosta historia, to zrealizowana wizja, zakorzeniona w mojej pamięci i w moim sercu. Po przeszło 40 latach ponownie zetknęłam się z przeszłością. Pomimo że Kazachstan nie był już taki straszny, ale przeżyte piekło na ziemi stanęło mi przed oczami. Ożyły na nowo wspomnienia. Głodu, poniżenia, zimna. To wszystko przekuło się w mój bunt i sprzeciw. Niech się dzieje, co chce. Chociaż czasy były jeszcze niesprzyjające nam, Sybirakom, postanowiłam zorganizować spotkanie byłych zesłańców. Dość już ukrywania się niczym trędowaci. Tylko problem, gdzie zorganizować takie spotkanie. Poszłam do inspektora oświaty, śp. Krzysztofa Stolarza. Znał moją tragedię. Powiedział, że nawet jeśli go za to zwolnią z pracy, on da nam lokal na taki cel. W gazecie ukazała się mała wzmianka o spotkaniu”.

Oto 13 stycznia 1989 r. Dom Nauczyciela w Białymstoku, przy ul. Warszawskiej. Halina Olszewska powołuje do życia późniejszy oddział Związku Sybiraków w Białymstoku. W 1990 r. stała się



Halina Olszewska i Jerzy Szrodecki w Londynie, marzec 1957 r.



Melania Janina Kwiatkowska z prezydentem Ryszardem Kaczorowskim

współzałożycielką Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego Oddział w Białymstoku, w którym piastowała przez wiele lat funkcję skarbnika i członka zarządu. Od 1991 r. walczyła o odzyskanie majątku w Kożanach, pomagała i wspierała także innych członków związku, którzy starali się o odzyskanie swoich włości, w tym mienia zabużańskiego. Poświęciła na to całą swoją energię i zdrowie. Mimo załatwienia – z ogromnymi trudnościami – formalności prawnych, sąd podjął decyzję o zwrocie tylko 32 ha ziemi w Kożanach. Jednak potomkowie rodu Szrodeckich nie mogli fizycznie odzyskać majątku. Halina pisała kolejne petycje i prośby, także do Trybunału Europejskiego w Strassburgu. Zmarła 26 września 2009 r. w wyniku komplikacji po wcześniejszym udarze mózgu.

„Minęło sześćdziesiąt lat, jak pozbawiono nas dzieciństwa, odcięto od korzeni pozbawiając wolności, radości i własnego domu. Pozostawiono nas ze zwichniętą psychiką i towarzyszącą całe życie goryczą. Można tylko zadawać pytania bez odpowiedzi: jakim prawem? Dzisiaj jest 19 luty 2001 r., kiedy kończę te wspomnienia. Jedno dziś wiem, że nie pokonało nas NKWD, nie pokonała nas komuna, która przez pół wieku gnieździła się w mojej Ojczyźnie.

Jestem dumna, że nie schylałam głowy i nie ugierałam karku dla kariery, nie splamiłam sumienia ani rąk. Z podniesioną głową chodziłam i chodzę ulicami naszego miasta.

I wreszcie po 60 latach odzyskałam swoją ojcowiznę. Wysądziłam ją. Jest to dla mnie bolesne, ponieważ wróciła do mnie grubo za późno. Reforma rolna zabrała nam wszystko. Miałam 17 lat. Wszystko musiałam zaczynać od nowa. Mówi się: trzeba wybaczyć. Wolna wola. Niech każdy robi według własnego uznania. Ja nie mam żalu do narodu rosyjskiego. Oni strasznie wycierpieli. Własna ojczyzna zrobiła z nich niewolników, zapelniając gułagi. A potem jeszcze podniosła rękę na Polaków. Nikt nas za to nie przeprosił, nie zapłacił za katorżniczą pracę. Tego nie można zapomnieć”¹⁷.

¹⁷ H. Olszewska, *Moja...*, s. 90.

JANINA CZAPLIŃSKA

(GÓRSKA, „ALEKSANDRA”, „BIRUTA”, „JANECZKA”) 1916–2011

Urodzona 11 czerwca 1916 r. w Lipicy Dolnej niedaleko Stanisławowa. W 1935 r. ukończyła naukę w Gimnazjum im. Królowej Jadwigi w Krakowie. W latach 1935–1939 studiowała psychologię i pedagogikę na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Działała w Małopolskim Związku Młodzieży Ludowej, Akademickim Związku Młodzieży Wiejskiej oraz Związku Młodej Wsi (jako sekretarz Zarządu Wojewódzkiego w Krakowie). Na drugim kongresie Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej w listopadzie 1936 r. została wybrana do składu Prezydium Kongresu. W latach 1938–1939 była wykładowczynią na Orkanowskim Uniwersytecie Ludowym w Szybach k. Krakowa.

W konspiracji od 1939 r. na terenie okręgu krakowskiego współorganizowała Chłopską Organizację Wolności „Raclawice”. Od kwietnia 1940 r. była w Warszawie łączniczką Romualda Tyczyńskiego i zajmowała się kolportażem prasy podziemnej. Została też członkinią Centralnego Komitetu Chłopskiej Organizacji Wolności „Raclawice”. Od 1940 r. należała do Komisji Oświatowej „Raclawice”. W CK zajmowała się sprawami oświaty oraz łączności zewnętrznej. Brała udział w zjeździe „Raclawic” w lutym 1944 r., na którym przedstawiła stan prac nad powołaniem Chłopskiego Towarzystwa Oświatowego.

Od 1942 r. pracowała w Biurze Prezydyjnym Delegatury Rządu na Kraj, najpierw jako łączniczka, następnie jako kierowniczka łączności. Była łączniczką władz cywilnych w Powstaniu Warszawskim, w tym pierwszego zastępcy delegata Rządu – Adama Bienia. Po upadku powstania została wywieziona przez Niemców do Turynii, gdzie pracowała przymusowo w fabryce broni koło Eisenach, a następnie w karnym obozie pracy w Rudersbergen.

Po powrocie do kraju w 1945 r. organizowała Uniwersytet Ludowy w Raclawicach k. Miechowa. W październiku 1945 r. została zatrudniona przez PSL w Warszawie do prac kulturalno-oświatowych. W latach 1948–1953 pracowała w Ministerstwie Kultury i Sztuki.

Była przesłuchiwana przez funkcjonariuszy MBP. Zwolniona z MKiS, utrzymywała się z prac dorywczych. Po 1956 r. pracowała w Pracowni Konserwacji Zabytków. Potem aktywnie działała w Towarzystwie Przyjaciół Dzieci, w poradnictwie społeczno-wychowawczym. W 1976 r. przeszła na emeryturę; nadal działała społecznie. W 2009 r. została odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarła 27 lutego 2011 r. w Warszawie. Została pochowana na cmentarzu w Powsinie.

Przez szereg lat dbała o pamięć o żołnierzach i pracownikach Polski Walczącej. Organizowała i inspirowała działalność naukową, a zwłaszcza popularyzatorską w tym zakresie. Zawsze bardzo skromna, unikała mówienia o sobie i swoich zasługach. Typowym tego przykładem są jej wspomnienia *Moje lata pracy w czasie II wojny światowej*, opublikowane w roku 1998. Dowiadujemy się z tego tekstu o bohaterstwie i zasługach kierownictwa oraz szeregowych żołnierzy „Raclawic” i różnych struktur Polskiego Państwa Podziemnego. O samej Pani Janinie jest tam bardzo mało informacji. Ona była tylko łączniczką, kolporterka... ważni i bohaterscy byli inni. Cóż za piękna postawa... zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

Brak nam będzie Pani, Pani Janino...



WALDEMAR GRABOWSKI

Aneta Błaszowska – wnuczka żołnierza 2 Korpusu PSZ, uczestnika Bitwy o Monte Cassino.

Justyna Błażejowska – historyk; autorka m.in. *Papierowa rewolucja. Z dziejów drugiego obiegu wydawniczego w Polsce 1976–1989/1990*.

Marcin Chorążki – dr historii, pracownik Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Krakowie; autor *Ziemianie wobec wojny. Postawy właścicieli ziemskich województwa krakowskiego w latach 1939–1945*.

Waldemar Grabowski – dr n. hum., pracownik BEP IPN, autor m.in.: *Państwo polskie wychodzi z podziemi. Cywilne struktury Polskiego Państwa Podziemnego w Powstaniu Warszawskim*.

Adam Hlebowicz – historyk, publicysta, dziennikarz; autor książek o Kościele katolickim i Polakach na Wschodzie, m.in. *Wielkie Księstwo Pana Boga i okolice*.

Sławomir Kalbarczyk – dr n. hum., pracownik BEP IPN; opublikował m.in. *Polscy pracownicy nauki – ofiary zbrodni sowieckich w latach 1939–1945*.

Agnieszka Łuczak – dr, naczelnik OBEP IPN w Poznaniu; zajmuje się problematyką grabieży polskich dóbr kultury podczas okupacji niemieckiej i podziemiem zbrojnym w latach 1939–1945 w Wielkopolsce.

Marcin Markiewicz – dr n. hum., pracownik OBEP IPN w Białymstoku; autor m.in.: *Kolektywizacja wsi w województwie białostockim 1948–1956*.

Wojtek Matusiak – historyk, autor wielu publikacji na temat historii Polskich Sił Powietrznych w czasie II wojny światowej.

Filip Musiał – dr, politolog, historyk, kierownik referatu badań naukowych OBEP IPN w Krakowie; autor m.in.: *Podręcznik bezpieki. Teoria pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa w świetle wydawnictw resortowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL (1970–1989)*.

Andrzej Nowak – prof. UJ, kierownik Pracowni Dziejów Rosji i Europy Wschodniej Instytutu Historii PAN; autor m.in.: *Od imperium do imperium. Spojrzenia na historię Europy Wschodniej*.

Aleksandra Pietrowicz – historyk, pracownik OBEP IPN w Poznaniu, współautorka m.in.: *Zmagania ze społeczeństwem. Aparat bezpieczeństwa wobec Wielkopolan w latach 1945–1956*.

Ewa Rogalewska – dr n. hum., pracownik OBEP IPN w Białymstoku; autorka m.in.: *Getto Białostockie. Doświadczenie Zagłady. Świadczenia literatury i życia; redaktor albumu Kobiety internowane. Goldap 1982*.

Jarosław Szarek – historyk, pracownik OBEP IPN w Krakowie. Autor i współautor wielu książek, wydał m.in.: *Czarne juwenalia. Opowieść o Studenckim Komitecie Solidarności*.

Mateusz Szpytma – historyk, politolog, pracownik OBEP IPN w Krakowie, członek PTH i Ludowego Towarzystwa Naukowo-Kulturalnego. Autor m.in. *The Risk of Survival. The Rescue of the Jews by the Poles and the Tragic Consequences for the Ulma Family from Markowa*.

Piotr Szubarczyk – pracownik OBEP IPN w Gdańsku, publicysta; w latach 70. związany z gdańskim SKS, RMP, ROPCiO, pisał w „Bratniaku”, współautor m.in. *W cieniu czerwonej gwiazdy. Zbrodnie sowieckie na Polakach 1917–1956*.

Ryszard Terlecki – prof. dr hab., historyk, publicysta. Wykładowca Wyższej Szkoły Filozoficzno-Pedagogicznej „Ignatianum” w Krakowie, poseł.

Michał Wenklar – dr, politolog, historyk, pracownik OBEP IPN w Krakowie, członek redakcji „Zeszytów Historycznych WiN-u”, redaktor książki: *Ziemianie wobec okupacji 1939–1945*.

Janusz Wróbel – dr historii, pracownik OBEP IPN w Łodzi.

Anna Zechenter – germanistka, pracownik OBEP IPN w Krakowie; redaktor, tłumaczka i autorka artykułów i komentarzy o tematyce międzynarodowej.

NOWOŚCI IPN



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



Janusz Kurtyka
Jacek Pawłowicz

GENERAL LEOPOLD OKULICKI

1898–1946

